Szlachetne marzenia ; Stacho ; Późny żal ; Królowa lilij ; Giovano Monti

Papi, Jadwiga Teresa (1843-1906)

Adres URL obiektu
https://polona.pl/preview/893c68ad-c43d-4683-9be7-66d2f7824c5a
Data wygenerowania dokumentu pdf
18.03.2026

POLONA/

Informacje

Tytuł ujednolicony
Szlachetne marzenia ; Stacho ; Późny żal ; Królowa lilij ; Giovano Monti
Autor
Papi, Jadwiga Teresa (1843-1906)
Adres wydawniczy
Warszawa : G. Sennewald, 1883.
Data powstania dokumentu
1883-01-01
Język
polski
Sygnatura
I.336.184

Prawa do utworu
Domena Publiczna. Wolno zwielokrotniać, zmieniać i rozpowszechniać oraz wykonywać utwór, nawet w celach komercyjnych, bez konieczności pytania o zgodę. Wykorzystując utwór należy pamiętać o poszanowaniu autorskich praw osobistych Twórcy.
Źródło
Biblioteka Narodowa

Teresa Jadwiga.

SZLACHETNE MARZENIA.

STACHO.

PÓŹNY ŻAL. KRÓLOWA LILIJ.

GIOVANO MONTI.

WARSZAWA.

Nakładem **GUSTAWA SENNEWALDA,** Księgarza,

przy ulicy Miodowéj Nr 4.

—

1883.

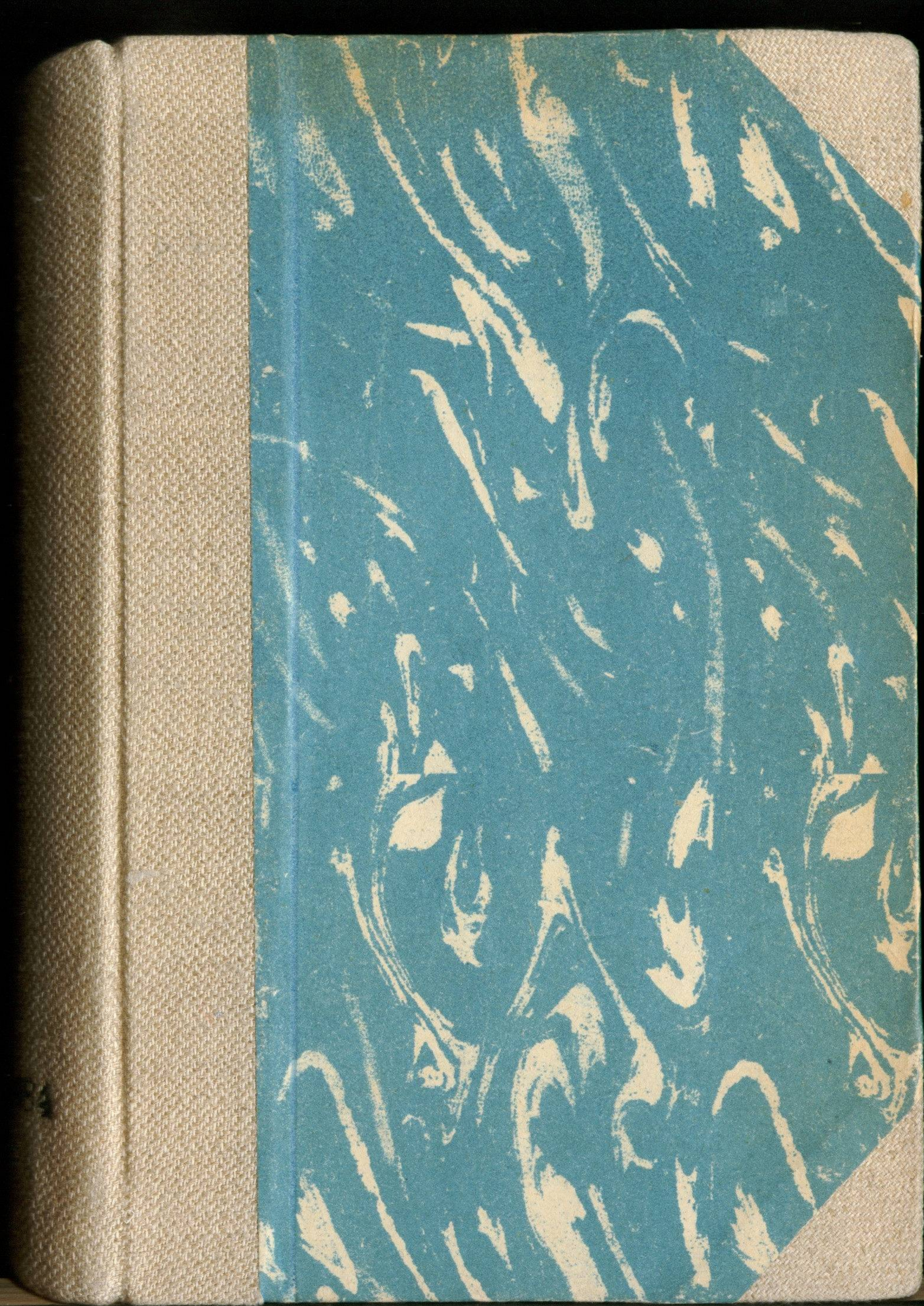

Czesław Puzyna.

SZLACHETNE MARZENIA.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 13 Мая 1882 года.

I 336. 184

Drukiem Józefa Ungra, Warszawa, Nowolipki Nr 3.

Murowany-Dwór

SZLACHETNE MARZENIA.

I.

Była to godzina druga w nocy, po nierównéj drodze, wiodącéj do Gdowa, jechała kareta pocztowa, zwana zwykle kuryerką; na niebie świécił blady księżyc i gwiazdy migotały, w powietrzu zupełna cisza panowała, wszystko zdawało się być uśpione. Kareta wlokła się zwolna, bo zmęczone konie zwiesiwszy łby postępowały leniwie, pocztylion drzymał, a podróżni spali, nie wszyscy wszakże.

Pomiędzy siedzącymi w powozie, widać było trzynastoletnią dziewczynkę, czarno ubraną, o drobnéj, bladéj twarzyczce i dużych, ciemnych oczach; ta jasną swą główkę co chwila wychylała przez okno karety i wzrok niespokojny ciekawie w dal posyłała, chociaż w dali nic ciekawego widać nie było. Za i przed jadącymi z prawéj i lewéj strony ciągnęły tylko pola i łąki, z prawéj za łąkami siniały wyniosłe łańcuchy Karpat, z lewéj ciemniał las długi na milę. Kareta wlokła się zwolna po szosie, tym-

czasem na niebie gwiazdy poczęły blednąć pomału, księżyc coraz słabiéj świecił, aż powoli znikł zupełnie; wtém od wschodu na niebie pokazały się różowe smugi, jutrznia zaświtała... Pocztylion zbudzony, klasnął z bicza i zagrał na trąbce, ten i ów podróżny począł przecierać oczy, a dziewczynka wychyliwszy się przez okno, zapytała pocztyliona:

— Czy daleko do Gdowa?

— Pół mili - odparł zapytany.

— Pół mili tylko—szepnęła do siebie i rzuciwszy się wgłąb powozu, westchnęła.

W pół godziny potém zarysowały się mury miasta.

— Gdów! Gdów!—zawołali podróżni. Dziewczynka podniosła się żywo i wychyliła przez okno. Niewielka przestrzeń, pół wiorsty najwyżéj, dzieliła od miasta; już było widać bielone dworki jego przedmieścia, murowane kamienice i wieżyce kościoła. Nad temi zabudowaniami w górze rozpostarte było szare sklepienie, a na niém w jednym tylko punkcie świéciła krwawa czerwona kula wschodzącego słońca, które w purpurę odziane przychodziło panować ziemi. Niebawem widok ów znikł, zaturkotały koła po bruku miejskim, wjechano na rynek; kareta pocztowa zatrzymała się przed domem zajezdnym: pocztylion otworzył drzwiczki i podróżni wysypali się na ulicę, kazawszy posługaczom hotelowym zabierać ich kufry i tłomoczki.

Czarno ubrana dziewczynka wysiadła także, lecz ona miała tylko mały tłomoczek przy sobie, który udźwignąć była w stanie, więc nie zawołała na posługacza. Wysiadłszy, obejrzała się niespokojnie w około, widoczném było, iż nie wié w którą zwrócić się stronę. Podróżni, jedni podążyli pieszo w ulicę miasta, inni weszli do domu zajezdnego, inni jeszcze, wskoczywszy na bryczki, których kilka czekało na rynku, znikli niebawem w tumanach kurzawy, kareta pocztowa powlokła się daléj i dziewczynka została sama; trzymając w ręku tłomoczek, smutnie rozglądała się w około, miała minę bardzo zakłopotaną. Wtém w drzwiach domu zajezdnego ukazała się średnich lat kobiéta w kwiecistéj sukni.

— Czy nie ma tutaj kogo do Tworek?—zapytała.

— Do Tworek—powtórzyła dziewczynka—ja właśnie mam tam jechać—i podeszła ku stojącéj we drzwiach. Ta uśmiechnęła się przyjaźnie.

— To proszę za mną—rzekła—powóz tam czeka niedaleko—i odebrawszy z rąk podróżnéj tłomoczek, zapytała:

— A gdzie więcéj rzeczy?

— Nie mam więcéj—odparła dziewczynka.

Kobiéta spojrzała jakby z politowaniem, lecz nic nie powiedziała.

Minąwszy sień, znalazły się niebawem z drugiéj strony domu zajezdnego; tam czekał powóz w cztery konie zaprzągnięty. Przywoławszy woź-

nicę kobiéta w kwiecistéj sukni, oddała mu tłomoczek, poczém zwróciła się do małéj towarzyszki.

— Pojedziemy zapewne zaraz—rzekła tonem pytania.

— Dobrze—odparła dziewczynka, i wsiadły obie.

— Czy daleko ztąd do Tworek?—zapytała, gdy konie z miejsca ruszyły.

— Za dwie godziny będziemy na miejscu—odpowiedziała. Czy panienka pierwszy raz tam jedzie — zapytała następnie starsza z jadących.

— Tak jest, pani, pierwszy raz.

— Pan Ludwik Konarski jest wujem panienki, bratem rodzonym jéj matki, wszak prawda?

Dziewczynka skinęła głową potwierdzająco.

— Zacny człowiek, bardzo zacny, a żona jego to istota rzadka; drugiéj podobnéj chyba niéma na ziemi. Słodka, łagodna, grzeczna; już piąty rok jestem gospodynią w Tworkach, a złego słowa jeszcze nie słyszałam... Bo téż co prawda, że pani Maryanna Walicka, tak się nazywam, umie pełnić swoje obowiązki i stara się niczém nie zasłużyć na naganę.

Pochwała ta wywołała mimowolny uśmiech na usta dziewczęcia, lecz pani Maryanna nie spostrzegła go i daléj ciągnęła:

— W Tworkach każdemu dobrze jak w niebie, i panience źle téż nie będzie. Nasze dzieci istne aniołki, nikomu najmniejszéj przykrości

nigdy nie uczynią, a przyjazdu panienki wyczekują niecierpliwie. „Walisiu, droga, złota" powiedziała mi wczoraj Zosieczka, „przywieź tylko prędko Anielcię i powiedz jéj od nas, że chociaż nie znamy jéj jeszcze, już kochamy ją z całéj duszy." Moja śliczna Zosieczka, jakże ja ją kocham, jak własną córkę, a może i więcéj: doprawdy sama nie wiem.

Anielcia słuchała z zajęciem gadatliwéj kobiéty i smutna jéj twarzyczka uśmiechnęła się nawet kilkakrotnie, lecz kiedy pani Maryanna zaczęła następnie mówić o sobie, o swojém całém gospodarstwie: kurach, kurczątkach, kaczkach, a wychwalać je, unosić się nad niemi mimowoli, choć nie chciała tego zrobić, zdrzymnęła się nieco. Widząc ją uśpioną, pani Maryanna za jéj przykładem przymknęła téż oczy i niebawem chrapać zaczęła; to zbudziło dziewczynkę, otworzyła oczy, spojrzała wokoło, słońce rozprószyło właśnie szarą osłonę rozpostartą w górze, błysnęły jasne błękity, wszystko zdawało się do nich uśmiechać. Nigdy jeszcze nie widziała tak pięknego obrazu. Powóz właśnie wtoczył się w las. Oblany złotemi promieniami słońca, ustrojony brylantowemi kroplami rosy, las świecił i migotał cały. Zbudzone ptaszęta świergotały wesoło, powietrze było pełne woni aromatycznéj; wśród zieleni mchu bieliły się dzwonki konwalii, kraśniały purpurowe gwoździki, a niżéj od nich rumieniły się poziomki. Anielce aż weseléj zrobiło się na

sercu, rada była, iż gadatliwa towarzyszka śpi, że jéj nie przeszkadza podziwiać pięknéj natury. Myśl jéj uleciała w wyższe krainy, do Tego, który stworzył tyle cudów i z serca jéj popłynęła modlitwa gorąca, rzewna, niewinna, jak niewinnemi były kwiaty, na które patrzała.

— Boże daj, abym potrafiła zaskarbić sobie serca tych, pod których dachem będę teraz mieszkać—szepnęła podniósłszy załzawione oczęta w niebo—daj, abym mogła stać się kiedyś podporą méj matki, opiekunką siostry i braci.

Anielka Liwska, takie było imię i nazwisko naszéj podróżnéj, miała jeszcze matkę i rodzeństwo, maleńką siostrzyczkę Wandzię i dwóch braci, młodszego o rok od siebie Karola i Wicusia liczącego dopiéro cztery lata. Kochała ich wszystkich i była nawzajem kochaną; ale musiała rozstać się z rodzeństwem, bo pani Liwska nie była w stanie łożyć na jéj naukę. Jechała teraz do wuja, aby razem z jego dziećmi pobierać wychowanie; dom wszakże, do którego dążyła, lubo tak blizko spokrewniony z jéj matką, dla niéj był zupełnie obcy. To téż z wyraźnym niepokojem w twarzy wychylała się co chwila z powozu i patrzyła w stronę Tworek, jak gdyby sądziła, że te drzewa, pola i łąki, które mijała, powiedzą jéj coś o jéj mieszkańcach.

Z dziecinnych wspomnień utkwiło w jéj pamięci bardzo wyraźnie wspomnienie Dolińca, rozległéj majętności niegdyś jéj rodziców. Wszystko

tam było piękne, wytworne, dwór piętrowy, salony obszerne, ogród starannie urządzony; na wzór więc owego Dolińca i w Tworkach w bujnéj swéj wyobraźni wybudowała dwupiętrowy pałac, a ogród ustroiła w kamelje i cyprysy, oraz inne rośliny oranżeryjne. Nic w nim nie brakło, nawet posągów, nawet strzyżonych szpalerów. Tymczasem las począł powoli rzednąć, ukazały się pola, za niemi zabieliły mury jakiegoś domostwa. Pani Maryanna obudziła się.

— Otóż i Tworki! — zawołała — najdalej za kwadrans będziemy na miejscu.

Jakoż w istocie powóz zatrzymał się wkrótce przed dworem wsi Tworki. Inaczéj wyglądał on wszakże niżeli w wyobraźni dziewczęcia: parterowy z drzewa modrzewiowego miał okna niewielkie, drzwi nizkie, werendę dzikiém winem oplecioną.

„Jak mi téż tutaj będzie?" pomyślała Anielka, przypatrując się ciekawie domowi.

Wtém z sieni naprzeciw przybyłych wybiegł chłopak w szarym kubraczku, w butach wysokich, za nim dwa brytany. Chłopak podskoczył do powozu, brytany przybiegły do wysiadających; jeden oparł wielkie swe łapy na ramionach pani Maryanny, drugi kręcił się koło Anielki i łeb swój kudłaty o jéj suknię ocierał, jak gdyby prosił o pieszczoty. Serdeczne to przyjęcie rozjaśniło smutne oczy dziewczęcia, wyciągnęła rączkę do brytana i kudłatą jego sierć

pogłaskała, a on zaszczekał radośnie. Szczekanie psa wywołało nową postać przed dom. Pod werendą ukazał się mężczyzna okazałéj postawy; twarz jego ogorzała miała wyraz poczciwy, włos miał nieco przyprószony siwizną, na sobie lekki kitel płócienny i chustkę na szyi luźno zawiązaną.

— Anielka!— zawołał wesoło—witaj mi dziewczyno. Chodź do mnie, niech cię uściskam; jakżeś wyrosła, a toż panna już prawie z ciebie.

Anielka podbiegła do wuja, on objął ją ramieniem i pocałował w czoło.

— Już od godziny czekamy na ciebie—mówił daléj—chodź do ogrodu, siedzimy właśnie wszyscy przy śniadaniu... Lecz cóż tam u was słychać? mama, bracia, Wandziulka czy zdrowi?

— Wszyscy zdrowi—odparła Anielka—mam parę słówek od mamy do wuja. To powiedziawszy sięgnęła do kieszeni, wyjęła list i podała go panu Konarskiemu.

— Przeczytam mimoto po śniadaniu—rzekł, i ująwszy dziewczynkę pod rękę, poprowadził ją przez pokoje do ogrodu. Tam pod wielką, rozłożystą lipą, przed stołem białym obrusem zasłanym, siedziało kilka osób: dwie panienki, jedna prawie już dorosła, druga młodsza lat parę i dwie starsze kobiety, z których jedna była panią domu, druga nauczycielką. Na widok przybywających, panienki porwały się z krzeseł.

— Anielka! Anielka!—rozległo się radosne wołanie i dziewczynka ujrzała się naraz otoczoną Wszyscy pośpieszyli ją powitać; wujenka złożyła na jéj czole pocałunek macierzyński, dziewczęta zawisły jéj na szyi, nauczycielka dłoń przyjazną podała.

Wzruszona tém przyjęciem, słowa wymówić nie mogła, tylko na pocałunki pocałunkami odpowiadała. Nareszcie pan Konarski wezwał do porządku:

— Siadajmy napowrót do stołu—rzekł—na całusy będzie jeszcze czas; teraz matka podróżną nakarmi, a Zosia przeczyta nam list przywieziony przez Anielkę.

Na to wezwanie wszyscy powrócili do stołu, pani Konarska postawiła przed Anielką szklankę kawy, a Zosia, panienka już piętnastoletnia, smagła szatynka o jasnych błękitnych oczach, czytać głośno zaczęła:

„Bracie mój najdroższy!—pisała pani Liwska—opiece twojéj skarb mój oddaję, twojemu sercu dziecię me ukochane powierzam... bądź dla niéj ojcem, którego już nie ma na ziemi, bądźcie wy wszyscy dla niéj rodziną, którą pożegnać musiała... Ile cierpiałam, rozstając się z nią, tego pisać nie będę; dla jéj dobra trzeba było wszakże spełnić tę ofiarę. To téż nie narzekam, wdzięczną ci jestem tylko, bracie, za to co chcesz uczynić dla mych biédnych dzieci. Anielka moja, mam nadzieję, potrafi pozyskać sobie wasze serca

i sercem odpłacić wam nawzajem; w Bogu też ufam, że lubo oddalona, nie zapomni o mnie, że chociaż pod innym wychowa się dachem, mnie i rodzeństwo moje zawsze kochać będzie, że za tę ofiarę, którą dziś dla niéj czynię, miłością równą kiedyś mi odpłaci."

Zosia przerwała czytanie, gdyż łzy stłumiły jéj mowę: wszyscy byli wzruszeni.

Pani Liwska donosiła bratu w dalszym ciągu o sobie i dzieciach, co wszyscy porabiają, jakie ma projekty co do ich przyszłości.

Po śniadaniu wuj oddalił się w pole, gdzie rżnięto właśnie żyto.

— Najlepiéj ci będzie, Anielko—odezwała się pani Konarska do siostrzenicy—gdy zaraz pierwszego dnia poznasz zwyczaje naszego domu. Pójdziesz zatém z dziećmi i panną Natalią do szkoły.

Anielka ucałowała rękę wujenki a Marynia młodsza z kuzynek podała jéj ramię.

— Teraz godzina lekcyi botaniki — rzekła panna Natalia—odbywamy ją zwykle w ogrodzie, chodźmy tam zatém.

Obszerny kawał ziemi zajmował ogród w Tworkach; jedna tylko aleja była w nim cienistą, olbrzymie lipy poplątane w górze konarami, tworzyły w niéj szpaler prześliczny. Reszta ogrodu pociętą była na równe zagony, na jednych widać było jarzyny, na innych kwiaty, z każdego kawałka ziemi umiano tu korzystać. Na trawnikach rosły grusze i czereśnie, gałęzie drzew aż

uginały się pod ciężarem owoców: Anielka rozglądała się ciekawie wokoło.

— Dziwi cię pewno, że kląbów i trawników u nas niéma — rzekła starsza jasnooka Zosia — lecz rodzice utrzymują, że ponieważ Tworki posiadłość niewielka, powinniśmy przeto wszyscy pracować i starać się przysparzać coś do ogólnego dochodu. Każde z nas ma tu swoją część, którą wyłącznie się zajmuje. Marynia hoduje brzoskwinie, ja objęłam w tym roku winnicę, mama jarzyn dogląda i ty pewno dostaniesz swoją cząstkę. Co piątek, stary Szymon ogrodnik tutejszy, który nam w pracy pomaga, zawozi jarzyny, a pieniądze, jakie za nie przywozi, oddaje nam ojciec na nasze osobiste wydatki.

Zwiedziwszy wszystkie części ogrodu, dziewczęta zasiadły następnie w lipowéj alei koło stołu dębowego, znajdującego się na samym końcu szpaleru, do lekcyi botaniki. Godzina zbiegła im tutaj jak jedna chwilka, poczém Marynia i Anielka obeszły jeszcze dworek. Wszędzie taż sama prostota panowała co i w ogrodzie. Ściany w pokojach były bielone, stoły i krzesła dębowe, w oknach wisiały siatkowe firanki. Ale za to nigdzie pyłku kurzu widać nie było, wszędzie czystość wzorowa; pomyślano też i o stronie estetycznéj: po ścianach pięły się bluszcze, w oknach migały purpurowe gieranie, a na stole przed kanapą leżały książki: Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego.

— Dziwnie tu u was—rzekła Anielka—tak skromnie a tak ładnie.

Wtém dzwonek dał się słyszéć.

— Panna Natalia wzywa do klass na drugą godzinę—zawołała Marynia—chodź Anielciu.

Pokój zwany klassą, najobszerniejszym był ze wszystkich: w pośrodku stał stół dębowy, wokoło krzesła, pod ścianą półki z książkami, nad temi zawieszone były karty geograficzne, poczet królów i wielki zegar z kukułką.

Panna Natalia już czekała pochylona nad kartą geograficzną. Dziewczynki zasiadły spokojnie wokoło, rozpoczęła się znowu nauka i znowu czas leciał Anielce jak na skrzydłach. Gdy kukułka oznajmiła dwunastą, nauczycielka podniosła się, dziewczęta pochowały książki i poprawiwszy ubranie, udały się do jadalni, gdzie oboje państwo Konarscy siedzieli już przy stole.

— No, cóż Anielciu, jakże ci się zdaje, będzie ci u nas dobrze?—zapytał wuj.

Anielka spuściła oczy w ziemię i zbliżyła się z pieszczotą.

— Gdybym nie czuła się zadowoloną, byłabym istotą niewdzięczną—rzekła—okazali mi tu wszyscy tyle serca.

Te słowa podobały się panu Konarskiemu: uścisnął dziewczę.

— To jeszcze nie koniec dnia—rzekł wesoło—trzeba będzie jeszcze po obiedzie przygotować zadania na dzień następny, a wieczorem mnie

coś przeczytać, bo w ogrodzie niéma dziś podobno nic do roboty, dészcz wczorajszy zrosił ziemię, a stary Szymon zagony poczyścił.

Po skończonym obiedzie dziewczęta zasiadły znowu w szkole, do szóstéj pilnie nad książkami pracowały, poczém, gdy słońce przestało już dopiekać, udały się pod werendę. Siadłszy na schodkach do niéj prowadzących, zajęły się krajaniem grzybów, które im pani Konarska przez gospodynię przysłała.

Z werendy szedł widok rozległy na pola, łąki i wieśniacze zagrody. Z prawéj strony dworu wznosiły się zabudowania gospodarskie, stajnie, obory, śpichrze nie zasłonięte krzewami, bo pan Konarski, siedząc w swém wygodném krześle pod werendą, chciał mieć ztąd baczne oko na wszystko. „Pańskie oko konia tuczy" było jego ulubioném przysłowiem.

Na podwórzu ruch panował wielki: zajeżdżały co chwila wozy wyładowane sianem, kręcili się ludzie to z grabiami na plecach, to poganiając bydło lub trzodę. Z lewéj strony dworu widać było kilka uli, pracowite pszczoły uwijały się koło nich; wszędzie znać było pracę i życie, wszędzie najprzykładniejszy porządek panował. Dziewczęta zajęte, gawędziły z Anielką, pytały ją o matkę, siostrę, braci, których jeszcze nie znały. Tymczasem siódma wybiła, ludzie z pola zaczęli powracać, całe gromady przechodziły koło werendy, za nimi zjawił się pan Konarski.

Był widocznie zmęczony, lecz twarz miał pogodną; siadł na wyplataném krześle i czoło chustką otarł.

— No—rzekł—żniwa dobrze idą, dzisiaj sporo żyta położyliśmy.

Zosia i Marynia, które tak się zagawędziły, iż nie spostrzegły przybycia ojca, porwały się ze schodków i śpiesznie pobiegły do pokoju; niebawem pojawiły się znowu pod werendą, jedna niosąc koszyk z owocami, druga krótką fajeczkę i worek z tytuniem. Pan Konarski uśmiechnął się, owoce postawił przed sobą na stole, fajkę nałożył i zapalił, poczém rozparł się wygodnie w fotelu i puszczając gęste kłęby dymu, okiem zadowolenia wodził wokoło. Zosia i Marynia usiadłszy obok niego, ubiegały się w przysługach.

Śliczny to był obrazek, Anielka przypatrywała mu się z prawdziwą przyjemnością, a w jéj myśli utworzyło się jego odbicie nieco tylko odmienne. Widziała własną matkę z włosami również jak wuja siwizną przyprószonemi, siebie, siostrę i braci obok niéj.

„O! gdyby tak być mogło jak najprędzéj, westchnęła; lecz czy dojdę kiedy do takiego szczęścia?"

Tu łza cicha zawisła na jéj rzęsie, otarła ją wszakże szybko, spojrzała śmiało przed siebie.

„Muszę dojść—rzekła z mocą—muszę koniecznie; wytrwałą, pilną pracą dopnę swego, dokażę.

I trzynastoletnia dziewczynka sięgnęła myślą w przyszłość, widziała się już kobiétą z czołem uznojoném pracą, a pod jéj opiekę tulące się młodsze rodzeństwo i siwą matkę jéj błogosławiącą.

Cicho ale przyjemnie upłynął wieczór w Tworkach, na miłéj gawędce, na czytaniu głośném pism peryodycznych; około dziesiątéj wszyscy udali się na spoczynek: Anielka była zupełnie zadowoloną z całego dnia.

Mile płynie tutaj życie, rzekła sama do siebie, gdy głowę na poduszce położyła; tak jakoś cicho, równo, dobrze: doprawdy, dzionek jak błyskawica przeleciał. Potém pomyślała o matce, kiedy-to ona doczeka się takiego życia, i z temi myślami usnęła, a gdy rankiem otworzyła oczy, już jasne słońce świeciło na niebie. Zosia i Marynia były prawie ubrane, pospieszyła zatém, aby wuja opóźnieniem nie rozgniewać.

Dnie następne niczém zupełnie nie różniły się od piérwszego. Czasami tylko ktoś z gości przybył, a wtedy zmieniały się nieco zwyczaje, bo zamiast nauki trzeba było krzątać się około gospodarstwa lub bawić gości.

Najmilszym dniem z całego tygodnia był dla Anielki piątek, bo w tym dniu stary Szymon przywoził z miasta dzienniki i listy od jéj ukochanéj matki, które dziewczynka, zanim jeszcze otworzyła, pocałunkami okrywała.

II.

Dwa lata upłynęło od dnia, w którym Anielka do Tworek przyjechała; dwa lata to długi przeciąg czasu. Było to coś w piérwszych dniach kwietnia, śniegi już znikły, błota nawet oschły, a drzewa pokryły się pąkami, które lada dzień rozkwitnąć miały. Dzień był chłodny, po niebie przesuwały się szare obłoczki, które wiatr ustawicznie rozpędzał; drożyną wiodącą od dworu do wsi szły dwie osoby, otulone w ciepłe płaszczyki: jedna z nich lat piętnaście liczyć najwyżéj mogła, szczupła, wysmukła, o dużych ciemnych oczach; druga starsza od niéj miała ciemne włosy, zato oczy jasne z wyrazem pogody i wesołości. Była to Anielka i Zosia, lat dwa zmieniło je nieco: nie były to już dziewczynki ale dziewice. Obie dążyły śpiesznie, obie miały twarze zarumienione od zimna.

— Czy ty doznajesz czasami tego uczucia, co ja? — mówiła Zosia. Są dnie, iż wydaje mi się, że mam siły olbrzyma, że mogłabym świat

cały dźwignąć na ramionach i gniéwam się wtedy, iż mężczyzną nie jestem. Kobiecéj pracy pole tak zacieśnione... cóż ja robię naprzykład? No, prawda, krzątam się około méj winnicy, lecz co cięższa robota, to stary Szymon za mnie odrobi; krzątam się z mamą około gospodarstwa, czytam, uczę biédną Joankę i na tém koniec. Gdybym była mężczyzną, o ileż mogłabym być użyteczniejszą społeczeństwu, krajowi, rodzinie mojéj?

— Ja również,—odparła Anielka—czuję w sobie zasób sił wielkich i zdrowia, lecz i to wiém, że to co czynię obecnie, to tylko przygotowania do wielkiéj użytecznéj pracy, do któréj siły te będą mi kiedyś potrzebne. Mam być podporą mojéj rodziny, opiekunką młodszego rodzeństwa, pociechą matki.

— Tak, ty masz cel życia już nakreślony, jakby z góry wypisany, ale ja?

— Sądzę, że i ty również.

— Gdzież go widzisz? powiedz mi, proszę, cóżbyś zrobiła na mojém miejscu?

— To tylko, co ty robisz obecnie, i nie wybiegałabym pragnieniem daléj. Twój cel życia taki piękny, jesteś jakby królową w tym małym świecie w którym wzrosłaś. Tworki to twoje państwo, mieszkańcy jego to twoi poddani. Myślisz o ich losie, wspierasz ich w niedoli, radzisz w zmartwieniu; czyż może być piękniejsze zadanie?

Ciemnowłosa dziewczyna uścisnęła dłoń towarzyszki.

— Powtarzaj mi często, jak najczęściéj te słowa, Anielko—rzekła.—Mam nieznośną naturę, nie zadawalniam się nigdy tém, co mam; zawsze mi się zdaje, że tam gdzie nie jestem, byłabym użyteczniejszą; że to czego nie czynię, lepiéjbym spełniła.

— Czyż nie pamiętasz, co ci panna Natalia napisała w książeczce,—przerwała młodsza towarzyszka. — Nauczyłam się tych słów na pamięć: „Umiejętność życia zasadza się na tém, aby zadawalniać się stanowiskiem, na jakiém los nas postawił i starać się być, o ile tylko można, na niém jak najwięcéj użyteczną."

Właśnie domówiła tych słów, gdy na skręcie drogi, którą dążyły, ukazała się chata, biédna, nędzna i smutna. Stała ona samotnie zupełnie wśród téj rozstajnéj drogi, najmniejszego śladu życia około niéj widać nie było. Okna miała papierem zaklejone, płot okalający ogródek nawpół obalony.

— Jak tutaj okropnie,—odezwała się starsza z idących;—zdaje się jakby w chacie żywéj istoty nie było. Lękam się, co usłyszymy: wczoraj biédaczka była tak osłabioną!

To mówiąc weszła za ogrodzenie i zbliżyła się do chaty, uchyliła drzwi; zupełna cisza panowała wewnątrz: jak przed chatą, tak i tutaj śladu życia najmniéj... mimo to posunęła się

daléj do przyległéj i jedynéj w chacie izby, a za nią jéj towarzyszka.

W izbie na łóżku czysto usłaném, leżała kobiéta z oczyma nawpół przymkniętemi; twarz miała tak białą, jak białemi były płótna jéj poduszek... U jéj nóg trzyletnia dziecinka tylko w koszulce, z bosemi nóżkami, z główką pełną złotych kędziorków spała smacznie.

— Magdaleno,—szepnęła starsza z przybyłych, pochylając się nad łóżkiem bladéj kobiety.

Lubo cicho wymówiła te słowa, zbudziła się wszakże kobiéta, otworzyła szeroko oczy, błyszczące gorączkowym blaskiem.

— Paniątka—szepnęła,—Bóg wam zapłać!— i głowę dźwignęła; chciała się podnieść, lecz głowa opadła bezsilnie napowrót na poduszki.

Chora jęknęła.

Zosia, ona to bowiem przyszła tutaj z Anielką, położyła dłoń na rozpalonych rękach kobiéty.

— Nie męczcie się, Magdaleno—rzekła—cierpliwości, siły przyjdą powoli.

Smutny uśmiéch ukazał się na ustach choréj.

— Bogać tam przyjdą—szepnęła—nie wrócą pono nigdy; cała już teraz nie mogę, i krzyże bolą i nogi i ręce.

Tu zatrzymała się, w piersiach głosu jéj zabrakło, po chwili poczęła wszakże znowu:

— Żeby nie ten dzieciak, to niechby i śmierć przyszła, ale jak pomyślę o mojéj Maryś, to serce zda się w kawały szarpie. Co to pocznie

biédactwo, gdy mnie niestanie; chyba z głodu zamrze.

Znowu głosu jéj zabrakło, zamilkła: dziewczęta patrzały na nią wzruszone.

— Męczycie się niepotrzebnie smutnemi myślami—odezwała się po chwili Anielka—a ja nie wątpię, iż zdrową niedługo będziecie: przyniosłam wam lekarstwo.

To mówiąc wyjęła z kieszeni flaszeczkę z jakiemiś kroplami, napuściła ich kilka na łyżkę i zbliżyła do ust choréj.

Kobiéta ruszyła ręką z niedowierzaniem.

— Spróbujcie—poczęła namawiać Anielka.

— Leki nie pomogą, gdy woli Boga niéma—szepnęła chora.

Dźwignęła się mimo to, lecz kiedy Anielka zbliżyła łyżkę do jéj ust, suchy kaszel wyrwał się raptem z piersi kobiéty, poczém nagle zachwiała się i padła na poduszki. Twarz jéj pokryła się jeszcze większą bladością, przymknęła oczy, poruszyła ustami, jakby chciała coś przemówić; lecz widocznie głosu wydobyć nie mogła, ręką wskazała tylko śpiącą dziecinę.

Domyślając się, że o dziecię jéj chodzi, Anielka wzięła na ręce śpiącą dziewczynkę i posadziła ją obok choréj. Magdalena otworzyła oczy, położyła dłoń na główce maléj, coś szepnęła niewyraźnie, poczém ręka jéj zsunęła się i opadła bezwładnie.

— Umarła! — krzyknęła Zosia odsuwając się od łóżka. Anielka pochyliła się nad leżącą bez ruchu kobiétą i dłoń do serca przyłożyła.

— Umarła!—powtórzyła głosem smutnym.

Cisza zaległa izbę, przerażone dziewczęta stały jakby skamieniałe, niemogąc z miejsca się ruszyć; wtém mała Marynka zaczęła płakać. Nie mogła jeszcze zrozumieć, co się stało, lecz wylękłe twarze paniątek przestraszyły ją; poczęła zrazu ciągnąć matkę za rękę, domagając się aby przytuliła ją do siebie, a gdy nie mogła jéj zbudzić, do płaczu się uciekła. Zosia i Anielka oprzytomniały, kwilenie dziecka wróciło je do rzeczywistości.

— Trzeba iść do dworu powiedzieć co się tu stało—rzekła piérwsza Zosia.

— A dziecko, cóż z dzieckiem zrobimy?—spytała Anielka—trudno je tutaj same zostawić.

Zosia zamyśliła się chwilę, potém nagle przystąpiła do łóżka umarłéj kobiety.

— Chodź, Marychno do mnie — rzekła łagodnie — matka śpi, nie trzeba jéj budzić.

Marychna obróciła główkę, popatrzyła wielkiemi błękitnemi oczami na panienkę, potém uśmiechnęła się do niéj i ręce wyciągnęła. Zosia wzięła dziecię w objęcia, otuliła chustką wełnianą, która leżała na łóżku i razem z niém uklękła: toż samo uczyniła Anielka.

Krótką była modlitwa, którą obie do Boga posłały.

„Wieczny odpoczynek, racz jéj dać Panie,"— rzekły tylko, a ciche łzy tym słowom towarzyszyły.

Wyszedłszy z chaty, dziewczęta przez chwilę nic nie mówiły do siebie, Marynka także zachowywała się cicho, wysuwała tylko co chwila główkę i patrzyła ciekawie to na jednę panienkę, to na drugą; lecz spotkawszy któréj wzrok, chowała się natychmiast.

— Co myślisz zrobić z tém dzieckiém?—zapytała nareszcie Anielka.

— Poproszę ojca, aby pozwolił wziąść ją do dworu: zajmę się jéj wychowaniem.

Po tych słowach znowu zapanowało milczenie między niémi. Tymczasem ośmielona Marynka poczęła szczebiotać, uśmiechać się, i coraz śmieléj spoglądać na panienki. Łzy stanęły w oczach Zosi.

— Biédna sieroto—rzekła, przytulając ją tkliwiéj do siebie—nie wiész nic, jakie nieszczęście cię spotkało... O! Anielko—dodała zwróciwszy się do siostry — miałaś słuszność, piękniejszego zadania jak te, które ja mam przed sobą, nie może być dla kobiéty. Teraz dopiéro widzę, jak niedorzeczną byłam mówiąc, że pole méj pracy ograniczone. Obie mamy cel życia wytknięty przed sobą, ku niemu dążyć, doń się gotować, jedyném zadaniem naszém być powinno.

To powiedziawszy zatrzymała się i podała rękę Anielce.

— Wspierajmy się wzajemnie, przypominajmy sobie nasze obowiązki, zachęcajmy się do pracy — dodała głosem wzruszonym. Młodszą jesteś wiekiem, lecz tak dojrzałą umysłem, iż możemy śmiało zostać przyjaciółkami.

Anielka uścisnęła podaną sobie dłoń, poczém obie ucałowały się serdecznie i weselsze już nieco, podążyły do domu, odpowiadając uśmiechem na szczebiotania Marynki.

Niebawem ukazał się modrzewiowy dworek.

— Patrz, Anielko—rzekła Zosia, przystając nagle—jakiś ruch przed domem; widzę wyraźnie powóz i ludzi kręcących się: chyba gości mamy. Idźmy prosto na podwórze, tam Walickiéj oddam Marychnę, może nam powié kto przyjechał.

To mówiąc z szerokiego gościńca wiodącego wprost do dworu skierowała się na boczną ścieżynę, która prowadziła między zabudowania dworskie.

Jeszcze nie weszły na dziedziniec, gdy z maleńkiéj oficynki gdzie mieściła się służba i oficyaliści, wybiegła pani Maryanna Walicka w perkalowym szlafroczku, w czerwone bukiety, w czepcu z zielonemi wstążkami.

— Panno Anielo — wołać już od drzwi poczęła—pani Liwska przyjechała.

— Mama!—krzyknęła Anielka i zapominając o wszystkiem inném, zawróciła coprędzéj na drogę wiodącą ku dworowi.

— Mama! Wandzia!—wyrwało się z jéj piersi, gdy przybiegłszy pod werendę spostrzegła siedzącą tam matkę i maleńką siostrzyczkę.

Scenę powitania trudno opisywać, były tam łzy i uśmiechy, były serdeczne uściśnienia i słowa pełne miłości. Pani Liwska napatrzyć się nie mogła swéj córce.

— A toż z ciebie już kobieta—mówiła przyglądając się jéj z rozkoszą — taka duża prawie jak ja.

— A jaka dobra, rozumna—dodała pani Konarska — kobiéta już z niéj dojrzała; doprawdy, siostro, tak zasługuje na to miano.

Anielka nie mogła się znowu napatrzéć Wandzi, maleńką ją pożegnała, jeszcze dobrze mówić nie umiała a teraz wyrosła tak ślicznie; ciągle coś jéj opowiadała, bo téż już piąty rok liczyła. Gdy przecież z kolei przypatrzyła się matce, zrobiła uwagę, iż źle wygląda i dopytywać poczęła, czy nie chora.

Pani Liwska miała w istocie cerę bladą i oczy zapadłe, lecz pocieszała córkę, iż czuje się zupełnie dobrze. Powoli jednakże, wśród dalszéj rozmowy wydała się mimowoli, iż całą zimę niedomagała, że wezwała rady lékarza, a ten kazał koniecznie jechać do Szczawnicy, lub gdzie daléj w góry.

— Powiedziałam mu, iż nie mam na to zasobów—mówiła cicho westchnąwszy—złajał mię za

tę odpowiedź, lecz nic sobie z tego nie robię; jestem pewną, ze gdy posiedzę kilka dni z wami, przyjdę do siebie. Obecność Anielki, świéże powietrze sprawią jeszcze lepszy skutek niż Szczawnica.

Lecz pan Konarski był innego zdania.

— Rozbierzemy tę sprawę późniéj, ze zdrowiem niéma co żartować—odezwał się z uśmiechem. — Masz asińdźka dla kogo żyć: dwie córki, dwóch synów, to gromadka spora—i w przystępie dobrego humoru ucałował siostrę.

Przybycie Zosi dało inny obrót rozmowie, najprzód nastąpiły powitania, potém Anielka przypomniała sobie biédną Magdalenę i jéj córkę.

— Cóżeś zrobiła z Marynką?—spytała.

— Oddałam ją Walickiéj—odparła Zosia — zrazu zrzędziła, iż nié ma czasu zająć się dzieckiem, bo musi piec ciastka; lecz jak prosić poczęłam tak zmiękła, i pozwoliła małéj zostać w izbie, a nawet znalazła jakąś dziecinną spódniczkę i kaftanik, aby ją ciepléj ubrać.

— Cóż to za Marychna?—zapytał pan Konarski.

Zosia spuściła oczy i zarumieniła się.

— Dowié się zaraz ojczyk—rzekła siadając obok pana Konarskiego i pocałowawszy go w ramię nieśmiało, wyznała wszystko.

Pan Konarski znał dobrze Magdalenę; była to biédna wyrobnica, która przybyła niedawno do Tworek z maleńkiém dzieckiem i ze starym

ojcem; ojciec parę tygodni temu wybrał się do Lwowa, gdzie jak mówiono miał rodzinę: spodziewano się, że powróci, choć wieści o sobie nie dawał. Wysłuchawszy opowiadania Zosi zadumał się poważnie, poczém rzekł do córki:

— Dobrześ zrobiła, dzieweczko, zabierając Marychnę ze sobą; lecz czy nie pomyślałaś czasami, że mogłabyś coś więcéj uczynić dla téj biédnéj sieroty, jak przynieść ze sobą i w oficynie umieścić... Nie wątpię, wychowa się to tam z innymi; Walicka nie dozwoli jéj z głodu umrzeć, przyda się jéj téż niezawodnie; gdy podrośnie, każe dziewczęciu pasać gęsi lub kaczki: ale ja myślałem, że moja Zosieczka w innym celu zabierała z chaty Marynkę, i gdyś o niéj mówiła, już uścisnąć cię chciałem: tymczasem...

— Ojcze—odezwała się wzruszona Zosia—przyznaję, w innym celu zabierałam dziecko z chaty Magdaleny; chciałam sama zająć się jego wychowaniem, lecz nieśmiałam mówić. Kiedy wszakże sam o tém wspominasz, wyznam szczerze moje zamiary: mam obecnie swój własny pokoik, wstawiłabym doń małe łóżeczko, Marynka spałaby u mnie, ubierałabym ją własnym kosztem, uczyłabym jak podrośnie; mam przecież własne dochody z winnicy, idzie tylko o wasze pozwolenie—tu wzrok proszący podniosła na rodziców.

Pan Konarski objął córkę ramieniem i pocałował w białe czoło.

— W szlachetnych zamiarach nigdy dzieciom przeszkadzać nie będę—rzekł wesoło—bądź pewną iż na twoje marzenia *veto* nie położę.

— I ja téż nie myślę się sprzeciwiać—odezwała się pani Konarska — dam wszakże przestrogę. Łatwo jest, Zosieczko, coś postanowić, ale trudniéj daleko wytrwać w postanowieniu... Zbadaj się dobrze, ważny bierzesz obowiązek na siebie: lepiéj nie przedsiębrać go wcale, jak rzucać w połowie.

— O! niech mama będzie spokojną—odparła Zosia, zbliżając się z podziękowaniem do matki—lekkomyślną nie jestem.

Pani Liwska przysłuchiwała się z zajęciem całéj téj rozmowie, a przytém rozglądała w około ciekawie. Wszystko tutaj niemal obcém jéj było: urządzenie, obyczaje, nawet mieszkańcy, których prawie nie znała. Raz tylko była w Tworkach i to w piérwszych latach po ożenieniu się brata, kiedy Anielka nie była jeszcze na świecie; potém odjechała z mężem w dalekie strony, bo aż na Podole: tam wiodła życie wesołe, wśród którego nawet na listowne stosunki z bratem czasu nie miała. Smutnie skończyło się to wesołe życie: majątek runął, mąż umarł i czworo sierot zostało bez chleba. W Krakowie mieszkali krewni męża, tam podążyła, sądząc, że los jéj wzruszy ich. W istocie w piérwszych latach pan Wincenty Liwski, rodzony brat jéj męża, człowiek bardzo majętny, przyszedł w po-

moc nieszczęśliwéj rodzinie, lecz potém wyjechał za granicę i zapomniał zupełnie. Pani Liwska udała się wtedy do brata rodzonego, którego tak długo zaniedbywała; ten lubo niemiał wiele, pomocy nie odmówił; tylko żądał aby i rodzina pana Liwskiego coś czyniła. Porozumiał się z nimi listownie i za wspólną zgodą ułożono, że pan Konarski weźmie na siebie edukacyą dzieci, a tamci utrzymanie rodziny. Pani Liwska pozostała przeto w Krakowie, a córkę najstarszą odesłała do Tworek; synowie w mieście kosztem wuja do szkół uczęszczali, Wandzia jeszcze się nie uczyła. Po latach wielu, piérwszy raz zjechała tu dzisiaj, i dziwnie skromném wydało się jéj w Tworkach wszystko, po wspaniałych salonach jakie miała w Doliñcach i wspanialszych jeszcze pokojach, w jakich bywała u krewnych męża w Krakowie.

Wiedząc, co brat dla niéj czyni, wyobrażała sobie wcale inszém jego otoczenie. Czuła się téż słodko wzruszona, a wzruszenie to bardziéj jeszcze wzmogło, gdy usłyszała jak chętnie pozwala Zosi, wziąść do domu biédną sierotę.

Tymczasem pani Konarska, udzieliwszy przestróg córce, podniosła się, by wydać rozporządzenie do obiadu. Za nią rozpierzchła się i reszta towarzystwa: Anielka zabrawszy Wandzię, pobiegła z młodszą z kuzynek do ogrodu, Zosia pospieszyła do starego Szymona powiedzieć mu,

by dał znać proboszczowi o śmierci Magdaleny: pani Liwska została sama z bratem.

— Może przejdziemy do pokoju—rzekł pan Konarski—bo wiatr jakoś chłodny dziś dokucza.

To mówiąc podał siostrze ramię i przeprowadził ją przez kilka izb do swego gabinetu, który równie, jak całe mieszkanie skromnie był urządzony. Jedynemi sprzętami zbytkowniejszemi, jakie w nim stały, były: biórko z bronzowemi antabami i safianem kryta kanapka, do któréj gospodarz siostrę poprowadził.

Naprzeciw kanapki znajdowało się okno, po za niém ogród, śpiéw ptasząt dolatywał od niego.

— Naumyślnie przyprowadziłem cię tutaj, Wikciu—rzekł pan Konarski—aby pomówić z tobą na osobności. Widzę cię mizerną, schudłaś, pobladłaś; doktor musi miéć słuszność: potrzebne ci powietrze górskie, musisz zaraz jechać i to niezwłocznie.

— Ależ, bracie—poczęła pani Liwska—zkądże na to wziąść? Pan Wincenty dosyć już często mi powtarza, że tyle czyni dla nas; nié mam odwagi go prosić.

— To téż prosić nie będziesz—odparł pan Konarski, — Bóg pobłogosławił zeszłorocznym żniwom, mam trochę grosza zaoszczędzonego, podzielimy się.

To mówiąc odsunął jednę ze skrytych szufladek biórka, wyjął z niéj storublowy papiérek

i podał go siostrze. Pani Liwska ze łzami przypadła do ręki brata, lecz on nie dozwolił jéj całować.

— Wszakże siostrą mi jesteś—rzekł uścisnąwszy ją czule. — Nie wątpię, iż będąc na mojém miejscu, toż samobyś uczyniła.

Przez cały tydzień bawiła pani Liwska w Tworkach, a każdy dzień w nich spędzony uczył ją więcéj kochać i szanować brata.

— Anielko—mówiła co wieczór do starszéj córki—naśladuj twego wuja, kochaj siostrę i braci, jak on mnie; bądź dla nich dobra, jak oni dla mnie.

Anielka w miejsce odpowiedzi, okrywała matki ręce pocałunkami.

Nastał wreszcie dzień rozstania. Pani Liwska uściskawszy serdecznie córkę odjechała znowu do Krakowa, razem z Wandzią, błogosławiąc brata i bratowę. Anielka miała wielką ochotę, żeby Wandzia na lato w Tworkach została, ale pani Liwska ani słyszeć o tém nie chciała.

— Nie umiałabym żyć bez niéj; cóżbym robiła sama w Szczawnicy—tłumaczyła panu Konarskiemu.

Po jéj odjeździe wszystko wróciło znowu do zwykłego trybu życia; przerwane lekcye z panną Natalią rozpoczęły się, zajęcia w ogrodzie również, ta tylko zaszła różnica, że do pokoiku Zosi, który ona jako uznana za dorosłą wyłącznie dla siebie posiadała, wstawiono dawne jéj łóżeczko dziecinne a z niém przybyła mała Marychna, córka biednéj wyrobnicy.

Niemało miała Zosia zrazu z nią kłopotu, był to dziki ptaszek, którego trzeba było przyswoić, ułaskawić, ugrzecznić; lecz przy pomocy Jagusi, dziewczyny do posługi, która wdzięczna zato, iż ją Zosia czytać nauczyła, całą duszą była jéj oddaną, powoli przerobiła dziecinę. Marynka liczyła dopiéro lat trzy, o nauce nie mogło być mowy, Zosia starała się wszakże rozwijać jéj umysł, przysposabiać do nauki; uczyła ją z obrazków nazw rozmaitych ptaszków, owadów i zwierząt, opowiadała o ich obyczajach: dziecina słuchała z uwagą i z każdym dniem stawała się milszą, pojętniejszą. Sąsiedzi dziwili się Zosi, nazywali to fantazyą, chwilowym kaprysem niewieścim; lecz gdy przekonali się z czasem, że sierotka zawsze w jednakich łaskach, że Zosia coraz czynniejszą rozpościera opiekę nad całą wsią, żarty ucichły: poczęto uwielbiać to co zrazu wyśmiewano. Byli wszakże tacy, co jeszcze chcieli ją zniechęcić.

— Próżne twoje zabiegi—mówili—jeśli myślisz, że postępowaniem swojém pozyskasz serca tych prostaków, zawiedziesz się z pewnością.

— Ja nie leczę chorych, nie wspieram biédnych, dzieci nie uczę, aby mi miłością koniecznie zato płacili — mówiła — pełnię tylko to, co uważam za swój obowiązek. Los mię postawił jako naturalną opiekunkę tych ludzi, powinnam

przeto starać się podnosić ich moralnie, przyczyniać się do ich uszczęśliwienia.

Po takich rozmowach bywała wszakże smutniejszą, lecz gdy pomodliła się serdecznie, gdy z Anielką pogawędziła, smutek się rozpraszał i znowu pełniła z miłością zadanie, które sobie za cel życia postawiła.

III.

Cicho i dobrze płynęło wciąż życie w Tworkach, powoli dziewczęta ukończyły nauki, wyrosły pięknie zdrowo i poczciwie, przynosząc chlubę i pociechę rodzicom. W całém sąsiedztwie mówiono o nich, że są miłe, dobre i rozumne: jedném słowem, starannie wychowane panny. To też niedługo po odjeździe z Tworek nauczycielki, jeden z sąsiadów, niejaki Julian Szanorski, ujęty wdziękami i słodyczą młodszéj z córek państwa Konarskich, szesnastoletniéj Maryni, zajechawszy pewnego dnia do Tworek, prosił o jéj rękę. Nie odmówili mu rodzice, a że Marynia chętnie do ich życzeń się przychyliła, ślub odbył się w parę miesięcy po oświadczeniu w pierwszych dniach grudnia, w sam dzień urodzin Maryni.

Widząc jak państwu Konarskim we wszystkiém się powodzi, jak Bóg błogosławi im w pracy i w wychowaniu dziatek, sąsiedzi poczęli nazywać Tworki „Gniazdem szczęścia.” I rzeczy-

wiście, nazwa ta należała się im słusznie. Nieznano w Tworkach, co to zmartwienie, nigdy w modrzewiowym dworku nie widziano téż smutnych lub gniéwnych twarzy, nigdy nie słyszano wymówek, łajań lub sprzeczek.

Ale niedarmo któryś z naszych poetów powiedział, iż „ciągu życia nie można przerobić na wieniec różany, że cierń jest takowego wieńca zasadniczym splotem."

Jednego wieczora Zosia i Anielka siedząc pod werendą, żywą zajęte były rozmową: Anielka dowiedziała się właśnie tego dnia, że państwo Milescy, blizcy sąsiedzi, poszukują nauczycielki; mówiła przeto Zosi, iż chętnie przyjęłaby to miejsce, że sąsiedztwo Tworek zachęcą ją wielce. Zosia nie odradzała, jednakże z odpowiedzi jéj znać było, iż niechętnie mówi o zamiarach przyjaciółki.

— Nie taję się z tém—rzekła smutnym głosem—iż rozstanie z tobą będzie pierwszém zmartwieniem, jakiego doznam w życiu: jestem zepsutém dzieckiem szczęścia.

— I ja bez żalu nie pożegnam Tworek—odparła Anielka—lecz wiész przecie, jaki cel postawiłam sobie za zadanie życia. Twoje marzenia już się spełniły: jesteś użyteczną społeczeństwu; moim jeszcze daleko: trzeba wziąść się raz do pracy chlebodajnéj, aby urzeczywistnić się z czasem mogły.

— Ja téż nie zatrzymuję cię—odparła Zosia—bierz się do pracy: pragnę całém sercem, aby marzenia twoje spełniły się jaknajprędzéj.

To mówiąc pochyliła się do przyjaciółki i uścisnęła ją tkliwie.

— Nie będę cię zatrzymywać—dodała—ale cierpieć będę nad naszém rozstaniem.

Anielka serdecznym pocałunkiem odpowiedziała na pieszczotę siostry: obydwom łzy błysnęły w oczach.

— Będziemy pisywać często do siebie—szepnęła Zosia.

— O! tak, będziemy—odparła wzruszonym głosem Anielka.

I ująwszy się za ręce, obie zamyślonym wzrokiem wpatrzyły się w gwiaździstè sklepienie nad niemi rozpostarte, gdzie wśród miliona świateł widać było iskrzącą gwiazdę, z długą smugą za sobą.

Naraz jakiś głuchy huk zbudził je z cichych marzeń: porwały się obie, spojrzały na siebie wzrokiem pytając, coby to być mogło?

— Jakieś nieszczęście stało się w domu—przemówiła pierwsza Zosia—czy słyszysz ten hałas?...

Rzeczywiście, z pokojów dochodził głuchy gwar, słychać było bieganie tu i tam, rozmowę i płacz.

Nienamyślając się dłużéj, obie minąwszy sień, wpadły do pokoju jadalnego: tam przedstawił im

się okropny obraz: na kanapie stojącéj pod jedném z okien, siedział pan Konarski, nawpół omdlały, krwią zbroczony; obok niego klęczała żona łamiąc ręce i płacząc: służba biegała tu i tam nieprzytomna, wylękła.

— Co się tu stało?—spytała Zosia przestąpiwszy próg.

Mała Marynka, która także znajdowała się tutaj, wskazała na okno.

— Ktoś strzelił, pannusiu—rzekła—kula trafiła pana w ramię i omdlał; ponieśliśmy go na kanapę i wodą obleliśmy, cóż, kiedy nie przychodzi do życia.

— Octu! wody!—zawołała Zosia, i przypadłszy do ojca, poczęła z płaczem całować jego ręce.

Służba podała jéj ocet, ona natarła skronie zemdlonemu; tymczasem Anielka pobiegła do starego Szymona, aby go wysłać do miasta po doktora.

Wreszcie pan Konarski otworzył oczy, spojrzał wokoło.

— Uspokójcie się—rzekł—rana nie jest niebezpieczna; poleżę parę tygodni i wstanę zdrów... Czy posłał kto po lekarza?

— Posłałam starego Szymona—odparła Anielka.

— To dobrze: siądźcie przy mnie, służbę odeślijcie—rzekł chory.

Pani Konarska podniósłszy się z kolan, siadła obok męża; Zosia tuż przy niéj, Anielka z przeciwnéj strony: służba się rozeszła.

Minęła długa godzina oczekiwania, wreszcie przed domem zatętniało: to doktor przyjechał. Rana rzeczywiście nie była niebezpieczną, tylko bardzo bolesną: obojczyk był strzaskany. Opatrzywszy chorego, doktor oświadczył, iż życiu jego, żadne obecnie nie zagraża niebezpieczeństwo; zalecił wszakże, aby czuwać troskliwie i unikać wszelkich wzruszeń, które mogłyby silną gorączkę wywołać.

Kazawszy przenieść męża do jego gabinetu, pani Konarska siadła obok niego, doktor pozostał przy nich, Zosia i Anielka poszły wydać służbie potrzebne rozporządzenia.

— Czy panienka wié, co ludzie mówią we wsi—rzekła jedna z dziewcząt folwarcznych—pono to Krysztof strzelił; miał złość do pana, że mu młyna nie wypuścił w dzierżawę, ino Walentemu i zemścił się. Odgrażał się on już dawno: słyszałam ja nieraz, jak mówił, że...

Ale Zosia nie dała dokończyć gadatliwéj dziewczynie.

— Nie posądzaj, nie mając dowodów—rzekła surowo—to grzéch wielki!

Lecz kiedy wróciła do pokoju, rzuciła się z płaczem siostrze na szyję.

— O, Anielko! Anielko! jakie to okropne nieszczęście!—zawołała. Więc za to co ja czyniłam dla nich, oni mi ojca zabić chcieli?

Anielka ucałowała ją czule.

— Oni biédni, ciemni i ślepi jeszcze; trzeba im wiele przebaczać—rzekła.

Zosia otarła łzy.

— Rozsądnie mówisz, nie przeczę—odparła z goryczą—mimo to nie potrafię stłumić w sercu żalu, który czuję do nich.

Poczém udała się do pokoju ojca, czuwać nad nim z matką.

Noc minęła spokojnie, chory nawet drzymał trochę, lekarz odjechał; gdy rankiem świtać poczęło, pan Konarski zbudził się, skinął na Zosię i rzekł do niéj:

— Będziesz musiała mnie dziś zastąpić, dzieweczko; matka ma swoje zajęcia, od niéj tego wymagać nie mogę: pójdziesz na pole, zajrzysz do stodół i zdasz mi sprawozdanie z wszystkiego; pierwéj wszakże udasz się do Krysztofowéj: wiem, że jest chorą; trzeba się dowiedzieć, czy jéj nie brak czego.

Lekki rumieniec wybiegł na twarz Zosi, potém nagle pobladła.

Pan Konarski spojrzał na nią uważnie.

— Wiém o co ci idzie—rzekł, biorąc jéj dłoń. Musiałaś słyszeć co ludzie mówią o jéj mężu. Zbiegł podobno niegodziwiec: nie ulega wątpliwości, że to on godził na moje życie; lecz trudno karać za niego żonę i dzieci; tego prawo nawet nie wymaga: idź zatém, dzieweczko, i dowiedz się co tam słychać.

Zosia nic nieodpowiedziawszy, wyszła z pokoju, w godzinę była z powrotem.

— Zrobiłam coś chciał, ojcze—rzekła wchodząc—ale wierzaj mi, ta kobiéta nie zasługuje na twoję dobroć. Gdym przyszła do niéj, siadła na łóżku i poczęła krzyczeć, wyrzekać, że ludzie niesłusznie posądzają jéj męża, że on niewinny, że to prędzéj Walenty strzelił, a teraz rozsiewa potwarze na Krysztofa aby go zgubić; żeś ty, ojcze, był zawsze dla nich niesprawiedliwy i inne tym podobne brednie wykrzykiwała.

Pan Konarski westchnął.

— Nie dziw się jéj—rzekł—kocha męża i jak pojmuje, jak może, tak go ratuje. A nie zapytałaś się, jak tam z jéj zdrowiem?

— Owszem, podobno miała dziś znowu paroksyzm febry.

— Zanieś jéj więc chiny, jak będziesz szła w pole.

Zosia pochyliła się z pocałunkiem do ręki ojca, poczém zbliżyła .się do apteczki stojącéj w tym samym pokoju, wzięła z niéj lekarstwo i poszła znowu do Krysztofowéj. W jadalni zabiegła jéj wszakże drogę Anielka.

— Idź prosto w pole—rzekła—ja do Krysztofowéj podążę.

Zosia ścisnęła jéj rękę; lubo ojcu nie sprzeciwiała się, a nawet uznawała słuszność jego żądania, niechętnie je jednak spełniała, i z sercem przepełnioném boleścią szła do Krysztofowéj.

Ująwszy się pod ręce, otuliwszy w chustki, podążyły obie ku wsi. Właśnie zbliżały się ku

furtce sztachet otaczających dziedziniec, gdy spostrzegły zdala gromadę ludzi dążącą ku dworowi. Obie mimowoli zatrzymały się: ciemne brwi Zosi zmarszczyły się.

— Czego oni chcą?—rzekła niechętnie.

Tymczasem gromadka przysunęła się do furtki: byli to sami starsi gospodarze Tworek. Ujrzawszy panienki, pozdejmowali czapki i pokłonili się im do nóg.

Zostając jeszcze pod wpływem wczorajszego smutnego wypadku, dziewczęta już coś złego przypuszczać zaczęły, gdy stary Jakób, najwymowniejszy z gromady, wystąpił naprzód.

— Wielmożny dziedzic – rzekł głosem uroczystym—jest pono ciężko chory, a to czas żniw, kłopotać się będzie o robotę. Otóż zeszliśmy się tutaj, aby wam, dobra pani, powiedzieć: „Nie troskajcie się o pola, łąki i bydło, my strzedz wszystkiego pilnie będziemy. Zwieziemy zboże do stodół, zaorzemy niwy, bydłu upaść nie damy: nad wszystkiém jak nad własném czuwać będziemy. Byłyście dziatek naszych i chorych opiekunką, ojciec wasz niejednego wsparł w nędzy, niejednego radą zdrową od nieszczęścia wybawił; wypłacimy mu ten dług, który od lat tylu względem niego zaciągnęliśmy.”

Te proste lecz poczciwe słowa wzruszyły serdecznie dziewczęta, łzy zabłysły im w oczach: Zosia zbliżyła się do gromady.

— Dziękuję wam, dobrzy ludzie—rzekła podając dłoń gospodarzom — dziękuję serdecznie i przyjmuję waszą usługę. Niechaj Bóg ją wam nagrodzi!

A gdy się oddalili, obróciła się do Anielki z rozjaśnioną twarzą.

— A więc nie jest jeszcze tak źle jak sądziłam; Krysztof to tylko wyjątek; zyskałam ich miłość: teraz i do Krysztofowéj chętniéj pójdę.

I obie pobiegły z lekarstwem do choréj.

Kiedy około południa pan Julian Szanorski, szwagier Zosi, oraz kilku sąsiadów, dowiedziawszy się o zaszłym wypadku, przybyli do Tworek, ofiarując się z pomocą, Zosia zmuszoną była podziękować za ich uprzejmość.

— Inni was ubiegli—rzekła wskazując ręką pola, na których, jakgdyby we wsi nic nie zaszło, uwijali się jak zwykle ludzie, rżnąc zboże, wiążąc je w snopki i składając na wozy.

I tak już działo się codnia; Konarski leżał ciężko chory, lecz żniwa nic na tém nie ucierpiały: wszystko odbywało się w swoim czasie.

Zosia czuwała wszakże zdaleka. Często wziąwszy duży słomiany kapelusz na głowę, szła w czasie gdy skwar jeszcze dopiekał, do pracującéj rzeszy. Marynka towarzyszyła jéj zawsze w tych wycieczkach, niosąc za nią koszyk z owocami, lub gąsior chłodzącego napoju.

Przyszedłszy na pole, młoda pani częstowała wszystkich z kolei, poczém dopytywała jak idzie

robota, co słychać u każdego w domu, czy jéj obecność gdzie niepotrzebna?

Wieśniacy dziękowali za poczęstunek, a gdy który miał co na sercu, to zaraz o radę z prośbą do niéj się udawał; następnie obsypywali ją pytaniami:

— Panieneczko, co tam nasz pan porabia? czy mu lepiéj? kiedy wstanie?

To były słowa, które Zosia niemal codziennie tam słyszała, ale niestety, nic pocieszającego odpowiedzieć nie mogła, bo panu Konarskiemu lepiéj nie było; przyszła gorączka, i lekarz, który zrazu był spokojny, teraz lękał się jaki obrót choroba weźmie.

— Gdyby był młodszy, byłbym spokojniejszy—powtarzał ustawicznie.

Zosia często łzy potajemnie ocierała, lecz wobec matki okazywała się spokojną. Cała wieś była rozżaloną na Krysztofa; nie ulegało wątpliwości, iż to on był sprawcą niegodnego czynu, gdyż przepadł bez wieści po owéj fatalnéj nocy. Własna żona jego nieśmiała go już teraz bronić; ucieczka go zdradzała. Każdemu przytém było wiadomém, że Krysztof oddawna odgrażał się dziedzicowi. Pan Konarski posiadał w folwarku poblizkim Tworek, młyn wodny, który postanowił puścić w dzierżawę. Znalazło się jednocześnie dwóch konkurentów, którzy wspólnie poczęli czynić zabiegi o wydzierżawienie owego młyna. Obaj byli dobrze znani we wsi,

lecz jeden jako człowiek uczciwy i pracowity, drugi przeciwnie, jako chytry samolub. Piérwszy zwał się Walenty, był ojcem licznéj rodziny; drugi nosił imię Krysztofa. Mając do wyboru między takimi ludźmi, pan Konarski przełożył naturalnie piérwszego, a przez wzgląd na jego liczną rodzinę, wypuścił mu młyn w dzierżawę pod bardzo korzystnemi warunkami. Krysztof zapałał zazdrością i zemścić się postanowił, a wziąwszy strzelbę, zakradł się nocą do ogrodu i przez okno wypalił do pana Konarskiego, który siedział wtedy w jadalni, zajęty czytaniem dzienników.

Nie było jednego mieszkańca w Tworkach, któryby nie posądzał Krysztofa o popełnienie zbrodni; wszyscy wrzeli gniewem nietylko na niego, lecz na całą jego rodzinę, i byliby z pewnością niejednę przykrość wyrządzili żonie, gdyby nie przykład ze dworu. Widząc panienki odwiedzające codzień chorą, ludzie nie śmieli im dokuczać, a Krysztofowa już nie wyrzekała teraz ani na Walentego, ani na dziedzica, spokorniała jakoś bardzo i gorąco modliła się, żeby Bóg zdrowie panu przywrócił.

Tak minęło parę tygodni. Sierpień zbliżał się do końca, gdy dnia jednego zajechała niespodzianie pani Liwska. Powróciwszy ze Szczawnicy, zastała list Anielki, uwiadamiający ją o chorobie brata. Przerażona, korzystając z ostatnich dni wakacyi, pospieszyła do Tworek, zabrawszy

ze sobą wszystkie dzieci. Anielka nie mogła się nacieszyć rodzeństwem i matką, chociaż biédaczka miała trochę przykrości z powodu tego przyjazdu. Pani Liwska ustawicznie płakała, trzeba ją było ciągle pocieszać, odwagi dodawać. Anielka lękała się o matkę, aby płacz jéj nie zaszkodził, i o wuja, którego widocznie te łzy drażniły. Z rodzeństwem także miała rozmaite zmartwienia: brat jéj Karol przyjechał bez promocyi; wprawdzie matka tłómaczyła go, że nie ma zdolności, lecz Anielka sądziła, że przy szczérych chęciach mógłby takową otrzymać.

— Karolu—mówiła często do niego—my majątku nie mamy, pracować powinniśmy, szczególniéj my starsi oboje. Czas byłoby już o tém pomyśleć, aby nie być drugim ciężarem; miałam przyjąć już w tym roku obowiązki nauczycielki, korzystne miejsce nawet mi ofiarowywano, czterysta guldenów rocznego wynagrodzenia: to sumka, która skusić może. Układałam sobie, że za sto ubiérać się będę, dwieście mamie oddawać, aby Wandkę zaczęła posyłać na pensyą; sto chciałam odkładać na przyszłość, ale okoliczności nie dozwoliły. Nieszczęście jakie spotkało wuja, zmieniło plany: muszę jeszcze czekać dopóki do zdrowia nie przyjdzie. Ty więc przynajmniéj pracuj i rąk nie opuszczaj, pokaż wujowi, żeś wart łask, jakie nam świadczy.

— Dobrze! dobrze, siostruniu — odpowiadał Karol—wierzaj mi, jam nie winien zupełnie: to ta łacina nieznośna, do któréj nie mam głowy, popsuła wszystko.

— To pracuj nad nią; tutaj u wuja książek nie brak, masz czas wolny—radziła Anielka—może zdałbyś powtórnie egzamin: pocóż czas marnować?

— Jutro wezmę się do niéj—odpowiadał znowu Karol—z pewnością jutro.

Ale to jutro nie nadchodziło jakoś; mijał dzień za dniem, chłopiec polował, harcował na koniach, zabiegał w pole, aby popatrzéć na żniwa, a gdy wieczorem rzucał się zmęczony na wyplatany fotel wuja, mówił zawsze do matki:

— Codzień przekonywam się lepiéj, że mam wyraźne powołanie do zawodu rolnika.

— Karolu—odezwała się raz na to Anielka—mnie się zdaje, że to nie powołanie do zawodu rolnika w tobie się objawia, ale nieszczęsna żyłka próżniacza. Chciałoby ci się polować, jeździć konno, a o pracy nie myśleć!

Raz tylko wszakże uczyniła tę surową uwagę bratu, gdyż matka spojrzała na nią z taką wymówką, że nie chcąc jéj przykrości robić, więcéj go już nie strofowała.

Wandzia martwiła ją również.

— Lękam się, czy mama nie pieści jéj nadto, czy w złoconych salonach stryjów, w których przebywa niemal codziennie, nie przywyka do zbytków—rzekła raz do Zosi—wszystko nie podoba się jéj tutaj: co to będzie potém?

— Moja ty poważna osobo — rzekła Zosia, uścisnąwszy siostrę serdecznie — nie przewidujże naprzód złego; toż to dziecko jeszcze: gdy dorośnie, rozumu nabierze.

Anielkę te słowa nie zaspakajały przecież.

— Boże mój! — mówiła sama do siebie — gdybym to ja mogła pracą własną zapewnić sobie kącik, chociażby najskromniejszy, wziąść matkę, Wandzię i braci do siebie, zmieniłabym może jeszcze moję dzieweczkę i na Karola-bym wpłynęła.

Lecz szlachetne te marzenia jak nateraz, zbyt były trudne do urzeczywistnienia, przynajmniéj tak się jéj zdawało.

— Z czasem może dojdę do tego, muszę dojść — powtarzała niemal codziennie — ale to jeszcze nie tak prędko.

Jeden tylko Wicuś nie dawał Anielce powodu do zmartwienia: przywiózł dobrą cenzurę, czytywał codzień z siostrą, dla matki był czuły i serdeczny; Karol zaś i Wandzia często zapominali się względem niéj.

Minął wreszcie sierpień, w szkołach nauki się rozpoczęły, pani Liwska uścisnąwszy wszystkich serdecznie, odjechała do Krakowa. Zajęcia w polu i ogrodzie ukończyły się powoli, około domowego gospodarstwa mniéj było téż do czynienia; Zosia spędzała przeto większą część dnia razem z matką i Anielką przy łóżku ojca, który czuł się już teraz o wiele lepiéj i z przyjemnością gawędził z niemi. Nareszcie i zima nadeszła, mroźny wiatr ogołocił drzewa i trawniki ogrodu Tworek, śnieg prószyć począł, posępne mgły rozpostarły się na widnokręgu: szaro, smutno było w Tworkach, głucho i pusto.

Jednego wieczora, kazawszy w gabinecie pana Konarskiego rozniecić ogień na kominku, Zosia i Anielka siadły przy nim, piérwsza z robotą, druga z książką w ręku, obok nich Marynka z kołowrotkiem zajęła miejsce. Pani Konarska, która czuła się tego dnia nieco słabą, udała się wcześniéj na spoczynek. Na dworze cisza głęboka panowała, niebo iskrzyło się od gwiazd, ziemia zasłana była grubo śniegiem. Rozłożony w miękkim fotelu, pan Konarski słuchał z zajęciem czytania; już prawie całkiem czuł się zdrów, pozostało mu tylko lekkie osłabienie. Naraz poza oknem na ogród wychodzącém dał się słyszeć szelest, jakby kroków ludzkich; nie wiedziéć czemu, dreszcz trwogi przeszedł dziewczęta: Anielka przerwała czytanie, wszystkie trzy spojrzały ku oknu, jakiś cień przesunął się poza niém, poczém znikł i szelest kroków ucichł także. Dziewczęta spoglądały na siebie niespokojnie.

— Cóż wam się stało? patrzycie na siebie jakbyście coś strasznego zobaczyły — rzekł pan Konarski i rozśmiał się głośno — czytajże daléj, niedługo dziesiąta wybije, to wam powiem dobranoc.

Anielka pochyliła się do książki, już chciała zacząć czytać, gdy wtém roztwarły się drzwi gabinetu i stanęła w nich pani Maryanna Walicka, blada, wylękła, czyniąc jakieś znaki tajemnicze dziewczętom.

Porwała się Zosia i wybiegła.

— Panienko—rzekła Walicka—w sieni stoi Krysztof, powiada, że musi się z panem widzieć.

Zosia zachwiała się na nogach.

— Czyż tu niéma Szymona, lub kogo z mężczyzn?—spytała.

— A nacóż wam Szymon potrzebny? — odezwał się pan Konarski, którego uwagi tajemnicze znaki i strwożona mina Walickiéj nie uszły; więc dźwignął się z szesląga i powlókł za Zosią, a za nim Anielka i Marychna.

Zosia spojrzała na ojca, ale prawdy powiedzieć nie miała odwagi; pan Konarski słyszał wszakże wszystko.

— Przywołaj go tutaj—rzekł do gospodyni.

— Ależ on gotów na pana się rzucić — odparła Walicka.

— Ojcze, pocóż mamy cię narażać!—prosiła Zosia.

— A więc sam pójdę, kiedy przywołać go nie chcecie.

To powiedziawszy, postąpił parę kroków: Zosia i Anielka zabiegły mu drogę, błagając, by tego nie czynił. Zapomniały jednakże, że drzwi od sieni nie były na klucz zamknięte; Krysztof

usłyszał głos pana, przypadł do klamki i wszedł nieproszony do pokoju. Kobiéty struchlały, tylko pan Konarski nie stracił przytomności; odsunął je i postąpił ku winowajcy.

— Czego chcesz odemnie?—zapytał.

— Oddać się w ręce pana—rzekł Krysztof, oczu nie podnosząc.—Godziłem na wasze życie, a wyście za to moją żonę leczyli w chorobie; wracam właśnie od niéj: powiedziała mi to wszystko. Jestem niegodziwiec, niech mię sąd ukaże: zasłużyłem na więzienie.

Pan Konarski wyciągnął do niego rękę.

— Żałujesz, a zatém rozgrzeszam cię—rzekł—wróciłeś do nas, nie odchodź więcéj; pracuj i bądź uczciwym, a ja cię od kary uwolnię.

Krysztof rzucił się do nóg mówiącemu, łzy szczerego żalu popłynęły mu z oczu.

— O, panie! czém ja się wywdzięczę za waszą dobroć?—rzekł głosem przerywanym od łkań.

— Wracając na drogę cnoty — odparł pan Konarski.

Wzruszone tą sceną Anielka i Zosia, od łez także powstrzymać się nie mogły. Walicka i Marynka ocierały oczy.

— Wróć teraz do domu—odezwał się znowu pan Konarski — a jutro przyjdź jeszcze tu do mnie.

Krysztof podniósł się z kolan i pokorny, cichy wyszedł z pokoju.

— O! jakiś ty dobry, jaki szlachetny, jaka ja szczęśliwa, że mam takiego ojca — zawołała Zosia, rzuciwszy się panu Konarskiemu na szyję.

On uśmiéchnął się łagodnie, przycisnął ją do serca.

— Spełniłem tylko swój obowiązek—rzekł—silniejsi słabszych dźwigać powinni; mam nadzieję, że łagodnością pociągnę go na prawą drogę.

I wistocie nie omylił się. Krysztof odtąd poszedł drogą uczciwą. Głód i zimno zmusiły go do opuszczenia lasów, w których się kilka miesięcy ukrywał, zajmując się kradzieżą; przyszedł nocą do swojéj chaty, aby się posilić i ogrzać, poczém chciał wracać znowu do kryjówki; lecz posłyszawszy od żony o postępowaniu dziedzica, nawrócił się i postanowił przeprosić go, zdać się całkiem na jego łaskę i zostać uczciwym człowiekiem, odpokutowawszy winę cierpliwie.

Widzenie się z panem Konarskim utwierdziło go w tém postanowieniu, zwolniony został od pokuty, lecz nie zhardział przez to; przeciwnie tém więcéj czuł się upokorzonym, tém uczciwiéj chciał żyć, aby tym sposobem winę swą zmazać.

Ludzie zrazu szemrali, że Krysztof spokojnie siedzi w chacie, ale gdy im Zosia przypomniała, iż Chrystus największym grzesznikom każe przebaczać, jeśli żal okażą, przestali, a nawet odtąd

więcéj jeszcze szanowali i kochali dobrych państwa.

Tymczasem pan Konarski przyszedł powoli całkiem do siebie; minęła zima, wiosna zawitała, Anielka postanowiła rozmówić się ze stryjem. Państwo Milescy, z któremi porozumiewała się listownie, czekali na nią jeszcze; szło tylko o pozwolenie pana Konarskiego: nie chciała już dłużéj zwlekać. Ale jakież było jéj zdziwienie i zmartwienie zarazem: pan Konarski stanowczo oparł się jéj zamiarowi.

— Kładę *veto* na projekta panny — rzekł z uśmiéchem.—Nie puszczę cię jeszcze, ptaszku, z mego gniazdka; wychowałem cię: musisz mi być posłuszną.

Widząc wszakże, że Anielka zasmuciła się jego odpowiedzią, usiadł koło niéj bliżéj i położywszy dłoń na jéj dłoni, badać począł po ojcowsku, dlaczego tak spieszy opuścić jego dom; a Anielka przyznała się wówczas poraz piérwszy wujowi do marzeń, które od lat dziecinnych pieściła w sercu.

Wzruszony jéj opowiadaniem pan Konarski, uścisnął ją najprzód czule, potém zamyślił się głęboko.

— Anielko — rzekł po chwili — jeśli masz takie zamiary, musisz myśleć o czém inném jak o tém, żeby się umieścić jako nauczycielka w prywatnym domu: to ci przyszłości nie zapewni.

— Więc cóż będę robić? wszak nic innego nie potrafię?—zawołało dziewczę niespokojnie.

— Obmyślimy coś powoli, trzeba mieć tylko trochę cierpliwości—odparł pan Konarski.—Twoja przyszłość obchodzi mię również żywo, jak moich własnych dzieci: wierzaj mi Anielko.— O moje jestem już spokojny: Maryni z Juliuszem wszędzie i zawsze dobrze będzie, Zosi w Tworkach pracy i chleba nie zbraknie, a piękny cel życia, jaki ma przed sobą, zastąpi jéj niezawodnie osobiste szczęście.. O tobie tylko muszę jeszcze pomyśleć, muszę dopomódz poczciwym twoim zamiarom.

To powiedziawszy powstał i oddalił się do swego pokoju. Anielka rada nie rada, musiała zastosować się do jego woli.

W tydzień może po téj rozmowie, pan Konarski powróciwszy późnym wieczorem z sąsiedztwa, kazał przywołać do siebie Zosię i Anielkę.

— Mam ważne dla was nowiny—rzekł z uśmiechem. — Siadajcie i słuchajcie uważnie. Jedziemy do Krakowa i to bezzwłocznie, we środę, we czwartek najdaléj.

— A to zkąd?—zapytały obie ze zdziwienia.

— Chcę koniecznie, aby Anielka zdała w Krakowie egzamin i otrzymała patent nauczycielki.

— Po co?—spytała Zosia—czy Milescy tego żądają?

— Spotkałem dziś u Juliusza—ciągnął daléj pan Konarski, nieodpowiadając na pytanie Zosi — dalekiego naszego sąsiada Zagrzebskiego. Jest-to człowiek już w wieku, lecz pełen jeszcze życia i ochoty do pracy. Otóż podniosłem dzisiaj projekt zakładania po wsiach nietylko elementarnych szkółek dla drobnéj dziatwy, lecz i wyższych zakładów naukowych. „Słyszałem wiele o twéj siostrzenicy, sąsiedzie—rzekł do mnie— i wiész co przyszło mi na myśl, aby poradzić jéj: niech założy taki właśnie pensyonat, dopomogę jéj w tém dziele... Poczciwe jéj zamiary względem matki tak mię ujęły za serce, iż ofiaruję jéj murowany domek na moim folwarku Lisice, aby je mogła prędzéj urzeczywistnić, niechaj tylko postara się o patent i o uczennice."

Anielka przypadła do ręki wuja, on przycisnął jéj głowę do piersi.

— Pojedziemy przeto do Krakowa—ciągnął daléj — będziesz przez rok cały pracować nad sobą, potém zdasz egzamin i wyrobisz sobie pozwolenie założenia pensyonatu, oraz zamówisz nauczycielki do pomocy, boć trudno byłoby saméj jednéj tak wielkiéj pracy podołać. Naszym zamiarem jest wszakże, abyś nietylko córki obywatelskie, lecz i oficyalistów przyjmowała także; idzie nam bowiem nietylko o to, żeby tobie przyszłość zapewnić, lecz, żeby zarazem światło tak potrzebne u nas, w niższych warstwach rozszerzać. Będziesz miała, dzieweczko, jak pragnę-

łaś, dla matki twéj dach, dla rodziny utrzymanie, a przytém będziesz użyteczną społeczeństwu.

Anielka w miejsce odpowiedzi okryła wuja ręce pocałunkami, w ciemnych jéj oczach zaświeciły łzy, rumieńce wystąpiły na blade zwykle policzki.

— Czy i ja, ojcze, będę zdawać egzamin na nauczycielkę?—zapytała Zosia.

— Względem ciebie mam inne zamiary—odparł pan Konarski. — Chcę abyś kształciła się także, lecz w celu zupełnie odmiennym. Idzie mi o to, żebyś potrafiła kiedyś, gdy zostaniesz jedyną panią Tworek, sama całym majątkiem zarządzać, żebyś mogła przytém iść z postępem czasu. Pojedziemy zatém do Krakowa, będziemy się tam razem uczyć, bo i mnie zbywa na niejednych wiadomościach, a powróciwszy do Tworek, będziemy razem powtarzać to, co nam książki powiedzą. Dozwalamy cudzoziemcom wzbogacać się na naszéj ziemi, patrzymy obojętnie, jak oni podnoszą się materyalnie naszym kosztem, jak nas wyprzedzają na każdém polu: to niegodnie. Weźmy się wszyscy gorliwie do nauki, do pracy; przekonajmy świat, iż nie jesteśmy niedołężniejsi od drugich. Nie na tém wszakże koniec, dzieweczko, postanowiłem coś jeszcze więcéj... Chcę, abyś zaczerpnąwszy praktycznych wiadomości w Krakowie, udzielała ich potém mieszkańcom Tworek. Niéma większego nieprzyjaciela światła

i moralności nad nędzę, a tém nauczymy naszych sąsiadów ubożuchnych, jak mają korzystać z każdego kawałka ziemi, jak mają szczepić drzewa, zakładać ogrody: jedném słowem będziemy polepszać ich byt materyalny.

— Ojcze!—zawołała Zosia—odgadłeś pragnienia serca mego...—i przypadłszy w objęcia pana Konarskiego, z wdzięcznością ucałowała jego ręce.

W kilka dni potém państwo Konarscy oboje, Zosia i Anielka pożegnani ze łzami w oczach przez mieszkańców Tworek, podążyli do Krakowa. Anielce podwójnie biło serce do téj podróży: miała zobaczyć matkę, miała zacząć urzeczywistniać marzenia, które jeszcze w latach dziecięcych wzbudziły się w jéj sercu.

Gdy po całodziennéj podróży ukazały się jéj oczom stare mury kamienic Krakowa, gdy pociąg zatrzymał się przy dworcu, a ona wyskoczywszy z wagonu, znalazła się w objęciach matki, łzy słodkiéj radości puściły się jéj z oczu.

Pani Liwska zajmowała w Krakowie wygodne, choć szczupłe mieszkanie w jednéj z kamienic znajdujących się na rynku; lubo wiele miejsca nie miała, zaprosiła wszakże państwa Konarskich do siebie.

— Szczupło wam będzie, lecz wygodniéj niż w hotelu, a ja skorzystam na tém, bo moję dzieweczkę będę miała przy sobie — rzekła do brata.

Długo tego wieczora Anielka z matką gawędziły, układając plany przyszłości.

— Gdy urządzę domek — mówiła, całując matki ręce—przyjedziesz wówczas do mnie, matusiu, razem z Wandką. Mateczka zajmie się gospodarstwem, ja wykładem nauk i dobrze nam będzie razem. Karol i Wicuś odwiedzać nas będą na każde święto, Wandzia uczyć się ze mną... Cóż, nie ucieszysz się mateńko?

— Dobre, poczciwe moje dziecko—odpowiedziała pani Liwska, pieszczotami okrywając córkę — więc nie przestałaś nas kochać, chociaż wychowałaś się zdala?

Tak zeszło im prawie do północy, gdy zegar wydzwonił dwunastą, pani Liwska podniosła się przestraszona.

— Ależ to późno bardzo, ja cię zatrzymuję, a tyś pewno zmęczona i będziesz nią teraz pewno często, biédaczko moja — dodała, ocierając łzę—będziesz się trudzić dla mnie.

Anielka uśmiéchnęła się łagodnie.

— Nic a nic nie czuję się znużoną — rzekła podnosząc się zwolna. — Jestem tak szczęśliwą, a szczęście sił podobno dodaje.

To mówiąc objęła matkę ramieniem i ucałowała ją tkliwie.

— Przerosłam cię, mateczko—rzekła—to téż jako większa, obejmę teraz z kolei opiekę nad tobą. Jak ty niegdyś nademną, tak ja teraz

czuwać będę nad tobą; tylko proszę cię, nie myśl nigdy, że ja trudzę się dla ciebie. Trudem nie można nazwać pracy tak sowicie wynagrodzonéj; czyż może być dla mnie słodsza nagroda, jak być z tobą razem, z tobą, za którą lat tyle tęskniłam!

IV.

Było-to w owéj porze, kiedy piérwsze noce jesienne zmienią zieloną barwę, w którą całe lato i wiosnę stroi się natura na złotawą, a miejscami purpurową, kiedy słońce dogrzewa, we dnie jeszcze ciepło, lecz wieczorem z pojawieniem się w górze chmur smużystych, już chłód dobrze dokucza.

Długim gościńcem ciągnącym się na milę, wśród pól ogołoconych ze zboża i łąk, na których pasło się bydło, toczył się mały powozik, ciągniony przez dwa rącze rumaki, które pędząc kłusem, raźno parskały. Tu masy kurzawy, wzbijając się z pod kół i kopyt końskich, tworzyły wokoło niego szare obłoki.

— Co za szkoda, że taka kurzawa—odezwał się z głębi powozu głos kobiécy—nic nie można widzieć przed sobą—i jednocześnie wysunęła się z niego śliczna główka młodéj osoby, o ciemnych włosach, gładko zupełnie zaczesanych.

— Cierpliwości, panienko, zaraz zjedziemy z gościńca w prawo na tę wązką drożynę; tam kurzu nie będzie—odparł głos drugi—ztamtąd zobaczymy Lisice jak na dłoni.

Jakoż rzeczywiście powóz skręcił niebawem na prawo i potoczył się wązką drożyną, wijącą się malowniczo wśród wierzb długim rzędem stojących, których cienie łamały się po parowie, co z obu stron drogę otaczał.

— Ach! jak tam pięknie — zawołała młoda kobiéta, wychylając się powtórnie z powozu.— Wuju, patrz co za widok prześliczny—i ciemne jéj oczy z zachwytem wpatrywały się wdal, gdzie na zieloném wzgórzu wznosiły się białe mury jakiegoś domostwa. U stóp wzgórza tu i owdzie rozrzucone chaty, ogródki i wijąca się wśród nich rzeczka, tworzyły razem prześliczny obrazek.

Na ten wykrzyknik radosny wychyliła się z powozu i druga postać, mężczyzna z włosem oprószonym siwizną, z czołem poważném. Był to pan Konarski, młodą zaś osobą siedzącą obok niego, Anielka.

Półtora roku minęło już od owego dnia, w którym zajechawszy do Krakowa, rzuciła się matce ze łzami w objęcia. Wyrobiwszy sobie patent i otrzymawszy pozwolenie założenia pensyonatu, jechała teraz do Lisic. Konie raźno parskały, powóz toczył się z hałasem po nierównéj drodze, pola i łąki przesuwały się naprze-

mian przed jéj oczami; ona nic prawie nie widziała, tylko to jedno wzgórze zielone z białym domkiem, w którym miała teraz mieszkać i pracować, ciągnęło jéj wzrok.

— Jak tam pięknie—szeptały ciągle jéj usta, a w myśli wyobrażała sobie jak urządzi wewnątrz ów domek, skromnie, czyściutko, zupełnie jak w Tworkach było; jak matce najwygodniejszy kącik odstąpi, jak w ogródzie drzewek nasadzi a z wiosną i kwiatów nasieje: jak cały dzień czynnie będzie zajętą.

Już miała zamówioną rodowitą francuzkę, oraz polkę, kobiétę wysoce wykształconą, a pan Zagrzebski napisał jéj, że może liczyć na pewno na pięć uczennic. Jechała z dobrą przeto otuchą i nadzieją w sercu, żwawe koniki zwalniać tymczasem w biegu zaczęły, dojechano bowiem do wzgórza i trzeba było im piąć się na nie.

Po kilku minutach powolnéj jazdy, wdarły się wreszcie na wierzchołek, tam woźnica zatrzymał je i Anielka wyskoczywszy z powozu, ujrzała się przed małym, biało bielonym domkiem, którego ganek stroiły festony dzikiego wina, mieniące się różnemi barwami, gdyż jedne z liści były żółte, inne purpurowe, inne jeszcze zielone, gdzieniegdzie zaś czerniały winne jagody.

— Witam panią w jéj własnym domu— odezwał się miły, lecz silny głos męzki z progu drzwi prowadzących z ganku do wnętrza domu.

Anielka podniosła wzrok, pod festonami dzikiego wina stał mężczyzna wyniosłéj, prawdziwie pańskiéj postawy. Czoło jego wysokie w górę było podniesione, biała broda spływała na piersi, białe włosy starannie miał uczesane. Ubiór jego równie był pański jak cała postać, mimo wieku trzymał się prosto. Złożywszy przybyłym ukłon pełen uszanowania, zbliżył się następnie do Anielki, podał jéj rękę, poczém zwrócił się do pana Konarskiego:

— Pozwolisz panie Ludwiku—rzekł—iż dziś twoją siostrzenicą zajmę się wyłącznie, a ciebie na drugim planie zostawię: muszę pokazać jéj dom, ogród i całe gospodarstwo.

Pan Konarski w miejsce odpowiedzi uścisnął dłoń Zagrzebskiego, a ten obrócił się znowu do Anielki i podając jéj ramię, rzekł:

— Chodźmy zatem, mam nadzieję, iż pani będzie zadowoloną z wszystkiego.

Anielka szczęśliwa, zarumieniona, podała mu rękę, a on z usłużonością człowieka prawdziwie salonowego, wprowadził ją po schodkach wiodących pod ganek, ztamtąd do piérwszego pokoju.

— Tutaj będzie jadalnia—rzekł—uczennice pani będą w niéj mogły w zimowéj porze używać do woli swobody, bo izba duża i widna. Można im będzie na szarą godzinę rozniecić trochę ognia na kominie, aby im było weseléj.

Anielka obejrzała się wokoło, zdawało się jéj, iż jest w Tworkach. Ściany izby były bielone, na środku stał duży stół dębowy, wokoło niego krzesła proste zupełnie, w dwóch rogach pokoju dwa olbrzymie drzewa oleandrowe.

— Jakże one muszą pięknie kwitnąć w lecie?—rzekła zbliżając się do nich.

— To téż dlatego kazałem je przywieźć tutaj, aby pani uprzyjemniały pracowite dnie—odparł pan Zagrzebski.

Anielka uśmiéchnęła się wdzięcznie.

Z izby jadalnéj prowadziło czworo drzwi w różne strony domu: jedne do niewielkiéj kuchenki, drugie do dwóch dużych pokojów, które pan Zagrzebski na szkołę przeznaczył, trzecie do mniejszych już o wiele, gdzie miały być sypialnie. Czwarte drzwi zamknięte ominął, dopiéro, gdy już cały domek zwiedzili, poprowadził młodą gosposię do nich.

— Tu będzie pani gniazdeczko—rzekł—klasy i sypialnie urządzisz jak będziesz chciała, lecz tym pokoikiem pozwoliłem sobie sam się zająć.

To mówiąc otworzył drzwi. Anielka aż krzyknęła z radości; ślicznym bo téż był pokoik do którego weszła: obicie miał różowe, w oknach białe firanki i mnóstwo roślin kwitnących. Pod jedną ze ścian stała kanapka wygodna, przed nią stoliczek do roboty, a na nim kilka książek; daléj maleńkie biurko, istne cacko wyrobu stolarskiego, z wszelkiemi przyborami do pisania,

przed nim fotelik miękki, wygodny, a z okna, pod którém owe biurko stało, jakże piękny, rozkoszny widok. Rozległa zielona równina, niby kobierzec olbrzymi rozciągała się daleko, niżéj pod nią bieliły się chaty, z których gwar wesoły dochodził aż do okna, zachodzące słońce złotem oblewało ten wdzięczny obrazek.

— Jakże mam panu podziękować za to wszystko?—rzekła Anielka zwracając się do pana Zagrzebskiego—pan tyle dla mnie uczyniłeś.

— Spełnij pani tylko swoje zadanie sumiennie—odparł pan Zagrzebski—a najlepiéj mi podziękujesz. Nie wątpię wszakże, iż tak będzie—dodał biorąc jéj rękę.

Anielka uścisnęła mu dłoń na znak obietnicy.

— Mam prośbę do pani—począł znowu pan Zagrzebski — wystarałem się dla niéj o pięć uczennic, jak na początek to nie źle wcale; otóż sądzę, iż mogłabyś przyjąć do swego pensyonatu jeszcze dwie, lecz któreby bezpłatnie nauki pobierały: są to córki moich oficyalistów, ubogie zupełnie, ale starannie wychowane dziewczątka.

— I pan mnie prosisz o to? pan, który tyle dla mnie uczyniłeś—odparła Anielka.

Pan Zagrzebski uścisnął jéj rękę.

— Przyślę je zatém—rzekł.—Już tylko jeden pokoik mamy do zwiedzenia—dodał następnie—w myśli przeznaczyłem go dla mamy pani. To mówiąc skierował się do przyległego pokoju.

Była to maleńka izdebka, z oknem na podwórze, lecz widna i ustawna.

— Jest więc kącik dla każdego — odezwał się milczący dotychczas pan Konarski.—Szczęśliwém dzieckiem jesteś, Anielko: rzadko komu spełniają się tak życzenia jak tobie.

Powróciwszy do jadalni, pan Zagrzebski udał się następnie do ogródka. Było tam kilkanaście drzew owocowych, kilkanaście krzewów porzeczek i malin; reszta ogrodu pociętą była na zagony, które przy starannéj pracy mogły przynieść spory dochód.

— Z wiosną przyślę ci tutaj Zosię — rzekł pan Konarski — ona ci ogród urządzi; obecnie pracuje u siebie, nie ma zatém czasu. Wierzaj mi sąsiedzie—dodał zwracając się do pana Zagrzebskiego—iż codzień więcéj wdzięczny sobie jestem za tę myśl szczęśliwą, która mi doradziła kształcić córkę na téj drodze. Kobiéta z niéj doprawdy dzielna, z całym zapałem wzięła się do ulepszeń w ogrodzie i domowém gospodarstwie, a wieśniaczki, które ją swoim aniołem nazywają i wierzą jéj jak świętéj, naśladują ją powoli.

Późnym wieczorem pożegnawszy Anielkę i poleciwszy ją opiece staréj Wardelskiéj, dawnéj gospodyni pana Zagrzebskiego, która tutaj na łaskawym chlebie mieszkała, panowie opuścili folwark dążąc każdy w swoję stronę. Wardelska zajęła się serdecznie panienką: przyrządziła

jéj najprzód wieczerzę, następnie przygotowała wszystko, co było potrzebném do spoczynku, a gdy dziewiąta wybiła, rzekła do Anielki:

— Teraz pójdę się położyć, stare kości potrzebują spoczynku; jutro sprowadzę panience dziewczynę do posługi, aby mi w robocie pomogła, to żwawiéj wszystko pójdzie.

Po jéj odejściu Anielka stanęła w oknie zadumana. Już cienie nocy otaczały wioskę, uroczysta cisza panowała w powietrzu, od chat dochodziły tylko naszczekiwania psów, na niebo wysuwał się powoli księżyc, rzucając srebrne światło prosto w okna bielonego domku: prześliczny był to widok. Anielka byłaby chętnie całą noc przesiedziała w oknie, wiedziała jednakże, iż nie może pozwolić sobie téj przyjemności; czekało ją wiele zajęć nazajutrz, potrzebowała nowych sił nabrać do pracy. Rzuciwszy przeto raz jeszcze tęskny wzrok na wioskę, udała się na spoczynek, lecz gdy piérwsze promienie rannego słonka oświeciły Lisice, zerwała się natychmiast z łóżka. Zaledwie zdążyła załatwić się z ubraniem, gdy pod wzgórzem ukazały się wozy wyładowane najrozmaitszemi rzeczami. Cały dzień miała co do czynienia: państwo Konarscy zaopatrzyli tak hojnie jéj spiżarnię w rozmaite przysmaczki, kredens i kuchnię w sprzęty gospodarskie, iż ustawianie saméj kuchni i spiżarni zabrało jéj połowę dnia. W pokojach dosyć

było też do czynienia, bo młoda gosposia każdemu chciała znaleźć stosowny kącik i wygodę zapewnić.

Wandka musi się mieścić razem z innemi uczennicami — mówiła sama do siebie — już ja z niemi sypiać będę, żeby pieszczoszce krzywdą ten rozdział z mamą się nie wydał. Co do mamy, oddam jéj mój własny pokoik, wstawię tylko łóżko na miejscu kanapki, innych rzeczy nie ruszę wcale. Jéj potrzeba wygody, światła, powietrza, wesołego widoku, mnie praca i młodość to wszystko zastąpi.

Tak rozmawiając sama ze sobą, krzątała się po pokojach, ustawiała meble, zmieniała ich porządek; zaledwie miała czas zjeść obiad, który jéj Wardelska przyrządziła, tyle miała zajęcia.

Kiedy jednakże około godziny siódméj zajechał pan Konarski, żeby dowiedzieć się jak sam powiedział wysiadając z bryczki: „Co pani na Lisicach porabia?" już we dworku wszystko było ustawioném na właściwém miejscu.

Okrzykiem radości powitawszy gościa, Anielka pociągnęła go następnie do wnętrza domku, aby się pochwalić całodzienną pracą. Uścisnął ją pan Konarski serdecznie, za oddanie własnego pokoiku matce, pochwalił urządzenie szkoły, poczém przymówił się o posiłek.

— Przez ciebie ominął mnie w domu podwieczorek—rzekł wesoło—musisz mi zatém krzywdę wynagrodzić.

Anielka nie zakłopotała się bynajmniéj tą przymówką, dzięki pani Konarskiéj, spiżarnia jéj pustą nie była; poprowadziwszy gościa do jadalni, roznieciła ogień na kominku, poczém rozłożywszy na stole biały obrus, przyniosła co tylko miała najprzedniejszego w domu: miód, orzechy, jabłka i chleb razowy.

Pan Konarski uścisnął gościnną gosposię i zaprosił ją przed rozstaniem do Tworek na niedzielę.

— Zosia przyjedzie po ciebie—rzekł, kiedy już wsiadał do bryczki — pojedziecie razem do kościoła, a ztamtąd do nas.

— Zatém do widzenia—odparła wesoło Anielka — zlecą mi te dwa dni szybko, nie wątpię o tém, bo mam jeszcze dużo do czynienia.

Stosownie do obietnicy, w niedzielę rano przed bielony domek folwarczny zajechała Zosia. Nie znała ona jeszcze Lisic, zachwyciła się niemi; dzień był jasny i ciepły, słońce pięknie świeciło, więc obiegłszy domek, obie przyjaciółki udały się następnie na ganek. Na nabożeństwo czas był jeszcze wielki, gdyż proboszcz pana Zagrzebskiego dopiéro około jedenastéj odprawiał wotywę, siadły przeto gawędzić o planach przyszłości, o wielkiéj pracy jaka je czekała, o pięknym celu, jaki każda miała do spełnienia w życiu.

— Czy pamiętasz, Anielko—mówiła Zosia—ten dzień, kiedy idąc do chaty Magdaleny, po-

wiedziałam ci, iż żałuję, że mężczyzną nie jestem... Dziś śmieję się z dawnych moich przekonań, tylko lat czternaście, jakie wówczas miałam, usprawiedliwić mogą podobnie niedorzeczne wyrzekanie. Dziś czuję się zupełnie zadowoloną; coraz szersze pole pracy widzę przed sobą, coraz więcéj przekonywam się, że choć zamknięta w maleńkim światku Tworek, będę przecież mogła sobie kiedyś powiedzieć: „Nie darmo żyłam.” Wiesz co zamyślam jeszcze uczynić? oto wyrobić sobie pozwolenie założenia w Tworkach szkółki elementarnéj. Gdy Marynka podrośnie, oddam jéj nadzór nad nią, będziemy uczyć drobną dziatwę, a która z dziewcząt okaże wyższe zdolności, tobie ją następnie odeślę i ty nią daléj pokierujesz.

Tak gawędziły, roiły i marzyły, a godziny tymczasem leciały; wybiła dziesiąta i trzeba było podnieść się, by nie spóźnić na nabożeństwo.

Kazawszy furmanowi jechać naprzód, dziewczęta postanowiły iść pieszo. Droga prowadziła brzegiem ruczaju, wśród wierzb garbatych i pochyłych, chciały ukończyć rozmowę zaczętą i użyć przechadzki. Nigdy jeszcze Anielka nie czuła się tak szczęśliwą, nigdy jeszcze nie modliła się tak serdecznie w kościele. Dziękowała Bogu gorąco za ziszczone marzenia... teraz już nie wątpiła, że wpłynie na siostrę i że brata przerobi. Trudniejsze do urzeczywistnienia nadzieje spełniły się, dlaczegóżby te spełnić się

nie miały? Za tydzień spodziéwała się przyjazdu matki z Wandzią, Karol miał je odwieźć do Lisic, Anielka układała sobie przeto jak przemówi do serca siostry i brata, jak oboje zachęceni jéj przykładem, wezmą się do pracy i oszczędności.

Wesoło i szybko zbiegła jéj niedziela w Tworkach, wesoło i szybko mijały jéj następne dnie w Lisicach. Wreszcie zawitała sobota tak upragniona, owa sobota, w któréj pod własnym dachem miała powitać matkę. Już o czwartéj zerwała się z pościeli, wybiegła na ganek i wpatrzyła się w krętą ścieżynę pod wzgórze prowadzącą. Za najmniejszym turkotem rumieńce wybiegały na jéj lica, a serce biło niespokojnie; dłużył się jéj dzień niesłychanie, co chwila wracała na ganek i patrzyła w dal, chociaż wiedziała, że przed piątą z wieczora nie mogą stanąć w Lisicach.

Powoli słońce poczęło pochylać się ku zachodowi, w pokojach robiło się coraz ciemniéj, więc Anielka kazała rozniecić w jadalni ogień na kominku i lampę zapalić, poczém nakryła ze służącą do stołu.

Właśnie kończyły to zajęcie, gdy rozległ się przed domem trzask z bicza; rzuciwszy serwetę, którą składała, Anielka pobiegła na ganek. Tym razem nie napróżno serce jéj zabiło, wyczekiwani nadjechali; odsunąwszy śpieszącą służącę, sama podskoczyła drzwiczki karety otworzyć, podniosła wysiadającą Wandzię w górę i okryła

ją pocałunkami, poczém rzuciła się matce na szyję.

— A Wicuś co porabia?—pytała, zwróciwszy się z kolei do starszego brata.

— Zdrów, kazał cię uściskać—odparła pani Liwska.—Pan Piwarski, u którego jest na stancyi, zawsze z niego zadowolony: chłopiec dobrze się uczy.

— Dzięki Bogu—szepnęła Anielka, zdejmując z matki ramion futro, weszli bowiem właśnie do sieni.

Trudno opisywać całéj sceny powitania, zapytania sypały się gradem tak z jednéj jak z drugiéj strony, pocałunki co chwila się powtarzały. Po tak długiéj rozłące miały być znowu razem, wierzyć się im nie chciało. Pani Liwska obchodziła cały domek wokoło, lecz nic prawie nie widziała, oczy jéj wlepione były ciągle w Anielkę. Zato Wandzia i Karol jak najdokładniéj wszystko obejrzeli.

Wandzię bawiła nowość, więc cochwila klaskała w ręce z radości. Matki pokoik podobał się jéj bardzo, cieszyła się ogródkiem; przystała chętnie na to, iż razem z innemi uczennicami sypiać będzie, dziwiło ją tylko, iż salonu nie widziała dotychczas.

— A gdzież gości będziemy przyjmować?— zapytała.

Wchodzili właśnie do jadalni i Anielka pochyliła się z pocałunkiem do siostry.

— Tutaj, dzieweczko moja — rzekła z łagodnym uśmiechem—tutaj jest nasz salon; w Lisicach zbytków niéma, to nie mieszkanie stryja Wincentego.

Wandzia skrzywiła usteczka.

— Śliczny mi salon—odparła.

Anielka nic nie rzekła, udała że nie słyszy odpowiedzi siostry, tylko po jéj pogodnéj twarzy przebiegł cień smutku, piérwszy może od czasu, jak w Lisicach mieszkała.

Smutek był to wszakże przelotny. Wniesiono obiad; Anielka pamiętała jakie potrawy lubi Wandzia: gdy waza ukazała się na stole, mała kapryśnica rozjaśniła chmurne czoło.

— Poczciwa siostrunia pamiętała o mnie— rzekła z uśmiechem.

Słowa te wynagrodziły odrazu Anielce przykrość, któréj przed chwilą doznała, uścisnęła dziewczynkę, poczém zaprosiła wszystkich wesoło do stołu.

Już obiad się skończył, posprzątano półmiski, nikt wszakże ani myślał odchodzić, mieli sobie tyle do powiedzenia.

Anielka opowiadała siostrze, jak cały ranek w szkole będzie zajętą, jak potém wolno jéj będzie biegać w ogródku, kopać, grabić i siać na wyznaczonym dla niéj kawałku ziemi

Wandzia na wszystko się zgadzała, to jedno nie podobało się jéj, iż córka ekonoma pana

Zagrzebskiego, ma z nią razem się uczyć i mieszkać.

— Przyznam się, iż dziwne ma ten pan wymagania — odezwał się Karol, mięszając się do rozmowy—na twojém miejscu, Anielko, odmówiłbym mu stanowczo: niéma w tém sensu najmniejszego.

— Dziecko! dziecko!—poczęła uspokajać go pani Liwska — stawże się w jéj położeniu; pan Zagrzebski tyle dla niéj uczynił, czyż ona może mu odmawiać?

— W żadnym razie i nikomu nie odmówiłabym podobnéj prośbie—odparła żywo Anielka.— Dziewczynka jest przyzwoita i zdolna, grzechem byłoby nie chciéć jéj przyjąć.

— Szczególne zasady wpojono w ciebie w Tworkach, widzę, iż nigdy zrozumiéć się nie będziemy mogli—rzekł gniewnie Karol.

Poraz wtóry pogodna twarz Anielki zasępiła się dzisiaj.

— Nie wątpię, iż z czasem zrozumiecie mię— odparła jednak łagodnie.

Karol za całą odpowiedź roześmiał się głośno.

Gdy wieczorem udali się wszyscy na spoczynek, Anielka zapewniwszy się, że siostrze i bratu niczego nie braknie, wsunęła się następnie do pokoju matki. Pani Liwska nie spała jeszcze, ujrzawszy ją wchodzącą, wyciągnęła do niéj rękę.

— Mam do ciebie wielką prośbę — rzekła, całując ją w czoło.

— Dlaczego przemawiasz do mnie, mateczko, w ten sposób — odparła Anielka, na pieszczotę pieszczotą odpowiedziawszy—możesz tylko żądać czegoś odemnie, lecz nigdy prosić; powiédz więc czego chcesz.

— Żebyś była pobłażliwą dla twego rodzeństwa — rzekła cicho pani Liwska. — Pamiętaj zawsze na to, dziecko moje, że oni w innych od ciebie wychowali się warunkach: ty nauczyłaś się w Tworkach oszczędności i pracy, oni przeciwnie, tylko do zbytków nawyknąć mogli u pana Wincentego. Co tobie zwyczajném się wydaje, ich przeraża, co ty uważasz za obowiązek, oni za krzywdę poczytują sobie.

Anielka westchnęła cicho.

— Bądź spokojną, mamo—rzekła—będę pamiętać o tém, co mi w téj chwili powiedziałaś, uznaję słuszność twéj uwagi.

Poczém podniósłszy się z kolan zapytała:

— Co Karol zamyśla daléj czynić z sobą?

— Karol—odparła zwolna pani Liwska, jak gdyby ociągając się z odpowiedzią—jak wiész, promocyi znowu nie dostał. Stryj Wincenty wystarał się dla niego o miejsce u jednego z bankierów. Chłopiec posiada języki, ładnie przytém pisze, może na téj drodze przyszłość sobie zapewni. Ma obiecane, że jeżeli zyska sobie zado-

wolenie bankiera, to na przyszły rok otrzyma już 300 guldenów wynagrodzenia rocznego.

— Będzie miał zatém na swoje potrzeby— odparła Anielka. — Marzyłam wprawdzie dlań coś innego, roiłam, iż ukończy uniwersytet, następnie... Lecz cóż o tém mówić co się nie ziści— dodała ze smutkiem, nie kończąc przerwanéj myśli.—Niechaj weźmie się tylko do pracy szczerze i poważnie, a może być z niego jeszcze człowiek zacny; trzeba wszakże wpłynąć koniecznie na jego sposób myślenia.

— Tylko ostrożnie—wtrąciła pani Liwska.

Anielka uśmiéchnęła się łagodnie i pochyliła do matki z pocałunkiem.

— Będę wyrozumiałą dla tych dwojga pieszczochów, przyrzekam ci to, mateczko—rzekła.

Nazajutrz przed wieczorem Karol opuścił Lisice. Anielka nie czyniła mu już żadnych uwag, tylko kiedy siadał na bryczkę, szepnęła:

— Karolu, pisuj często do nas, odwiedzaj gdy czas ci pozwoli i pamiętaj zawsze o tém, że masz matkę oraz młodsze rodzeństwo, o których przyszłości wspólnie zemną powinieneś myśléć.

— Niechaj tylko dostanę u bankiera ową obiecaną pensyę, zobaczysz, że pomagać wam będę—rzekł Karol, podając siostrze rękę na pożegnanie.

Nazajutrz, to jest w poniedziałek rozpoczęło się czynne życie dla Anielki; codzień jedna

z uczennic przybywała, bielony domek zaludniał się powoli.

W końcu tygodnia już nikogo nie brakło, obie nauczycielki i ośm uczennic stawiło się podług zawartych układów: nauki rozpoczęto.

Pani Liwska, chcąc ulżyć córce w pracy, wzięła na siebie dział domowego gospodarstwa, a było się czém zająć, bo pan Zagrzebski podarował dwie krówki, trochę drobiu i nawet jednego konika; miała przeto o czém myśléć i zaczém się krzątać, nie wyrzekała wszakże.

— Zdaje mi się, że przy pracy zdrowszą się czuję—mówiła często do Anielki—a przytém tak mi dobrze pod twoim dachem.

— Pod naszym — poprawiała ją ze słodkim uśmiechem Anielka — wszakże wspólnie pracujemy.

Gdy wieczorem po skończonych zajęciach siadały we dwie przy świetle lampy, jedna z robotą, druga z książką w ręku, gdy jeszcze czasami ułatwiwszy się wcześniéj od nauk, Wandzia przybiegła do nich, wtedy pani Liwska czuła się tak szczęśliwą, iż łzy słodkiego wzruszenia napełniały jéj oczy i kładąc robotę na stole, przyciskała obie córki do serca.

— Dzieci moje — mówiła drżącym głosem— czémże ja zasłużyłam sobie na tyle łaski u Boga!

Takie chwile wynagradzały Anielce wszystkie trudy, zmartwienia i kłopoty codziennego życia, których niestety, niebraknie nigdy nikomu.

O tych zmartwieniach i kłopotach jakie miała do znoszenia, nikt wszakże nie wiedział w Tworkach, nawet Zosia, ta serdeczna jéj przyjaciółka. Nikt nie domyślał się, że często wieczorem, cicho płacze w swoim pokoju i że przyczyną tych łez jest jéj mała siostra. Wandzia była niezłą dziewczynką; ale tak rozpieszczoną przez matkę, tak zepsutą zbytkami przez stryjów, iż nie mogła przyzwyczaić się do skromnego życia jakie w Lisicach prowadzono i nieraz siostrze mimowolną przykrość wyrządziła. To narzekała na nudy, to na złe jedzenie, lub żądała nowych sukienek.

Anielka znosiła cierpliwie jéj kaprysy, przed nikim nie skarżyła się, tylko łagodnie przestrzegała siostrę. Przypominała sobie codzień obietnicę uczynioną matce i starała się być wyrozumiałą; chociaż wieczorem zapłakała na siostrę, wstawszy rano, całowała ją znowu czule na dzień dobry.

Zacne jéj serce nie umiało do nikogo chować żalu, a témbardziéj do Wandzi, którą kochała tak bardzo. Wandzia nie umiała wszakże oceniać téj dobréj i wyrozumiałéj siostry, narzekała na nią w listach, narzekała przed koleżankami. Oceniali ją za to inni: Zosia i oboje państwo Konarscy kochali ją teraz więcéj jeszcze niż dawniéj. Co niedzielę śpieszył z Tworek do Lisic powóz po panią Liwską, Anielkę i Wandzię, a gdy zbliżyły się święta Bożego narodzenia, wtedy pan Konarski zabrał siostrę na cały tydzień do siebie i Wicusia nawet z Krakowa sprowadził; Karol, lubo był zaproszony, nie przyjechał, obowiązkami się wymawiając.

— Bierze się zatém do pracy twój Karol— rzekła Zosia do Anielki — próżne były twoje obawy...

Lecz Anielka westchnęła.

— Daj Boże, aby tak było jak mówisz— szepnęła — daj Boże, aby tak on, jak Wandzia zmienili się na dobre.

Nie powiedziała wszakże, iż zaczyna teraz tracić tę nadzieję, że Karol coraz rzadziéj do niéj pisuje, a Wandzia coraz częściéj kaprysi, nie poskarżyła się na nich ani jedném słówkiem.

Wśród pożytecznéj pracy, cichych uciech i cichych smutków zbiegło kilka miesięcy. Drugie wakacye się zbliżały: święta Wielkiéj Nocy, uczennice miały się rozjechać, pan Konarski zaprosił przeto siostrę znowu na kilka dni do Tworek.

Z wdzięcznością przyjęła to zaproszenie pani Liwska, Anielka ucieszyła się niém również, bo w Tworkach najmiléj czas jéj upływał. Właśnie radzono nad tém, którego dnia z domu wyjechać, gdy stara Wardelska wszedłszy do pokoju, położyła na stole dwa listy, świeżo przez jednego z gospodarzy przywiezione z miasta.

Pani Liwska poznała natychmiast na jednym z nich rękę pana Wincentego, rozłamała pieczątkę i czytać zaczęła; lecz zaledwie przebiegła

parę linii, opuściła ręce i ze smutkiem spojrzała na Wandzię.

— Wiesz co, pieszczoszko?—rzekła—stryj zaprasza cię do siebie na święta; pisze mi, że Cesia tak tęskni za tobą, że musisz te dwa tygodnie wakacyi spędzić z nią razem. Cóż ty na to?

— Pojadę — odparła Wandzia bez namysłu, ale potém spojrzawszy na matkę i siostrę, zmięszała się cokolwiek; ich smutne oczy zdawały się czynić jéj wyrzuty, że tak chętnie je porzuca.

— Sama nie wiem—szepnęła.

— Jedź—rzekła Anielka—rozerwiesz i ucieszysz się z Cesią, może zato z większą ochotą będziesz potém pracować.

Tegoż jeszcze wieczora suknie i bielizna Wandzi zostały zapakowane, a nazajutrz Anielka odwiozła siostrę do Gdowa, gdzie wysłana przez pana Wincentego garderobiana, czekała na Wandzię.

Przy rozstaniu dziewczynce stanęły łzy w oczach, Anielce również kilka stoczyło się po twarzy; lecz ponieważ jedna nie objawiła chęci pozostania, przeto druga nie powiedziała tego, co gwałtem cisnęło się jéj na usta: „Nie jedź siostrzyczko, bo smutno nam będzie bez ciebie" i Wandzia uściskawszy siostrę, podążyła do Krakowa.

Nie wesoło tym razem zbiegły Anielce święta w Tworkach, tęskno jéj było za siostrą, tęskno za braćmi, którzy również zaproszeni przez pana

Wincentego, przyjechać nie mogli. Naprożno Zosia usiłowała rozweselić ją żartami.

— Nie dziw mi się—rzekła dnia jednego—przyznam ci się szczerze, iż lękam się, że Wandzia nie wróci więcéj do nas. Stryjostwo niechętnie widzieli, gdy odjeżdżała od nich, Cesia płakała podobno przy rozstaniu.

— Jeśli nie wróci, powiem o niéj, że nie warta twéj miłości—rzekła ze zwykłą sobie żywością Zosia — powinna już rozumieć, że ma względem ciebie obowiązki wdzięczności i że najwłaściwsze dla niéj miejsce jest tam, gdzie mieszka jéj matka.

Było to wieczorem w drugie święto, gdy obie przyjaciołki tę rozmowę prowadziły. Anielka chciała właśnie coś jeszcze odpowiedzieć, aby ująć się za Wandzią, gdy na dworze dał się słyszeć turkot kół, podniosły się przeto żywo i do okna podbiegły.

— Karol!—krzyknęła Anielka, wychyliwszy się przez okno—Karol, doprawdy nie mylę się.

Przed modrzewiowy dworek zajechał wistocie starszy jéj brat; Anielka uszczęśliwiona tą miłą niespodzianką, wybiegła naprzeciw i z okrzykiem radosnym wyciągnęła do niego ręce: lecz Karol zwykle wesoły i żartobliwy, dziś wysiadłszy poważnie z bryczki, uścisnął w milczeniu siostrę, poczém zwrócił się do Zosi.

— Gdzie wuj?—zapytał, podając jéj rękę.

Anielka spojrzała na niego zdumiona.

— Czy Wandzia słaba?—odezwała się tonem niespokojnym — ty jakąś złą wieść przywiozłeś Karolu, mów prawdę.

Karol obrócił się do niéj.

— Stryj Wincenty umarł — rzekł — niechaj mama wszakże nie dowié się o tém zbyt nagle.

Anielka odetchnęła. Tak była pewną, iż usłyszy coś złego o Wandzi, że ta wiadomość, choć smutna bardzo, ulżyła niemal jéj sercu. Poprosiwszy Zosię, aby uwiadomiła matkę o przybyciu Karola, poprowadziła go następnie do wuja. Pan Konarski czytał właśnie dzienniki, ujrzawszy wchodzących, powitał Karola wesoło; lecz, gdy ten powtórzył mu smutną nowinę, zmartwił się widocznie. Nie wiele znał on pana Liwskiego, nie mógł przeto cierpieć nad jego stratą, stanęła mu wszakże siostra na myśli. Pan Wincenty przysyłał 30 rubli miesięcznie pani Liwskiéj, przy skromnych dochodach, jakie praca Anielki dostarczała, stanowiło to ważną pomoc.

— Czy stryj zostawił jakie rozporządzenia względem twéj matki?– zapytał niespokojnie.

— Wczoraj czytaliśmy testament — odparł Karol—zapisał mi 20,000 guldenów.

— A innym?

— Nic.

— Na ciebie więc spada obowiązek dopomagania matce.

Karol skinął głową.

— Nie zapomnę o niéj—odparł.

Wejście pani Liwskiéj przerwało rozmowę; chcąc ją powoli przygotować do smutnéj wiadomości, Karol powiedział jéj, że pan Wincenty jest niebezpiecznie chory i że pragnąc się z nią zobaczyć, wysłał go po matkę do Tworek.

Trzeba było jednakże w końcu prawdę powiedziéć; pani Liwska mniéj spokojnie od córki przyjęła smutną wiadomość, bo jakkolwiek pan Wincenty był względem niéj czasami dumny, czasami wyniośle oziębły, w téj chwili pamiętała wszakże tylko o tém, że był to brat jéj męża i że nieraz w chwili trudnéj podawał jéj rękę pomocy.

Nazajutrz rano, zaraz po śniadaniu pani Liwska pośpieszyła z synem do Krakowa; Anielka nie mogła jechać, gdyż obowiązki nie pozwalały jéj na to.

W kilka godzin po odjeździe matki, pożegnawszy mieszkańców Tworek, sama do Lisic podążyła.

Dziwnie pustym wydał się jéj teraz domek, dziwnie smutnym i głuchym. Już uczennice powróciły, już nauki rozpoczęły się, jéj przecież ciągle jeszcze czegoś w nim brakło. Minął tydzień, z Krakowa żadnych wieści nie było, minął drugi, toż samo. Anielka napisała do matki, prosząc o jaknajrychlejszą odpowiedź. Już miała wysyłać z tym listem posłańca, gdy dano jéj znać, że pani Liwska przyjechała; uradowana

pobiegła przed dom, pani Liwska już wysiadła z bryczki: bladą była, zmienioną na twarzy, znać było po niéj smutek i zmęczenie.

— Mateczka!—wyrwało się z piersi Anielki tonem, w którym radość i długo stłumiona tęsknota brzmiały jednocześnie. — Mateczka kochana!— powtórzyła, całując jéj ręce—przecież wróciła, tak tu smutno było bez ciebie; lecz gdzież jest Wandzia?—dodała po chwili, rozglądając się wokoło.

Pani Liwska podniosła smutny wzrok na córkę.

— Wandzia—powtórzyła wahająco—Wandzia została.

— Została!—krzyknęła Anielka i ręce załamała.

Pani Liwska zbliżyła się do niéj, ujęła ją za rękę.

— Anielko — rzekła łagodnie — Wincentowa i Cesia prosiły mię tak usilnie, iż nie umiałam odmówić. Może téż i lepiéj się stało: ubywa ci jeden ciężar. Trzydzieści rubli, które pan Wincenty dawał mi miesięcznie, już pobierać nie będę; wprawdzie Karol ma teraz nam pomagać, ale ja na Karola nie liczę.

— Mamo!—zawołała z wymówką Anielka—czyż sądzisz, że ja liczę... Na niczyją pomoc nie oglądam się i nie oglądałam nigdy, na własną tylko pracę. Wandzia nie przyspożyłaby nam wydatków, cóż znaczyć może jéj osóbka przy

tylu innych, a tam przywyknie do zbytków, zapomni o nas.

Tu łzy gorące popłynęły z jéj oczów.

— Ja ją tak kochałam—dodała po chwili.— Ciężką jest praca, któréj się podjęłam, lecz myśl, że dzieweczka moja korzysta, że mam ją pod swoją opieką i mogę wpływać na nią, wynagradzała mi wszystko.

— Cóż miałam zrobić, gdy ona sama chciała tego—odparła pani Liwska—wśród łez wyznała mi, iż woli zostać.

Anielka zasłoniła twarz rękoma, chwilę tak stała nic nie mówiąc, nie poruszając się nawet; zdawać się mogło, że słowa matki zmroziły w niéj nagle życie.

— Dziecko moje—szepnęła przestraszona pani Liwska—co tobie?

Anielka odsłoniła twarz, była bladą jak marmur, uśmiechnęła się jednak do matki.

— Chodźmy daléj—rzekła zwykłym słodkim swoim głosem.

Pani Liwska spojrzała niespokojnie na córkę, lecz Anielka odzyskała już zwykłą pogodę.

— Póki mam ciebie, mateczko, przy sobie—szepnęła pochylając się z pocałunkiem—nie wolno mi narzekać. Mam przytém pracę, którą lubię, przez którą jestem użyteczną społeczeństwu, o! jam jeszcze bardzo bogata.

Wzruszona tą odpowiedzią pani Liwska, uściskała ją czule.

— Ty będziesz miała wieczny żal do Wandzi — rzekła.

— Nie, mamo — odparła Anielka — dziecko z niéj jeszcze, do dziecka żalu mieć nie można. Będę do niéj pisywać dwa razy na tydzień, będę zdala ją przestrzegać i czuwać nad nią.

Wieczorem przecież płakała długo, ale płacz jéj był spokojny; nie było w nim goryczy, tylko cichy, pełen poddania się smutek, a gdy nazajutrz przyjechała Zosia do Lisic i usłyszawszy, że Wandzia pozostała w Krakowie, objawiła głośno swoje oburzenie, Anielka rzekła do niéj:

— Nie sądź ją za surowo, Zosiu; ją tu i tam ciągnęło serce... ona bardzo kochała Cesię.

— Już co ty, to każdego usprawiedliwić chcesz zawsze — odparła Zosia — co do mnie, powtórzę raz jeszcze to co już powiedziałam: „Wandzia nie warta jest twéj miłości, bo nie odpłaca ci równém przywiązaniem."

Anielka uśmiechnęła się łagodnie:

„Od ukochanych nie żądaj by dali
Równy dział serca i tak cię kochali,
Jakeś ty ich ukochała,"

odparła słowami poetki.

V.

Pięknemi były Lisice, gdy wiosna stroiła je w świeżą zieloną szatę, lub gdy latem szumiały na ich polach zboża; pięknemi były, gdy wichry jesienne miotały zżółkłemi liśćmi po drogach i łąkach, ale podobno najpiękniejszemi, kiedy mroźny grudzień białym całunem je przyoblókł.

Tak przynajmniéj myślała Anielka, gdy stojąc w oknie jadalnego pokoju, patrzyła tęsknym wzrokiem na białe wzgórze, błyszczące zdala sople lodów, strojące dachy skromnych lepianek, na leciuchnym puchem pokryte gałęzie drzew i kryształową wstęgę, wijącą się wśród nich.

Smutny był to obraz, niemniéj wszakże piękny: ulatujące w górze gromady wron, krocząc żałośnie, czyniły go bardziéj jeszcze posępnym; lecz jéj ten smutek przyrody przypadał do duszy, i w jéj sercu było dziś nie wesoło.

Tęsknym wzrokiem ścigała białe dachy domostw, a myślą cofnęła się w lato minione. Przypomniała sobie ów dzień, kiedy poraz pierwszy jechała z wujem do Lisic. Słońce świeciło wówczas jasno i ciepło, a w jéj duszy świeciła téż jasno nadzieja. Wyobrażała sobie jak szczęśliwą będzie w owym białym domku na zielonem wzgórzu, jak mile upływać jéj tam będą święta razem z matką i rodzeństwem. Wystawiała sobie jak ochotnie pracować będzie w tym domku, widząc jaka ją za to czeka nagroda. I pracowała rzeczywiście z ochotą, pracowała pilnie i sumiennie, ale niestety nie zyskała téj nagrody, jakiéj się spodziewała. Dziś była to wigilia, ona miała przecież spędzić ją samotnie z matką tylko. Pani Liwska przeszła przed kilku tygodniami ciężkie zapalenie płuc, nie wolno jéj było jeszcze wyjeżdżać z domu, o Tworkach marzyć nie można było; ztamtąd również nikt do Lisic przybyć nie mógł, bo pani Konarska czuła się niezdrową téj zimy, więc tak mąż jak córka w dzień tak uroczysty odstąpić jéj nie chcieli. Anielka była pewną, że Wandzia z braćmi przyjedzie, tymczasem rano dostała listy uwiadamiające ją, iż nie przybędą, bo Cesia prosiła, żeby Wandzia i Wicuś z nią święta spędzili, a Karol nie powrócił jeszcze z Paryża.

Już od dwóch lat nie widziała ona starszego brata: otrzymawszy spadek po stryju, Karol pojechał do Francyi w celu kształcenia się wyż-

szego, jak mówił. Zrazu przysyłał matce dwadzieścia rubli miesięcznie i pisywał regularnie, ale powoli począł się zaniedbywać w obowiązku, a teraz już od pół roku nie dawał znaku życia o sobie. Pani Liwska płakała nad tą obojętnością syna, Anielka lubo niemniéj bolała, pocieszała ją wszakże to pieszczotami, to słowami nadziei:

— Nie ma może czasu—mówiła—na święta pewno przyjedzie.

Ale sama w sercu nie miała téj nadziei.

Zapomniał o nas — myślała, stojąc w oknie i zapłakała cicho. Tak wierzyła, iż wpłynie na niego, że go przerobi, tymczasem nietylko że tego nie dokonała, ale Karol zmienił się widocznie na niekorzyść.

Nikt nie przyjechał do Lisic, nikt z rodzeństwa, a przecież wiedzieć musieli, że matka podniosła się niedawno z ciężkiéj choroby, wszakże pisała im o tém.

U stryjenki przyjemniéj im święta upłyną—mówiła do siebie z goryczą—u nas nie mieliby ani takich przysmaczków, ani przyjemności, jakich tam używają...

Jeszcze stała w oknie, gdy naraz dał się słyszéć na dworze dźwięk dzwonków: ktoś jechał widocznie.

Może to oni — szepnęła i serce jéj zabiło, wytężyła wzrok.

Na krętéj ścieżynie pnącéj się pod wzgórze, widać było sanki ciągnione przez parę żwawych koników, a w nich kogoś otulonego futrem: nie była to Wandzia ani Wicuś.

— Może Karol—rzekła już smutniéj Anielka, lecz i teraz się zawiodła.

Siwe koniki wdarły się na wzgórze, a ona poznała siedzącego w sankach proboszcza.

Westchnęła cicho i poszła powitać gościa.

— Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł proboszcz, roztwierając na rozcież drzwi—a to zawieja straszna, myślałem że nie dojadę.

To mówiąc siwy jak gołąbek starzec, podał obie dłonie Anielce.

— Cóż słychać, jakże zdrowie, bracia, siostry czy przyjechali?—zapytał.

— Same jesteśmy—odparła Anielka—mama właśnie zdrzymnęła się nieco, lecz pewno już się zbudziła; może ksiądz proboszcz pozwoli daléj i otworzyła drzwi do przyległego pokoju.—Mateczko, gościa mamy—rzekła—ksiądz Jan przyjechał.

Pani Liwska, która drzymała rzeczywiście, podniósłszy się spiesznie z kanapki, rozjaśniła przygaszoną lampę, poczém podała rękę proboszczowi, prosząc, aby zajął miejsce w fotelu.

— Coś smutne mi jesteście, moje panie—rzekł ksiądz, przypatrując się uważnie matce i córce—

coś wam dolega; przyznajcie się przyjacielowi, a lżéj wam będzie.

Samotne dumanie rozdrażniło nieco Anielkę, słowa księdza wywołały łzy w jéj oczach; nie chcąc zdradzać się z niemi, oddaliła się szybko pod pozorem, iż musi poczęstować gościa przysmaczkami własnéj roboty.

— Biédne dziecko—westchnęła za nią pani Liwska — pracuje ciężko od rana do wieczora i nie ma nawet téj nagrody, żeby święta wesoło spędzić mogła.

— Nie ma nagrody za swoją pracę; a, nie bluźnijcie dobrodziejko — odezwał się proboszcz z ożywieniem.—Czyż może być piękniejsza nagroda od téj, którą to poczciwe dziecko zyskało. Ludzie ją cenią, szanują, kochają, gdzie pójdę tam tylko słyszę: „Cóż to za zacna osoba ta panna Aniela!"

— Tak, obcy ją cenią i kochają, ale swoi płacą obojętnością.

— Ha! nie każdemu Bóg jedno dał—odparł ksiądz.

W téj chwili weszła Anielka z tacą pełną przysmaczków i postawiła ją na stole.

— Te wszystkie specyały—rzekła z uśmiechem—z Lisic pochodzą: orzechów i jabłek dostarczył nam nasz ogródek, ciasta mojéj własnéj są roboty. Liczyłam na gości, ale się zawiodłam...

Ostatnie słowa wymówiła z widocznem rozżaleniem.

— Domyślam się, liczyłaś na siostrę i braci— rzekł proboszcz — no, ależ to się nie zmarnuje; braci i siostr nie brak w Lisicach, poszukaj ich tylko w ubożuchnych chatkach. Wiesz co, dziecię, zostanę z wami na wigilii, a potém zejdziemy ze wzgórza i przysmaczki między dziatwę Lisic rozdzielimy.

Anielka uśmiechnęła się wesoło.

— Dziękuję wam, księże Janie, za tę radę— odparła — aż mi jaśniéj na sercu myśląc, jaką dziś radość sprawię w Lisicach.

I ożywiona tą szlachetną myślą zajęła się przygotowaniem do wieczerzy, a gdy na niebie błysnęła pierwsza gwiazdka, zaprosiła do stołu matkę i proboszcza. Pani Liwska patrząc na uśmiechniętą twarz córki, rozpogodziła powoli zasępione czoło i z zajęciem słuchała nowinek, jakich udzielał jéj proboszcz. Był to zacny, wesoły a przytém rozumny starzec, mile upływał czas w jego towarzystwie; bo i pożartować umiał i radę serdeczną udzielić i rozmowę poważną poprowadzić. Więc chociaż tylko we troje siedli do wigilii, nie nudzili się przecież; raz poważnym, raz żartobliwym tonem prowadzona gawędka, nie ustawała ani na chwilę.

Po wieczerzy wyładowawszy spory koszyk przysmaczkami, Anielka zwróciła się do proboszcza.

— Pójdziemy zatém?—zapytała.

— Pójdziemy—odparł podnosząc się od stołu — mam przy sobie kilkanaście elementarzy z obrazkami: kto z dziatek pacierz zmówi bez omyłki, elementarz dostanie.

Otuliwszy się w futra, spuścili się niebawem ze wzgórza, Anielka żwawym krokiem szła naprzód, za nią podążał proboszcz; cisza uroczysta panowała wokoło, tylko śnieg skrzypiał im pod nogami, a od wioski dochodziły echa nuconych pieśni kolędowych w chatach. Ciemno było wokoło, śnieg grubemi płatami padał; tylko maleńkie okna chatek błyszczały tu i owdzie, bo dzisiaj w najuboższéj lepiance Lisic świecił ogień na kominie, w najskromniejszéj chatce obchodzono pamiątkę narodzenia Zbawiciela.

Wreszcie dotarli do jednéj, Anielka zatrzymała się, proboszcza naprzód puszczając. Starzec pchnął drzwi i wszedł do wnętrza, tam jakże miły przedstawił się im obrazek. Przy kominie, na ławie dębowéj siedział średnich lat mężczyzna z łokciem opartym o kolana, z ręką w bujne włosy zapuszczoną; nucił na głos kolędę, a nogą poruszał kołyskę, w któréj maleńka leżała dziecina. Dwoje starszych dziatek, siedząc pod kominem, wtórowało mu w pieśni, a młoda jeszcze kobiéta uwijała się po izbie, misy sprzątając ze stołu, pod którym wiązka siana leżała.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!— rzekł proboszcz, posuwając się naprzód.

Słowa te sprawiły zamięszanie w chacie: dzieci ścisnęły się w jednę kupkę i oczy szeroko rozwarły; mężczyzna porwał się z ławy, kobiéta stanęła w środku izby.

— Na wieki wieków!—odparli oboje, nie poznając jeszcze proboszcza.

— Przyszliśmy z kolędą dla dziatek — odezwała się Anielka — każcie im matko pacierz zmówić.

Teraz dopiéro domyśliła się kobiéta, kto zawitał w progi ich chaty.

— Maryś! Franek! chodźta tu ino. — Dzieciątko Jezus przysłało swego aniołka, trzeba pacierz zmówić — zawołała.

Nie znały dzieci Anielki, bo zajęcia nie dozwalały jéj zabiegać do chat. Spojrzawszy na słodko uśmiechnięte usta dziewczęcia, na pełne dobroci oczy, uwierzyły matce. Zesłany anioł miał białą błyszczącą szatę, tak się im przynajmniéj zdało, bo śnieg ustroił wspaniale Anielkę; więc zalęknione poklękły i złożywszy pobożnie rączęta, zmówiły pacierz bez omyłki, poczém dostały każde książeczkę, a w dodatku jabłuszek i pierników.

Idąc od chaty do chaty, Anielka wszędzie wywoływała zrazu zdumienie, a potém głośną radość. Wszędzie dziatki brały ją za anioła Bożego, i aniołem była rzeczywiście, który zstąpił z bielonego domku wzgórza między chaty wieśniacze, aby siać wśród nich szczęście i wesele.

Wróciwszy do domu dowiedziała się, że matka poszła już do swego pokoju, proboszcz pożegnał ją przeto, wsiadł do sanek i ruszył do pana Zagrzebskiego a ona pośpieszyła do matki. Pani Liwska nie spała jeszcze, wyciągnęła do niéj ręce.

— Nie źle zeszła nam wigilia—rzekła, westchnąwszy smutnie—wszak prawda, dziecię? poczciwy proboszcz rozweselił nas trochę; jakby to było pięknie, gdyby oni byli przyjechali.

Anielka przyklękła przy łóżku matki, ujęła obie jéj ręce i do ust przycisnęła.

— Nie myślmy już o tém, mateczko—rzekła—wszakże im dobrze u stryjenki, nie brak im niczego. I mnie już teraz dobrze na duszy, tyle radości sprawiłam moją kolędą. Jutro dziatwę zaproszę do siebie na podwieczorek: wszak pozwolisz mateczko? Stół zastawię suto, zagram im krakowiaka, niechaj użyją święta; zapomnimy o sobie, patrząc na ich szczęście i będzie nam znowu dobrze razem.

— Poczciwe moje dziecko — szepnęła pani Liwska i wzruszona uścisnęła córkę czule.

Już godzina dziesiąta wybiła na wielkim zegarze ściennym w jadalnym pokoju, Anielka przecież jeszcze nie spała; pisała list do Tworek, do swéj ukochanéj Zosi, z którą chciała się podzielić wrażeniami dnia minionego.

„Ty pewno równie spokojnie spędziłaś wigilią — kreśliła żywo po papierze—i równie téż

przyjemnie jak ja... Nie zapomniałaś pewno o mieszkańcach Tworek, a teraz cieszysz się nagrodą jaka cię spotkała za spełnienie dobrego uczynku. Przekonałam się, Zosiu, że gdy w sercu mamy zadowolenie z siebie, to niéma wtedy dla nas smutnego położenia."

Nagle przeraźliwe jakieś krzyki przerwały jéj pisanie; rzuciwszy pióro, zerwała się od stolika i do okna pobiegła.

— Ogień!—krzyknęła—ogień w Lisicach!

Krwawe słupy płomienia wznosiły się z pod wzgórza: jedna z chatek wioski płonęła. Czerwona łuna już roztoczyła się na niebie, jasno oświecając Lisice; zbudzone wrony zrywały się z drzew ze złowrogiém krakaniem, wieśniacy lamentując głośno, biegali tu i owdzie, wołając o ratunek.

Pierwszą myślą, jaka obudziła się w sercu Anielki było, iż matka przestraszy się zapewne tego zgiełku; pobiegła przeto do niéj: pani Liwska nie spała jeszcze.

— Co się stało?—spytała przerażona.

— Niech mateczka będzie spokojną—rzekła Anielka — pali się we wsi, lecz ludzie już pobiegli z pomocą; ja zaraz tutaj wrócę.

To powiedziawszy udała się śpiesznie do kuchni i zarzuciwszy na siebie futro, kazała staréj Wardelskiéj iść do pokoju matki, czuwać nad nią, sama zaś podążyła w stronę, zkąd widać było krwawe słupy.

Na końcu wioski stała obszerna chata, dwie rodziny mieściły się w niéj, ta to chata paliła się. Ludzie leli ogień wodą, ale ogień buchał coraz mocniéj: słaba była nadzieja, aby go przytłumić mogli. Chata zdawała się już być skazaną na spalenie, a w téj chacie spało dziecię maleńkie; tak przynajmniéj wołała młoda kobiéta, wyrywając się do niéj z pośród otaczających ją niewiast, które zapewne z obawy, aby nie rzuciła się w płomienie, otoczyły ją wokoło. Troje drobnych dziatek trzymało ją przytém mocno za suknię, krzycząc by nie odchodziła: był to widok rozdzierający serce.

Wtém od strony gościńca dał się słyszeć tętent koni. Anielka spojrzała: drogą szeroką pędził oddział konnych, na jego czele jechał młody mężczyzna, postawy wyniosłéj, zimny wiatr rozwiewał mu włosy z czoła; koń jego zrywał się niespokojnie, on głaskał go ręką i pochylał głowę ku niemu, jakby mu coś mówił; za nim pędzili ludzie z pochodniami, mając przy boku topory, za konnych oddziałem beczki z wodą: zagrożonym pomoc przybywała.

— Panie, ratuj mi dziecko! — krzyknęła nieszczęśliwa kobiéta i wydarłszy się otaczającym ją kobiétom, wyciągnęła ręce do nadjeżdżającego.

Młody mężczyzna zeskoczył z konia.

— Gdzież ono?—zapytał.

— Tam—odparła kobiéta, wskazując na palącą się chatę—ogień już dosięga izbę, w któréj śpi mój maleńki.

Jedno okno nie było jeszcze zajęte płomieniem, to które wskazała nieszczęśliwa matka, lecz syczące języki już próbowały je dosięgnąć. Przybyły spojrzał wahająco, niebezpieczeństwo groziło wielkie temu, coby się ważył dziecię ratować, lada chwila dach mógł się zapaść. Lecz w téj saméj chwili, z głębi chaty wydarł się krzyk dziecięcy, taki rozdarty i taki okropny, iż najtwardsze serce ścisnąć się musiało. Młody człowiek skoczył ku palącéj się chacie, pchnął silną dłonią zabite okienko, a potém bez namysłu wsunął się w otwór... Głucha cisza zaległa wokoło, przez chwilę słychać tylko było trzask płomienia i łamanie się belek.

— Żyje! żyje! — rozległo się naraz w powietrzu.

W oknie ukazał się znowu młodzieniec, trzymał w objęciach maleńką dziecinę i wyciągnąwszy z nią ręce, podał ją matce, która nie wstrzymywana przez nikogo, przypadła do niego.

Dziecię zostało uratowane, lecz czy jego wybawca wyjdzie cało, na to nikt jeszcze nie umiał odpowiedzieć. Płomień dosięgnął już okna: bez narażenia życia nie można było przez nie się przedrzeć.

Ale ten co w niém stał, odważnego snadź był ducha; osłoniwszy głowę zwilżoną płachtą,

jaką w izbie znalazł, rękoma uzbrojonemi w grube rękawice, schwycił się okopconéj już dymem ramy okna.

— Boże, ratuj go!—szepnęła Anielka, zasłaniając od przykrego widoku oczy rękoma.

Próżne wszakże były jéj obawy: głośny okrzyk radości, wydany jednocześnie przez kilkadziesiąt piersi, oznajmił jéj, iż szczęśliwie minął niebezpieczeństwo... Odsłoniła oczy: stał już w pośród swoich ludzi i rozkazy wydawał. Woda lała się strumieniem, topory rozrywały palące się belki: obejrzała się wokoło, czy i dla niéj nie było tam co do czynienia. O! było dużo do roboty: tu dzieci drżały od zimna, a nad niemi kobiéty łamały ręce; tam, nieco daléj na śniegu, leżał chory starzec i jęczał cicho. Anielka pochyliła się do dwojga najmniejszych dzieci, wzięła je na ręce i futrem otuliła; zrzuciła z głowy wełnianą chustkę i podała ją trzeciemu, aby się okryło; poczém wezwawszy dwóch wieśniaków, kazała im podnieść chorego starca.

— Niechaj który z was pomoże mu iść na wzgórze — rzekła — mam miejsca teraz dosyć, mogę chorym i dzieciom dać u siebie na parę dni schronienie.

Spełniono natychmiast jéj życzenie: dwóch żwawych parobczaków ująwszy starca pod ręce, poprowadziło go za Anielką, która tuląc dwoje maleńkich, w objęciach i wołając starsze za sobą, podążyła na wzgórze.

Po długich, pełnych poświęcenia usiłowaniach, ogień wreszcie ugaszonym został: część chaty ocalała.

Osmalony dymem, uznojony potem, młody człowiek co dziecię uratował, obrócił się do swych ludzi:

— Wracajmy teraz—rzekł—jużeśmy nie potrzebni—poczém wskoczywszy na konia, podążył na gościniec, a ludzie za nim.

— Czy nie wiész, Bartoszu, kto była ta panna, która pogorzelców zabrała ze sobą? — zapytał nagle, zwracając się do jednego z jadących bliżéj niego.

— Nauczycielka ze szkoły — odparł zapytany—starszy pan ją zna.

* * *

W trzy dni po téj strasznéj nocy, Anielka siedziała znowu sama jedna, zadumana, cicho, w oknie; pani Liwska drzymała w przyległym pokoju: wtém przed ganek zajechały niespodzianie czyjeś sanki. Ciemno już było na dworze, trudno było przeto rozpoznać, kto przybył; będąc pewna że to z Tworek goście zawitali, Anielka pobiegła do sieni. Omyliła się wszakże, jakiś młody nieznajomy, którego rysy twarzy nie były jéj wszakże zupełnie obce, stał w sieni. Widziała już gdzieś tę twarz, nie tyle piękną, ile szlachetną; lecz gdzie?... nagle rozjaśniło się w jéj myśli.

— Jeżeli mnie pamięć nie myli, widzę przed sobą tego, który w czasie pożaru ratował mieszkańców Lisic — rzekła, wyciągając uprzejmie rękę.

— Ratowaliśmy ich wspólnie!—odparł młody człowiek, biorąc dłoń sobie podaną. — Właśnie w sprawie pogorzelców przybywam do pani, od jéj przyjaciela i sąsiada—mówił daléj—od pana Zagrzebskiego, którego synem jestem.

— Pan jego synem?—powtórzyła zdumiona Anielka — proszę daléj, do pokoju: to nasz dobroczyńca.

I wprowadziwszy gościa do jadalni, pobiegła oznajmić matce radosną nowinę.

Wiedziała ona, iż pan Zagrzebski ma syna, ale słyszała, że mieszka aż na Podolu w rodzinnych jéj stronach, gdzie rodzice piérwsze lata szczęśliwego pożycia spędzili; zdziwiła się przeto, zkąd teraz zjawił się tutaj. Nie czekając aż matka będzie mogła wyjść, pośpieszyła z powrotem do jadalni i prosząc gościa, aby zajął miejsce około kominka, pytać go poczęła o ojca.

Nie wesołą wszakże otrzymała odpowiedź: pan Zagrzebski był słaby, chciał sam odwiedzić Anielkę, lecz nie był w stanie; prosił ją przeto, aby przyjechała do niego, gdyż chce z nią pomówić o losie pogorzelców.

Anielka miała jeszcze kilka dni wolnych, obiecała przeto, iż nazajutrz stawi się na wezwanie.

— Ojciec przyśle po panią konie—rzekł pan Stanisław, takie było imię gościa—a zaraz wieczorem będziesz mogła pani powrócić do Lisic, gdzie jéj obecność zapewne potrzebna.

Po chwili zjawiła się i pani Liwska, witając serdecznie gościa. Ona również wiedziała iż mieszkał na Podolu, poczęła przeto dopytywać się o dawnych przyjaciół i znajomych. Żyli wszyscy, powodziło się im dobrze; ona jedna doznała tak przykrych zmian losu: łza zakręciła się w jéj oku.

— O! nie dziw mi się pan—rzekła—ja nie nad sobą płaczę, tylko nad jéj losem.

Tu wskazała wzrokiem córkę.

— Marzyłam dla niéj przyszłość łatwą, spokojną, a ona biédaczka jakże trudne, pracowite ma życie!

— Mateczko!—zawołała z wymówką Anielka—czyż ja się skarżę kiedy?

Pani Liwska podała jéj rękę.

— Tém więcéj warta jesteś lepszego losu—rzekła, całując ją w czoło.

Ta prosta scena wzruszyła gościa.

— Każdy ma swoje krzyżyki do znoszenia—rzekł smutnym głosem—i my, pani, do szczęśliwych liczyć się nie możemy. Miałem cztery lata, gdy matkę straciłem; rodzice moi mieszkali niegdyś na Podolu, lecz po śmierci matki, ojciec porzucił je, majątek wypuściwszy w dzierżawę i przeniósł się w obce zupełnie nam strony. Żyliśmy długo samotni zupełnie, ojciec nie mógł

bowiem otrząsnąć się z rozpaczy: dziecinne moje lata zbiegły bardzo smutno... I teraz niewesołe wiodę życie: tęsknię za stronami, w których się wychowałem, za ojcem, który na Podole nie chce powrócić, za towarzyszami lat dziecinnych; a żal nam obu pozbywać się tego majątku: tak piękne jego położenie, tak urodzajna ziemia... Sam teraz w nim gospodaruję i widzę, że to klejnot wysokiéj wartości.

Wpadłszy na ton serdeczny, rozmowa toczyła się żywo; gość ani spostrzegł, jak mu zbiegły dwie godziny: spojrzawszy na zegarek, na którym wskazówki już siódmą głosiły, porwał się z krzesła.

— A to się zasiedziałem! — rzekł z uśmiechem—już ojciec mi mówił, że w Lisicach czas mile upływa: sam się teraz o tém przekonałem—i chciał się pożegnać z mieszkankami bielonego domku, ale pani Liwska prosić poczęła, aby pozostał na wieczerzy.

— Niebawem podadzą—mówiła—a mnie tak miło słuchać o Podolu; spełnij pan dobry uczynek i pozostań z nami: do Lisic rzadko kiedy goście zajeżdżają.

Proszony tak uprzejmie gość pozostał, zabawił nawet aż do dziesiątéj, a gdy odjechał, Anielka nie mogła się odchwalić jaki łatwy w rozmowie, jaki wykształcony i uprzejmy.

Nazajutrz jeszcze przed dziesiątą rano, przed bielony domek zajechał powóz pana Zagrzeb-

skiego i Anielka pośpieszyła do Wólki. Wiedziała ona już, że pan Zagrzebski jest chory, lecz przypuszczała że to słabość chwilowa; zmartwiła się téż szczerze, gdy go zobaczyła.

W samą wigilią, gdy wszczął się pożar w Lisicach, dostał jakiegoś silnego uderzenia krwi na mózg. Energiczna pomoc lekarska wróciła mu wprawdzie przytomność, lecz od téj chwili kilkakrotnie ponowiły się ataki; z każdą chwilą odbiegały go coraz bardziéj siły: mówił ciągle o śmierci.

Ujrzawszy wchodzącą, powitał ją wesołym uśmiechem, lecz potém zaraz posmutniał.

— Dobrześ pani zrobiła, przybywając tak śpiesznie—rzekł—mnie się już niewiele należy, a mam dużo, dużo ci do powiedzenia. Słyszałem coś uczyniła dla mieszkańców Lisic: Bóg ci zapłać za nich. Wiem przecież, iż dłużéj trzymać nie będziesz mogła pogorzelców, gdyż uczennice twoje, lada dzień mogą się zjechać; przyślij mi ich zatém, powiedz im, że mam dla nich chatę: dopóki spalonéj nie odbudują, będą w niéj mogli spokojnie mieszkać. To jedno, a teraz drugie: już mówiłem o tém z synem; bądź więc spokojną: nie będzie miał nic przeciwko temu... Lisice są od dziś dnia twoją własnością, już akt formalnie spisany: Stanisław zrzekł się ich na twoje imię.

— Lecz czémże zasłużyłam sobie na tyle dobroci?—szepnęła zmieszana Anielka.

— Czém?—odparł pan Zagrzebski—tém, iż sumiennie spełniałaś swoje obowiązki, a takich nie wiele znałem; tém, żeś była dobrą córką i wyrozumiałą siostrą. Proboszcz zna cię dobrze: on mi mówił często o tobie.

Szczęśliwy jestem, Stanisławie — dodał, zwracając się do syna — szczęśliwy nad wyraz, iż poznałeś tę zacną istotę, a byłbym jeszcze szczęśliwszy, gdybym córką mógł ją nazwać.

To powiedziawszy, wysilony snać długą mową, umilkł, niebawem począł jednakże znowu:

— Anielko! pozwól mi się w ten sposób nazywać: gdyby los zabrał cię kiedy z tych stron, gdybyś porzuciła z czasem teraźniejsze twoje obowiązki, pamiętaj, iż życzeniem mojém jest, aby ów pensyonat zawsze istniał w Lisicach. Wystaraj się wtedy o jaką zacną osobę, któréj mogłabyś powierzyć ten zakład; a gdy po pięciu latach przekonasz się, że sumiennie spełnia swoje obowiązki, oddaj jéj na własność Lisice z temi samemi warunkami, które ja teraz kładę na ciebie.

Anielka zsunąwszy się z krzesła na kolana, cicho płakała. Słabnący głos chorego, rozporządzenia które czynił, rozdzierały jéj serce; w pierwszéj chwili wierzyć nie chciała, ale teraz zrozumiała, że to ostatnie jego godziny, a żal jéj było tego przyjaciela, któremu tyle winną była.

Pan Zagrzebski położył dłoń na jéj głowie.

— Niechaj Bóg błogosławi zawsze i wszędzie twoim krokom — rzekł — czy w trudzie, pracy i w mierności iść będziesz jak dotąd, czy w dostatkach i pomyślności, niechaj zawsze czuwa nad tobą.

Wzruszająca to była scena: stojący zdala Stanisław nie mógł powstrzymać się od łez, przykląkł przy niéj.

— Pozwól, pani, aby ojciec razem nam pobłogosławił—rzekł cicho.

Anielka nic nie odpowiedziała, nie oparła się przecież temu życzeniu.

Rozjaśniła się twarz chorego, wyciągnął obie ręce nad głowami klęczących.

— Córko moja — rzekł drżącym głosem— synu mój, bądźcie szczęśliwi!..

* * *

W tydzień po owym dniu, w małym kościołku wsi Wólki, dzwony żałobnie brzmiały, smutny obrzęd tam obchodzono, pogrzeb dziedzica. Wieśniacy nieśli trumnę na własnych ramionach, przodem postępował ksiądz Jan; za trumną Stanisław, prowadząc Anielkę pod rękę, za niemi przyjaciele i sąsiedzi.

— „Znaliście go—rzekł ksiądz Jan, gdy orszak żałobny zatrzymał się nad grobem — żył dla szczęścia drugich, pracował dla dobra ogółu, okój zatem jego popiołom; a wy, którzy otaczacie jego trumnę, naśladujcie jego życie... Nie płaczcie nad nim: on szczęśliwy, zostawił zacne po sobie wspomnienie; zostawił syna, co jego śladami iść będzie, zostawił szereg uczynków, które ciągłe owoce wydawać będą: on na ziemi żyć będzie wiecznie.”

VI.

W maleńkim, zbytkownie urządzonym pokoiku, na miękkiéj, aksamitem krytéj kanapce, siedziała dziewczynka lat trzynaście liczyć mogąca, strojna w nową sukienkę, obok niéj starszy, najwyżéj o lat dwa chłopiec. Oboje byli zadumani, oboje milczeli; wtém rozsunęły się firanki kryjące drzwi od przyległego pokoju i ukazał się w nich młody człowiek, lat dwadzieścia parę liczyć mogący, o twarzy posępnie zmarszczonéj.

— Stryjenka nie da się przebłagać — rzekł, przestąpiwszy próg—powiada, że wiedzieć więcéj o nas nie chce.

Siedząca na kanapie dziewczynka zerwała się gwałtownie.

— Czy i o mnie?—zapytała.

— I o tobie: pisze właśnie list do mamy, aby przyjechała po ciebie. Powiada, że z każdym dniem stajesz się kapryśniejszą, bardziéj wymagającą, że nie oceniasz łask, które świadczy dla ciebie; zapominasz iż nie masz majątku,

więc dla dobra twego trzeba, abyś wróciła pod opiekę Anielki.

— Pod opiekę Anielki, teraz, gdy ty straciłeś wszystko co ci stryj zapisał i w niczém przyjść jéj w pomoc nie możesz; czyż wszyscy troje na jéj pracę liczyć będziemy? — odparła dziewczynka, w któréj czytelnik domyśla się zapewne Wandzi Liwskiéj.

Rozmawiała ona właśnie z bratem swoim starszym, podczas gdy młodszy Wincenty przysłuchiwał się im w milczeniu. Odpowiedź jéj zabolała widocznie Karola, zmarszczył bowiem czoło jeszcze posępniéj i oczy rękoma zasłonił.

— Jestem niegodziwy!—zawołał, rzucając się nagle z głośném łkaniem na krzesło — zmarnowałem wszystko co miałem, wyrzucałem nieoględnie pieniądz, jakgdybym nie miał żadnych obowiązków: co za wstyd, co za upokorzenie dla mnie... Ona rok tylko starsza, a radzi już sobie w życiu, utrzymuje matkę i użyteczną jest społeczeństwu; ja, choć mężczyzna, nic dobrego jeszcze dotychczas nikomu nie zrobiłem, nawet o własnéj matce myśleć nie potrafię.

— Nie rozpaczaj, Karolu — odezwał się milczący dotychczas Wicuś — myśmy wszyscy zawinili względem matki i starszéj naszéj siostry; gdy one pracowały, myśmy łask stryjenki używali, zapomniawszy o nich całkiem: lecz czas jeszcze złe naprawić. Weźmy się wszyscy troje do pracy szczérze i wytrwale, Wandzia niech

jedzie do Anielki, niech się uczy pod jéj kierunkiem i stara się być jéj pomocą; ty szukaj miejsca dla siebie w zawodzie kupieckim, ja dawać będę korepetycye i daléj, jak niegdyś, pilnie się uczyć. Wynajmiemy we dwóch izdebkę, chociażby na poddaszu; ja napiszę do Anielki, iż dziękuję jéj za pomoc, jaką mi przysyła, że już jéj nie potrzebuję; ty znajdziesz przecie jakie zajęcie.

— Nigdy nie przypuszczałem, aby stryjenka tak twarde miała serce—szepnął Karol.

— Alboż gniew jéj nie jest sprawiedliwy, zastanów się tylko Karolu—odparł Wincenty.— Ty wracasz z Paryża, gdzie uczyć się pojechałeś i pokazuje się, żeś już tyle długów tam narobił, iż całe 20,000 guldenów zapisane ci przez stryja, trzeba poświęcić na ich spłacenie; ja przynoszę na święta najgorszą cenzurę: Wanda oświadcza jéj, iż spodziewała się lepszéj gwiazdki, że sądziła, iż stryjenka nie będzie robić między nią a Cesią różnicy. Stryjenka była zadobrą dla nas i to nas zepsuło. Póki żył stryj Wincenty, trzymani surową jego dłonią, byliśmy inni: ja uczyłem się dobrze, ty pracowałeś pilnie u bankiera, Wandzia była mniéj wymagającą. Zasłużyliśmy na to, co nas spotkało, bo wdzięczni stryjence być nie umieliśmy, ani téj siostrze poczciwéj, która sama mając nie wiele, dzieliła się jeszcze tém małém z nami. Nawet wtedy, gdyś ty przestał matce pomagać, ona przysyłała

mi zawsze miesięcznie pięć rubli. „Gdy skończysz nauki, pisała mi w każdym niemal liście, wówczas oddasz mi; jesteś szlachetnym chłopcem, uczysz się dobrze: nie zawiodę się na tobie.” Tymczasem zawiodła się...

Przy tych słowach, dwie grube łzy stoczyły się po twarzy Wicusia, otarł je wszakże szybko.

— Lecz ja jeszcze złe naprawię—ciągnął daléj—napiszę do niéj prawdę, wyznam szczerze winę; ona mnie rozgrzeszy: ona taka dobra... Gdy na Wielkanoc poprawię stopnie, pośpieszę z cenzurą do Lisic.

Uśmiéch powrócił mu na twarz, uścisnął siedzącą obok niego siostrę.

— Jesteśmy młodzi, Wandziu—począł znowu—nie rozpaczajmy; mamy jeszcze czas, by winy nasze naprawić.

Właśnie domawiał tych słów, gdy drzwi się rozwarły i stanęła w nich służąca z listem w ręku.

— Do pana Karola—rzekła zbliżając się do stołu, przy którym rodzeństwo siedziało.

Karol schwycił pismo.

— Od mamy — rzekł głosem wzruszonym i rozłamawszy pieczęć, czytać począł.—W takiéj chwili, taka nowina, to nowe dla mnie upokorzenie!—zawołał, zasłaniając oczy rękoma.

— Cóż tam takiego? — zapytał Wicuś — czy mogę przeczytać?

Karol sięgnął po list, podał go bratu.

— Pan Zagrzebski, dziedzic jednego z piękniejszych majątków Podola, oświadczył się o Anielkę—rzekł ponuro.

Wicuś rozśmiał się wesoło.

— Nie widzę w téj nowinie powodu do zmartwienia—odparł—cieszyć się tylko mogę, iż kochana nasza Anielka będzie szczęśliwą. Ojciec pana Stanisława, tyle dobrego świadczył dla społeczeństwa, syn równie zacnym być musi; a potém, mateczka droga, jakże musi być szczęśliwą! Powróci w strony, o których zawsze tak lubi mówić, bo Anielka niezawodnie zabierze ją do siebie. Pędzę jutro do Lisic, żeby obie uścisnąć.

— Już co do mnie, nie zrobię tego—odezwał się Karol — gotowa pomyśleć, iż ubiegam się o jéj łaski, jako przyszłéj dziedziczki Wólki i Czerwionki.

— Karolu!—zawołał z oburzeniem Wicuś—zazdrość chyba mówi przez ciebie; jak możesz Anielkę posądzać o coś podobnego... A ty, Wandziu, cóż myślisz, czy i ty nie pojedziesz?

Wandzia płakać zaczęła.

— Przykre to dla mnie, niezmiernie przykre—rzekła.—Gdy sama ciężko pracowała, jam opuściła jéj dach; a teraz, gdy los się do niéj uśmiecha, muszę powrócić do niéj.

Wicuś westchnął; czuł że siostra ma słuszność: nie wiedział jak ją pocieszać. On najmniéj miał sobie do zarzucenia względem Anielki, najserdeczniéj ucieszył się téż listem matki.

— Wiem, co—rzekł po chwili — dziś jeszcze pojadę do Lisic, powiem wszystko otwarcie coście tu teraz mówili: zobaczymy co Anielka powié?

Postanowienie Wicusia trafiło tak Wandzi jak i Karolowi do przekonania, chcieli wszakże zasięgnąć jeszcze rady stryjenki: Wicuś poszedł do niéj. Zimno przyjęła go pani Wincentowa, lecz gdy podał jéj list matki, gdy powtórzył całą rozmowę, zmiękła nieco.

— Gorsze miałam o was wyobrażenie—rzekła—jeśli uznajecie swą winę, to daje rękojmię, iż się poprawicie: przebaczam wam zatém. Powiedz Wandzi i Karolowi, że im pozwalam zostać w mym domu, dopóki pierwszy zajęcia nie znajdzie, a drugą siostra sama nie wezwie.

Jeszcze tegoż wieczora Wicuś podążył do Lisic... Karol i Wandzia o niczém teraz nie mówili, jak o matce, siostrze i o tym nieznanym, który miał się stać wkrótce blizkim członkiem ich rodziny. Uznawali słuszność słów Wicusia, dużo zawinili względem matki i siostry: jakże dawno nie byli już w Lisicach, wiedzieli że matka chora, a przecież żadne z nich nie pośpieszyło do niéj, nie pomyślało nawet, czy nie brak jéj na czém. Wszystkie trudy, wszystkie kłopoty ponosiła Anielka: słusznie ją teraz los wynagradzał.

— Chociażby nawet odwrócili się od nas, chociażby pan Stanisław nie przyjął nas do swego domu, nie moglibyśmy mieć żalu do nich, bośmy na to zasłużyli—mówił Karol do siostry, a było to coś w dwa dni po wyjeździe Wicusia.

— Tego Anielka nie uczyni—odparła Wandzia — ona nas nie odepchnie: zadobra jest na to.

— Nie omyliłaś się, Wandziu, Anielka nigdy was nie odepchnie—odezwał się nagle głos dobrze znajomy poza rozmawiającemi.

Karol i Wandzia porwali się z kanapki.

— Anielka!—krzyknęli jednocześnie i z wyciągniętemi rękoma do uścisku, pobiegli naprzeciw stojącéj w progu drzwi siostry.

Anielka wyciągnęła do nich ramiona, chciała ich objąć serdecznym uściskiem, ale oni osunęli się do jéj kolan.

— Przebacz nam—rzekli, a łzy serdecznego żalu płynęły im z oczu.

— Karolu! Wandziu! co czynicie?—zawołała wzruszona Anielka, pochylając się do nich.— Panie Stanisławie — dodała, zwracając się do stojącego w progu drzwi młodego człowieka w ubraniu żałobném — patrz, że im warto przebaczyć... Ależ wstańcie już, wstańcie — prosiła znowu siostry i brata—nie czyńcie mi téj przykrości.

Karol i Wandzia podnieśli się z kolan, rzucili siostrze w objęcia; wspólny uścisk złączył

poróżnione chwilowo rodzeństwo, następnie zbliżył się i pan Stanisław.

— Nie mówmy o tém co było—rzekł, podając najprzód Wandzi, potém Karolowi dłoń na pojednanie — nie psujmy sobie obecnéj chwili szczęścia przykremi wspomnieniami.

Radosne powitania zwabiły niebawem panią Wincentową, a za nią Cesię, trzynastoletnią panienkę. Spostrzegłszy Anielkę i kogoś jeszcze obcego, domyśliła się, że to pan Zagrzebski. Pani Wincentowa powitała oboje serdecznie i zaprosiła na herbatkę.

Wieczór upłynął wszystkim wesoło, Karol i Wandzia zbliżali się co chwila z pieszczotami do siostry.

— Dobra, poczciwa Anielko—mówili—jakże my się cieszymy twém szczęściem.

Anielka uśmiechała się do nich.

— I ja téż cieszę się wami—odpowiedziała—Wicuś powtórzył mi wszystko, wiem, że szczerze żałujecie waszego postępowania. Ty Wandziu, choć się opierasz, pojedziesz ze mną, będziesz z nami i z mamą mieszkać; ciebie Karolu, pan Stanisław postanowił wziąść do Wólki, będziesz się tam uczył praktycznie gospodarstwa rolnego, będziesz się wyrabiał pod kierunkiem zacnego tamtejszego rządcy, pana Serwińskiego. Mówiłeś mi zawsze, iż masz do tego zawodu zamiłowanie, pracuj zatém na téj drodze, a gdy na-

będziesz dostatecznego doświadczenia, wówczas, pan Stanisław powiada, iż wypuści ci Wólkę w dzierżawę.

Żywy rumieniec wystąpił na twarz Karola.

— Wdzięczny wam jestem obojgu, za te dowody dobroci — rzekł, spuszczając oczy — lecz przyjąć ich nie mogę... Pamiętasz Anielko, jak powiedziałaś mi kiedyś, iż owo zamiłowanie do zawodu rolnika, to nieszczęsna żyłka próżniacza jaka się we mnie objawia. Miałaś słuszność... zawiniłem już dosyć przez ową nieszczęsną żyłkę, nie chcę więcéj grzeszyć, nie chcę dłużéj próżnować. Jutro udam się do Wentzla, który jak wiem, posiada jednę z większych fabryk cukru i jak prosty robotnik zawód rozpocznę.

— Karolu! Karolu!—zawołała Anielka—jakżem szczęśliwa, jakżem dumna tobą, o! dotrzymaj tylko słowa.

— Nie skończyłem jeszcze — odparł Karol, płacąc pocałunkiem słowa siostry.—Nie możecie Wandzi zabierać do siebie, ona nie ma majątku, trzeba jéj przyszłość zapewnić. Pan Stanisław jest tak dobrym, iż chce podjąć się kosztów jéj utrzymania, ale my korzystać z jego dobroci nie możemy. Myślałem długo wczoraj o Wandzi i powiem ci, co postanowiłem. Wanda oddaną zostanie na jednę z wyższych pensyi, tam wyrobi sobie patent nauczycielki, poczém oddasz jéj opiekę nad szkołą w Lisicach. Możemy wspólnie opłacać jéj edukacyą: na to jedno się zgodzę.

— A więc dobrze, niechaj tak będzie — odparła Anielka — chciałabym wszakże wiedzieć, jak projekt ten podoba się méj siostrzyczce.

— Mnie? — zawołała Wandzia — ależ ja go tylko z wdzięcznością przyjąć mogę... Czuję się nad wyraz szczęśliwą, iż będę mogła dać ci dowód, że szczerze pragnę poprawić się z dawnych błędów, wezmę się z zapałem do pracy.

* * *

Pięć lat upłynęło od powyżéj opisanych wypadków: była to wiosna piękna, pogodna i ciepła. Już drzewa ustroiły się liściem, już niwy maiły się rozkosznie, a słońce wesoło im przyświecało. Drogą wiodącą wśród zielonych, rozległych płaszczyzn, na których, jak tylko okiem sięgnąć można było, nie wznosiło się żadne drzewko, ani żadna chatka, tylko bujna rosła trawa, jechał mały odkryty powozik, ciągniony przez cztery rącze rumaki; na koźle siedział woźnica i klaskał głośno z bicza, a w powozie trzy osoby ożywioną prowadziły rozmowę. Łagodny wietrzyk poruszał lekko listkami traw, zielone obszary wydawały się zdala jak fale wód spokojnie wiatrem poruszane, roje białych motyli unosiło się nad niemi: uroczy to był widok. Podróżni przypatrywali się z zachwytem temu pięknemu a zupełnie im obcemu krajobrazowi, obcemu powiadam, gdyż poraz piérwszy

przejeżdżali oni te strony. Od czasu do czasu z piersi ich wyrywał się okrzyk zadowolenia, od czasu do czasu, który z nich wychylał się z powozu, aby objąć wzrokiem całą okolicę, a konie tymczasem raźno parskały; powóz sunął po niezbyt równéj drodze szybko jak strzała, ciepły wietrzyk muskał im czoła, białe motyle unosiły się ponad ich głowami: wtém w oddali cóś zamajaczyło.

— Czy to Czerwionka? — zapytał najstarszy z podróżnych, ciemnowłosy młodzieniec, o myślącéj i poważnéj twarzy, tu wskazał mury jakiegoś domostwa wznoszącego się wśród kępy drzew.

— Tak jest — odparł woźnica.

Po pięciu minutach znikły podróżnym z oczów zielone płaszczyzny, a w ich miejsce ukazały się chaty, drzewa i ogrody; następnie konie skręciły w prawo na drogę wiodącą wśród dwóch rzędów wysmukłych topoli, na końcu któréj widać było dom jednopiętrowy. Był to dwór dziedzica Czerwionki, pana Stanisława Zagrzebskiego.

Karol, Wicuś i Wandzia, oni to byli bowiem owymi podróżnymi, na jego widok wychylili się z powozu, przed dworem na kamiennych schodkach stało kilka osób, białemi chustkami powiewając na znak radości.

— Już nas spostrzegli, już nas poznali—zawołał Karol.

Promień radości rozświecił mu twarz, wydobył chustkę z kieszeni i również powiewać nią zaczął.

Po chwili powóz zatrzymał się przed domem, Karol wyskoczył z niego, za nim Wicuś i Wandzia. Anielka, Stanisław, pani Liwska zbiegli ze schodków.

— Witajcie! witajcie! — rozległo się z obu stron, poczém wszyscy szczęśliwi, weseli, pośpieszyli do pokoju, gdzie przybyłych czekała niespodzianka.

Państwo Konarscy oboje i Zosia zjechali do Czerwionki na święta wielkanocne, które właśnie obchodzić miano. Nikogo nie brakło Anielce: szczęśliwa nad wyraz, rozbierała i zapraszała gości do stołu, na którym czekało ciepłe śniadanie.

Karol, Wandzia, Wicuś, zaledwie zdążyli powitać rodzeństwo, natychmiast pochwalili się przed siostrą z czém przybyli.

Wanda przywiozła patent wyższéj nauczycielki, Wicuś świadectwo skończonych szkół i dyplom na budowniczego, Karol powiedział, iż pan Wentzel obiecał powierzyć mu posadę dyrektora cukrowni.

— Daliśmy sobie słowo — kończył wzruszonym głosem—iż nie przestąpimy progu tego domu, dopóki na to nie zasłużymy, lecz dziś sądzę, że dawne winy już zatarte.

— Dawno zatarte—przerwała bratu Anielka, obejmując go ramieniem—dawno zapomniane—szepnęła, a w ciemnych jéj oczach zabłysły łzy.

Były to wszakże łzy szczęścia: spełniły się zatém jéj marzenia; siwa jéj matka miała pod jéj dachem schronienie, Karol i Wandzia zmienili się na dobre, a słodki głos szeptał w jéj sercu, że zmiana ta była jéj dziełem...

— Musisz odpocząć teraz tutaj, Wandeczko, czas jakiś—mówiła tkliwym głosem, zwróciwszy się do siostry—nie dam ci się niczém zajmować przez jakiś czas.

— Dobrze, siostro — odparła Wanda — lecz w sierpniu pojadę do Lisic.

— Nie, droga moja, nie pojedziesz—odparła Anielka.

Wandzia zarumieniła się i niespokojnie spojrzała na siostrę.

— Więc mi nie ufasz jeszcze — szepnęła, smutnie westchnąwszy.

— Ufam, zupełnie ufam—rzekła Anielka, pochylając się do siostry z pocałunkiem.

— Stanisławie—dodała, zwracając się do męża—powiedz jéj cośmy postanowili.

Stanisław uśmiechnął się.

— Pozazdrościłem Lisicom użytecznego zakładu—rzekł biorąc Wandę za rękę — na wzór tamtego takiż sam w Czerwionce wznieść postanowiłem. Wyrobimy sobie pozwolenie, a potém weźmiemy się do dzieła; wszak zgadzasz się na

to? Mam już przeznaczony budynek — ciągnął daléj, nie czekając odpowiedzi—będziesz miała obszerne mieszkanie, gdzie razem z matką i uczennicami pomieścisz się wygodnie; my na tém zyskamy, bo was będziemy mieli blisko siebie, Anielka nie będzie mi tęsknić za wami.

Uszczęśliwiona Wandzia rzuciła się siostrze na szyję, Stanisław zwrócił się tymczasem do jéj braci.

— Co do ciebie, Karolu—rzekł—nie chciałeś przyjąć dotychczas żadnéj odemnie pomocy, narzucać ci jéj przeto nie mogłem, lecz teraz ja mam prośbę do ciebie. Chcę wystawić w Czerwionce cukrownię, otóż proszę cię, abyś przyjął w niéj posadę dyrektora; Wicuś jako budowniczy plan nam narysuje i przy budowie pomoże: będzie to dzieło wspólne, z którego wspólne ciągnąć będziemy korzyści.

Karol wyciągnął do Stanisława rękę i uścisnął mu dłoń życzliwie.

— Ta prośba nie upokarza mnie, lubo jest nowym dowodem twéj dobroci dla nas—odparł wzruszonym głosem—przyjmuję ją zatém chętnie.

— Wando — rzekł Stanisław, zwracając się znowu do siostry — możesz być spokojną, nie zbraknie ci uczennic, bo sąsiedzi myśl moję z zapałem popierają, a gdy w Czerwionce stanie cukrownia, wtedy zaludni się u nas, wieś pozór miasteczka przybierze.

Wstawali właśnie od śniadania, więc Wanda zwróciła się do szwagra, by mu podziękować; przysunął się do nich Karol, Wicuś, a za niemi Anielka i wszyscy razem uścisnęli sobie dłonie.

Widząc to pani Liwska, zbliżyła się do nich wzruszona i kreśląc w górze nad niemi krzyżyk błogosławieństwa, szepnęła drżącym głosem:

— Kochajcie się tak zawsze, wspierajcie wspólnie a błogosławieństwo Boże będzie z wami.

— Spełniły się zatém, Anielko, nasze życzenia—odezwała się stojąca nieco daléj Zosia—ty stałaś się podporą twéj rodziny, ja opiekunką méj wioski. Szkółka, którą dla dziatwy założyłam, pięknie się rozwija; już dwie dziewczynki uznawszy za zdolniejsze, posłałam z niéj do Lisic, a przełożona powiada, że coraz większe czynią postępy. Jednego z chłopców, który także budził nadzieje, zawiozłam do Krakowa, gdzie umieściłam go w jednym z zakładów naukowych. Marynka moja wyrobiła się na dobrą bardzo nauczycielkę, pomaga mi dzielnie w pracy, oddałam jéj pod opiekę szkołę, a ona z całą miłością oddaje się dziatwie; otworzyłam téż czytelnię w Tworkach, z któréj wieśniacy, za bardzo nizką opłatę, czerpać mogą książki, gdzie schodzą się na wspólne czytania, którym proboszcz, ojciec lub ja przewodniczymy; mam jeszcze zamiar założyć szpital: w tym celu wybiorę się do Krakowa prosić o pozwolenie władzy. Pamiętasz Anielko, jak to kiedyś powiedziałaś mi,

że „Tworki to moje państwo, ich mieszkańcy to moi poddani;" zdaje mi się, iż potrafię być dobrą królową, bo państwo moje jest dobrze urządzone, nie widać w niém nędzy, a mieszkańcy jego szczęśliwi, zadowoleni, królowę swoję kochają.

Anielka podała obie dłonie Zofii, poczém rzuciwszy się sobie w objęcia, dwie przyjaciółki uściskały się serdecznie, szczęśliwe, że szlachetne ich marzenia uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem.

STACHO.

I.

Opowiem wam dzisiaj dzieje jednego z tych ubożuchnych naszych braci, co to mieszkają w nizkich strzechach, snopkiem krytych, wśród pól, które opiewa tak pięknie nasz poeta ukochany.

.... malowanych zbożem rozmaitém,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem,
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niéj zrzadka ciche grusze siedzą.

. . . . . .

Opowiem wam o jedném z tych biednych dzieci nieznanych, a jednak wartych poznania... Stacho, takie było imię naszego bohatera, był synem Walkowéj komornicy, która owdowiawszy,

z pracy ciężkiéj utrzymywała siebie i syna. Nie mając własnéj chaty ani téż ziemi, Walkowa mieszkała u jednego z zamożniejszych gospodarzy we wsi Górce, a za strawę i dach, którą on jéj dawał, pełniła różne posługi: wiosną pełła zagony, latem do żniwa chodziła, jesienią płókała i kopała jarzyny, a w zimie to pierze skubała, to przędła konopie; gdy zaś czasem zbrakło u gospodarza roboty, szła wówczas do dworu i najmowała się do prania, boć przecie trzeba było i grosz czasami zarobić na przyodziewek dla siebie i syna. Gospodarz pieniędzmi płacić nie lubił, dawał im jeść do syta, czasem lnu, by matka sobie i dziecku płótna uprzędła; naznaczył im w izbie miejsce, gdzie stać miała skrzynia, na któréj Walkowa na noc pościel rozkładała, ale pieniędzy nigdy nie dawał, te tylko ze dworu wpłynęły czasem kobiecinie do kieski. Walkowa nie narzekała jednak, głodni nie byli, wiatr w oczy im nie dmuchał, to i czego narzekać miała; czuła się zadowoloną ze swéj doli, a Stach?... i on także dziękował Bogu za to, co mu dał...

Było to śliczne chłopię o twarzyczce okrągłéj, rumianéj jak jabłuszko, o dużych szafirowych oczach, które z pod opalonego czoła, z pod jasnych jak len włosów świeciły niby dwa habry. Całém bogactwem Stacha była koszulina, którą mu matka sama uprzędła, utkała i uszyła, korzuszek wytarty, mosiężny krzyżyk, jaki kupił

se na odpuście, czapeczka rogata, którą nosił ino w niedzielę, gdy szedł na sumę do kościoła; czapka bowiem owa aż całego rubla kosztowała, musiała na nią cały tydzień pracować we dworze matka, ale mimo to kupiła ją: wszakże Stach u niéj był jedyny... W dzień powszedni chłopak nigdy nie nosił rogatywki; a co mu było po czapce? czyż to mu Pan Bóg nie dał gęstéj czupryny, co mu głowę zasłaniała od promieni słońca, a gdy deszcz padał, to mu wszakże matuś na plecy fartuch zarzucała, miał się więc czém otulić. Czapka mu była potrzebna tylko na niedzielę, by pokazać ludziom, że oni znów nie tacy biedni... Pościeli nie miał żadnéj: na co mu pościel? sypiał na przypiecku; tam ciepło przecież zawsze: co wieczór na kominie ogień trzeszczał, bo wieczerzę gotowano; na co mu pościel? przecież on nie stary, kości go nie bolą...

Prócz koszuli, kożucha, krzyżyka i czapki miał jeszcze Stach fujarkę, na któréj różne krakowiaki wygrywał; długi bat z pukawką, nieodzowny jego towarzysz, pasał on bowiem gospodarzowi bydło; elementarz, który leżał owinięty starannie w starą jakąś gazetę, o, bo Stach uczonym był człowiekiem, umiał już pisać, czytać i niezgorzéj dodawać.

We wsi Górce żył w one czasy zacny bardzo proboszcz, ponieważ szkółki tam nie było, powiedział on jednéj niedzieli gromadzie z ambony, aby mu dzieci zimą do plebanii w południe przy-

syłali, a on pacierza je nauczy i do spowiedzi przygotuje. Kilku posłuchało wezwania i posłało mu dzieci, gdy śnieg okrył pola i bydło już więcéj na pastwiska posyłać nie było można, ale nie wielu. Pięciu tylko chłopców i siedm dziewczyn przychodziło regularnie każdego poobiedzia do plebanii, inni zajrzeli raz, dwa i więcéj się nie pokazali.

Do téj szczupłéj liczby pilnych uczni należał i nasz Stacho. Miał on już wtedy lat ośm, kiedy proboszcz onéj niedzieli przemówił do rodziców.

— Czas ci na naukę—rzekła mu matka, gdy wrócili do chałupy—co będziesz próżno bąki zbijał; nie masz chaty, nie masz ziemi, ucz się, może księdzem albo organistą zostaniesz.

I uprała chłopcu koszulę, kazała mu wziąść na siebie kożuch, czapkę na głowę i poprowadziła go do proboszcza, a pochyliwszy mu się do nóg, uścisnąwszy go za kolana, rzekła:

— Ot i ja swego przyprowadziła, bo to, proszę dobrodzieja, duży już chłop z niego, a zimą, kiedy nie ma co robić, to mu zbytki z lenistwa do głowy przychodzą; ale nie wiem-ci ja jak to będzie, bo ja biedna wdowa, nie mam czém płacić za naukę.

Proboszcz pogładził białe włosy chłopca, które tak wypełzły latem na słońcu, iż jaśniejsze były od opalonéj jego twarzyczki i rzekł łagodnie:

— Niech się tylko chłopak dobrze uczy.

Walkowa pochyliła się powtórnie do nóg proboszcza, potém szturgnąwszy malca, szepnęła mu:

— Podziękuj-że dobrodziejowi, zbereźniku.

Stach zbliżył się nieśmiało i pokłonił do ziemi, a ksiądz uśmiechnął się łagodnie.

— Będzie się dobrze uczył, z oczów mu to patrzy—rzekł.

I chłopiec uczył się wistocie dobrze; czego inni przez całe półrocze nie pojęli, on w miesiąc pochwycił. Cztery niedziel nie minęło, a umiał już nie źle czytać, stawiać na tablicy krzywe litery i dodawać do dziesięciu; ksiądz mu za to na gwiazdkę podarował elementarz a matka uścisnęła i powiedziała:

— Może ty i księdzem zostaniesz naprawdę?

I Stach począł marzyć... Zostać księdzem, było to dla niego szczytem szczęścia, mógłby wtedy czytać z onéj wielkiéj księgi, która na ołtarzu na poduszce podczas sumy leżała; a musiały być w niéj piękne rzeczy, gdyż proboszcz takie im śliczności zawsze opowiadał: naprzykład o owym Dawidzie, co to był tylko pastuszkiem a potém królem został. I on także był pastuszkiem i grywał pięknie, tak przynajmniéj matuś mówiła; wprawdzie nie na flecie lecz na fujarce, ale to przecież wszystko jedno; on téż o królestwie nie marzy, księdzem chce tylko zostać... A jak zostanie, to mu się będą ludzie dopiéro nizko kłaniać, dobrodziejem nazywać, za kolana chwytać... a Julek, a Marcinek co na to

wówczas powiedzą, będą się dziwować, oj będą; teraz go biją, szturgają, jak zwyczajnie synowie gospodarza, syna komornicy, a gdy on zostanie księdzem, to mu z drogi schodzić będą.

Na tę myśl uśmiechał się sam do siebie i przypominała mu się historya Józefa, którego bracia sprzedali. Może Julek i Marcin potrafiliby go także sprzedać, gdyby się znalazł jaki kupiec, coby im dał za niego tyle srebrników. O, dobrze mu oni dokuczali; jak tylko matuś nie słyszała i nie widziała, to go zaraz bili, za włosy i uszy ciągnęli. Ale on, jak księdzem zostanie, to się mścić nie będzie; ksiądz proboszcz powiedział, że Chrystus umierając, największym wrogom przebaczył: on kochał Chrystusa, bo Chrystus dzieckiem będąc, był ubożuchny jak on, więc jak Chrystus wrogom przebaczy... A jak księdzem nie zostanie, to organistą; albo to organiście ludzie się także nizko nie kłaniają; nie czyta on coprawda z téj wielkiéj księgi, co to leży na ołtarzu, ale za to gra na organach; a on choć biedny chłopek, lubił słuchać nietylko pięknych powieści, co mu proboszcz opowiadał, ale także i grać na fujarce; a co za dziwy snuły mu się wtedy po myśli: cóżby to było dopiéro, gdyby przysiadł się do organów, ho! ho!

Nieraz chciał on zapamiętać, co to mu się marzy, kiedy on gra, lecz ani weź; jak tylko odjął fujarkę od ust, to i zapominał.

Marzył zatém Stacho, że księdzem zostanie i uczył się zimą pilnie, a latem pasał bydło i patrzył w niebiosa nad nim rozpostarte. Oj, cudne tam, cudne rzeczy w górze widać było: to anioły przelatywały o skrzydłach wielkich, rozpostartych, to białe gołębie, to stada owiec.

Pokazał on raz takiego anioła Julkowi i Marcinkowi, gdy mu przynieśli obiad na pole, ale oni go wyśmieli, naszturgali i głupim jeszcze nazwali; więc nie śmiał już o tém więcéj nikomu mówić co widział na niebie, a miał taką nieraz ochotę zapytać proboszcza zkąd się biorą w górze owe anioły, baranki i gołębie.

Czasami téż pokazywały mu się jakieś potwory: gdy chmury niebiosa zasłoniły, to już nie anioły snuły się tam w górze, ale ogromne czarne straszydła, które mu przypominały owe smoki, o jakich matka opowiadała często zimą, gdy wieczorem skubała pierze przy kominie, owe smoki, co to strzegły pięknéj królewnéj; i Stach myślał, a może je zaklął jaki chłopak śmiały i one uciekają teraz do piekieł. Oj, zapytałby się księdza, zkąd one się biorą, ale może go wyśmieje i głupim nazwie, a może i uczyć więcéj nie zechce. Już woli nie pytać i matce téż nie powié, boby go może obiła.

Cicho płynęło życie Stachowi, cicho a dobrze: latem pasał bydło i gonił wzrokiem obłoki po niebie, zimą w południe biegał do księdza, a gdy wrócił, to posługiwał w chacie lub brał ele-

mentarz i czytał powiastki w nim zawarte. Umiał je już prawie na pamięć, zajmowały go jednak zawsze.

Raz a było to zimą, pewnéj niedzieli, coś już popołudniu, ludzie wrócili z kościoła do domu i każdy używał dnia świątecznego: jedni do karczmy pociągnęli, drudzy drzymali w chałupach, inni korzystając z pogody, stali w progach chat i patrzyli na biały śnieg co zaścielał ulicę wioski, na kryształowe sople lodów, co stroiły dachy i drzewa, w których przeglądały się promienie słońca, a przeglądając, mieniły się tęczowemi barwy.

Do tych gapiących się należeli i nasi znajomi, Walkowa i Stacho. Stali obok siebie zadumani; oboje byli dziś smutni, dowiedzieli się bowiem od zakrystyana, że ksiądz proboszcz nocą zaniemógł ciężko, że aż z Warszawy doktora sprowadzili.

— Ale co to doktor na starość pomoże—powiedział organista — ni kijem, ni lekarstwem, człek jéj nie odegna.

Stach chciał odwiedzić po sumie proboszcza, ale tyle było u niego gości i dziedzic i doktor i pisarz, że chłopiec nie śmiał wejść do pokoju; wrócił z matką do domu, a teraz stał przed chałupą, patrzył w obłoki i myślał o swym dobrodzieju: co porabia, czy mu lepiéj, kiedy wstanie. Matka Stacha myślała także o proboszczu, zatrwożyły ją słowa organisty.

Co to będzie z chłopcem, jeśli ksiądz umrze?— pytała siebie, ona tak była pewną, że staruszek pokieruje dolą jéj jedynaka i westchnęła biédna, spojrzała na chłopca ze smutkiem i jasną jego główkę pogłaskała, a on przytulił się do niéj z miłością.

Naraz drgnęli oboje, w ulicy dźwięki dzwonków dały się słyszéć. Stach zeskoczył z progu i szyję wyciągnął.

— Dziedzic jedzie—rzekł po chwili, odwracając się do matki i poszedł na próg, oparł się o ścianę, a wzrok posłał w ulicę wioski, zkąd dźwięki dzwonków dochodziły.

Dziedzic jechał wistocie, niebawem ukazały się sanki maleńkie o jednym koniku, ale konik był żwawy, parskał nozdrzami, łbem poruszał, a za każdém poruszeniem srebrne dzwonki drgały, wydając głośne dźwięki. Koń pędził galopem i podrzucał w górę kopytami zmarzły śnieg, ten rozpryskiwał się w powietrzu, migał tam niby brylanty, potém spadał na błękitną siatkę, która konia zasłaniała.

Lotem strzały przesuwały się sanki, a w nich siedział pan Adam Więcierski, dziedzic wsi Górce; sam wodze trzymał i kierował rumakiem, sam go zachęcał do szybszego biegu, wstrząsając lejcami. Za nim widać było służącego w szaréj kapocie baranami oszytéj i w czapce baraniéj na głowie; miał on minę starego wojaka: surowa jego twarz, duże siwe wąsy poszanowa-

nie budziły; znali go mieszkańcy wsi Górce pod imieniem Jędrzeja.

Stach przykuty do ściany z podziwem pomieszanym ze strachem, przypatrywał się sankom, koniowi, dziedzicowi i staremu Jędrzejowi; gdy wtém sanki zatrzymały się przed nim: chłopiec przysunął się do matki.

— Czy gospodarz w domu?—zapytał dziedzic.

— W karczmie—odparła Walkowa, kłaniając się ręką nizko.

— Powiedzcie mu, aby przed wieczorem zaszedł do mnie, chcę z nim pomówić w sprawie owego młyna, który ma ochotę wydzierżawić—rzekł pan Więcierski. — Trafia się ktoś drugi z Żaliwiec, ale ja wolę swojemu pierwszeństwo zostawić.

Walkowa skłoniła się powtórnie.

— Niech ino przyjdzie, a powiem mu zara—odparła.

Pan Więcierski skinął jéj głową i chciał ruszyć znowu daléj, gdy wtém wzrok jego zatrzymał się na Stachu.

— Czy to wasz chłopiec?—zapytał.

— Mój—odparła Walkowa, uśmiechając się z miłością i dumą macierzyńską do jedynaka.

— Toć to mój chrześniak.

— A nieinaczéj — i Walkowa jasną głowę syna pogłaskała.

— Ileż on ma?

— Na ś-go Jabóba skończy lat dziewięć.

— Stary już chłopiec, cóż on robi?

— Latem bydło pasie.

— Szkoda go na pastucha, ładny z niego chłopak, spryt mu z oczu patrzy; oddajcie go do dworu, pokieruję nim.

Walkowa skłoniła się nizko, a Stach spojrzał z przestrachem na matkę.

— Przyjdźcie dziś po obiedzie z gospodarzem do dworu—rzekł dziedzic—pomówimy o dziecku; wam pewno ciężko zarobić na siebie i na syna, chłopak coraz starszy, coraz więcéj będzie potrzebował.

To powiedziawszy dziedzic ruszył lejcami, cmoknął, koń zrozumiał tę mowę i puścił się znowu galopem; śnieg wzbił się w powietrze, zamigotał w górze, sanki sunęły jak strzała i znikły niebawem z oczu patrzących.

— Cóż Stach, pudziewa do dwora? — rzekła Walkowa, śmiejąc się do syna. — Oj szczęśliwy ty chłopak, w czepcu się rodziłeś: nie każdemu sierocie taki los dany.

— A pozwolą mi ze dwora do księdza biegać?—zapytał Stach.

— Et, a bo to proboszcz wstanie kiedy z łoża: do trumny go włożą niedługo.

Stach westchnął.

— To już księdzem nie będę?

— Głupiś, a dlaczego nie masz być; jak dziedzic zobaczy jaki ty mądry, to cię do miasta pośle do szkoły.

Ale Stach jakoś nie dowierzał; zadumał się smutno, lecz nic już matce nie odpowiedział.

Kiedy gospodarz powrócił z karczmy, Walkowa kazała umyć się synowi, uczesać i pociągnęli we troje do dworu, a gdy dziedzic ich zobaczył, najprzód gospodarza wziął do kancelaryi i sprawę młyna z nim załatwił, potém Walkowę wezwał i powiedział jéj, że stary Jędrzéj, który służy za lokaja, potrzebuje pomocy, więc weźmie Stacha do dworu i odda mu go w opiekę.

— Jędrzéj pokieruje go na porządnego człowieka — mówił — chłopcu u nas źle nie będzie, głodu i zimna nie zazna z pewnością.

Walkowa wachała się jakoś, ale dziedzic tak przekonywająco przemówił daléj:

— Wieczni nie jesteśmy—rzekł—a nuż śmierćby was zabrała, sierota zmarniałby we wsi, w nas rodziców znajdzie.

Słowa te zdecydowały wachającą się kobiétę, pogłaskała głowę jedynaka.

— Pokłoń-że się dziedzicowi—rzekła.

Ale Stacho niechętnie to uczynił.

— Spytajcie matula o księdza—szepnął, korzystając, iż pan Adam zajął się czém inném, bo właśnie wszedł Jędrzéj i jakiś list mu oddał.

— Potém—odparła Walkowa—jak sobie łaskę dziedzica zyskasz.

— Więc oddajecie mi chłopca w opiekę?— spytał pan Więcierski, odkładając list na stronę.

Walkowa w miejsce odpowiedzi objęła kolana dziedzica.

— Zostawcie mi go już dzisiaj, poślę zaraz po Szmula, żeby mu suknie uszył.

Walkowa zwróciła się do Stacha.

— To i zostań—szepnęła.

Stach począł płakać.

— Et, nie bądź głupi—rzekła matka—lepiéj ci tu będzie niż w chałupie; tam cię ino sturgają, tu dziedzic nie pozwoli.

Pan Więcierski uśmiechnął się.

— Niech się tylko dobrze sprawia, a krzywdy nie dam mu zrobić.

— Słyszysz, nie becz, ino podziękuj dziedzicowi. Oj głupie to jeszcze, głupie, proszę wielmożnego pana... Jutro przyde do ciebie, codzień przychodzić bede; no nie becz-że.

Ale Stach płakał ciągle. Walkowa pochyliła się do niego, pocałowała w głowę i skłoniwszy się dziedzicowi, wyszła. Łzy jedynaka poruszyły ją i jéj na płacz się zbierało, więc uciekła... Ciężko było jéj rozstawać się z dzieckiem, ale rozstała się, bo widziała w tém los jego. Dziedzic powiedział, że mu ojcem będzie, to i może pośle go do szkoły, a choćby i nie, toć dola Jędrzeja zawsze lepsza niż pastucha. Proboszcz umrzeć może, a potém co? tu pewniejsza dola, niechaj przeto zostanie; popłacze trochę, potém zapomni... Jeśli proboszcz wyzdrowieje, to go

poproszę, aby dziedzica namówił, żeby pozwolił przychodzić chłopcu do niego na naukę.

I pociągnęła zwolna kobiécina ku domowi, nieoglądając się za siebie, a Stacha Jędrzéj poprowadził do kuchni, gdzie miał mieszkać, póki mu Szmul ubrania nie zrobi.

— Potém w kredensie sypiać będzie—powiedział dziedzic.

Stach nigdy we dworze nie bywał, to téż ze strachem wszedł do kuchni; same tu były obce dla niego twarze. Biedak wsunął się w najciemniejszy kąt, zasłonił oczy kułakiem i szlochał, aż w końcu znużony usnął; ale nazajutrz gdy się obudził, gdy rozejrzał po obcéj izbie i obce twarze ujrzał, począł znowu płakać. Postawiono przed nim miskę z zacierkami, on, że był głodny, jedną ręką ujął za łyżkę i do ust ją poniósł, ale drugą łzy ocierał.

Śmieli się z niego parobcy i dziewczęta, on na to nie zważał. Co go tam obchodziły ich śmiechy i żarty; jak nie miał płakać, nie mógł iść dowiedzieć się, czy proboszczowi lepiéj czy gorzéj. Około południa przyszła odwiedzić go matka, ujrzawszy ją, rzucił się jéj na szyję i szlochać począł głośno.

— Ot głupi z ciebie chłopak—rzekła matka—czego ty beczysz, Bóg zesłał nam dziedzica na pocieszenie; proboszcza już nie masz: umarł dziś w nocy.

Stach oniemiał, roztworzył oczy szeroko i z przestrachem spojrzał na matkę; Walkowa pogłaskała go, popieściła, poczém wróciła do domu. Stach odprowadził ją kawałek.

Odtąd już więcéj nie płakał, był tylko smutny bardzo; jeśli go nie zapędzili do roboty, to siedział na progu kuchni i patrzał w obłoki, a co mu się snuło wtedy po myśli, kto to mógł zgadnąć... Bo i kogóż to obchodziło, nad czém duma, o czém marzy mały Stach sierota, biedny pastuch wioskowy.

II.

Państwo Więciersey używali w okolicy jak najlepszéj opinii: sąsiedzi ich szanowali, włościanie i służba mówili o nich, że to bardzo dobrzy państwo, że nigdy jeszcze nikogo nie skrzywdzili, nikomu złego słowa nie powiedzieli. Parobcy, dziewczęta, lokaje i kucharze szli do ich służby chętnie, po lat kilka na miejscu siedzieli i Stacho nie mógł się też skarżyć; skłamałby, popełniłby grzech, gdyby powiedział, że we dworze źle. To téż ile razy matka zapytała go:

— No, jakże ci tam?

Odpowiadał zawsze:

— At tak, niczego.

Dziedzic kazał mu zrobić ubranie kozackie z sukna szarego, szerokie szarawary, kurtkę pętlicami naszywaną i buty wysokie; pani poleciła gospodyni uszyć mu kilka koszul; oboje byli bardzo uprzejmi dla niego, nigdy inaczéj go nie

nazywali jak Staśkiem; panienki i panicz uśmiechali się do niego: jedném słowem wszyscy tu byli dobrzy; coprawda, stary Jędrzéj często łajał, lecz kogóż on nie łajał, na pana nawet nieraz gderać się ośmielił.

Grzech byłby popełnił Stacho, gdyby się przed matką skarżył na swą dolę, dobrze mu było we dworze, a jednak czegoś smutno, czego? sam nie wiedział... Może tęsknił do łagodnéj twarzy proboszcza, który leżał tam za dzwonnicą kościelną na cmentarzu, pod ciężkim krzyżem kamiennym; może do aniołów i białych gołębi, których nie mógł teraz wypatrywać, bo ile razy siadł na progu kuchni i wzrok podniósł w niebiosa, wnet zjawiał się Jędrzéj, albo gospodyni i do roboty go napędzali, mówiąc:

— Cóżto, darmo będziesz chleb jadł?

Stach miał dużo teraz zajęcia: zaledwie wstał rano musiał samowar nastawić, potém pomagać Jędrzejowi nakrywać do stołu, następnie myć szklanki po śniadaniu, potém sprzątać w panicza pokoju, następnie noże czyścić i do drugiego śniadania znowu z Jędrzejem nakrywać. Ileżto razy zasiadano we dworze do stołu, wydziwić się Stacho nie mógł; cały dzień nic prawie innego nie robił, tylko zbierał brudne talerze, mył je i rozstawiał nanowo na stole. Najlepiéj ze wszystkich zajęć lubił on sprzątać w panicza pokoju, bo téż tyle tam było ciekawych rzeczy: jakieś kule ogromne z napisami, których zrozumieć nie

mógł, jakieś karty na ścianach wiszące. A co książek tam leżało... oj rwało się do nich serce Stachowi, chciał byłby zajrzéć do niejednéj, ale nie śmiał jakoś. Oj tęskno mu było do książki, teraz ani weź elementarzyka do ręki; przyniosła mu go matka jednéj niedzieli, ale cóż z tego, kiedy czytać nie miał czasu.

Wacław, jedyny syn państwa Więcierskich, był równie jak rodzice grzeczny, uprzejmy dla służby i nieraz ze Stachem wdawał się w gawędkę; powiedział mu raz, że w połowie sierpnia pojedzie do Warszawy, że tam będzie do szkoły chodzić, że teraz uczy się, aby egzamin zdać. Stach, który z paniczem był najśmielszy, może dlatego, że byli w jednym wieku, raz gdy ten zaczął mu znowu opowiadać o swym wyjeździe, westchnął i rzekł:

— Jaki to panicz szczęśliwy, że się uczy!

Wacław roześmiał się, ruszył ramionami.

— Ty to szczęściem nazywasz? — odparł z pogardą — co do mnie, nie widzę w tém żadnego szczęścia. Uczę się, bo się muszę uczyć, bo mi każą; lecz wolałbym z pewnością iść z fuzyjką na ptastwo, lub z siecią na ryby. Gdybyś ty choć raz tak posiedział kilka godzin z rzędu nad książką jak ja siedzę, to-byś nie mówił: „jakie to szczęście się uczyć.” Ot naprzykład geografia, cóż to za nudna lekcya: nie cierpię jéj.

To mówiąc podjął leżącą na stole książkę w czarne płótno oprawną, wstrząsnął nią gniewnie.

— Nie cierpię jéj, spaliłbym ją z ochotą— dodał i mówiąc te słowa, rzucił książkę w górę, a ta z hałasem spadła na stół.

Stach spojrzał zdumiony, sam nie wiedział co sądzić o tém; on swoim elementarzykiem, nigdyby tak nie rzucił: był on o wiele brzydszy od książki panicza, a przecież owijał go starannie, aby się nie zniszczył i brał do ręki zawsze z szacunkiem. Patrzył zdumiony na panicza, a panicz nie zastanawiając się jakie wrażenie postępek jego zrobił na biednym chłopcu, zdjąwszy ze ściany szpicrutę, pobiegł do stajni. Była dopiero dziewiąta, miał jeszcze godzinę czasu wolnego; o dziesiątéj pan Świrski nauczyciel, który go przygotowywał do egzaminu, wzywał zwykle do lekcyi.

Gdy drzwi za odchodzącym zamknęły się, Stach zbliżył się do stołu i podjął rozłożoną w nieładzie na nim książkę.

Chciał ją zamknąć i schować do szuflady, ale wziąwszy ją raz do ręki, już nie umiał zapanować nad chętką, co go oddawna dręczyła. I cóż wielkiego, choć przeczyta parę wierszy, wszakże książki tym nie uszkodzi, pomyślał sobie. Otworzył więc na chybił trafił i czytać począł, ale gdy raz pokosztował miłego owocu, już się oderwać od niego nie mógł. Zapomniał o sprzątaniu, zapomniał że inna robota czeka na niego, cały zatopił się w książce. Bo też dziwne w niéj rzeczy stały: mówiła ona o jakichś lu-

dziach czarnych z krętemi włosami, grubemi wargami, którzy na ptakach jeździli. Stacho pożerał wyrazy wzrokiem, chciał byłby wszystkie w jednéj sekundzie przeczytać, aby się dowiedzieć jeszcze coś więcéj o tych ludziach i już wyczytał ich nazwisko: murzynami się nazywali; ale cóż z tego, gdy kartkę przewrócił, by się jeszcze cóś więcéj o nich dowiedzieć, drzwi pokoju się otworzyły z hałasem i w progu ich stanął Jędrzéj.

Stach drgnął, spojrzał z przestrachem na Jędrzeja.

— Cóżto gapiu! będziesz książkę oglądać, zamiast sprzątać; połóż-no ją zaraz, — krzyknął stary służbista.—Widzisz go, panicza rzeczy bierze do ręki; niech ja cię złapię jeszcze kiedy na czémś podobném, dam ja ci...

Tu pogroził wymownie chłopcu.

Stach zwiesił głowę na piersi i zabrał się do sprzątania, a Jędrzéj stał i gderał, dopóki nie skończył; potém zapędził go do czyszczenia noży i Stach cicho, pokornie od zajęcia do zajęcia przechodził, aż wieczorem legł znużony na tapczanie. Ale chociaż był tak wciąż zajęty przez dzień cały, o czarnych ludziach nie zapomniał... Czyścił noże, mył talerze, a o nich myślał i pytał sam siebie: „Gdzie też oni mieszkają, czy daleko za górami, a może w Warszawie. Oj chyba nie tam, boby państwo do takich ludzi syna nie posłali. Musi być w innéj stronie, lecz w któréj? czy w tej, w któréj słońce co rano świeci tak pięknie, czy w téj, w któréj wieczorem gaśnie powoli?

Zapytałby panicza chętnie o to, ale się bał; a nuż by panicz rozgniewał się gorzéj od Jędrzeja, że książki jego ruszał i zabronił mu całkiem do swego pokoju przychodzić, wolałby chyba już, żeby go obił.

Jednak ciekawość paliła go. Kogoby tu zapytać, myślał sobie, może Jędrzeja, ten już wiedział o tém, że on książkę czytał; ale czyż Jędrzéj będzie umiał mu co powiedzieć, wszakże nawet pisanego nie rozumiał: nie ma co go pytać i Stach nie zapytał go, a tymczasem czarni ludzie z krętemi włosami i wielkie ptaki, na których oni jeździli, stały mu ciągle na myśli.

W dzień marzył o nich i pytał gdzie mieszkają; w nocy śnił, że przyjechali do niego, podarowali mu pięknego ptaka i namawiali, żeby do nich przybył, mówiąc, że będzie mógł u nich cały dzień czytać. Ale choć marzył o czarnych ludziach, nazajutrz poszedłszy sprzątać do panicza pokoju, książki do ręki wziąść nie śmiał, szukał jéj tylko oczami ukradkiem po półkach i zdało mu się, że ją tam widzi; jednak ręki nie wyciągnął po nią, westchnął tylko w duszy. Nazajutrz tak samo, popatrzył zdaleka na książkę potém zabrał się do sprzątania. Tym razem panicz był w pokoju, przy nim témbardziéj nie ośmieliłby się ręki po książkę wyciągnąć. Słota

była na dworze, więc Wacław czyścił sobie z nudów strzelbę i gawędził ze Stachem: mówił mu, że w Warszawie będzie mieszkać u babki, że tam będzie miał towarzystwo chłopców, że tu sam jeden nie ma się z kim bawić.

— Mam wprawdzie cztery siostry, ale co to za zabawa z dziewczętami—dowodził—wszystkiego się obawiają, o najmniejszą rzecz płaczą; jak słota, to mi strasznie nudno.

Dziwił się Stach téj mowie.

Jak można się nudzić, kiedy się ma tyle książek? — myślał sobie, spoglądając na półkę stojącą pod ścianą.—Ja tu-bym całe życie przesiedział i nie znudził się pewno.

— Paniczu — ośmielił się naraz zapytać— a czy tam w Warszawie biali ludzie mieszkają, czy czarni?

Wacław począł się śmiać głośno, aż Stach zawstydził się, bo czuł, że głupstwo musiał powiedzieć i smutny zwiesił głowę na piersi. Widząc to Wacław przestał się śmiać.

— Toś ty już słyszał coś o czarnych ludziach?—zapytał łagodnie.

Stach skinął głową potwierdzająco.

— Mieszkają oni bardzo daleko, w kraju do naszego niepodobnym—począł poważnie tłumaczyć Wacław—gdzie inne zupełnie drzewa i kwiaty rosną jak u nas, inne też zwierzęta żyją; gdzie słońce grzeje tak mocno, że ptaki na gniazdach

siedzieć nie potrzebują, tylko jajka składają w piasek i pisklęta same się wylęgają.

Stach słuchał uważnie, oczy mu świeciły od ciekawości, usta rozchyliły się od zdziwienia; jak w tęczę wpatrzył się w panicza: w téj chwili czuł się szczęśliwym nad wyraz.

Wtém poza drzwiami dały się słyszeć czyjeś kroki i szczęście natychmiast uciekło. Stach przypomniał sobie Jędrzeja, porwał za szczotkę i zamiatać począł, a panicz, który kurzu nie lubił, przeszedł do drugiego pokoju. Ale czarni ludzie więcéj go jeszcze zaciekawiali teraz: rady sobie nie mógł dać, tak mu wciąż na myśli stali. Co tu zrobić, żeby się o nich cóś więcéj jeszcze dowiedzieć? a może sen prawdę mu powiedział; kiedy w ich kraju ptaki piskląt nie wysiadują, kiedy nie budują gniazd, to może i ludzie tam nie pracują na chleb, ino ciągle czytają. Oj! poleciałby on do takiego kraju, poleciałby lotem sokoła; tylko żalby mu było matusi, ale i ona poszłaby z nim może; trzebaby się tylko coś więcéj o tym kraju dowiedzieć: gdzie to on leży, czy bardzo daleko do niego, czy daléj niż do Częstochowy, do któréj w lato ludzie szli piechotą? Wziąłby kosztur w rękę, worek z chlebem na plecy, jak ci, co szli kompanią i poszedłby, żeby tylko dowiedział się, gdzie ten kraj leży.

I postanowił koniecznie się dowiedzieć, czekał tylko sposobności: niebawem się nadarzyła.

Po dniach słotnych nastał znowu pogodny poranek, mróz schwycił coprawda, ale za to sucho było i słońce jasno świeciło; więc Wacław wybrał się z nauczycielem jeszcze przed śniadaniem na polowanie. Wiedział o tém Stacho, wiedział i to, że przed dziesiątą nie wrócą i załatwiwszy się jak mógł najprędzéj z myciem szklanek, poszedł sprzątać do pokoju panicza: położył szczotkę na ziemi i zbliżył się do półki, wzrokiem niespokojnym przebiegł leżące na niéj książki i znalazł niebawem tę, któréj szukał: otworzył ją.... tak, to była ta sama... Przychylny los sprawił nawet, że otworzył ją na téj saméj kartce, co wówczas; więc założył stronę, bo czytać nie miał teraz zamiaru, zamknął książkę i wsunął ją za kanapę, poczém zabrał się do sprzątania, a zwijał się dziś żwawo: nie wyszło pół godziny, pokój był zamieciony, kurz starty, sprzęty ustawione na właściwém miejscu. Obejrzawszy się wokoło czy wszystko zrobione akuratnie, Stach zbliżył się na palcach do kanapy, sięgnął po książkę, wcisnął ją pod kamizelkę i zabrawszy szczotkę, wyszedł z pokoju.

W półgodziny potém wrócił Wacław z nauczycielem i zasiedli do lekcyj. Stacho czyścił właśnie noże w kredensie, a obok niego Jędrzéj oprawiał lampę, gdy wpadł do nich panicz, pytając jednego i drugiego, czy nie widzieli książki w czarnéj okładce, na któréj złotemi literami napisane jest „Geografia".

Obaj zaprzeczyli mówiąc, że nie widzieli, ale Stach zaczerwienił się jakoś; nie uważał wszakże tego Wacław, odszedł skłopotany, bo nauczyciel posądzał go, iż naumyślnie książkę schował. Jędrzéj spostrzegł wszakże pomieszanie chłopca, lecz nic nie mówił, wstał tylko z krzesła i wyszedł z kredensu; poco, tego nie wiedział Stacho, ale mu czegoś serce niespokojnie zakołatało w piersiach, a chcąc je uciszyć, począł trzeć zamaszyście nożem po osełce. Po chwili Jędrzéj powrócił, wyraz jego twarzy był bardzo surowy, spojrzał groźnie na Stacha i rzekł:

— Chodź-no do pana.

Stach zbladł, ale posłuchał, położył nóż i poszedł za Jędrzejem z głową spuszczoną ku ziemi. Minęli sień i weszli do kancelaryi: tu zwykle o téj godzinie można było znaleźć pana Adama, siedział właśnie nad rachunkami.

Otworzywszy drzwi, Jędrzéj wszedł i pokłonił się nizko: Stach stanął za nim.

— Proszę jaśnie pana, z tym chłopcem źle jest — rzekł Jędrzéj, pokazując ręką drżącego i bladego Stacha.—Oto przed chwilą przyszedł panicz do kredensu i pytał, czyśmy nie widzieli jednéj jego książki. Ja powiedziałem, że nie, i on także; ale mówiąc, czegoś się zaczerwienił: to mi dało do myślenia: przypomniałem sobie, żem go widział jak wychodził z panicza pokoju, że miał taką minę, jakby coś zbroił, że przebiegł koło mnie tak prędko, jakby się bał, żebym go

nie zatrzymał i że potém poszedł na strych, gdzie-to pościel jego leży. Ja téż nie pytając go o nic, widząc, że się zaczerwienił, poszedłem na strych i daléj-że siennik jego przetrząsać, a z siennika oto co wypadło?

To mówiąc wyjął z kieszeni książkę w czarne płótno oprawną i położył ją na biórku przed dziedzicem.

Pan Adam podniósł surowy wzrok na winowajcę.

— Czyś ty wziął tę książkę?—zapytał.

— Ja—odparł Stach, niepodnosząc oczu.

— Czy ty mówisz co wieczór pacierz?

— Mówię—zabrzmiała cicho odpowiedź.

— Czy cię uczono przykazań Bożych?

— Uczono.

— Wiesz zatém, że siódme przykazanie powiada: „nie kradnij," wiesz, a przecież wziąłeś rzecz cudzą... Nie spodziewałem się tego po tobie, Stachu; wziąłem cię do dworu, ubrałem, dałem ci jeść, obiecałem na człowieka wykierować, a ty mi się za to tak odpłacasz... Szkaradny, niegodziwy chłopcze; jam ci dobrze uczynił, a tyś mi za to przykrość wyrządził. Czy ty nie wiesz jaką nazwą piętnują tego, który cudzą rzecz sobie przywłaszcza; więc chcesz złodziejem zostać?

Na wyraz złodziéj, Stach drgnął i podniósł głowę, jakby się bronić chciał, ale nic nie powiedział; w oczach jego łzy tylko zabłysły i dwie z nich stoczyło się po bladych jego policzkach,

poczém zwiesił głowę napowrót. Chciał powiedzieć, że on przecież książki przywłaszczyć sobie nie myślał, że miał tylko ochotę ją przeczytać, ale powiedziawszy to, musiałby tłumaczyć się, dlaczego chciał ją przeczytać, co go w niéj zaciekawiło, a czuł, że nie potrafiłby tego wszystkiego wypowiedzieć, więc milczał. Ale pan Adam spojrzał teraz na niego łagodniéj; widząc jego łzy, sądził, że żałuje winy i postanowił przebaczyć na ten raz skruszonemu grzesznikowi.

— Na co ci książka? — zapytał po chwili— czyż ty czytać umiesz?

— Umiem — odparł Stacho tak cicho, iż ledwo go dosłyszéć można było.

— Umiesz—pochwycił zdumionym tonem pan Adam—któż cię nauczył?

— Ksiądz proboszcz.

— To trzeba było mi powiedzieć o tém, poprosić o książkę, nie brać samemu. Panicza książki nie dla ciebie, nie zajęłyby cię, nie zrozumiałbyś ich. Pamiętaj-że, niech to będzie poraz ostatni, niech cię więcéj na niczém podobném nie złapię. Jeśli się poprawisz, jeśli dzisiejsze zapomnienie nie powtórzy się więcéj, nietylko że ci przebaczę, ale jeszcze nagrodzę. Gdy pojadę z paniczem w sierpniu do Warszawy, kupię ci książkę do czytania.

Stacho uśmiechnął się przez łzy, zbliżył się do dziedzica i pokłonił mu się do kolan: pan Adam dał mu rękę do pocałowania.

— Ale pamiętaj, więcéj nie kradnij—rzekł Stacho pocałował pokornie podaną mu rękę i wyszedł pocieszony zupełnie z mocném postanowieniem niedotykania się nigdy książek panicza. Gdyby był przypuścił, że go posądzą o kradzież, z pewnością nie dotknąłby się ich nigdy; on przecież chciał tylko przeczytać, a potém odnieść na miejsce. Bolało go to posądzeni. niesprawiedliwe, ale pocieszał się, że matce wszystko powié, a matka go usprawiedliwi przed innymi.

Od tego dnia nigdy więcéj nie brał do ręki cudzych książek, nie patrzył nawet na nie, lękając się pokusy; lecz do pokoju panicza lubił zawsze chodzić. Z wiosną coraz więcéj było słotnych dni, więc Wacław coraz częściéj ranki zarzucał w lesie lub ogrodzie, spędzał takowe u siebie, a gdy zastał w pokoju Stacha, to wdawał się z nim w gawędkę. Najczęściéj opowiadał mu o Warszawie: jakie to duże miasto, ile tam ludzi, co kościołów, szkół, jak tam każdy kto zechce uczyć się może. Stach słuchał z rozwartemi ustami i zazdrościł w duszy paniczowi, że tam jedzie. A kiedy potém zasiadł do czyszczenia noży lub mycia talerzy, to nieraz tak się zamyślił o owéj Warszawie, o tém co mu panicz mówił, że ręce opuścił bezczynnie i patrzył sam nie wiedział gdzie, zapewne w świat, który snuł mu się w myśli. Dopiéro kułak Jędrzeja przywoływał go do rzeczywistości.

Jędrzéj od owego zajścia z książką panicza daleko surowszym był dla chłopca: za najmniejszą rzeczą poszturgiwał go i łajał i mówił często do kucharki, że państwo zadobrzy dla Stacha, że z niego nigdy nic poczciwego nie będzie, tylko albo gap, albo wisus wielki; a choć Walentowa, któréj Stach wszystko opowiedział, starała się wytłómaczyć postępek syna, stary nie wierzył jéj. Podzielała w zupełności zdanie Jędrzeja pani Janowa, gospodyni tamtejsza, która nawiasem mówiąc, miała osobistą urazę do Stacha. Nie mogła mu darować, że go dziedzic wziął do kredensu: ona miała chłopca o trzy lata starszego od Stacha, tęgiego zucha.

— Z Jaśka pewno więcéj miałby pociechy Jędrzéj—mówiłą nieraz—a dziedzic wziął go do koni.

Nie lubiła serdecznie Stacha i czuć mu to dawała nieraz. Stach zawsze dostawał gorszy kawałek mięsa od innych i mniéj téż na miskę, a gdy wieczorem przyszedł do kuchni, to go ustawicznie za coś łajała; Jasiek zaś jéj syn, poszturgiwał go, ale Stach nie skarżył się nikomu: wszak i w chałupie szturgali go Julek i Marcin, już przywykł do kułaków, a że mu mniéj od innych jeść dawali, temu się nie dziwił: wszakże był między służbą najmniejszy... Znosił kułaki cierpliwie i marzył to o Warszawie, to o książce, którą mu dziedzic obiecał. Tymczasem minęła wiosna, nastało lato i sierpień

przez chłopca niecierpliwie wyczekiwany się zbliżył. Pewnego poranku, kiedy Stacho zabrał się do czyszczenia noży, panicz zawołał go mówiąc, żeby przyniósł mu walizkę i przyszedł pomódz pakować rzeczy. Stach się uśmiechnął i skoczył żywo spełnić rozkaz. Więc marzenia jego miały się wreszcie urzeczywistnić, miał dostać książkę. Tegoż dnia zaraz po obiedzie pan Adam z synem wybrali się do Warszawy, za dwa tygodnie dziedzic naznaczył swój powrót; jakże długiemi wydały się Stachowi owe dwa tygodnie, myślał, że chyba nigdy nie miną... Nareszcie dzień powrotu nadszedł, chłopiec cały dzień patrzył tylko w okno, a gdy na dziedzińcu rozległ się trzask z bicza, pierwszy się znalazł na ganku, pierwszy za klamkę od powozu uchwycił, a potém za walizkę pana, ale pan nic mu nie powiedział. Stach zaniósł walizkę do dziedzica pokoju i wciąż uwijał mu się przed oczami, ale dziedzic zdawał się go nie widzieć; był czegoś smutny, zamyślony, po francuzku z panią gadał, a do chłopca ani się odwrócił, ani wspomniał o obiecanéj książce. Stach nie stracił wszakże jeszcze nadziei.

— Może jutro da—pomyślał, kładąc się spać.

Lecz i nazajutrz książki nie zobaczył, ani téż żadnego z dni następnych: dziedzic zapomniał o nim... Ale jakże zapomnąć nie miał, kiedy się tak zmartwił w Warszawie... Wacław nie zdał egzaminu do drugiéj klasy, przyjęto go tylko do pierwszéj, a tyle kosztowało pana Adama przygotowanie

do szkoły; ale Wacław nie miał najmniejszéj ochoty do książki. Pan Adam z trwogą myślał, jak téż się będzie uczyć w szkołach. Jędrzéj opowiedział raz o tém wszystkiém w kuchni wieczorem; Stach nadziwić się nie mógł, jakto można nie mieć ochoty do nauki.

Gdyby mnie oddali do szkoły, oj, uczyłbym ja się, uczył—rzekł sam do siebie—gdybym choć był dostał onę książkę, co mi dziedzic obiecał...

Od tego czasu, od owego zawodu, chłopiec posmutniał znacznie.

III.

Smutno w tym roku rozpoczęła się jesień w Górcach: wybuchła we wsi ospa naturalna, codzień na cmentarzu przybywało kilka nowych mogiłek, codzień kogoś we wsi żegnać, opłakiwać musiano. Przerażona pani Więcierska zabrawszy córki, przeniosła się do Warszawy, pan Adam pozostał, gdyż gospodarstwo nie pozwalało mu odjechać; lecz na wieś nie jeździł wcale, a Jędrzejowi, Stachowi i gospodyni, którzy miewali z nim bezpośrednie stosunki, zabronił tam bywać. Nie zapomniał wszakże o włościanach, napisał do lekarza powiatowego, aby co tydzień Górce odwiedzał, obiecując hojnie go za to wynagrodzić; prosił go też aby przysłał od siebie jakiego cyrulika z instrukcyami, któryby chorych doglądał; lekarstwa kazał na swój rachunek brać z apteki z najbliższego miasteczka. Sam jednak nigdy nie bywał we wsi, tylko przez ekonoma dowiadywał

się co tam słychać. Pusto, głucho było teraz we dworze, sąsiedzi obawiając się zarazy, nie odwiedzali pana Adama; on sam najczęściéj poobiedzia spędzał w Wólce, sąsiedniéj wiosce, która należała do niejakiego pana Marcina, człowieka już w wieku, samotnego wdowca.

Ten nie bał się ospy i zapraszał często pana Adama do siebie mówiąc:

— A przyjedź-że do mnie, mój ty pustelniku; sąsiedzi się ciebie teraz boją: niechaj ja skorzystam na tém.

Pan Adam chętnie przyjął jego zaproszenie i każdego prawie poobiedzia załatwiwszy interesa, wydawszy rozporządzenia rządcy, uciekając przed samotnością, do Wólki podążał. We dworze z tego powodu panowało zupełne bezkrólewie: Jędrzéj po całych dniach drzymał, kucharz całe poobiedzia w karczmie przesiadywał, gospodyni szyła Jaśkowi wyprawę, parobcy i dziewczęta ziewali, przeciągając się na ławach: jeden Stacho tak samo jak dawniéj cały dzień był zajęty, gdyż Jędrzéj wiele ze swoich obowiązków jemu teraz oddał, ale i on także korzystał trochę z owego bezkrólewia. Gdy pan z domu wyjechał, a Jędrzéj zdrzymnął się na stołku, pomywszy talerze, wymykał się cichaczem po obiedzie do panicza pokoju i tu spędzał całe godziny spokojny, że go nikt nie spłoszy, bo pan późnym dopiéro wieczorem zwykle po-

wracał, a Jędrzéj nie przebudzał się ze swojéj drzymki, aż posłyszał turkot na dziedzińcu.

Wacław zostawił w swoim pokoju kilka książek, które nie były mu potrzebne do nauki: przyszedłszy tutaj Stacho, brał jednę z nich, zasiadał na kanapie i zatapiał się w czytaniu, a książki owe rozmarzały i rozciekawiały coraz bardziéj chłopca i codzień większą chęć do nauki w nim budziły. Przybywszy do dworu, łudził się zrazu, iż dziedzic poznawszy, że on mądrzejszy od innych, bo czytać, pisać i rachować umié, odda go do szkoły; ale teraz stracił całkiem tę nadzieję, nawet o książce obiecanéj zapomniał, cóżby dopiéro miał pomyśleć o szkole... Stach miał nawet teraz pewne wątpliwości co do tego, czy pan Adam jest wistocie dobrym panem, takim, za jakiego ludzie go mieli.

No, prawda, krzywdy nikomu nie robi — rezonował sobie chłopak w duchu—ale téż i nic dobrego. O! nie takim był nieboszczyk ksiądz proboszcz, co to go darmo uczył; ile to on wdów wsparł, ilu sierotom los zapewnił! I jego z pewnością byłby wyprawił do szkoły, ale co pan Adam, to pewno nie pomyśli o tém nigdy; trzeba samemu coś poradzić; ale co? Stach nie wiedział co wymyślić a zapytać kogo o radę nie miał.

Razu jednego, gdy znów przyszedł do panicza pokoju, wpadła mu do ręki książka z „Przyjacielem dzieci," więc siadł z nią do czytania; natrafił właśnie na życiorys Józefa Paszkowskiego.

Tego dnia trudniéj, jak zawsze, przyszło mu złożyć książkę, zupełny zmrok, który zapadł, zmusił go dopiéro do tego. Wyszedłszy z pokoju, siadł w kuchni i zadumał się głęboko: zdawał się być bardzo zafrasowany.

— Et!—rzekł naraz sam do siebie – namówię matkę, pójdziemy do Warszawy; ona służbę przyjmie, ja spotkam jakiego dobrego pana, co mnie do szkoły zaprowadzi.

Postanowienie owo widocznie ulgę mu przyniosło, bo rozjaśnił czoło, uśmiechnął się i stanąwszy w oknie, wpatrzył się w obłoki. Dawne czasy mu się przypomniały: tam w górze przesuwały się czarne straszydła o skrzydłach wielkich, o rozwartych paszczękach; niektóre gwiazdki pochowały się przed niemi ze strachu, niektóre pobladły, i księżyc, choć większy, schował się także. Stach patrzył ciekawie i myślał.

Tam w mieście to mi powiedzą zkąd się biorą owe potwory; jak matka przyjdzie w niedzielę, powiem jéj: „chodźmy do Warszawy."

I czekał niedzieli niecierpliwie, trzy dni dzieliło go jeszcze od niéj; ale nie dłużyło mu się bardzo, bo coraz śmieléj i coraz dłużéj przesiadywał w pokoju panicza. Nareszcie zbliżył się dzień upragniony, Walkowa zwykle po sumie zachodziła do dworu. Wprawdzie odkąd ospa grasowała we wsi, pan Adam zabronił jéj przychodzić, ale ona umiała poradzić sobie: do kuchni nie wchodziła, ani nawet na dziedziniec, tylko

czekała za ogrodzeniem, dopóki Stacho w oknie lub na ganku się nie ukaże, a wtedy ręką dawała mu znak.

Jędrzéj spostrzegł to czasem, lecz udawał, że nie widzi.

W Boskiém ręku wszystko—myślał sobie—jak ma przyjść zaraza do dworu, to i przyjdzie bez Walkowéj.

Stach owéj niedzieli czekał już od rana na matkę w oknie, ale minęło południe, nie pokazała się; przeszła trzecia, czwarta, nie było jéj: nareszcie zmrok zapadł i dłużéj wypatrywać nie mógł. Smutny, niespokojny chłopiec poszedł do kuchni.

Ospa jeszcze wcale nie złagodniała, codzień porywała nową jakąś ofiarę; kto wie, może i matka chora leży — tak sam do siebie mówił. Całą noc nie zmrużył oka, a gdy świtać poczęło, zerwał się z pościeli cichutko, ubrał się śpiesznie i wysunął na dziedziniec.

Zabiegnę na pola — myślał — może spotkam kogo, może mi powiedzą, co matka robi.

I wyszedł za płot okalający dziedziniec. Zaledwie uczynił parę kroków, spotkał znajomą matki starą Marcinowę, która jako znachorka, wielkiéj we wsi powagi używała.

Stach pokłonił się jéj nizko.

— Niech będzie pochwalony!—rzekła.

— Na wieki wieków!—odparł Stacho.

Staruszka zatrzymała się, spojrzała jakoś dziwnie na chłopca, jakby z litością i szepnęła, ruszając poważnie głową:

— Oj! nieboże ty, nieboże, jakże mi ciebie żal!

— A bo co?—zapytał Stach.

— To ty nic nie wiesz?

— A nic.

— Matka twoja niedomaga.

— Cóż jéj?

I Stach zbliżył się żywo do staréj.

— To, co innym—odparła tamta—pewno powieziesz ją na cmentarz.

Chłopak ręce załamał, popatrzył na starą z przestrachem, potém nagle puścił się pędem strzały ku wiosce.

— Nie chodź tam! wam ze dworu nie wolno nas odwiedzać—wołała Marcinowa—jeszcze cię wypędzą.

Ale Stach nie słuchał, leciał wciąż, ani się obejrzał, i nie oparł się aż przy chałupie, w któréj matka mieszkała... Drzwi były nawpół uchylone, odepchnął je i wszedł do izby: gospodarz ze starszym synem z pługiem w pole pociągnęli, gospodyni do ogrodu, jarzyny płukać, Julek z bydłem teraz chodził; cicho tu było, ale czujne ucho Stacha posłyszało jakby jęk i rozejrzał się wokoło: podniósł głowę i spostrzegł na piecu, tam gdzie on kiedyś legiwał, jakąś postać: w jednéj chwili był przy niéj.

— Matuś moja, matuś! co wam to?—zawołał rzucając się matce na piersi.

Walkowa podniosła głowę, twarz jéj była okropnie zeszpecona: czerwona, zbrzękła, krostami okryta; uśmiechnęła się jednak do chłopca, poznała go i ramieniem za szyję objęła.

— A nie złają cię za to, żeś tu przyszedł?—zapytała.

Stacho machnął ręką pogardliwie, ona go czuléj do piersi przytuliła.

— Mój ty jedyny, mój ty ukochany, rybeńko ty moja, ptaszeczku mój!—rzekła.—Bóg miłosiernym przecież będzie, zachowa mi życie, żebym z ciebie pociechy doczekać mogła.

I całowała złote włosy chłopca, a on tulił się do niéj i szeptali sobie najsłodsze słowa miłości, a dzień coraz większy robił się tymczasem na niebie i słonko nareszcie wpadło przez okno do izdebki i jasno się w niéj zrobiło; kury, co na ławach spały, zagdakały, wróble za oknami zaświergotały; ale Stach z matką nie widzieli, nie słyszeli tego: sobą tylko byli zajęci. Stach miał wielką ochotę powiedzieć matce coś o swych zamiarach, ale jakoś nie mógł zacząć, pieścił ją tylko i myślał, jakby to powiedzieć. Naraz drzwi chaty rozwarły się z hałasem i w progu ich stanął jakiś wyrostek, o twarzy czerwonéj, szerokiéj, oczach maleńkich, złośliwych, o rudych włosach. Stanął w progu, rozejrzał się wokoło, podniósł wzrok na piec i krzyknął:

— Toś ty tu!... a nie wiesz, że dziedzic zabronił ci do wsi chodzić?

Walentowa zadrżała.

— Idź już, idź synulku—szepnęła.

Stach obrócił się ku drzwiom, to Jasiek stał tam, syn gospodyni; pewno go Jędrzéj posłał po niego. Serce mu zakołatało oburzeniem, ale nie opierał się rozkazom matki; pocałował ją w rękę i zlazłszy z pieca, ku drzwiom postąpił. Jasiek przyskoczył do niego i kułaka dał mu w plecy, potém za czuprynę wytargał.

— A słuchaj pana—rzekł—niech mu Jędrzéj powie gdzieś był, wypędzi cię pewno.

Widziała to obejście z synem Walkowa, słyszała co Jasiek powiedział i gwałtownym ruchem podniosła się z pościeli; chciała prosić chłopca, by nie mówił gdzie znalazł Stacha, chciała go błagać, zaklinać, gonić za nim, lecz siły ją zawiodły, nawet zawołać nie była w stanie: padła na siennik nawpół omdlała i jęknęła cicho.

Pan Adam nie dowiedział się wszakże o tém, czego się dopuścił Stacho. Jędrzéj lękał się, by chłopca nie oddalił ze dworu, bo wtedy cała robota na niegoby spadła; więc nie poskarżył się, tylko sam sprawiedliwość wymierzył: wyczuchrał za uszy Stacha, a potém zapędził do pracy.

Łykając łzy, Stach zabrał się do sprzątania, ale choć poszedł do panicza pokoju, nie zasiadł dziś do książek i poobiedzie nie przyszedł też

tutaj; cały dzień myślał tylko o matce, cały dzień łzy ocierał, aż Jędrzejowi żal się zrobiło i pogłaskawszy go wieczorem, rzekł:

— Czego płaczesz, a chociaż i matka zamrze, to co; jéj po śmierci lepiéj przecie będzie, a tobie ani lepiéj, ani gorzéj. Dziedzic nikomu jeszcze krzywdy nie wyrządził, témbardziéj sierocie.

Nie pocieszyły wszakże te słowa Stacha, przeciwnie, rozżaliły go bardziéj jeszcze.

A ktoby go kochał, gdyby matka umarła— myślał sobie—dziedzic mu krzywdy nie robi, ale go przecie nie kocha, dziedzic ma panicza do kochania.

Ciężko mu było na duszy, rad byłby wyrwać się do matki, a bał się Jędrzeja; gdyby choć mógł dowiedzieć się od kogo, co ona robi, ale od kogo? Gdyby matka Julka przysłała do niego: żałował, że ją o to nie prosił.

A może sam od siebie przyjdzie? — pomyślał sobie, zbudziwszy się następnego dnia i wciąż przez okno wypatrywał, czy syna gospodarza nie zobaczy za ogrodzeniem, lub kogo innego z chaty, ale próżno wyglądał. Bo i któż miałby ochotę chodzić po świecie w taki czas: wiatr świstał po polu, deszcz pluskał od rana, a Stachowi się zdawało, że coś mówi ciągle tam za oknami: „Oj nieboże ty, nieboże!" że coś jęczy i szlocha w ogrodzie; chwilami zdejmował go taki strach, że aż uszy zatykał.

Samym wieczorem, a było to już po kolacyi, wiatr się uspokoił, deszcz przestał pluskać i Stach odetchnął jakoś lżéj, bo już nie słyszał owych jęków i szlochów; poszedł więc na strych po swój siennik, by się spać położyć. Właśnie wyszedł do sieni, gdy mu się zdało, że za progiem na schodkach stoi jakaś postać, więc się zbliżył i głowę za drzwi wysunął.

— A co ty tu robisz, Julku?—rzekł, poznał bowiem syna gospodarza.

— Tatulo mię przysłali, żeby ci powiedzieć, co matka twoja już umarła.

Stach jęknął, załamał dłonie i stanął jak skamieniały.

— Jutro ją chować będą — mówił daléj Julek—zara raniusieńko, tak ksiądz kazał; jużemy ją ponieśli do grabarni, bo w chacie takich trzymać nie wolno; trumne stolarz zrobił: matka prosiła, żeby ją uczciwie pochować.

Stach stał nieruchomy, czy słyszał co do niego Julek mówił, trudno to było zgadnąć, ale musiał chyba słyszeć, bo gdy tamten umilkł, wziął go za rękę i rzekł cicho:

— Pójdę ja do was; jutroby mi iść nie dali, a tera nikt nie będzie wiedział... pan już śpi i Jędrzéj także.

— A chodź—odparł Julek.

I poszli razem i znikli niedługo w ciemnościach nocy, tylko szelest ich kroków słychać

zrazu było, ale i ten ucichł niebawem i nikt nie spostrzegł, że Stach poszedł do wsi.

* * *

Nazajutrz wcześnie bardzo, jak tylko pierwsze brzaski dnia błysnęły, odbył się pogrzeb Walkowéj, odbył się uczciwie, przyzwoicie: stolarz zrobił trumnę porządną, deski wyheblował, pomalował na czarno, a na wieku biały krzyż naznaczył; organista cztery świece zapalił przy ciele, ksiądz wyszedł z wodą święconą, ziemię pokropił i zaśpiewał „*Requiescant in pace!*" grabarz mogiłę usypał wysoką, długą...

Wszystko to stało się za sprawą starego Bartosza, którego Walkowa umierając prosiła, by ją pochował, tak jak przystało córce gospodarskiéj; więc jak tylko kobiecina oczy zamknęła, pobiegł sam do stolarza, potém do kościoła i rozporządzenia wydał. Walkowa zostawiła trochę grosza i trochę płótna w skrzyni: jednych pieniędzmi, drugich płótnem zapłacił Bartosz, a gdy wieczorem przyszedł sprowadzony przez Julka Stacho, wręczył mu jeszcze w rękę woreczek, w którym było dwa ruble i powiedział:

— To ci zostało po matce, weź sobie i zachowaj na czarną godzinę.

W skrzynce znajdowało się trochę rzeczy i te chciał Bartosz chłopcu oddać, ale Stach nie przystał.

— Mnie nic z tego—powiedział—a gospodyni przyda się może: nie wezmę skrzynki.

Potém ścisnął kolana Bartosza, dziękując mu za jego poczciwe serce, za jego trudy około pogrzebu; ale Bartosz bronił się od podziękowań mówiąc, że zrobił tylko to, co mu obowiązek chrześcianina nakazywał.

Całą noc Stacho nie kładł się spać, czekając pogrzebu, przesiedział na ławie, a gdy świt zajrzał w okienko, wstał i poszedł do kościoła. Wkrótce za nim pociągnął gospodarz z gospodynią a także i stara Marcinowa: byli to jedyni przyjaciele, co Walkowę na cmentarz odprowadzili... Gdy grabarz wsunął trumnę do dołu, rzucili na nią po garstce ziemi, poczém rozeszli się, zostawiwszy sierotę samego na mogile; o los jego nie zatroszczyli się ani na chwilę: wszakże dziedzic był jego opiekunem, pewni byli, że Stach prosto z cmentarza do dworu podąży. I we dworze tak myślano. Jędrzéj nie szukał Stacha, bo mu ktoś powiedział o śmierci Walkowéj; domyślił się, że poleciał na pogrzeb, a tak okrutnym przecież nie był, żeby mu tego bronić; ukrył nawet prawdę przed dziedzicem: gdy pan Adam, który przywykł, iż Stach zawsze przynosił ubranie do jego pokoju, zapytał o chłopca, powiedział, iż posłał go po wodę.

Stach długo modlił się na mogile matki, potém jeszcze ukląkł na grobie księdza i pacierz zmówił; nakoniec powstał i zwolna skierował się

ku furtce cmentarza. Minąwszy ją, zatrzymał się i począł rozglądać, jakby się namyślał, gdzie iść. Trzy ścieżyny rozbiegały się ztąd: jedna prosto do kościoła, druga do lipowéj alei, co z dziedzińcem dworskim się łączyła, trzecia wiła się między łąkami, za któremi czerniał las. Stach stanął, popatrzył to w jednę, to w drugą, to w trzecią stronę, przeżegnał się i poszedł ścieżyną wijącą się między łąkami. Cicho było na świecie, wioska jeszcze spała, tylko skowronek nucił w górze, witając wschodzące słońce; chłopiec szedł śpiesznym krokiem, jakby się lękał, żeby kto nie pobiegł za nim. Nareszcie dotarł do lasu, wszedłszy między drzewa odetchnął całą piersią, gdyż zmęczył się bardzo, siadł na mchu i chwilę odpoczął. Niebawem podniósł się wszakże i zapuścił wgłąb lasu. Las był nie szeroki, minął go wkrótce i znowu otoczyły go łąki. Poza temi wdali widać było wioskę, Stach przystanął, popatrzył ku niéj jakby się namyślał, czy tam się nie skierować, bo głód dał mu się we znaki; inaczéj wszakże postanowił, poszedł w przeciwną stronę, puścił się brzegiem pól zaoranych i łąk zielonych, a pola owe i łąki ciągnęły się bez końca: mijały godziny, a one wciąż wiły się i wiły, jakby nigdy skończyć się nie miały. Stach nie ustawał wszakże, ocierał pot z czoła, chwilami zatrzymywał się; lecz odetchnąwszy mocniéj, puszczał się znowu w podróż w nadziei, że poza temi polami ujrzy nakoniec Warszawę, ujrzy to

miejsce wybrane, gdzie każdemu wolno się uczyć, cel marzeń swoich... Matka umarła, nic go już teraz z wioską nie wiązało, rzucił ją przeto; rzucił dwór, gdzie mu kazano cały dzień tylko czyścić noże, myć talerze lub pokoje zamiatać: rzucił to wszystko i puścił się na wędrówkę, niewątpiąc, że trafi do Warszawy. Nareszcie coś zamajaczyło w dali, za polami ukazał się znowu las.

Może poza tym lasem jest Warszawa— pomyślał sobie i przyśpieszył kroku, lecz zmrok już począł zapadać; gdy wszedł między drzewa, przekonał się, że iść daléj niepodobna, gdyż w ciemności mógł zajść na jakie bagna lub rozdroża. Nie przeraził się tém przecież, wyciągnął się na miękkim mchu, a odpocząwszy nieco, wstał, by nim noc zapadnie, poszukać sobie pożywienia. Była to pora dojrzewania borówek, mnóstwo ich czerwieniło się między mchem, schylił się przeto po nie. Nazbierawszy pełną czapkę, wrócił pod drzewo i posilił się, potém wyciągnął się znowu na mchu i wpatrzył w obłoki. Smutno mu było na duszy, jeszcze mu dźwięczał w uszach żałobny dźwięk dzwonu, jaki towarzyszył matce do mogiły, jeszcze słyszał śpiew monotonny księdza, ale czuł się swobodnym przynajmniéj. Patrzył w obłoki, marzył o Warszawie, a nie lękał się, że go Jędrzéj szturchnie i powie: „Cóżto, darmo będziesz jadł chleb?"

Las szumiał tak uroczysto, a on słuchał z rozkoszą tego szumu, wspominając dawne czasy, kiedy to jeszcze chodził do księdza na naukę i zdawało mu się, że słyszy głos proboszcza, który powiada mu: „Ucz się chłopcze, nauka twą dolę poprawi.” On téż będzie się teraz uczyć, będzie z pewnością, niechaj tylko do Warszawy się dostanie.

Spoglądał w niebo i zdało mu się, że tuż nad głową jego leci biały anioł o skrzydłach lekkich, szerokich, że ten anioł podobny jest postawą do jego matki, że mu błogosławi z góry, daje mu krzyżyk na wędrówkę, w którą się puścił. Aż powoli, powoli, rozmarzona jego głowa jakoś ociężała i zwisła nakoniec, bezwładnie opadła na mech, powieki się skleiły i sen cichy, spokojny nim ogarnął.

Tak spał do rana, zbudził się dopiéro wtedy, kiedy ptastwo głośnym rozchoworem napełniło las. Wrony krakały głośno, witając wschodzące słońce, zięby i wróble świergotały zapamiętale; Stach porwał się żwawo na nogi i uśmiechnął do słońca, do ptastwa; był wolnym, swobodnym zupełnie, ta myśl niewysłowioną błogością napełniała jego serce: padł na kolana, zmówił krótką modlitwę i puścił się znowu w drogę, puścił się między świerki i sosny ciemne kierując się ku wschodowi. Tym razem las był większy, ale i ten wkońcu rzednieć począł i Stach ujrzał znowu zaorane pola czarne, skiby ziemi,

a za niemi nizkie domki snopkami kryte. Jeść mu się dziś bardzo chciało, tu się nie lękał, aby go kto poznał; więc skierował się do najbliższéj chaty i poprosił, aby mu sprzedano kubek mleka i chleba bochenek.

Gospodyni, siwa staruszeczka, popatrzywszy nań życzliwie, zaprosiła go do izby, kazała mu usiąść na ławie, dała mu chleba, dała mleka, ale pieniędzy wziąść nie chciała, mówiąc, że Pan Bóg każe podróżnego nakarmić. Gość ją zajął widocznie, bo rozpytywać zaczęła, co za jeden, gdzie idzie; Stach opowiedział jéj szczerze swoje dzieje i przyznał się dokąd i poco dąży. Starowina głową pokiwała.

— Oj lepiéj ci było we dworze zostać— rzekła—tam chleb pewniéj i dola spokojniejsza; ale widać ci tak już pisano w niebie, że masz cierpieć, kiedy Bóg w serce twe taką chętkę rzucił.—I ruszyła smutno głową.—Żal mi ciebie nieboraku — mówiła — oj nacierpisz ty dużo w życiu!

Ale Stacha nie przestraszyły te słowa, nie odebrały mu odwagi, zapytał czy daleko ztąd do Warszawy; a gdy mu staruszka powiedziała, że idąc prosto drogą między polami, od jéj chaty się ciągnącą, za dwie godziny dojdzie do rogatek, aż poczerwieniał z radości. Podziękowawszy za gościnność, puścił się w drogę. Staruszka prawdę mówiła, po dwóch godzinach drogi Stacho ujrzał przed sobą rogatki Mokotowskie.

Lękliwie zbliżył się do nich, bo strażnicy, co szlabanu pilnowali, strach w nim zbudzili; zatrzymał się nawet na chwilę, lecz widząc, że jeden w budce drzymie, a drugi pali fajkę spokojnie, przeszedł śmiało i zapuścił się w Mokotowską ulicę, z téj na Nowy-Świat. Gwar miasta tak go zrazu odurzył, iż nie czuł znużenia, ani głodu, szedł i rozglądał się wokoło ciekawie. Te domy wysokie, olbrzymie, te sklepy postrojone, te pojazdy snujące się ustawicznie środkiem ulicy, ci ludzie nareszcie, którzy popychali go wciąż i mijali, wszystko to razem dziwiło go... Cochwila przystawał i patrzył, ale po godzinie oswoił się z tém wszystkiém, a natomiast przypomniał sobie, że prócz kubka mleka i kawałka chleba, nic dziś jeszcze w ustach nie miał; więc rozejrzał się po ulicy, gdzieby co kupić sobie można i na schodkach jednego sklepu zobaczył starą kobietę, która ciastka w koszu sprzedawała. Kupowali od niéj ci i owi, więc i on téż się zbliżył i zażądał kilka ciastek, miał przecież w woreczku całe dwa ruble. Ale ciastka nie wiele mu sił dodały, więc zjadłszy je, począł znowu rozglądać się po ulicy: wieczór zapadał, chciał byłby nocleg sobie téż zapewnić. Panicz mówił mu przecież, że w Warszawie są domy zajezdne, on patrzył po domach, ale nigdzie napisu taki dom wskazującego nie widział. Ładna jego twarzyczka, duże, niebieskie, myślące oczy i ten wyraz niepokoju, wachania,

który się w nich malował, zwracały uwagę przechodniów: widoczném było, że on nie zna miasta, że błąka się niepewny po ulicy, ale nikt nie zatrzymał go i nie zapytał czego szuka.

Rozglądając się po domach, Stach doszedł nareszcie do rogu Świętokrzyzkiéj; właśnie namyślał się, czy w boczną ulicę nie zawrócić, gdy zbliżył się do niego jakiś człowiek w surducie wytartym, o twarzy rumianéj, oczkach maleńkich i zapytał:

— Czego ty szukasz, chłopcze?

— Czego?—powtórzył Stach, namyślając się nad odpowiedzią—no, głodny jestem i zmęczony, idę z dalekiéj wędrówki, a nie wiem, gdzieby tu spocząć można.

— A masz ty pieniądze?

— Mam.

— Ile?

— Dwanaście złotych i groszy dziesięć.

— To chodź zemną, zaprowadzę cię do restauracyi.

Stach popatrzył na nieznajomego, jakoś mu się on niebardzo podobał, ale co miał robić, kiedy sam sobie rady dać nie umiał, poszedł więc. Nieznajomy poprowadził go w ową boczną uliczkę i wszedł z nim do jakiéjś ciemnéj sieni, z téj do widnéj izby, gdzie kilka stołów stało, a przy nich siedzieli rozmaici ludzie i jedli. Niebawem przyniesiono im téż dwa talerze flaków dymiących i dwa kufle piwa. Stach zasiadł

z chciwością do jadła i nabrał zaufania do nieznajomego; powiedział mu, że szuka szkoły, bo uczyć się chce, że po to tylko przywędrował do Warszawy.

— Ho! ho! myślisz, że to do szkoły tak zaraz przyjmą każdego — rzekł tajemniczy jegomość—nie tak to łatwo, a potém, ktożby ci dał jeść, ktoby cię przytulił; w szkole uczą, ale więcéj nic.

Stach zadumał się.

— Ot, posłuchaj mojéj rady—ciągnął daléj towarzysz głosem grubym, tubalnym.—Zdaje mi się, że z ciebie sprytny chłopak; jestem majster szewski, mam warsztat własny: chodź ty do mnie, nauczę cię rzemiosła, to ci da chleb. W niedzielę z innymi do szkoły będziesz chodził, sam cię do niéj poprowadzę: tam nauczą cię pisać, rachować, a potém innych ciekawych rzeczy.

Stach nic nie odpowiadał, jadł tylko w zamyśleniu. Gdy sprzątnęli talerze, wówczas nieznajomy kazał zapłacić Stachowi całego półrubla; chłopiec aż się przestraszył, że tyle ma dać, ale nie śmiał słowa powiedzieć: odliczył pieniądze i oddał je niespodziewanemu opiekunowi, poczém poszedł powoli za nim—podążyli na ulicę. Coś mu szeptało wprawdzie w duszy: „nie chodź z nim," ale co miał robić, kiedy nie wiedział, gdzie się podziać... Może byłby jeszcze nie poszedł, ale mu obiecał, że go w niedzielę do szkoły poprowadzi, że w téj szkole będzie się

uczyć różnych ciekawych rzeczy, a czegóżby on dla nauki nie zrobił?..

* * *

Kiedy południe nadeszło, a Stacha z powrotem we dworze nie było, Jędrzéj wysłał po niego Jaśka do Bartoszów; ale gospodyni, którą chłopak zastał w chacie, powiedziała mu, że Stacho modli się pewno jeszcze na mogile matki, bo go tam zostawili. Jasiek pociągnął na cmentarz, a gdy tu Stacha nie znalazł, poszedł do organisty. Organista nic innego nie umiał mu powiedzieć, jak to co już powiedziała Bartoszowa, a Jasiek, który sprytem się nie odznaczał, widząc że chłopca na cmentarzu nie ma, do dworu powrócił i zdał sprawę ze swych poszukiwań.

Zafrasował się Jędrzéj, ale panu nic nie powiedział, złajał tylko Jaśka.

— Gap z ciebie—rzekł—żeby téż chłopca nie znaleźć; pewno musi być u kogo: idź mi natychmiast na wieś i sprowadź go.

Jasiek poszedł, chodził od chaty do chaty, ale Stacha nie znalazł, a że z każdym, co go spotkał, pogawędził trochę, że zaszedł nawet i do karczmy, późno już było przeto, kiedy do dworu powrócił.

Pan Adam pojechał tego dnia do Wólki, już go w domu nie było, Jędrzéj nie miał przeto kogo się poradzić; ale jak tylko dziedzic powró-

cił, poszedł natychmiast do niego i prawdę mu powiedział.

Zmartwił się szczerze pan Adam, bo on chłopca lubił; kazał przywołać rządcę i polecił mu, aby jaknastaranniéj Staśka poszukiwać, dać nawet znać do władzy.

I spełniono jego rozkazy, szukano dziecka w całéj wsi, szukano i w wioskach poblizkich, lecz nie znaleziono. Kiedy po tygodniu takich bezowocnych trudów, Jędrzéj pewnego wieczora przyszedł wedle zwyczaju usłużyć dziedzicowi, pan Adam zwróciwszy rozmowę na Stacha, rzekł:

— Szkoda chłopca, wszak prawda Jędrzeju? sprytny był i ładny z niego chłopak, co téż się z nim stało?

Ale Jędrzéj machnął na to ręką.

— Et, nie szkoda, jaśnie panie—rzekł—ja zawsze mówiłem, że z niego albo gap wyrośnie, albo wielki wisus: ot i prawdę mówiłem... Uciekł, bo mu się robić nie chciało.

Pan Adam zadumał się nad tą odpowiedzią.

A może ma i słuszność? — pomyślał i westchnął—taka to korzyść dobrze im świadczyć.

Od tego dnia nie mówił więcéj o Stachu i powoli zapomniał o nim. Jędrzéj naradził panu aby na miejsce Stacha wziął młodszego syna gospodyni, małego Jóźka; chłopak okazał się sprytny i chętny: o tamtym już ani wspomniano. Tymczasem zaraza we wsi ustała „powędrowała za lasy i bory" jak ludzie w Górcach mówili,

zapomniano powoli o tych, których z sobą zabrała i wesołość do chat powróciła; dwór się ożywił, przyjechała pani z panienkami i znowu wszystko szło dawnym trybem. Minął październik, minął listopad, zawitał grudzień, panienki już szeptać poczęły między sobą o gwiazdce, przygotowywały rozmaite podarki dla Wacława, którego powrotu z utęsknieniem wyglądały... Pani Więcierska również jak córki zajętą była nadchodzącemi świętami, wyszywała czaprak dla dawno niewidzianego syna, a pan Adam mówił, że po niego pojedzie.

Gwarno było i wesoło we dworze, o Stachu nikt tu nie myślał; my wszakże nie zapomnieliśmy o nim, więc postaramy się dowiedzieć co on porabia. Chcąc to uskutecznić, trzeba nam iść na ulicę Piwną, gdzie mieszka pan Jacenty Szrubowski, majster szewski; ma on swój warsztat w kamienicy, nad sienią któréj widać wymalowaną Najświętszą Pannę z Dzieciątkiem Jezus. Po wązkich schodkach wchodzimy do izby dużéj o dwóch oknach, która służy widocznie za warsztat, urządzenie jéj świadczy o tém. Wzdłuż izby stoją stołki wysokie, okrągłe, na nich różne narzędzia rzemiosła szewskiego i różne materyały: szydła, dratwy, garczki z klejem, nożyczki, igły, skóry; obok tych stołków stoją drugie niższe: te puste teraz, w dzień siedzą na nich czeladnicy, którzy na noc do rodziców odchodzą. Już północ, pierwsza nawet dochodzi, w izbie cicho, głucho i ciemno, w ko-

minie tylko coś świeci, ale komin firanką zasłoniony; przecież przez szpary światło się przedziera: zajrzyjmy tam, cóż widzimy? Na nizkim zydelku siedzi chłopak blady, wynędzniały, oczy jego tylko błyszczą blaskiem nienaturalnym, siedzi z głową podpartą na dłoniach, a łokciami na kolanach i czyta coś pilnie; przed nim łojowa świeczka, zatknięta w butelkę, daje słabe światło... To Stacho: pobladł, zmizerniał do niepoznania, bo téż pan Jacenty, u którego uczył się chłopiec rzemiosła, nie jest zbyt czułym opiekunem; jeść daje mało, do roboty nagania, szturchańców nie żałuje, ale Stach znosi wszystko cierpliwie i głód i kułaki, bo tu przynajmniéj uczyć się może, bo tu chodzi choć w niedzielę do szkoły. Wprawdzie pan Jacenty nie miał na to wielkiéj ochoty, ale Stach tak go prosił, tak co dzień mu przypominał obietnicę, że ten wreszcie zapisał go do szkoły rzemieślniczéj; bał się bowiem, że gdy chłopca życzenia nie zadowolni, to chłopak go rzuci, a robotnik był z niego dobry, naganiać go nigdy nie trzeba było. Jeśli Stacho obrywał kułaki, to tylko za owe nocne z książką siedzenia. Pod tym względem był bardzo uparty, nieledwie co noc coś oberwał, a przecież co noc wstawał i siadał w kominie z książką.

Niechaj bije — myślał sobie — poboli i przestanie, a co się dowiem nowego, to się dowiem.

Pan Jurkowski, nauczyciel szkoły, do któréj chodził co niedziela, poznawszy jego chęć do

nauki, wypożyczał mu książki; gdy chłopiec jednę oddał, dawał mu drugą, tak więc miał zawsze co do czytania. Ostatniéj niedzieli dostał „Wieczory w Ojcowie," książka ta zajmowała go mocno, nie mógł się od niéj oderwać; nieraz do drugiéj, nieraz i dłużéj siedział nad nią. W téj chwili właśnie miał ją w ręku, a tak się w niéj zatopił, iż nic już nie widział i nie słyszał, co się wokoło niego dzieje, nawet głośnego chrapania pana majstra, który miał swoję sypialnią zaraz obok warsztatu.

Pan Jacenty spał smacznie, ani się domyślając, że Stach znowu czyta; ale niestety, światło łojówki przekradłszy się przez szparę, jaka się wytworzyła między firanką a kominem, pobiegło aż do drzwi sypialni pana Jacentego, które nie bardzo szczelnie były przypasowane, a ztąd do łóżka majstra. Odwrócony do ściany nie poczuł go zaraz pan Jacenty, ale kiedy potém przewrócił się w przeciwną stronę, światło padło mu zdradziecko prosto w oczy. Nie zbudziło wprawdzie zaraz śpiącego, przecież poczuł je widocznie majster, bo coś mruknął, rękę podniósł do oczów, potém ziewnął, nakoniec oczy otworzył i rozejrzał się wokoło. Naraz zeskoczył z łóżka.

— Znowu to samo — rzekł półgłosem — nie, tego już zawiele, trzeba raz z tém skończyć.

Nad łóżkiem jego wisiała dyscyplina o pięciu paskach.

— Wypędzę ja ci z głowy tę naukę—szepnął zaspanym tonem i sięgnął po ową dyscyplinę, ubranie wsunął na siebie i cicho skierował się do warsztatu.

Zatopiony w książce Stach, ani się domyślał co mu grozi, gdy naraz uczuł się pochwyconym za kołnierz. Silne dłonie pana Jacentego zrzuciły go z komina i okładać poczęły dyscypliną.

— A będziesz ty mię zawsze budzić po nocach, będziesz nie słuchać, muszę cię ja...—krzyczał majster, a dyscyplina to spadała na plecy Stacha, to wznosiła się w górę.

— Wypędzę ja ci tę naukę z głowy, wypędzę z pewnością; po nocach nie śpi, potém drzymie przy warsztacie.

Stach wił się, ale nie płakał; coby on nie zniósł dla nauki, nawet niesprawiedliwe zarzuty, że drzymie przy warsztacie, boć tego niedopuszczał się nigdy. Dla nauki znosił cierpliwie razy, czekając, aż majstra gniéw się ułagodzi. Już przyzwyczajony był do podobnych przejść, ale tym razem gniéw pana Jacentego jakoś niełagodniał, dyscyplina na plecy spadać nie ustawała.

— Będziesz mi kradł świece!—wołał z coraz większym zapałem—ty niegodziwcze!

Na wyraz kradł, Stach szarpnął się tak mocno, iż wyrwał się z rąk majstra i stanąwszy naprzeciw niego w postawie zbuntowanego, zmierzył go wzrokiem śmiałym.

— Niech pan majster mię nie wyzywa, nie kradnę świéc, złodziejem nie jestem; kupuję je sobie za pieniądze, co mi panowie dają, gdy im robotę odnoszę—rzekł drżącym głosem.

Pan Jacenty spojrzał zdumiony i na chwilę jakby ochłonął, ale niebawem gniéw znowu nim owładnął silniéj jeszcze niż przedtém.

— Cóżto, smarkaczu, stawiać mi się jeszcze będziesz!—krzyknął—dam ja ci tu: popalę książki i do szkoły nie pozwolę chodzić, kiedy cię tam hardości uczą.

I postąpił ku Stachowi, ale ten cofnął się.

— To ja wtedy poskarżę się panu Jurkiewiczowi i pana majstra porzucę—rzekł śmiało.

Tego było już zawiele panu Jacentemu. Piwo, którego wieczorem więcéj jak zwykle się napił, zaszumiało mu w głowie; skoczył nawpół przytomny do chłopca, podniósł dyscyplinę w górę, nie patrząc gdzie raz pada. Dyscyplina spadła, Stach jęknął i zachwiał się, ale majster nie uważał na to; ponowił raz i znowu chłopca w głowę uderzył, potém schwyciwszy go za kołnierz, popchnął do drzwi, otworzył je, sprowadził Stacha ze schodów przez sień, któréj drzwi na klucz nie zawsze były zamknięte i na ulicę wyrzucił. Stach padł na biały śnieg, zaścielający chodnik; chwilę leżał nieruchomy, ale chłód śniegu otrzeźwił go powoli, westchnął i dźwignął się. Smutny uśmiech okolił jego usta, spojrzał w niebo zasiane gwiazdami i powlókł się w stronę

Krakowskiego Przedmieścia, przycisnąwszy książkę do piersi, bo téj cały czas z rąk nie wypuścił, nawet wtedy, gdy go majster bił.

— To i co, że mię wyrzucił—rzekł sam do siebie—pójdę do pana Jurkiewicza.

* * *

Nazajutrz na Krakowskiém Przedmieściu, około kamienicy Röslera zebrała się gromada ludzi, otoczyła ona jakiegoś biédnego chłopca, który siedział pod ścianą domu na schodkach i zdawał się być blizkim śmierci; oczy miał bowiem przymknięte, usta sine, twarz bladą: siedział nieruchomy z głową opartą o ścianę, żadnego znaku życia nie dawał, tulił tylko do piersi jakąś książkę, w czarne płótno oprawną. Chłopiec ów miał na sobie szerokie szarawary, buty wysokie i kurtkę wyszywaną pętlicami. Ludzie przypatrywali mu się ciekawie, ten i ów zagadnął go to o nazwisko, to o co innego, ale chłopak zdawał się nikogo nie słyszeć; nareszcie przyszło komuś na myśl sprowadzić stójkowego: znaleziono go na rogu ulicy i opowiedziano o biedném dziecku. Stójkowy podążył na wskazane miejsce, tłum mu drogę do chłopca otworzył, a on zbliżywszy się do niego, rękę mu na ramieniu położył.

— Jak się nazywasz?—zapytał.

Chłopiec milczał.

— Czyś chory?

Nie było żadnéj odpowiedzi.

Pochylił się do dziecka i chciał wyjąć z rąk jego książkę, ale chłopiec ręce silniéj zacisnął. Ruszywszy ramionami stójkowy, skinął na dorożkę, która właśnie ulicą przejeżdżała, wziął chłopca na ręce, a wsiadłszy z nim, krzyknął:

— Do szpitala dziecinnego!

Któż nie domyślił się, że owym chorym chłopcem był znajomy nam Stach; razy jakie otrzymał w głowę, noc spędzona na mrozie, nie mogły przejść bezkarnie, był ciężko chory: stójkowy odwiózł go do szpitala i oddał w opiekę zakonnicom. Zakonnice złożyły go do ciepłego łóżka, otoczyły staraniem, a gdy doktor w południe przyszedł do szpitala, poprowadziły go do niego. Doktor oświadczył, że chłopiec ma silne zapalenie mózgu i zalecił jaknajwiększą ciszę dokoła. Zakonnice chłopca nie odstępowały, zmieniały się ciągle, ani na chwilę samego nię zostawiały. Interesująca twarzyczka dziecka, książka jaką przy nim znalazły i to co o nim stójkowy powiedział, wzbudziły w szpitalu ogólne zajęcie. Chciano się dowiedzieć coś pewniejszego o jego losach, ale Stach ani oczów nie otwierał, ani ust, książkę tylko ściskał, nie dając jéj sobie odebrać.

Tak minęło trzy dni: było to około wieczora, właśnie jedna z zakonnic sprowadziła posługaczkę do łóżka niedawno przybyłego cho-

rego, żeby mu je przesłać. Posługaczka była to kobiéta już czterdziestoletnia, pochodziła z okolic Warszawy, nosiła strój wieśniaczki; zbliżywszy się do łóżka, pochyliła się nad chorym, by go wziąść na ręce, gdy ten nagle drgnął i otworzył oczy.

— Matuś moja!—rzekł uśmiechając się mile do kobiéty. — Dobrzeście zrobili, żeście przyśli, mam wam coś powiedzieć: ksiądz proboszcz był u mnie i dał mi ten oto elementarz—to mówiąc pokazał książkę, którą w ręku trzymał. — Powiedział, że mnie znowu uczyć będzie; widzicie, że on nie umarł, a gadaliście, że już na cmentarzu.

Kobiéta pogładziła jasną główkę Stacha.

— Bo mi tak ludzie mówili — rzekła — ale daj-no ten elementarzyk, schowam go.

Stach wyciągnął rękę z książką.

— Schowajcie tylko dobrze — rzekł i oddał książkę, oczy zamknął i znowu drzymać począł.

Posługaczka spojrzała na zakonnicę, nie wiedząc, co ma czynić.

— Weź go na ręce—rzekła tamta—ja łóżko prześcielę.

Posługaczka spełniła rozkaz, lecz gdy podsunęła ręce pod chorego, ten znowu oczy otworzył. Tym razem nie było na jego twarzy miłego uśmiechu, był na niéj tylko przestrach, trwoga śmiertelna. Schwycił kobiétę za rękę.

— Matuś! oni tu idą, schowajcie elementarzyk—rzekł głosem wylękłym — dla-Boga, schowajcie, bo pan Jacenty go spali... Czy słyszycie, już jest za drzwiami, prowadzi ze sobą Jędrzeja, zabiorą mnie do dworu i uczyć się nie dadzą, każą wciąż tylko czyścić i czyścić noże. Matusiu, brońcie mię, moja złota!

— Nie bój się, nie damy cię wziąść—rzekła posługaczka—ot, posłuchaj, już poszli.

Stach począł się wsłuchiwać i spokój wrócił mu na lica. Uśmiechnął się mile.

— Już poszli—szepnął i zamknął znowu oczy.

Zakonnica skinęła na posługaczkę.

— Odejdź do kuchni — rzekła — potém mu prześcielemy.

Posługaczka odeszla, a zakonnica siadła niedaleko łóżka.

Cisza zaległa salę, bo inne dzieci téż spały, słychać było tylko szmer wahadła zegara wiszącego w kącie na ścianie. Wtém zegar bić począł godzinę, piątą uderzył. Stach zbudził się znowu, otworzył oczy i dźwignąwszy się o własnéj mocy, siadł na posłaniu. Zakonnica chciała podejść ku niemu, ale nie śmiała, taki dziwny wyraz oświecał twarz chłopca: błogość nie ziemska świeciła mu w oczach, nie chciała płoszyć téj chwili szczęścia.

Patrzył wprost przed siebie i uśmiechał się jakby kogoś widział. I musiał mieć jakieś widzenie, gdyż po chwili wyciągnął ręce.

— Już idzie, już przyszedł—szepnął.

Zdawało się nawet, że chce wstać i biedz ku owemu widzeniu; ale widocznie siły go zawiodły: zachwiał się nagle i upadł na poduszki, a jednocześnie w sali ciche westchnienie się rozległo.

Zakonnica zbliżyła się śpiesznie do łóżka, pochyliła nad dzieckiem i poprawić je chciała, ale chłopiec już nie potrzebował jéj starań—już nie żył...

* * *

Nazajutrz około godziny dziesiątéj rano, ze szpitala dziecinnego wysunął się karawan jednokonny, na nim widać było niewielką trumnę, czarną, prostą, drewnianą. Za trumną nikt nie szedł, nikt nad nią nie płakał, nikt nie żałował tego, którego z nią razem do ziemi włożyć miano... Gdy karawan zbliżył się do hotelu Europejskiego, z bramy jego wybiegł w téjże saméj chwili elegancki powóz, siedziało w nim dwóch mężczyzn: jeden starszy wiekiem, drugi chłopiec jedenastoletni.

— Patrz, ojcze, jaki to smutny pogrzeb—rzekł siedzący w powozie panicz—nikt za trumną nie idzie.

— Jakiegoś biédaka chowają — odparł obojętnie ojciec i powóz popędził daléj, a siedzący w nim pan Adam, który właśnie syna wiózł na

święta do domu, ani się domyślił, że biédakiem owym był znajomy mu Stacho, mały chłopak kredensowy, biédny męczennik, który umarł dla tego, że się uczyć chciał, a nie mógł się uczyć. Coby był powiedział na to Wacław, on, który wiózł najgorszą cenzurę do domu, choć rodzice jego, jak tylko mogli, ułatwiali mu naukę... zarumieniłby się chyba i uczuł w sercu coś jakby zgryzotę sumienia: wszak prawda, młodzi czytelnicy?

PÓŹNY ZAL.

I.

Popis już się kończył: już uczennice odśpiewały chórem modlitwę, już kilka wypowiedziało umiejętnie piękniejsze utwory z naszych poetów, a jedna z młodziuchnych artystek zagrała ze zrozumieniem mazurek Szopena; już pan Niziński, nauczyciel pedagogiki przeczytał głosem donośnym nazwiska uczennic, które otrzymały nagrody lub listy pochwalne, a potém tych, co miały tylko promocye: teraz podniosła się przełożona zakładu, pani Parzewska, osoba lat około pięćdziesięciu i zwróciwszy się w stronę, gdzie stały szósto-klasistki, wzruszonym głosem przemówiła do nich:

„Skończyłyście nauki, skończyłyście pracę waszą wstępną i każda w miarę zasług położonych, otrzymała nagrodę; jeszcze chwila, a po-

rzucicie zakład, w którym młodziuchne wasze lata zbiegły cicho, spokojnie i wstąpicie w życie szersze... W tém nowém życiu czeka was dużo radości i uśmiechów, lecz więcéj téż łez i przykrości; pierwszym nie ufajcie nadto, drugim nie dajcie się złamać. Czeka was téż więcéj trudów, więcéj pracy; bo nie sądźcie, dzieweczki, że kończąc nauki, kończycie życie pracy: lata, któreście tu przeżyły, to były tylko lata przygotowawcze do téj pracy, któréj obecnie oddać się macie; nauka, którą wam dałam, to tylko klucz do wiedzy, którą zdobyć sobie macie.... Gdybyście wróciwszy do domu, miały ręce założyć i dnie wieść w próżnowaniu, lata któreście tu przeżyły, byłyby latami zmarnowanemi. Każdy z nas, tak mężczyzna jak kobiéta, ma pewne posłannictwo do spełnienia, pewne obowiązki, które życie na niego wkłada; najświętsze ze wszystkich są obowiązki względem téj ziemi, na któréj mieszkamy; téj ziemi, która nas karmi chlebem wydanym z trudem ze swego łona, téj ziemi, która jest naszą kolebką. Każdy wedle sił i możności dla niéj pracować powinien, czy myślą, czy sercem, czy rękoma, jak potrafi, jak może. Nie każdemu daném jest być geniuszem, gwiazdą swéj ziemi, nie każdy może ją blaskiem swéj chwały opromieniać, ale każdy powinien pracować dla jéj dobra, dla jéj pomyślności, być użytecznym jéj członkiem; ale nikomu nie wolno używać skarbów, które ona rozdaje

i niczém w zamian się jéj nie wypłacać; nikomu nie wolno być jéj pasożytem, nikomu, co na miano człowieka chce zasłużyć. Wy także, dzieweczki moje, macie pewne względem niéj obowiązki, bo i wy także dziećmi jéj jesteście, ona was karmi, ona was odziewa, a więc kochajcie ją... Zdobyłyście sobie klucz do wiedzy, teraz idźcie w świat i pracujcie daléj odważnie, wytrwale, wedle zdolności i sił waszych; zostańcie użytecznemi kobietami, a jakiemi będą wasze zasługi, taką i nagroda będzie, bo każda zasługa nagrodę pociąga za sobą, szacunek ogólny, miłość ludzką i wewnętrzne zadowolenie. Oby każda z was taką nagrodą się kiedyś cieszyła."

Tu przełożona umilkła a dziewczęta wzruszone zbliżyły się do niéj. Cztery kończyło w tym roku nauki u pani Parzewskiéj i wszystkie cztery skończyły je widocznie chlubnie, bo każda trzymała w ręku książkę w czerwony safian oprawną, z napisem złotemi literami wybitym „Nagroda."

Pani Parzewska uścisnęła tkliwie każdą z kolei i w jéj oczach świeciły łzy, wszakże żegnała je na zawsze, a lat kilka z niemi spędziła; miała serce czułe, więc przywiązywała się do powierzonych jéj dzieci i rozstanie z niemi bolało ją.

Ucałowawszy kilkakrotnie ręce dobréj pani Parzewskiéj, szósto-klasistki cofnęły się do przy-

ległego pokoju, a młodsza dziatwa otoczyła przełożoną.

— Kochana pani—odezwała się jasna, smukła blondynka, o ciemnych figlarnych oczach, a była to właśnie jedna z szóstoklasistek—ślicznie przemówiła, o! z pewnością nie zapomnę nigdy jéj słów; to tylko sęk, co daléj robić... Gdybym miała fundusz, pojechałabym do Szwajcaryi i na doktora pokierowałabym się, ale cóż kiedy funduszu niéma.

— Ja tam o medycynie nie marzę—odparła spokojnie ciemna szatynka, o bladéj, ściągłéj twarzyczce i siwych słodkich oczach;—zostanę nauczycielką, albo założę pensyonat, albo zasiądę w ochronce.

— Dzięki za taką rozkosz, jeszcze w ochronce; toż sobie zawód wybiera: chyba każdego dnia, zanim do lekcyi zasiądziesz, każesz się wykąpać twoim uczniom.

— Co do mnie, zawód nauczycielki wcale mi się nie uśmiecha—tak mówiła mocna brunetka o czarnych dużych oczach. — Zresztą już dosyć tych powołanych i niepowołanych bierze się do tego zawodu; każda prawie, która skończywszy pensyą, musi pracować by żyć, idzie dzieci uczyć, tak jakby innych zawodów dla nas nie było. A piszą, dowodzą, że u nas przemysł nizko stoi, że w rękach żydów i cudzoziemców... Otóż ja wyuczę się robić koronek i otworzę zakład, gdzie

jakie 200 najmniéj pracownic będzie miało zajęcie.

— Świetny pomysł, gotowam o czemś podobném zamarzyć — przyklasnęła z zapałem blondynka o figlarnych oczach. — Mam zdolność do rysunku i rzeźbiarstwa, otworzę zakład tokarski, będę dostarczać kupcom obsadki, nożyki i tym podobne rzeczy krajowego wyrobu.

— Póki ci się to nie znudzi — przemówiła milcząca dotychczas druga blondynka, która znacznie poważniéj od swych koleżanek wyglądała.—Nie darmo przecież nazwałyśmy cię motylkiem; ty nigdy nic stale nie ukochasz, do niczego wiernie się nie przywiążesz: to moje zdanie o tobie.

Ta do któréj zwrócone były owe słowa, zrobiła minkę obrażoną i właśnie gotowała się, by dać koleżance odpowiedź, gdy w progu drzwi ukazała się jedna z nauczycielek.

— Jadwiga Kiedrzyńska jest tutaj? — zapytała.

— Jestem — odpowiedziała blondynka o figlarnych oczach.

— Brat twój przyszedł.

Wyrazy te rozbroiły w jednéj chwili obrażoną dziewczynę, rozjaśniła zachmurzone czoło i rzekła wesoło:

— Zobaczymy co ze mnie będzie, może się jeszcze kiedy w życiu spotkamy; góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem może.

Mówiąc te słowa podała z kolei każdéj z koleżanek rękę: uścisnęły się czule.

— A pamiętajcież pisywać do mnie—mówiła Jadwiga, żegnając towarzyszki — Włocławek, ulica Łęgska: wszak już macie zapisany adres?

— Mamy, mamy—wołały jedna przez drugą koleżanki.

Jadwiga włożyła kapelusz na głowę, następnie pobiegła do salonu, by raz jeszcze przełożonéj ręce ucałować, poczém wybiegła do sieni.

— Już jestem, Władziu—rzekła wpadając tutaj—służąca zniosła kuferek, każemy jéj dorożkę zawołać.

— Dorożka już czeka przed bramą, sprowadziłem ją sam — odparł szczupły blondynek, który wysunął się naprzeciw dziewczęcia.

Rodzeństwo było bardzo do siebie podobne, oboje byli jednego wzrostu, oboje mieli jasne włosy, smagłe twarze, oczy ciemne; lecz o ile Jadwiga tryskała życiem i wesołością, o tyle tamten zdawał się być poważny i delikatnego zdrowia.

Ucałowawszy brata, Jadwiga pierwsza wybiegła na schody, za nią podążył Władysław.

— Wszak dziś jedziemy?—pytała schodząc.

— Każę jechać prosto na dworzec kolei, pociąg za kwadrans odchodzi, zdążymy jeszcze—odparł Władysław.

— Jak to dobrze, więc dziś jeszcze uściskam matusię; wyobrażam sobie, jak się ucieszy na-

grodą; to pierwsza jaką dostałam, ale sobie powiedziałam: „ostatni rok jestem u Parzesi: musi mi dać" i dała. A ty, masz?—zapytała nagle, zwracając się do brata.

— Nie mam, nie dał mi Pan Bóg twoich zdolności: tybyś była powinna co rok wracać z nagrodą.

— Dobry jesteś sobie; pięć lat tak pracować jak w tym roku pracowałam, toby zbrakło wytrwałości: lepiéj, że koniec wieńczy dzieło, niż żebym w ostatnim roku bez nagrody wyszła.

Władysław się roześmiał.

— Zawsze taż sama—rzekł.

Wsiedli właśnie do dorożki, Władysław dał rozkaz, by woźnica na koléj podążył, Jadwiga tymczasem kończyła zapinać rękawiczki.

— I cóż myślisz daléj robić? — spytała, gdy brat zajął obok niéj miejsce.

— Wracać do Warszawy i na prawo chodzić.

— Kiedy mama mówiła, iż fundusz jaki był przeznaczony na naszą edukacyą, już się wyczerpał.

— Będę się utrzymywał z korepetycyi: małoż tak robi?

Jadwiga westchnęła.

— Ja sama nie wiem jeszcze co będę robić, a muszę przecież wziąść się do czegoś, żeby mamie nie być ciężarem. Emerytura, jaką pobiera, niewielka; zresztą wstyd byłoby siedzieć z założonemi rękoma.

— I mnie się tak zdaje.

— To téż z pewnością wezmę się do pracy; przez lato odpocznę, obmyślę coś, a na jesień zasiądę przed jakim warsztatem.

Władysław uśmiechnął się.

— Nie zrób tylko tak, jak wiele kobiét robi.

— Jak?

— Większa część dużo mówi a mało czyni, dużo marzy, roi, a w rzeczywistość nic nie obraca.

Jadwiga zrobiła minkę obrażoną.

— Nie wiem zkąd masz takie wyobrażenie o kobiétach, gdybyś słyszał nas szósto-klasistki rozmawiające przed chwilą, nie odważyłbyś się tak odezwać.

— O, nie wątpię, że mówić pięknie potraficie.

Ale Jadwiga nie zważając na te słowa, poczęła opowiadać bratu o planach i zamiarach koleżanek, powtórzyła słowa przełożonéj, potém własne marzenia snuć zaczęła; a mówiła tyle, tak szybko, tak ciągle, że Władysław mógł ją tylko słuchać.

Tymczasem dorożka zatrzymała się przed dworcem, już mnóstwo publiczności cisnęło się do sali trzeba było śpieszyć. Władysław porwał za tłomoczki i poniósł je, Jadwiga za nim podążyła; wkrótce znaleźli się w wagonie: nie wyszło pięć minut, lokomotywa zaświstała i ruszono w drogę.

Chociaż obcy otoczyli ich teraz, Jadwiga nie przestawała snuć daléj marzeń: to widziała się panią zakładu tokarskiego, to dawała lekcye muzyki, a za godzinę płacono jéj rubla; to wygrywała na loteryi i do Szwajcaryi z matką jechała.

Władysław słuchał ją zrazu milczący, potém sam się ożywił i począł także marzyć, jak zostawszy adwokatem, matkę i siostrę do siebie weźmie, jak je otoczy wygodą, dostatkiem. Roili oboje pięknie, ślicznie, a pociąg pędził wśród pól, na których złociła się pszenica, zapowiadająca zbiór obfity, wśród łąk, gdzie tysiące kwiatów uśmiechało się życiem, wśród lasów, co zdala poważnie szumiały. Piękną była ziemia, wesoło było na niéj: słońce jasno świeciło, ptaki głośno świergotały, wszystko się śmiało nadzieją, weselem, życiem; i w sercach naszych bohaterów było jasno, wesoło, spokojnie: z nadzieją patrzyli w przyszłość, z odwagą gotowali się do niéj. Roili, marzyli rozkosznie, a czas leciał tak szybko, iż ani się spostrzegli jak wieczór zapadł i zdziwili się wielce, gdy świst pary się rozległ, a z nim jednocześnie głos konduktora, który oznajmił stacyą Włocławek.

Pani Kiedrzyńska, wdowa po urzędniku, mieszkała w Włocławku od czasu śmierci męża. Straciwszy tego, którego więcéj niż siebie kochała, przeniosła się do miejsca, z którém łączyły ją najsłodsze węzły. Włocławek był jéj

miejscem rodzinném: tu się wychowała, tu wyszła zamąż, tu nareszcie mieszkała jéj rodzina, dwie jéj siostry cioteczne. Inne téż względy przyczyniły się może w części do tego postanowienia. Emerytura, jaką jéj rząd wypłacał po śmierci męża, była nie wielka: czterdzieści rubli płacono jéj miesięcznie; trudno się było z tego utrzymać w Warszawie, przeniosła się przeto do małego miasteczka, gdzie mieszkanie składające się z dwóch pokojów, kosztowało ją 150 rubli rocznie, a życie nie więcéj jak 200. Na ubranie i inne potrzeby zostawało jéj tylko pięć, lecz otrzymała po mężu w papierach publicznych sumkę wynoszącą rubli 6,000, która pewien procent przynosiła. Wprawdzie sumka owa obecnie była wyczerpaną, pani Kiedrzyńska wydała ją bowiem na edukacyą dzieci, lecz teraz dzieci miały jéj pomagać.

Ojciec Władysława i Jadwigi byłto bardzo dobry i zacny człowiek, żył jedynie dla drugich a szczególniéj dla dzieci; ze szczupłéj pensyi urzędnika bankowego, jaką pobierał, zebrał dla nich owe 6,000 rubli. Miał on w pokoju sypialnym blaszaną puszkę, a ilekroć przyszła mu ochota rozerwać się: iść do teatru lub na koncert, dobywał potrzebną sumę i zamiast bilet kupić, pieniądz rzucał do puszki a wieczorem wziąwszy dzieci na kolana, bawił się z niemi i mówił: „zabawa z wami, to najmilsza uciecha."

Ilekroć miał ochotę na lepszy obiad lub butelkę wina, zamiast dogodzić sobie, rzucał znowu pieniądz do puszki. Prócz roboty obowiązkowéj w biórze, brał on jeszcze coś zawsze do przepisywania do domu, a co mu za to wpłynęło do portmonetki, to szło już do puszki. Tym sposobem zbierała się tam powoli sumka: dobry ojciec co kwartał obliczał zaoszczędzone pieniądze i opłacał niemi procent w Towarzystwie ubezpieczenia na życie, nic nie mówiąc o tém żonie. Szczęśliwa to była rodzina, bardzo szczęśliwa, ale niestety, nic stałego niéma na ziemi: tak dobre jak i złe mija.

Było to r. 186...., w Warszawie wybuchł tyfus i pan Kiedrzyński padł jego ofiarą. Jednego wieczora czując się gorzéj, przywołał on żonę do łóżka i rzekł:

— Gdy umrę, Towarzystwo ubezpieczenia wypłaci wam 6,000 rubli; zamienisz te pieniądze na Listy zastawne: 5,000 uważaj jako majątek dzieci, 1,000 przeznaczam dla ciebie.

Żonie łzy w oczach stanęły i płakać zaczęła, ale on uścisnął jéj dłoń i szepnął:

— Nie zakłócaj mi ostatnich chwil, łzy twoje rozdzierają mi serce; nie mogę patrzeć na nie, a chciałbym widzieć cię przy sobie, dopóki tylko będę mógł patrzeć.

Ona otarła oczy i już nie płakała, a on widząc ją spokojną, począł znowu mówić o przyszłości.

— Myślę, że dasz sobie radę bezemnie—mówił — nie zostawiam cię przecież bez grosza.

Władyś dobry chłopak, z nim zmartwienia nie będziesz miała z pewnością; z Jadzią témbardziéj, z dziewczyną zwykle łatwiéj niż z chłopcem; o Józia się tylko lękam, tylko o niego się troszczę: to trudny charakter, psułem go wistocie.

Józio był jego synem z pierwszego małżeństwa, był jego slabostką; pieścił go więcéj od innych dzieci i chłopiec stał się samowolny, krnąbrny, wymagający.

W trzy dni po owéj rozmowie, pan Kiedrzyński umarł, żona do ostatniéj chwili go nie odstępowała, do ostatniéj chwili była spokojna i po śmierci jego umiała téż zapanować nad żalem. Widok dzieci sił jéj dodawał. Otrzymawszy od Towarzystwa 6,000 rubli, zamieniła je na Listy zastawne, poczém opuściła Warszawę i przeniosła się do Włocławka, aby tam żyć z emerytury i z procentu od kapitału. Znajomi radzili pani Kiedrzyńskiej, aby posiadaną sumkę pożyczyła komu na procent, któryby więcéj przynosił niż procent dawany przez Listy zastawne, ale ona nie chciała tego uczynić.

— Jeszcze mi nie oddadzą—mówiła—jeszcze mi stracą i przepadnie wszystko; nie będzie za co dzieci uczyć... nie pożyczę nikomu. On powiedział, żebym Listy zastawne kupiła: powinnam go słuchać.

I nie pożyczyła nikomu sumy: gdy dzieci podrosły, gdy zaczęły się uczyć, a dochody okazały się wtedy niedostateczne, postanowiła czerpać z kapitału. Chciała dać dzieciom jak najstaranniejszą edukacyą, posłać je do Warszawy, a to dużo kosztowało.

— Jestem słabą matką—mówiła do tych, co się temu projektowi dziwili.—Czuję, iż pod obcą opieką wyrobią się lepiéj.

I oddała córkę na pensyą pani Parzewskiéj, dawnéj swéj przyjaciołki, która znając jéj położenie, nie żądała więcéj nad 200 rubli rocznie; synów umieściła u kolegi męża, który przyjął obu na mieszkanie za 400 rubli rocznie. Józef skończywszy cztery klasy w gimnazyum, obrał sobie zawód kupiecki, a gdy doszedł do pełnoletności, poprosił matkę aby mu wypłaciła 600 rubli, które zdaniem jego należały mu się, gdyż krócéj się uczył od rodzeństwa i gdyby był skończył szkoły, matka wydałaby je była na niego. Otrzymawszy żądaną sumę, Józef otworzył w Płocku do spółki ze starszym kolegą handel korzenny, młodsze dzieci uczyły się tymczasem daléj, a matka czerpała zawsze z kapitału, mimo odradzań przyjaciół, którzy utrzymywali, iż marnuje kapitał.

— Nie marnuję go—odpowiadała im spokojnie—wydaję wprawdzie pieniądz stanowiący majątek dzieci, lecz daję im zato inny trwalszy, którego nikt im nigdy nie wydrze, który im zapewni na zawsze procent: niechaj tylko się uczą, to nauka da im z czasem utrzymanie.

I dzieci uczyły się dobrze, oboje właśnie skończyły nauki wstępne: Jadwiga pensyą, Władysław gimnazyum; a Jadwiga prócz świadectwa ukończonych nauk, przywiozła jeszcze nagrodę.

Uszczęśliwiona matka czule powitała oboje: córkę uściskała za nagrodę, syna za świadectwo; nie dziwiła się, że Władysław nagrody nie przywiózł, bo nie spodziewała się jéj. Władysław był zawsze zdrowia delikatnego i mniéj zdolny o wiele od siostry. Rokiem był wprawdzie starszy od niéj, ale niktby tego nie był powiedział: nawet wzrostem jéj nie przewyższał.

Gdy pierwsze wzruszenie minęło, gdy już nacałowano się dostatecznie, wówczas pani Kiedrzyńska zastawiła herbatę i zasiadła do niéj z dziećmi; Jadwiga przypomniawszy sobie rozmowę z koleżankami, powtórzyła ją matce.

— Zasięgnę twojéj rady, mateńko—mówiła—i także sobie jakiś zawód obiorę; muszę pracować na siebie: muszę ci pomagać.

Pani Kiedrzyńska objęła ją ramieniem..

— Tak, córeczko, musisz—rzekła—wyczerpaliście już wszystko troje kapitał zostawiony wam przez ojca, a te 1,000 rubli, które mi przeznaczył, rozeszło się także na różne potrzeby: to na lekarstwa dla was, to na książki lub suknie; teraz o sobie oboje myśleć musicie, na swój chleb pójdziecie... Nie mówię, abyś miała rozłączać się zemną; i tu przecież pracować można,

ale pracować musisz, boby mi ciężko było w razie przeciwnym.

— O! możesz być przekonaną, mateczko, iż rąk bezczynnie nie założę — odparła Jadwiga, całując matki ręce.

Wtém dał się słyszeć dzwonek, Jadwiga skoczyła otworzyć: w progu ukazała się mała dziewczynka z zawiniątkiem.

— A, dobrze żeś przyszła, panienka właśnie przyjechała—rzekła pani Kiedrzyńska.

To powiedziawszy wstała, podeszła ku małéj, odebrała zawiniątko i wsunęła jéj w rękę jakiś datek. Dziewczynka skinęła głową i oddaliła się, a pani Kiedrzyńska zwróciła się do córki.

— Kazałam ci zrobić nową suknię—rzekła—gdyż prócz mundurka, żadnéj nie masz.

Jadwiga odebrała zawiniątko i poczęła je rozpinać.

— Ach, jaka śliczna! — wykrzyknęła naraz i przyskoczywszy do matki, która już wróciła do syna, objęła ją za szyję.

— Dziękuję matusi—mówiła—dziękuję serdecznie; ja tak lubię błękitny kolor: oddawna marzyłam o takiéj sukni.

Władysław uśmiechnął się.

— Marzyć o sukni, tegobym chyba nie potrafił—rzekł.

Ale Jadwiga go nie słyszała, pobiegła już do sukni, roztrząsnęła ją całą i oglądała każdy

szczegół uważnie, poczém przeszła z nią do drugiego pokoju.

Matka i brat wrócili tymczasem do przerwanéj rozmowy: Władysław opowiadał, iż zapewnił już sobie dwie korepetycye; mówił, że chciałby mieć jeszcze dwie, a wówczas wystarczałyby z pewnością. Pani Kiedrzyńska słuchała go wzruszona i z miłością wpatrywała się w niego, czasami rad mu udzielała, a w drugim pokoju Jadwiga przymierzała nową suknię; zapaliła światło, postawiła lichtarz przed zwierciadłem i przyglądała się sobie z upodobaniem: w téj chwili poważne marzenia przyszłości, daleko były od niéj—bardzo daleko...

II.

Zmieniło się na ziemi, umilkły wesołe gwary ptasząt, pobladło jasne słońce, pożółkły trawy, znikły różnobarwne kwiaty, co między niemi tak niedawno jeszcze migały; biały całun śmierci pokrył ziemię, głucha cisza, przypominająca groby ją otoczyła. Zmieniło się na ziemi, ale w miastach, gdzie huk maszyn, świst pary, turkot kół zagłusza głosy natury, nie wiele się o to troszczono.

W ciepłym pokoju, jasno oświeconym promieniami rozchodzącemi się od lampy zawieszonéj u pułapu, przed stolikiem założonym książkami, siedziało w téj chwili dwóch chłopców: jeden mały jeszcze, dziesięcioletni, ubrany w mundurek gimnazyum realnego, drugi znacznie starszy, uczeń uniwersytetu. Obaj mieli twarze zadowolone, pracę już swoją widocznie skończyli, gdyż książki i zeszyty leżały złożone, a może zabierali się dopiéro do niéj?

— Więc jutro już nie przyjdę tutaj — rzekł starszy—jużem ci niepotrzebny?

— A pocóżbyś pan przyszedł? — odparł młodszy—wszakże jutro ostatni raz idę do klasy.

— I cóż będziesz robić przez święta?

— Ho! ho! co ja będę robić, będę się bawił doskonale... Dostanę na gwiazdkę od stryja bilard, od stryjenki welocyped, będę grał i jeździł całe święta.

— Zkąd-że wiesz co dostaniesz?

— Od Wicusia: powiedział mi to pod sekretem.

— A ty zdradzasz sekret przedemną.

— Et, pan przecież stryja nie zna, a idzie tylko o to, żeby się stryj nie dowiedział, boby się gniewał na Wicusia.

— Któż jest ten Wicuś?

— Syn stryja.

Student roześmiał się głośno.

— Pięknie dochowuje tajemnicy rodziców.

— Bo widzi pan, on chciał, żebym się dłużéj cieszył—począł tłumaczyć przyjaciela mały.— A pan co dostanie na gwiazdkę? — zapytał nagle, chcąc nadać inny bieg rozmowie.

— Ja już gwiazdki nie dostaję, dzieckiem przecież nie jestem.

— A mój brat Jaś dostaje, choć o pół głowy większy od pana.

Student zakłopotał się, nie wiedział jak tu dziecku wytłumaczyć, że dole ludzi niejednakowe; że Jaś to syn bogatego kupca z Warszawy, który wydaje pewno nieraz dziennie więcéj niż 40 rubli, a on, syn biednéj wdowy, która przez cały miesiąc więcéj wydać nie może. Zamyślił się, co odpowiedzieć uczniowi, gdy wtém drzwi przyległego pokoju się rozwarły i w progu stanął mężczyzna starannie bardzo ubrany, o twarzy białéj, uśmiechnięty konwencyonalnie.

— Papa!—zawołał malec i zerwał się z krzesła, podbiegł ku wchodzącemu i rękę jego ucałował. — Czy papa wié, że to dziś ostatnia lekcya?—mówił.

— Wiem — odparł pan Karol, takie bowiem było imię pięknie ubranego jegomości — przyszedłem właśnie pożegnać pana Władysława.

To mówiąc zbliżył się do studenta, wyciągnął do niego białą, wypieszczoną rękę, z długiemi, starannie wyczyszczonemi paznogciami i rzekł, ściskając mu delikatnie dłoń:

— Panie Kiedrzyński, winniśmy panu wiele, chłopiec nasz bardzo się przy panu rozwinął; byłem wczoraj u dyrektora gimnazyum, powiedział mi, że znaczne uczynił postępy, że należy teraz do pierwszych uczni. To pana zasługa, pan tak gorliwie nad nim pracujesz.

Rumieniec zadowolenia wystąpił na twarz Władysława.

— Zbyt wiele mi pan zasługi przyznajesz—rzekł—z Waciem nie ma wiele trudu, pracowity jest i zdolny.

— No, no, wiemy dobrze czyja to głównie zasługa; przy panu Więcierskim miewał jednakże zawsze tylko dwójki. Wdzięczny jestem panu bardzo i proszę nadal nas nie porzucać.

To mówiąc ścisnął powtórnie dłoń studenta, tym razem serdeczniéj.

— Chciałem pana zapytać—dodał—czy czasu nie masz do zbycia; mój przyjaciel Floryan Łagoski, mecenas, chce prosić pana, abyś syna jego do pierwszéj klasy przygotował.

Władysław znowu zarumienił się z radości.

— Znajdę czas, nie jestem jeszcze przeciążony pracą—odparł.

— Ileż pan godzin dziennie zajęty jesteś?

— Bywa rozmaicie, czasami dziesięć.

— Ależ to nad siły pańskie, pan wątłéj jesteś kompleksyi, nie powinieneś tak wiele pracować.

— Utrzymuję się z własnéj pracy — odparł Władysław, spuszczając oczy—książki dużo kosztują i mieszkanie także. Mógłbym wprawdzie jak inni, wziąść pokój do spółki z jakim kolegą, ale ja do pracy potrzebuję ciszy.

— Teraz pan odpoczniesz, jedziesz podobno do matki na wakacye?

— Tak jest.

— Pewno przydadzą ci się pieniądze, święta pociągają różne wydatki za sobą, uiszczę się przeto dzisiaj.

To powiedziawszy, pan Karol sięgnął do lewéj kieszeni kamizelki, wyjął z niéj elegancką kopertę, na któréj stało napisane rs. 15 i podał ją Władysławowi; ten odebrawszy pieniądze skłonił się grzecznie.

— Obok pieniędzy znajdziesz pan w kopercie drobnostkę, złotą dewizkę: przyjmij ją jako upominek od ojca, który czuje dla niego wiele wdzięczności.

Władysław zmieszany pochylił się do ramienia pana Karola, chcąc mu podziękować.

— Pan jesteś zbyt łaskaw na mnie—rzekł.

Wzruszony jego skromnością pan Karol, pocałował go w głowę, co u tego wykwintnego pana było dowodem wielkiéj łaski.

— Mam małą prośbę do pana — rzekł po chwili — liczę, że mi jéj nie odmówisz; pan jedziesz do Włocławka, wszak prawda?

Władysław skinieniem głowy potwierdził.

— Otóż w Włocławku mieszka mój brat—ciągnął daléj — znają go tam wszyscy; zapytaj pierwszego lepszego o Jana Fuchsa, a każdy ci wskaże jego dom. Mieszka za miastem, ma tam pałacyk własny, w pobliżu fabrykę cukru, interesa dobrze mu idą. Zawieziesz mu odemnie maleńką kwotę pieniędzy, wynoszącą 200 rubli.

— Z największą przyjemnością—odparł Władysław i odebrał paczkę banknotów, które pan Karol w oczach jego przeliczył: same były dziesiątki nowiuteńkie.

Złożywszy razem 20 takich papierków, pan Karol starannie je w bibułę zawinął, potém w płótno i oddał Władysławowi. Władysław schował pieniądze za kamizelkę, podał rękę panu Karolowi, ucałował Wacława i wyszedł wesół, szczęśliwy. Za godzin kilka miał powitać matkę i siostrę, których już od września nie widział, a może i starszego brata. Jadwiga pisała w ostatnim liście, że Józef przyjedzie na święta i cieszyła się tém niezmiernie, bo ona Józefa bardzo kochała; kiedy byli dziećmi, bawiła się z nim daleko chętniéj niż z Władziem, który zawsze był powolny i poważny, najczęściej uciekał do książki, Józef zaś nosił ją na ramieniu, huśtał, woził, tańczył z nią i tysiące figli płatał; nigdy nie łajał swawolnéj dziewczynki, nawet wtedy, gdy jaką niedorzeczność popełniła. Władysław zaś, choć rokiem tylko starszy od niéj, często prawił jéj morały; naprzykład gdy raz nie mając ochoty się uczyć, książkę do pieca rzuciła, a potém przed matką utrzymywała, że nie wié gdzie książka się podziała; to Józef ucałował ją za to i powiedział: „sprytna z ciebie dziewczyna;" Władysław zaś żądał koniecznie, by przyznała się do winy, a gdy podżegana przez starszego brata nie chciała tego zrobić, sam ją oskarżył.

O! Jadzia bardzo kochała Józefa, chociaż to był tylko jéj przyrodni brat i Józef kochał ją także, a dowiedziawszy się, iż ukończyła nauki, napisał, że przyjedzie na święta, by siostrę swoją

w świat wprowadzić, zaprezentować jako pannę dorosłą. Zato z braćmi przyjaźń mniéj ścisłą była, lubili się o tyle tylko, o ile do siebie przywykli, bo pod jednym dachem się wychowali. Charaktery ich były tak sprzeczne, iż zrozumieć się często nie mogli: Józef nazywał Władysława starym pedantem, nieznośnym zrzędą, zarozumialcem, zimnym bez serca; Władysław Józefa lekkomyślnym. Który z nich miał słuszność, czas to pokaże.

Spakowawszy wieczorem manatki, nazajutrz rano o godzinie szóstéj Władysław opuścił maleńką izdebkę, jaką zajmował w jednéj z kamienic na Bednarskiéj ulicy i wziąwszy sam w rękę walizkę, podążył piechotą na dworzec; Józef ujrzawszy go, oburzyłby się z pewnością i skąpcem nazwał. O siódméj Władysław ruszył w drogę, pociąg przelatywał między temi samemi polami, któremi przebiegał kilka miesięcy temu, gdy dzieci dążyły na letnie wakacye do domu; ale pola te nie maiły się dziś zielenią, nie śmiały się nadzieją; czarno, posępnie było na nich, gruba, szara mgła otoczyła dokoła ziemię, ziemia wydawała się jakby zapłakana. Władysław tęskném okiem gonił po polach i smutek natury podziałał na niego. Wczoraj jeszcze był taki wesół, taki szczęśliwy, a teraz tak jakoś mu się dziwnie tęskno robiło na sercu. Jakieś obawy nieokreślone poczęły nim owładać, wciąż mu na myśli stawało pytanie czy zdrowi

wszyscy, czy weseli? Aż się rozgniewał sam na siebie.

Cóż znowu? — rzekł w duchu — wszak tydzień temu Jadzia pisała do mnie, list jéj był pełen żartów i konceptów. Miła z niéj dziewczyna, czy tylko czasem nie tak lekkomyślna jak Józef?—zadał sobie znowu pytanie i znowu się zasępił.

Źle był dziś usposobiony, jakby nie spał noc całą, a przecież o dziesiątéj się położył.

To pewno ta mgła tak mię usposabia — pomyślał—nie dziw, że w Anglii panuje spleen.

Około jedenastéj pociąg zatrzymał się w Włocławku, Władysławowi jaśniéj się na duszy zrobiło; schwycił za walizkę i wyskoczył z wagonu, przecisnął się przez tłumy i ku ulicy Łęgskiéj skierował. Na samym końcu ulicy wznosiła się kamienica, w któréj pani Kiedrzyńska mieszkała; Władysław chciał złożyć tłomoczek, uścisnąć matkę i siostrę, potém o Fuchsa zapytawszy, do niego podążyć, aby na obiad jeszcze do domu powrócić. Biegł raczéj, niż szedł, bo serce rwało mu się do matki i siostry i na myśl ich powitania biło niespokojnie: chyba nie było ono tak zimne, jak je omawiał Józef.

Już tylko kilka domów dzieliło go od kamienicy, któréj wyglądał z utęsknieniem, gdy naraz się zatrzymał, a wyraz zdziwienia wystąpił mu na twarz. Po przeciwnéj stronie ulicy szedł śpiesznym krokiem młody człowiek, elegancko ubrany; lecz mimo lakierowanych butów, jasnych rękawiczek i cienkiego surduta, miał minę bardzo zafrasowaną.

— Józef,—szepnął sam do siebie Władysław.

To mówiąc przebiegł na drugą stronę w skośnym kierunku, tak, iż się znalazł odrazu naprzeciw eleganckiego panicza.

Był to wistocie brat jego.

— Jużeś przyjechał?—powitał go tonem zdziwienia Władysław.

Józef zatrzymał się, spojrzał nieprzytomnie, potém jakby się naraz obudził, rzekł:

— A, to ty? jak się masz? — i podał bratu rękę.

— Gdzież idziesz?—zapytał go Władysław.— Masz minę zafrasowaną, jakby cię co złego spotkało; czy matka czasem nie słaba?

Józef zdawał się wahać z odpowiedzią.

— Zdrowa zupełnie—odparł po chwili—idę za interesem, mam trochę kłopotów.

— No, to idź i wracaj niedługo, spotkamy się przy obiedzie.

Józef skinął głową i odszedł, Władysław skierował się w przeciwną stronę: wtém zawrócił się i pogonił za bratem.

— Józefie!—krzyknął—Józefie! zatrzymaj się.

Tamten przystanął.

— Czy nie wiesz gdzie tu mieszka niejaki Fuchs?

— A cóż ty masz do niego?

— Pieniądze przywiozłem mu od brata.

— Pieniądze? — powtórzył przeciągle Józef, a w oczach jego coś jak radość błysnęło. — Ile?—zapytał cicho, jakby się lękał głosu własnego: czyżby co złego zamierzał?

— Dwieście rubli—odparł Władysław.

Po twarzy Józefa przebiegł dziwny wyraz, coś chytrego odbiło się w jego oczach, zbliżył się do brata i ujął go pod ramię.

— Czy Fuchs wié, że masz mu je oddać?

— Nie wiem, zapewne nie.

— To ślicznie: pożyczysz mi je zatém, ja ci wkrótce oddam, może jutro jeszcze.

Władysław spojrzał na Józefa zdumiony.

— Czego ty chcesz odemnie? toż to przecież nie moja własność, jakże mogę nią rozporządzać?

— Cóż znowu? Fuchs ani się domyśli, żeś komu pożyczał; jutro ci oddam, mówiłem przecie: co za skrupuły niedorzeczne.

— Nie, mój drogi, ja tego nie zrobię: stanowczo ci odmawiam.

— Bo nie wiesz, o co tu idzie, jaki mam kłopot; ale gdy ci powiem wszystko, wahać się nie będziesz. Posłuchaj tylko: ot widzisz, było to we wrześniu, potrzebowałem koniecznie 200 rubli, udałem się do matki, prosząc by mi pożyczyła; myślałem, że przecież taka bagatelka znajdzie się w jéj biórku, tymczasem odmówiła, tłumacząc się, że nie ma. Wiem dobrze, że nasze

5,000 rubli już są wyczerpane, ale ona miała przecież własnych 1,000; gdzież te się podziały?

— Zapominasz, że je matka wydała, gdyśmy byli małemi.

— To nie do uwierzenia, ale tak chyba być musi; przecież wówczas wierzyć mi się nie chciało, a ponieważ powiedziała, że mi nie może dać pieniędzy, prosiłem, żeby choć zaręczyła za mnie: na to przystała. Na jéj podpis pan Winiarski, gospodarz kamienicy w któréj mieszka, wypłacił mi 200 rubli; zobowiązaliśmy się oddać je za dwa miesiące; byłem pewny, że interesa mi tyle przyniosą, iż przez dwa miesiące zbiorę z łatwością potrzebną sumę, ale teraz ciężkie czasy, każdy się oszczędza, więc zawiodłem się: jak mię to boli, tego ci nie umiem wypowiedzieć. Wyobraź sobie, ten niegodziwiec Winiarski przysłał mamie w zeszłym tygodniu uwiadomienie urzędowe, że jeżeli do 20 grudnia nie oddam mu pieniędzy, on rzeczy jéj zajmie. Mama napisała do mnie, przyleciałem i natychmiast poszedłem do niego; ale cóż z tego, perswaduję, proszę, że za miesiąc oddam z pewnością; ani chce słuchać, dziś ma zejść do nas komornik: toż to wstyd na całe miasto... Bóg ciebie zesłał jak anioła pocieszyciela; daj pieniądze, polecę do Winiarskiego i zapłacę tego niegodziwca. Kupiec Senf obiecał mi na pewno pożyczyć jutro; biegłem właśnie do niego zapytać, czyby

teraz nie dał. Wszak prawda, że pożyczysz? może za godzinę ci oddam, a jutro najdaléj.

Stanęli właśnie przed sienią kamienicy; nie czekając na odpowiedź, Józef wbiegł do niéj pierwszy i znikł niebawem na schodach. Władysław blady, odurzony za nim podążył. Jeszcze nie wierzył temu, co usłyszał przed chwilą, lecz w progu drzwi spotkała go matka, a smutne jéj oczy, nabrzękłe powieki potwierdzały wyznanie Józefa.

Władysław już ją o nic nie pytał, ucałował tylko jéj ręce w milczeniu, ona zaś przytuliła jego głowę do piersi.

— Mój ty zbawco!— rzekła i łza wielka potoczyła się po jéj twarzy.

Słowa te zdziwiły go, spojrzał na nią zdumiony i chciał pytać o znaczenie ich, gdy wtém spostrzegł siostrę. Jadwiga z płaczem biegła ku niemu.

— Ratuj nas! ratuj, Władziu!—zawołała rzuciwszy mu się na szyję.

On przytulił jéj jasną główkę do piersi.

— Uspokój się — rzekł — zaradzimy złemu; otrzyj łzy, one nie pomogą, trzeba coś postanowić, zaradzić; zostań tutaj, ja z mamą pomówię.

Jadwiga otarła oczy, ucałowała brata i zwróciła się do starszego, który stał pod oknem, posępnie zapatrzony w podłogę.

— Widzisz, że on nie ma tak złego serca, jak mówisz,—rzekła—on nas wyratuje, pożyczy z pewnością.

Władysław nie słyszał tych słów, gdyż poszedł już do drugiego pokoju z matką.

— Niech mi mateczka powié, czy w istocie tak jest, jak Józef mówi? —zapytał, prowadząc ją do fotelu.

— Wczoraj otrzymaliśmy powtórne uwiadomienie urzędowe, dziś komornik ma zejść —odparła pani Kiedrzyńska siadając— Józef biega za pożyczką, ale nikt dać nie chce: każdy wié jak stoję. Siostry obie, jak na nieszczęście, wyjechały na święta do krewnych; one jedne możeby nas poratowały: spłaciłabym je powoli.

Władysław zasępił się.

— Jak on mógł to zrobić?—szepnął—pożyczać na mamy imię: to już więcéj jak lekkomyślność.

Pani Kiedrzyńska westchnęła.

— Źle zrobił, to prawda, ale teraz żałuje szczerze i wierzę, że ci odda. Pożycz mu wszakże tylko sto, gdy Winiarski połowę dostanie, na drugą zaczeka.

Władysław zerwał się z krzesła.

— Ależ, mamo, to nie moje pieniądze; a nuż Senf nie pożyczy, cóż powiem wówczas panu Karolowi, z jakiém czołem stanę przed nim?

Pani Kiedrzyńska spojrzała zdumiona na syna.

— Więc to nie twoje pieniądze? musiał cię chyba Józef nie zrozumieć.

— Gdyby moje były, jużby Winiarski był zapłacony.

Władysław opowiedział, zkąd jema idla kogo wiezie.

— Czyż mogę cudzą własnością rozporządzać?—mówił z żalem w głosie—czyż mogę cudzy grosz powierzać w ręce tak lekkomyślnego człowieka?

Pani Kiedrzyńska zwiesiła głowę na piersi.

— Myślałam, że ci się tak dobrze powodziło,— szepnęła—żeś tyle zaoszczędził ze swoich dochodów.

— Ze swoich dochodów?—powtórzył z goryczą Władysław—korepetycye, jakie daję, przynoszą mi trzydzieści rubli miesięcznie, mieszkanie kosztuje 10, życie 15, reszta rozchodzi się na książki i ubranie: cóż ja mogłem oszczędzić?

To powiedziawszy począł się przechadzać w zamyśleniu po pokoju.

— Co tu robić, gdzie się udać?—szeptał sam do siebie—kto nam pożyczy?

Wtém drzwi się otworzyły i wsunął się Józef: był blady na twarzy jak płótno.

— Komornik przyszedł—rzekł drżącemi usty—Władysławie, daj pieniądze; pokażę mu je: nie rozpocznie czynności urzędowéj.

Władysław podniósł wzrok pełen rozpaczy na matkę i była chwila milczenia między niemi; zdawali się oboje wahać: nakoniec pani Kiedrzyńska podniosła się zwolna z fotelu.

— Cudza rzecz, to rzecz święta—wyrzekła uroczyście i przeszła do drugiego pokoju: synowie za nią pociągnęli.

Rzuciwszy bratu ponure spojrzenie, Józef stanął pod jedném z okien, Władysław pod drugiém, pani Kiedrzyńska z Jadwigą usiadły w najciaśniejszym kąciku i przytuliły się do siebie. W saloniku, bo taką nazwę nosił ow drugi pokój, ponura cisza zapanowała; przy jednym ze stolików siadł komornik ustrojony w srebrny łańcuch, na którym wielki medal wisiał, obok niego stanął pisarz. Obaj przeglądali pilnie jakieś papiery, po chwili komornik się podniósł i przeczytał głośno akt zajęcia; następnie kazał pisarzowi do mebli pieczęcie przykładać. Najpierw zbliżyli się do fortepianu, pani Kiedrzyńska, widząc to, oczy ręką zasłoniła, Jadwiga płakać zaczęła. Usłyszawszy ją Władysław drgnął i postąpił parę kroków, zdawało się, że chce iść do komornika; ale rozmyślił się widocznie, gdyż po chwili cofnął się i wrócił pod okno. Józef który go śledził uważnie, widząc że wraca, rzucił mu znowu ponure spojrzenie, potém szepnąwszy przez zaciśnięte zęby „Pedant bez serca" sam skierował się do komornika.

— Zróbże nam pan przynajmniéj to ustępstwo i pieczęć przyłóż pod spodem—rzekł—nie wątpię, że jutro dług zaspokoję: pocóż pieczęć ma świecić ludziom w oczy?

Komornik uczynił zadość jego żądaniu, następnie obejrzał się po saloniku i zbliżył do eleganckiego biórka, stojącego w kącie przy oknie.

Teraz Jadwiga przestała nagle płakać, otarła oczy i podniósłszy się gwałtownym ruchem z krzesła, podeszła ku młodszemu bratu, położyła mu rękę na ramieniu i spojrzała błagająco w oczy.

— Wszystko, co oni chcą zabrać, to moja własność—szepnęła—ten fortepian mama podarowała mi w tym roku na imieniny, to biórko dawniéj jeszcze; jak ja się obejdę bez fortepianu?

Władysław niżéj jeszcze zwiesił głowę, ale milczał.

— Czy ty nam nie pożyczysz?— mówiła daléj Jadwiga—Józio mówił, że masz pieniądze.

— Mam ale nie moje—odparł Władysław.

— Józio ci odda jutro: patrz, mama płacze.

Władysław podniósł głowę z ruchem rozpaczliwym i poszedł do drugiego pokoju. Tu czas jakiś przechadzał się niespokojnie, gorączkowo; parę razy kładł rękę na kieszeni, w któréj pieniądze spoczywały, lecz zawsze opadała mu ona jakoś niedobywszy ich: nakoniec podjął czapkę leżącą na stole i wyszedł.

— Mamo—szepnął zbliżywszy się do płaczącéj pani Kiedrzyńskiéj,—wszak ty wierzysz, że to nie moje pieniądze, że dać ich nie mogę Józefowi.

W miejsce odpowiedzi matka objęła go ramieniem za szyję, przytuliła głowę do piersi

i głośniéj zaszlochała. On ujął obie jéj ręce i do ust przycisnął.

— Jeden Bóg wié, co ja cierpię w téj chwili—rzekł namiętnie—jak walczę ze sobą.

To powiedziawszy wybiegł z mieszkania na ulicę; południe już było, więc ruch się zwiększył. Władysław nie uważał wszakże na to, z twarzą wzburzoną, z włosami w nieładzie, biegł raczéj niż szedł: przechodnie przypatrywali mu się ze zdumieniem. Po chwili uspokoił się wszakże, poprawił włosy, zwolnił krok i rozejrzał się w około.

— Czy nie mógłbyś mi pan wskazać, gdzie wznosi się pałacyk Fuchsa? —zapytał jednego z przechodzących.

— Za miastem—odpowiedział tenże—idź pan tylko prosto, a zajdziesz.

Władysław poszedł daléj, niebawem domy rzednieć poczęły, wreszcie ulica się skończyła i pola się ukazały; wśród nich na prawo widać było jakiś budynek otoczony drzewami a za nim sterczące długie kominy fabryczne, droga wysadzana topolami, tam prowadziła. Latem musiało tu być prześlicznie, gdy powiew wiatru kołysał złote kłosy pszenicy, rosnące na polach dokoła się rozścielających, gdy zielone wierzchołki wysmukłych topoli, tworzących ulicę, pochylały się poważnie. Nie myślał wszakże o tém Władysław, skierował się spiesznym krokiem między drzewa i dotarł niebawem do pałacu

Fuchsa. Ładny to był pałacyk w stylu rokoko, bogaty, strojny w ornamenty, ale tego nie zauważył biédny chłopiec; on tylko matkę płaczącą miał teraz przed oczyma: nie rozglądając się po stronach, nie przypatrując niczemu, wszedł na wschodki i skierował się do sieni. Tu zabiegł mu drogę wyfrakowany lokaj.

— Do kogo pan?—zapytał mierząc niezbyt grzecznie wytarty mundurek przybysza.

— Do pana Fuchsa, czy jest w domu? Proszę powiedzieć, że jestem przysłany przez pana Karola.

Lokaj znikł za drzwiami: niebawem powrócił.

— Pan prosi—rzekł i otworzył szeroko podwoje.

Władysław postąpił do gabinetu właściciela pałacyku.

Wszystko co tylko zbytek utworzył, by wygodniejszém życie człowiekowi uczynić, tu się znajdowało: miękkie dywany, szezląg skórą kryty, takież krzesła, fotel na biegunach, biórka wspaniałe, pulpit do pisania, szafa ogniotrwała: ba, czego tu nie było... Rzuciwszy zaledwie okiem po wykwintném otoczeniu, Władysław chciał właśnie usiąść, gdy w progu drzwi wiodących do przyległego pokoju, ukazał się mężczyzna mały, szczupły, z bakenbardami angielskiemi, o twarzy białéj, oczkach maleńkich, czarnych; miał on na sobie wspaniały szlafrok, błękitnym atłasem przybrany, pantofle safiano-

we i czapeczkę haftowaną. Był to Jan Fuchs, wierne odbicie starszego brata, tylko o wiele drobniejsze: była to jakby miniatura pana Karola. Zatrzymawszy się w progu, badawczym wzrokiem zmierzył gościa, poczem skłoniwszy mu lekko głową, nie prosząc, by usiadł,

— Czem mogę panu służyć?— zapytał.

— Pan Karol dał mi dwieście rubli do wręczenia panu—odparł Władysław.

Posępna twarz właściciela pałacyku rozjaśniła się, czarne oczki zamigotały przyjemnie, podał rękę gościowi i uścisnąwszy mu dłoń życzliwie, prosił by usiadł.

— Z kimże mam przyjemność mówić?—zapytał.

— Jestem Kiedrzyński— odparł Władysław, zajmując wskazane miejsce—udzielam korepetycye pańskiemu siostrzeńcowi; pan Karol wiedząc, że w Włocławku mieszka moja matka i że wybieram się do niéj na święta, prosił o zabranie tych pieniędzy.

To powiedziawszy dobył paczkę z kieszeni, rozwiązał ją i odliczać począł banknoty.

Czarne oczki pana Fuchsa zdawały się pożerać każdy papierek, a gdy Władysław skończył liczyć, drżącemi rękoma zgarnął wszystkie, przeliczył raz jeszcze, potém roztworzył jednę z szufladek biórka i wsunął pieniądze.

— Zaraz dam panu kwitek—rzekł i wyciągnął długą książkę, wyciął z niéj jeden z kwitów i na-

pisawszy sumę, oraz nazwisko, kartkę podał Władysławowi.

— Więc pan na święta tu przyjechałeś — rzekł — miłoby mi było, gdybyś mię kiedy wieczorem odwiedził; słyszałem o panu od brata mego wiele; pragnąłbym bliższą znajomość zawrzeć, tém bardziéj, iż mam syna, którego myślę do Warszawy posłać: może go panu powierzę.

— To mię ośmiela do wypowiedzenia z czem tu jeszcze szedłem — odparł spuszczając oczy w ziemię Władysław.

Biała twarz pana Fuchsa przeciągnęła się, chrząknął, ale nic nie rzekł.

Władysław cichym głosem począł opowiadać w jakiém położeniu się znajduje jego matka.

— Chciałem pana prosić o pożyczenie mi 100 rubli — mówił zakłopotanym tonem; — jeśli mi pan nie ufa, napiszę do pana Karola, on poręczy za mnie: wszakże mi płaci miesięcznie rs. 15. Wyrządziłbyś pan nam niezmierną przysługę tą pożyczką, Bóg-by panu za to wynagrodził.

— Mój panie, podobnych frazesów nasłucham ja się codzień dosyć — odparł pan Fuchs, a głos jego drżał widocznie z gniewu — każdemu się zdaje, że ja mam leżące kapitały, cały mój majątek to fabryka, jaką posiadam i ten pałacyk, zbytkowne, co prawda cacko, lecz należy mi się przecie coś za życie w pracy spędzane. Pieniądze, które mi pan przywiozłeś, jeszcze dziś zużyte zostaną, czekałem na nie niecierpliwie...

Dziwię się bardzo, że obcy mi zupełnie, ośmieliłeś się pan wystąpić z podobną propozycyą. Sto rubli to pieniądz, panie, w rynsztoku je nie znajdę; byle komu takiéj sumy się nie pożycza.

Władysław podniósł się wzburzony.

— Przepraszam mocno pana, — rzekł — nie przypuszczałem, że prośba moja go rozgniewa.

I skłoniwszy głowę wyszedł z gabinetu. Fuchs nie zatrzymywał go wcale, zdaleka go pożegnał nawet.

Komornik już czynność swą załatwił, poprzylepiał pieczęcie i oddalił się; gdy Władysław wszedł do mieszkania, już go tam nie było, a z jego oddaleniem twarze wszystkich rozjaśniły się jakoś. Pani Kiedrzyńska była wprawdzie jeszcze smutna, ale jakby spokojna; Jadwiga i Józef uśmiechali się nawet, siedzieli obok siebie i coś rozmawiali z ożywieniem. Rzuciwszy czapkę na stół, Władysław zbliżył się do matki, ujął jéj rękę i do ust poniósł.

— Byłem u Fuchsa — rzekł — myślałem, że pożyczy; prosiłem go o to, ale odmówił.

— Było téż po co prosić — odezwał się Józef gniewnie — cały Włocławek wié, że to skąpiec nad skąpcami.

— Nie słyszałem o tém — odparł Władysław spokojnie, — sprobuję teraz gdzieindziéj; napiszę do pana Karola: myślę, że mi nie odmówi, bo ten przecież będzie miał pewność, że odbierze: może mi pensyi cały rok nie wypłacać.

Na te słowa Józef uśmiechnął się ironicznie.

— Nie fatyguj się—rzekł — mam już pieniądze, więcéj nawet jak potrzeba, bo 300 rubli: dałem sobie radę bez ciebie.

To powiedziawszy podniósł się i wyszedł.

Władysław spojrzał na matkę.

— Czy w istocie?—zapytał.

— Senf mu pożyczył— odparła pani Kiedrzyńska.

— Na jego imię?

— Na moje.

— A jakiż procent?

— Bardzo wysoki: dwudziesty.

— Na jak długo pożyczył?

— Na kwartał.

Władysław porwał się z krzesła.

— Ależ ten Józef to czysty waryat—zawołał—on zgubi mamę; za kwartał będzie zupełnie to samo co dziś, będzie gorzéj nawet... Jakiż on lekkomyślny, to nie do uwierzenia; odsuwa złe i myśli, że wybawia się od niego; a jak ono powróci w groźniejszéj jeszcze postaci... Chwast z korzeniem niewypleniony rozrasta się bujniéj jeszcze: to rzecz wiadoma.

— Bądź spokojny, Józio da sobie i wtedy sam radę — z naciskiem odezwała się Jadwiga.

— Nie bardzo ja mu ufam: on zawsze wiele mówi, a mało czyni—odparł Władysław.

Jadwidze oczy zabłysły gniewem, chciała się ująć za ukochanym bratem, ale matka burzę zażegnała.

— Mówmy o czém inném—rzekła—tak jestem zmęczoną.

I wypytywać poczęła syna o jego uczni, o kolegów, i powoli rozmowa przeszła na inne pole.

W godzinę potém zjawił się Józef, podano więc obiad, gdyż i tak pora była spóźnioną; cała rodzina zasiadła: Jadwiga i Józef weseli, Władysław i matka smutni. Józef przyniósł ze sobą butelkę reńskiego, jak powiedział „na uczczenie tak szczęśliwie załatwionéj sprawy;" rozlewał wszystkim wino, pił wiele, i dużo mówił; Władysław siedział milczący, pochmurny, może słuchał, może rozmyślał, jakie środki przedsięwziąć, by złe odegnać na zawsze. Naraz zwrócił się do siostry:

— A cóż twoje lekcye muzyki, czy masz ich więcéj?—zapytał—pisałaś żeś już dwie dostała...

Jadwiga zarumieniła się i spuściła oczy, nie miała widocznie ochoty odpowiedzieć: wyręczyła ją matka.

— Trafiła tak nieszczęśliwie,—rzekła tłómacząc córkę—iż obie musiała porzucić; jedna z uczennic, Leonka Wilska, najmniejszych nie ma zdolności: po miesiącu, nawet gamy zagrać nie umiała.

— Po dwóch nauczyłaby się może—szepnął Władysław—a cóż z drugą się stało?—zapytał głośniéj.

— Z Manią Dorską? to nieznośne dziecko: płakała wiecznie przy lekcyach, zniecierpliwiła tak Jadzię, iż ją pożegnała.

— Kto uczy, na to przygotowanym być musi, iż różne dzieci spotykać będzie; gdyby mama wiedziała jakich ja mam uczni; ale cóż robić? Niéma zawodu bez przykrości, kto się bierze do pracy, ten o tém wiedzieć powinien; radziłbym Jadzi, aby miała więcéj wytrwania.

— Przekonałam się, iż nauczycielką muzyki być nie mogę; odparła Jadwiga—przyjęłam teraz inne lekcye, wykładam historyą i geografię, mam już trzy godziny tygodniowo u państwa Snarskich zapewnione: dzieci zdają się być zdolne.

— Tylko niech ci się nie sprzykrzą tak prędko jak tamte,—odparł Władysław. Lubisz się bawić, karnawał nadchodzi, grosz będzie potrzebny.

— Dziwię ci się, Władysławie, dziwię się bardzo—odezwał się naraz wzburzonym głosem Józef—jesteśmy obaj młodzi i zdrowi, powinniśmy zapewnić tyle siostrze, aby pracować nie potrzebowała. Nie pojmuję, jak możesz tego żądać od niéj; co do mnie, mnie to upokarza, że siostra moja jest nauczycielką.

Władysław ruszył ramionami.

— Wiadoma rzecz, że my się zawsze nie rozumiemy, dajmy więc pokój rozprawom—rzekł spokojnie.—Nie po to zjechaliśmy się u matki, aby się sprzeczać.

— Więc nie wywołuj drażliwych kwestyi.

To powiedziawszy Józef nalał sobie kieliszek wina i wychylił go do dna, poczem wstał z hałasem od stołu. Obiad się już skończył, powstali więc wszyscy za nim, pani Kiedrzyńska przeszła z Władysławem do drugiego pokoju, Józef namówił Jadwigę, aby wybrała się z nim na spacer.

* * *

W piérwsze święto Bożego Narodzenia, u państwa Snarskich, gdzie Jadwiga dawała obecnie lekcye geografii, miał się odbyć wieczór tańcujący; Jadwiga z matką i braćmi została nań zaproszoną, ale pani Kiedrzyńska nie miała ochoty się wybrać, tłómacząc się niezdrowiem; w istocie zaś nie miała w czém iść, a nowéj sukni sprawić nie chciała, lękając się, co jéj przyszłość przyniesie.

„Za kwartał będzie to samo" powiedział Władysław: słowa te ustawicznie brzmiały jéj w uszach.. Władysław także nie chciał iść, ów zimny, bez serca człowiek powiedział siostrze, gdy go namawiała: „nie zostawimy przecież mamy saméj w piérwsze święto." Mieli się więc tylko wybrać we dwoje: Józef z Jadwigą.

W wigilią z powodu owego wieczoru, Józef ofiarował siostrze prześliczną kolię i kolczyki, a drobnostka ta kosztowała podobno 25 rubli. Uszczęśliwiona Jadwiga ledwo nie udusiła brata pocałunkami, a pobiegłszy z darem do matki rzekła:

— I jakże tu nie kochać tego poczciwego Józia, kiedy on takie złote ma serce!

Wmyśli zaś dopowiedziała sobie:

— Władyś nigdyby nic podobnego nie zrobił.

I Władysław myślał o sobie toż samo:

— Nigdybym w jego położeniu takiego zbytku sobie nie pozwolił. Za kwartał ma oddać 300 rubli, a teraz wyrzuca pieniędzmi tak lekkomyślnie: jakże zbierze potrzebną sumę? On dał siostrze na gwiazdkę tylko „Pieśń o ziemi naszéj" Pola, a matce parę zamszowych rękawiczek; Józef zaś prócz owéj pysznéj kolii ofiarował jeszcze Jadwidze dziewięć rubli, a matce piękną wstążkę na szyję; ale pani Kiedrzyńska podziękowała mu za nią obojętnie:

— To dla mnie za strojne – rzekła.—Jesteś nierozważny, Józiu, jak dziecko; pewnoś już wydał owe 100 rs., które ci pozostały z tego co Senf pożyczył: tak szafujesz temi pieniędzmi, jak własnemi.

— Pewno Władek straszy mamę, że nie zbiorę dla Senfa—odparł Józef—niech mateczka będzie spokojną: teraz karnawał, obywatele wi-

no będą kupować, opłacę nietylko Senfa, ale wielu innych.

Jadwiga lubiła się bawić i stroić, jak w ogóle wszystkie dziewczęta w jéj wieku, a kto wié, czy nie więcéj od wielu. Z bijącém sercem wyczekiwała ona pierwszego święta; nareszcie oczekiwany dzień nadszedł: gdy godzina siódma po południu wybiła, dobywszy stroje oddaliła się do matki pokoju, chcąc być gotową, jak brat zadzwoni, Józef zajmował bowiem mieszkanie w hotelu: w domu było mu zaciasno. Tymczasem pani Kiedrzyńska zajęła się przygotowaniem do herbaty, a Władysław zasiadł przy stole z książką w ręku i cisza zapanowała tu głęboka, słychać tylko było lekkie kroki pani Kiedrzyńskiéj, krzątającéj się po pokoju.

Tak godzina upłynęła, już wszystko było gotowe do herbaty; więc pani Kiedrzyńska siadła obok syna i wzięła gazetę do ręki, gdy drzwi od przyległego pokoju się rozchyliły i ukazała się w nich urocza postać dziewczęcia.

W przezroczych błękitnych muślinach śliczną była Jadwiga; fale złotych splotów spadały jéj na ramiona, srebrna kolia wdzięcznie odbijała od białéj jéj szyi. Stanęła, zaśmiała się, potém przybiegła do stołu.

— Cóż, czym dobrze ubrana?—zapytała stojąc naprzeciw matki i brata.

Pani Kiedrzyńska i Władysław podnieśli na nią wzrok i twarze obojga się rozjaśniły.

Trudno było nie uśmiechnąć się do tego ślicznego dziewczęcia: matka wyciągnęła do niéj rękę i ucałowała ją czule.

— Dobrze, wszystko dobrze; bardzo dobrze —rzekła, uważnie rozbierając każdy szczegół tualety; brat przysunął się do niéj, wziął ją za rękę i pocałowawszy także, powiedział:

— Doprawdy, tak śliczny z ciebie kwiateczek—i wpatrzył się w nią z miłością; naraz rozrzewnił się jakoś.

— Gdybyś ty chciała być czemś więcéj jak ślicznym kwiateczkiem—dodał ciszéj, podnosząc białą rączkę siostry nie okrytą jeszcze rękawiczką, do ust.

Jadwiga spojrzała bratu figlarnie w oczy.

— A czémże chciałbyś, żebym była jeszcze, mój ty panie filozofie?—spytała żartobliwie.

— Kobietą—odparł poważnie Władysław.

Jadwiga zaśmiała się, wykręciła na obcasie wkółko i zatrzymawszy się znowu przed bratem rzekła, ruszając lekko ramionami:

— Tém przecież jestem. Potém nagle spoważniawszy, dorzuciła z żalem—Nadto surowym jesteś, Władysławie, potępiasz jak widzę każdą rozrywkę.

— Nie, Jadziu, nie potępiam rozrywek—odparł żywo Władysław—życie pracowite powinno mieć swoje chwile odpoczynku, swoje uciechy... I ja się bawię nieraz wesoło, gdy mi swobodnie na duszy, gdy mi nic do tego nie przeszkadza; mojém zdaniem, zawsze ten błądzi, kto żyje jednostronnie, albo się cały w zabawach zatapia, albo nigdy nie odpoczywa.

— Na to, na twoje uspokojenie powiem ci, że myślę o pracy, więcéj jak ty sądzisz—odpowiedziała Jadwiga.—Pani Snarska ma mię dziś przedstawić swéj siostrze, która poszukuje nauczycielki dla swych dzieci, mówiła mi dziś o tém w kościele.

Władysław uśmiechnął się smętnie, odpowiedź siostry widocznie jeszcze go nie zadowoliła, ale nie powiedział co myśli.

W chwilę potém zjawił się Józef wyświeżony, piękny wypiwszy szklankę herbaty; kazał się Jadwidze wybierać i oboje do Snarskich podążyli.

III.

Od powyżéj opisanych wypadków upłynął kwartał, w życiu Władysława nie wiele się przez ten czas zmieniło: pracował tylko więcéj, przyjął bowiem kilka nowych korepetycyi i pracował chyba nad siły, gdyż pobladł, zeszczuplał znacznie; ale mimo to, na twarzy jego znużenia widać nie było, przeciwnie, jakieś ciche zadowolenie na niéj było rozlane, a oczy radością świeciły...

Bo téż mógł być zadowolony z siebie, miał prawo się cieszyć: on, student uniwersytetu, który z własnéj pracy się utrzymywał, zaoszczędził przez trzy miesiące rs. 50 i miał je złożone u siebie w stoliku. Władysław wiedział, że Józef ma na Wielkanoc płacić Senfa, a nie ufał iż zbierze potrzebną sumę; więc postanowił oszczędzać, by mu dopomódz: i wynajął sobie tańsze mieszkanie, przeniósł się z drugiego piętra na poddasze i płacił teraz za pokój mie-

sięcznie 7 rubli; dawniéj jadał w jednéj z tańszych restauracyi warszawskich, teraz stołował się w taniéj kuchni; nie kupił sobie przez cały kwartał ani jednéj książki, ani razu nie był w teatrze i zebrał tym sposobem 50 rubli; pobladł, pomizerniał, ale czuł w sercu ciche zadowolenie, i to zadowolenie odbiło się na jego twarzy, a myśl, że za godzin parę powita matkę i siostrę, ożywiła jego smętne zwykle oczy. Jakże nie miała radość w nich świecić, gdy za kilka godzin miał wsiąść na pociąg, by ruszyć w drogę; tegoż jeszcze wieczora miał stanąć w Włocławku, a wyobrażał sobie, z jaką miłością matka przytuli jego głowę do piersi, gdy jéj powie o zaoszczędzonych pieniądzach, jak go uściśnie Jadwiga. Pakując manatki marzył o tém właśnie: o świętach, jakie miał spędzić wśród rodziny i gwizdał sobie aryę z opery „Straszny dwór", gdy raptem drzwi izdebki rozwarły się i nić marzeń złotych przerwały.

W progu drzwi stanęła kobiéta stara, zgarbiona, w czepcu z wielką langietą, w sukni kwiecistéj, perkalowéj.

— Bryfciegier kazał panu ten liszt oddać zara—rzekła wyciągając rękę—powiada, że tutaj stoi napisane: „bardzo pilno".

Władysław podszedł ku stojącéj w progu i list odebrał.

— Dziękuję wam, Marcinowo—rzekł—w istocie to jakiś list pilny, zdaje się od mego brata.

To mówiąc rozerwał śpiesznie kopertę, bo coś jakby niepokój ścisnęło jego sercem.

Marcinowa oddaliła się, a on siadłszy, począł czytać, a w miarę jak czytał, twarz jego stawała się coraz bledszą. List wszakże był bardzo krótki, zaledwie kilka wierszy zawierał; skończył go też niedługo i rzucił na stół.

Krótki był, ale silne mimo to wywarł wrażenie; w jednéj chwili spłoszył cichą pogodę z twarzy Władysława. Ścisnąwszy sobie czoło rękoma, zadumał się on ponuro, izdebkę głucha cisza zaległa, aż słychać było pracę kołatka, który w blacie od stołu torował sobie z trudnością drogę. Lecz nic dziwnego, iż Władysław tak się nagle zmienił; straszną była wiadomość, jaką otrzymał... Oto co stało w liście:

„Władysławie! zbankrutowałem, sklep mój zamknięty, uciekać muszę z kraju; polecam ci w opiekę matkę i siostrę; uspokój Senfa, powiedz mu, że za pół roku najdaléj oddam com winien. Gdzie pojadę, jeszcze nie wiem; ale tego bądź pewien, że będę pracować i oszczędzać. Będę mieszkać chociażby na strychu, żywić się choćby czarnym chlebem, dopóki nie zbiorę owych trzystu rubli, dopóki nie oddam tego matce, co mi kamieniem leży na sercu, co mi cięży na sumieniu jak grzech śmiertelny, jak zbrodnia."

Że Józef wierzył w to co pisał, że pisząc nie kłamał, nie udawał; że nie rzucał na papier

czczych frazesów, ale to co czuł głęboko, czego pragnął szczerze: w to nie wątpił Władysław; ale wątpił, czy potrafi spełnić co przyrzekał. Miał on dobre serce, kochał mocno matkę i siostrę, lecz przedewszystkiem był lekkomyślny... Gdy w sercu jego zbudziła się jaka chętka zrobienia sobie lub komu jakiéj przyjemności, choć głos rozsądku mówił mu „nie czyń tego" on nie miał siły wystąpić do walki z ową chętką i ulegał jéj najczęściéj. Pożyczył od Senfa 300 rubli, chociaż potrzebował na spłacenie długu tylko 200; lecz był to karnawał, chciał go użyć razem z siostrą: na zabawy tak ona jak on potrzebowali kilku drobnostek i owe 100 rubli koniecznie mu były potrzebne. Powiedzieć sobie: „tę zimę przesiedzę cicho, nie będę się bawić, bo nie mogę," tegoby Józef nigdy nie potrafił uczynić.

Miał on zebrać do Wielkiéjnocy potrzebną sumę; pożyczając na matki imię, był pewien, że zbierze i mógł wistocie, bo interes szedł bardzo dobrze: obywatele rozkupywali wino i inne przysmaki podczas karnawału potrzebne, ale cóż z tego, kiedy zbudziło się w jego głowie tysiące zachcianek, i nie myśląc, że prócz Senfa ma jeszcze kilku innych wierzycieli do spłacenia w tym kwartale, bawił się, ucztował, wieczorki wydawał, urządził sobie wspaniale mieszkanie, trwonił, jakby miał miliony do stracenia. Niestety, wspólnik jego był tegoż samego zupełnie

usposobienia, także żył nad stan i długi robił. Wierzyciele czekali zimy, myśleli, że ich spłacą wówczas; lecz gdy spostrzegli, że zamiast im oddać, wyrzucają pieniądz na zbytki, wystąpili z procesem. Józef uszedł zagranicę, bo mu groziło więzienie za nadużycie zaufania publicznego, wspólnik jego powołany został przed kratki sądowe.

List Józefa spłoszył odrazu wesołość z czoła Władysława, poważnie myślący ten chłopiec zabolał szczerze nad upadkiem brata, nad losem jaki groził jego matce; podparłszy głowę na ręku, dumał, jak zaradzić nieszczęściu .. Złe niewyplenione z korzeniem, rozrosło się na nowo, ale tak jak był przewidział, rozrosło się bujniéj stokroć...

Co zrobić z owém złem, jak je pokonać, czém zażegnać? oto pytania, jakie ściskając czoło, zadawał teraz sobie.

Nie myślałem, iż jest do tego stopnia lekkomyślnym — szeptał sam do siebie — co ja poczne, co ja mogę zrobić?

Miał w stoliku wprawdzie 50 rubli, ale czyż Senf je przyjmie w zamian za 300; gdy mu je poniesie, rozśmieje się pewno, a potém matce poszle komornika.—Czyż ta zacna kobiéta, która dzieciom ostatni grosz oddała, która nie zostawiła sobie nic, by starość spokojną zapewnić, odartą z wszystkiego zostanie... na samo to przypuszczenie zadrżał i oczy dłońmi zakrył,

jakby chciał zasłonić sobie jakiś obraz przykry; ale nie zasłonił go, bo obraz był w duszy. Widział matkę i siostrę płaczące, komornika pieczętującego sprzęty, widział Senfa rabującego chciwie wszystko co posiadała matka... I zerwał się od stołu gwałtownym ruchem.

Nie dopuszczę do tego — rzekł sam do siebie tonem stanowczym—za nic nie dopuszczę.

I zatrzymał się chwilę, jakby namyślał co zrobić, aby grabieży niedopuścić, i snadź powziął jakieś postanowienie, bo wziął czapkę na głowę, paltot zarzucił na ramiona i wyszedł z izdebki.

Przecież tak twardym, tak okrutnym nie będzie? — szepnął sam do siebie, schodząc ze schodów.

Minąwszy Bednarską, wszedł na Krakowskie Przedmieście, potém przez Röslera, na Miodową podążył. Tu w rzędzie sklepów z oknami o wielkich szybach lagrowych, poza któremi widać było różne piękne rzeczy, znajdował się sklep bławatny pana Karola Fuchsa. Kosztowne jedwabne materye, udrapowane ręką artystyczną jednego z subjektów, kapelusze o piórach strusich i koronki tworzyły razem wspaniałą piramidę; było w tém oknie z pewnością więcéj niż 300 rubli. Rzuciwszy obojętném okiem na owe zbytkowne przedmioty, Władysław wszedł do sklepu i o właściciela zapytał. Wskazano mu mały gabinecik łączący się ze sklepem, tam znaj-

dował się obecnie pan Karol a był jak na szczęście sam...

Gdy biédny, złamany niedolą chłopiec przestąpił próg owego gabinetu, tak był blady, że pan Karol aż przeląkł się go i powstawszy żywo z krzesła, postąpił naprzeciw.

— Co panu jest? czyś pan słaby?—zapytał z niekłamanym niepokojem.

I podał wchodzącemu rękę i poprowadził go do miękkiego szezląga, na którym sam także usiadł.

Władysław podniósł odważniéj głowę, przychylne powitanie dodało mu otuchy. Wchodząc tutaj przypomniał sobie bytność u Fuchsa z Włocławka i lękał się, że tutaj to samo go czeka. Prosić o łaskę, to rzecz tak przykra, tak upokarzająca, a jeśli w zamian za upokorzenie czeka nas odmowa, uczyniona niedelikatnie, toć jeszcze boleśniejsze. Ci dwaj ludzie: pan Fuchs z Włocławka i pan Fuchs z Warszawy, tak byli z powierzchowności podobni do siebie; ta tylko różnica zachodziła, iż tamten był drobniejszy, szczuplejszy... Któż mu powié, iż charaktery ich także nie są podobne do siebie; któż mu powié, czy ten nie jest także skąpcem, zimnym egoistą, nieczułym na niedolę ludzką... Ale nie... ten jest inny... tak troskliwie zapytał go o zdrowie, takim tonem niespokojnym rzekł „co panu jest?" tak go życzliwie uścisnął za rękę. Władysław podniósł śmieléj głowę i siadł na szezlągu.

— Zdrów jestem – odparł —zdrów zupełnie, tylko spotkała mię w téj chwili wielka przykrość, ale mam nadzieję, że pan mi pomożesz złemu zaradzić... z prośbą do pana przyszedłem...

Tu wyjął z kamizelki list brata i podał go panu Karolowi. Trudno mu było mówić, wolał się wyręczyć listem.

Pan Karol przeczytał uważnie, poczém oddał list i tonem zimnym zapytał:

— Cóż pan chcesz odemnie?

Większym, silniejszym był fizycznie od brata i moralnie widocznie także... Trudno było odgadnąć z tonu, jakim przemówił, czy gniewa się, czy wzruszony jest położeniem młodzieńca.

— Prosić o pożyczenie mi 300 rubli; spłacę je panu miesięcznie, nie biorąc nic za korepetycye: w przeciągu dwu lat uiszczę się z długu.

— Tego nie mogę panu uczynić — odparł Fuchs—wziąłem sobie bowiem za zasadę nie pożyczać nikomu, chyba na pewną bardzo hypotekę... Gdybym panu dał dziś żądane 300 rubli, jutro zgłosiłoby się do mnie najmniéj pięciu równie potrzebujących, a z nich jeden może zaledwie oddałby. Lekkomyślność, nieuczciwość ludzka uczyniły mię ostrożnym; sparzywszy się kilka razy, obecnie nie pożyczam nikomu.

Władysław westchnął i chciał wstać by odejść, lecz pan Karol zatrzymał go.

— Zmartwienie pana szczerze mię dotknęło— począł znowu—wiem, że jesteś pracowity, oszczę-

dny i uczciwy, to téż pomogę panu, lecz w inny sposób... O ile pamiętam, wspomniałeś mi pan kiedyś, że uzbierałeś sobie w tym kwartale 50 rubli.

— Tak jest—potwierdził Władysław.

— Masz już zatém część potrzebnéj sumy, ja wypłacę ci z góry za trzy miesiące, to jest do końca czerwca i brakujące do 50 rubli pięć dodam, co wszystko razem uczyni 100 rubli; resztę pożyczy ci niejaki Przepiórka; dam ci jego adres: to porządny żyd, nie weźmie wysokiego procentu.

To powiedziawszy, zbliżył się do biórka i na ćwiartce listowego papieru skreślił kilka wyrazów: „Samuel Przepiórka, ulica Freta Nr. 3", przeczytał głośno, zwracając się do korepetytora, poczém dobył pugilares, wyjął z niego dwa dwudziestopięcio rublowe papierki i podał je razem z kartką.

Władysław podziękowawszy serdecznie, wyszedł ze sklepu. Z Miodowéj skierował się wprost na Freta, a idąc rozmyślał nad słowami, które mu powiedział pan Karol.

Ha! — rzekł po chwili sam do siebie — może oni i niewinni ci kapitaliści o twardych sercach; gdyby tamci nie byli lekkomyślni, gdyby oddawali na termin, może pożyczaliby chętniéj.

Na Freta łatwo odnalazł dom w którym mieszkał Przepiórka: była to wysoka trzypiętrowa kamienica, stara już bardzo; wązkie okna,

zczerniałe mury i długa sień zamiast bramy mówiły o tém. Wszedłszy do sieni, skierował się na podwórze, gdzie widać było stróża rynsztok zamiatającego i zapytał go o pana Samuela Przepiórkę. Stróż wskazał mu sień znajdującą się w lewéj oficynie i oznajmił, aby się udał na drugie piętro.

Po wązkich, ciemnych schodkach Władysław dostał się na drugie piętro, tu znajdowało się dwoje drzwi; ponieważ ani na jednych, ani na drugich nie było napisu, więc kierując się instynktem zapukał do tych, które po prawéj stronie się znajdowały. Brudna, rozczochrana żydówka otworzyła mu.

— Czy pan Przepiórka w domu? — zapytał Władysław, stając w progu maleńkiéj izdebki, która służyła widocznie za przedpokój, gdyż prócz wieszadeł a na nich niezliczonéj ilości paltotów i kapeluszy, nic tu więcéj nie było.

— Zara przyjdzie—zabrzmiała odpowiedź.

Władysław przestąpił próg i zwrócił się z pytającém spojrzeniem do żydówki, nie wiedział bowiem gdzie iść.

Dziewczyna wskazała mu drzwi znajdujące się po prawéj stronie, on ujął za klamkę i postąpił daléj.

Pokój do którego wszedł był obszerny, o trzech oknach, lecz długi parawan przedzielał go. Część w któréj się znalazł była większą, służyła za pokój do przyjmowania interesantów, a może

i za salon w dniach zebrań familijnych. Pod jedną ze ścian stała kanapa wypłowiałym rypsem kryta; na błękitnych poduszkach świeciły tu i owdzie tłuste plamy, przed nią stał duży stół jesionowy zasłonięty brudną serwetą, na któréj stał w téj chwili talerz z niedojedzonym śledziem; daléj w około pod ścianami krzesła, również zniszczone jak kanapa. Siadłszy na jedném z nich, Władysław począł rozglądać się ciekawie po owym pokoju. Dziwna panowała w nim mieszanina zbytku i brudnéj mierności. Kanapa i krzesła świadczyły o miernéj zamożności tych co tu mieszkali, i o tém także, iż nie mieli oni zamiłowania w porządku, a jednak zaraz nad kanapą wisiał duży obraz w złoconych ramach, który mówił, że mieszkańcy tego pokoju nie są obojętni na piękno. Obraz przedstawiał umierającego araba na puszczy; Władysław nie był artystą, lecz zdawało mu się, że wart on jest najmniéj 500 rubli; zaciekawiony podniósł się, by mu się przypatrzéć i wyczytał na płótnie nazwisko jednego z pierwszorzędnych naszych malarzy. Daléj dopatrzył na oknie marmurowy posąg kobiéty, przedstawiał on Kalipsę umierającą. Rzeźba ta była także dłuta jakiegoś mistrza, tak piękną była Kalipso, tak doskonałemi jéj formy i to także był przedmiot zbytku, zdradzający zamiłowanie piękna. Mnóstwo tu było rzeczy podobnych drogocennych, estetycznych, które dziwnie odbijały od skromnych, a przytém

brudnych mebli. Wróciwszy do krzesła, coraz ich więcéj odkrywał, a nagromadzone były w nieładzie, ustawione bez najmniejszego smaku... Władysław silił się by zgadnąć poco one tu były, w jakim celu kupił je Przepiórka i coś jakby jasność rozwidniać poczęło jego myśl, gdy wtém drzwi się rozchyliły i właściciel mieszkania stanął w progu.

Byłto wysoki mężczyzna, o twarzy pięknéj, myślącéj; regularne jego rysy zdradzały plemię z jakiego pochodził, oczy pełne wyrazu człowieka rozumnego. Miał na sobie długi hałat atłasowy czarny, pasem przewiązany, krymkę aksamitną na głowie i takież pantofle; widocznie nie z ulicy przychodził, ale zapewne z pokojów, w których rodzina jego mieszkała. Czarna długa broda spływała mu na piersi, czarne włosy sięgające ramion wiły się w pierścienie. Zmierzywszy badawczém wejrzeniem kłaniającego mu się gościa, skinął mu poważnie głową, poczém wskazawszy ręką miejsce na kanapie, rzekł, rozkładając się obok niego na fotelu.

— Pan pożyczyć chce pieniędzy?

Pytanie ułatwiło Władysławowi wypowiedzenie żądania, skinął tylko głową potwierdzająco.

— Ile?—zapytał powtórnie Przepiórka.

— Dwieście rubli—odparł Władysław.

— A na jak długo?

— Na dwa lata. Sto oddam panu na Nowy rok, resztę od dziś za dwa lata.

Żyd w milczeniu począł gładzić brodę i patrzył przed siebie.

— No, a jakie dasz mi pan zapewnienie, że mi je oddasz?—odezwał się po chwili—ja pana nie znam przecie, nie wiem co pan za jeden, czy uczciwy, czy nie.

Krew uderzyła do głowy Władysławowi.

— Napiszę panu rewers—rzekł—jestem Kiedrzyński, uczęszczam do uniwersytetu.

Pan Samuel ruszył głową w prawo i w lewo, snać słowa te nie zadawalniały go.

— Dam panu słowo honoru — rzekł Władysław.

Żyd znowu poruszył głową.

— Nu a co to znaczy rewers, a co to znaczy słowo honoru?—odezwał się wreszcie, głaszcząc ciągle brodę. — Tylu teraz nieuczciwych, tylu oszustów, że wierzyć nikomu nie można. Podpisze rewers i ucieknie, da słowo honoru i nie pokaże się więcéj, a tymczasem pieniądze przepadły. Ot, patrz pan co ja tu mam różnych gratów niepotrzebnych, oddano mi je jako zastaw; ja pieniądze pożyczyłem, bo myślałem sobie „takich pięknych rzeczy, to się przecież nie oddaje lekkomyślnie," ale gdzietam, woleli widać pieniądze, bo się po one piękności więcéj nie zgłosili. Ten obraz już więcéj jak dwa lata wisi u mnie, czekam końca roku; jak w grudniu

pan hrabia się nie zgłosi, to go sprzedam; co mi po nim, mnie on chleba nie da, a ja mam dzieci ośmioro. Oj dużo, dużo teraz nieuczciwych na świecie, nikomu wierzyć nie można, własnemu bratu nawet.

Władysław zwiesił głowę na piersi, rumieniec upokorzenia wystąpił mu na czoło; zdawało mu się, że Przepiórka wié chyba o postępowaniu Józefa, kiedy w ten sposób do niego przemawia.

Żyd spojrzał na niego z ukosa i zamilkł, gładził tylko daléj brodę i dumał, a on szukał w myśli sposobu, któryby go uspokoił, zapewnił, że nie należy do tych nieuczciwych, że mu odda napewno.

— Znasz pan Karola Fuchsa? — zapytał naraz.

— A ktoby go nie znał, to wielki pan, bogaty co się zowie—odparł Przepiórka—bardzo porządny pan.

I cmoknął ustami na znak zadowolenia.

— Daję jego synowi korepetycye, płaci mi miesięcznie 15 rs. On mi dał adres pana, zapytaj go pan o mnie.

To mówiąc, Władysław dobył z kieszeni ćwiartkę papieru, na któréj pan Karol adres napisał i podał ją żydowi; u góry na papierze wybita była firma Fuchsa.

Przepiórka przyjrzał się pismu i pieczęci uważnie, poczém oddał kartkę i znów popadł

w zadumę; lecz widocznie o gościu myślał, gdyż od czasu do czasu rzucał nań badawcze spojrzenie. Nareszcie podniósł się i rzekł:

— Nu, ja panu pożyczę, kiedy pan Fuchs go zna, ale pan mi wystawi rewers; jeśli na Nowy rok nie oddasz mi pan 100 rs., to ja położę areszt na pensyi, jaką panu Fuchs płaci.

— Niech i tak będzie — odparł Władysław, oddychając lżéj.

— A jaki procent pan liczy?

— Ja człowiek uczciwy, ja biednych ludzi nie obdzieram—rzekł Przepiórka.—Jeśli w czasie naznaczonym wypłacisz mi pan owe 200 rs., to żądać będę tylko 7 od sta; jeżeli się spóźnisz, to więcéj; każdy miesiąc opóźniony w wypłacie, wyżéj o jeden procent policzę: czy zgoda?

— Zgoda — rzekł Władysław i podał rękę Samuelowi.

— Wszystko to spiszemy.

— A naturalnie, że spiszemy.

— Przyniosę zatém panu pieniądze.

To powiedziawszy, Przepiórka oddalił się za parawan, niebawem powrócił, niosąc rewers, kałamarz i pióro oraz paczkę banknotów. Siadłszy na kanapie, odliczył naprzód pieniądze, a gdy Władysław je schował do pugilaresu, podsunął mu rewers by podpisał. Władysław przeczytał go głośno, w przeciągu dziewięciu miesięcy zobowiązywał się ze szczupłych swoich dochodów oszczędzić 100 rubli; lecz nie wątpił że oszczędzi,

wszakże przez styczeń, luty i marzec zebrał 50 rubli. Podpisał przeto bez wahania i pożegnał wesoło gospodarza, poczém pobiegł na Nowy Świat do państwa Winiarskich, których syna przygotowywał do szkół, a gdzie miał mieć dziś jeszcze lekcyę i spodziewał się, że dostanie miesięczną płacę, gdyż miała to być ostatnia lekcya przed Nowym rokiem.

Nie zawiodły go nadzieje: po lekcyi ojciec malca wypłacił mu 10 rs., życząc świąt wesołych. Podziękowawszy za życzenia i za pensyę, Władysław podążył na obiad, potém do swéj izdebki, spakował resztę manatek, pieniądze schował na piersiach i oddawszy klucz mieszkania pani Marcinowéj, na pociąg podążył.

Późnym wieczorem stanął w Włocławku; myślał, że matkę i siostrę zastanie już śpiące, tymczasem pani Kiedrzyńska otworzyła mu sama drzwi. Była bardzo blada, jakby czémś znękana, przybita świeżém zmartwieniem.

Ujrzawszy syna we drzwiach, krzyknęła radośnie, poczém objęła go za szyję ramieniem i ucałowała w czoło, a Władysław uczuł kilka gorących łez na twarzy.

— Mama płacze? czy mama ma jaki nowy kłopot? — zapytał, biorąc jéj rękę i niosąc ją do ust.

Nie był pewien, czy wié już o bankructwie Józefa, chciał ją wybadać.

— Nie mam żadnego — odparła pani Kiedrzyńska.—Ot tak, siedziałam sama i smutne myśli przyszły mi do głowy; nie wiem, czemu od kilku dni wciąż się czegoś obawiam.

— Jadwisi niéma w domu?

Weszli właśnie do pokoju, pani Kiedrzyńska zamknęła drzwi.

— Poszła na herbatę do wujenki—rzekła—dziewczęta ją prosiły, jeszcze nie wróciła. No, siadajże, połóż walizkę i powiedz mi jak się miewasz; pobladłeś mi trochę i schudłeś także.

— To nic, mateczko — odparł Władysław, pochylając się z nowym pocałunkiem do jéj ręki—zdrów jestem całkiem.

Poczém położył walizkę na ziemi i usiedli oboje przy stole.

— Czy Józef nie pisał do ciebie?—zapytała pani Kiedrzyńska—od dwóch tygodni nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości, a za parę dni przypada termin wypłaty Senfa; już był tu dzisiaj, przypominając mi o tém.

Władysław zachmurzył się.

— Miałem dziś list od Józefa, wyjechał zagranicę.

Pani Kiedrzyńska ręce załamała.

— Cóż my poczniemy?—szepnęła.

— Bądź spokojną, matko, postarałem się o pieniądze, Senf będzie zapłacony.

Tu w krótkich słowach opowiedział jak je dostał.

— Lecz czy ty będziesz w stanie zebrać do Nowego roku 100 rubli? — zapytała pani Kiedrzyńska—pomyśl, żeś wybrał naprzód u Fuchsa, dochody będziesz miał mniejsze.

— Tylko się nie troszcz o mnie, mateczko, dałem sobie teraz radę, dam i późniéj.

— Moje ty poczciwe dziecko — rzekła pani Kiedrzyńska i znowu uścisnęła syna.—Lecz cóż Józef pisze o sobie? czém tłumaczy swój wyjazd? powiedz mi wszystko.

Trudno było ukrywać prawdę, lada chwila mógł ją ktoś obcy przynieść matce, Władysław wolał przeto sam powiedzieć i przeczytał list brata.

Pani Kiedrzyńska wysłuchała całego spokojnie, lecz kiedy Władysław skończył czytać, rozpłakała się głośno.

— Jestem pewną, że go więcéj nie zobaczę—rzekła—stracony on dla nas.

I długo utulić się nie mogła. Próżno Władysław ją pocieszał, dodawał nadziei, wciąż jedno powtarzała:

— Nie wierzę w jego nawrócenie. Wiesz co mię martwi jeszcze przy tém wszystkiém — rzekła - to, że się lękam, czy Jadwinia niéma takiego samego usposobienia.

— Toż to dziecko jeszcze, zmieni się z czasem—odparł Władysław.

— Rokiem tylko od ciebie młodsza jest przecie; ty już siebie utrzymujesz i mnie pomocą je-

steś, a ona... Co to będzie, gdy ja umrę, z czego ona wtedy żyć będzie?...

Władysław chciał coś odpowiedzieć, lecz na schodkach dały się słyszeć czyjeś kroki.

— To ona—rzekła pani Kiedrzyńska — nie mów jéj nic dzisiaj, jutro sama powiem.

— Jak mama chce — odparł Władysław i zwrócił się ku drzwiom, które właśnie się otworzyły; w progu stanęła Jadwiga, różowa, śmiejąca...

Ujrzawszy brata, skoczyła ku niemu i rzuciła mu się na szyję.

— Wreszcie choć jeden! — zawołała. — Józef pewno lada dzień się zjawi, będą znowu święta wesołe; napiekę bab i mazurków, bo Józefby mi nie darował, gdybym święconego nie przygotowała.

To mówiąc zdjęła kapelusz, paltocik, rzuciła rzeczy niedbale na jedno z krzeseł i siadłszy między matką a bratem, zapytywać go poczęła czy na długo przyjechał, co słychać w Warszawie, czy karnawał był świetny.

— Ale! ale!—wykrzyknęła naraz—dobra nowina, mateczko: Zuzia i Lucia mają się uczyć krawieczczyzny, będzie im dawać lekcye niejaka pani Martin francuska, która dopiéro co z Paryża powróciła. Otóż poczciwa ciocia Marynia powiedziała mi, abym także przychodziła.

— Czy chcesz porzucić zawód nauczycielski?— zapytał Władysław, a w głosie jego brzmiała nagana; odczuła ją Jadwiga i zarumieniła się lekko.

— Przekonałam się, że to zawód nie dla mnie — poczęła się tłumaczyć — nie mam dość cierpliwości, za żywa jestem; nie potrafię dzieci uczyć: straszliwie mię nudzą.

Matka spojrzała ze smutkiem na syna, jakby mu chciała powiedzieć:

— Czyż nie słuszne moje obawy?

Władysław zamyślił się posępnie, poczém naraz położył rękę na ramieniu siostry i rzekł:

— Jadwigo, czas już przecie poważnie zacząć myśleć, za trzy miesiące rozpoczynasz rok dwudziesty; czyś ty pomyślała kiedy o tém?... lata lecą, a ty bawisz się ciągle.

— Bardzo — odparła z zagniewaną miną.— Już nie pamiętam kiedym tańczyła.

— Nie zrozumiałaś mię—rzekł Władysław— bawisz się, bo nic na seryo nie bierzesz; dla ciebie wszystko zabawką, nawet praca na chleb.

Jadwiga nic nie odpowiedziała, ale widocznem było, iż jest obrażoną i przez resztę wieczora nie wiele już mięszała się do rozmowy.

Dobrze go skreślił Józef — rzekła sama do siebie, kiedy się już kładła spać—nieznośny nudziarz z niego, wiecznie moralizuje.

Z ciężkiém sercem udała się tego dnia na spoczynek pani Kiedrzyńska, list Józefa przygnębił ją, lekki charakter Jadwigi trwożył więcéj niż kiedykolwiek; całą noc oka zmrużyć nie

mogła: wciąż myślała o niéj, jakich środków użyć, by ją zmienić, by wpłynąć na nią. Wcześniéj téż jak zwykle wstała nazajutrz, a spostrzegłszy że Jadwiga już nie śpi, siadła przy jéj łóżku i opowiedziała jéj najprzód o bankructwie Józefa, potém płaczącéj rzewnie nad losem ukochanego brata, tłumaczyła długo, że całe nieszczęście Józefa, to wskutek jego lekkomyślności; porównała go z Władysławem i nareszcie powiedziała jéj, co uczynił ten szlachetny chłopiec, niesłusznie przez nią o brak serca omawiany.

Jadwiga była mocno wzruszoną, wyrzucała sobie teraz każde przykre słowo; nie mogła sobie darować, iż go tak źle osądziła, bo ileżto razy omawiała go przed przyjaciółkami: że zimny, nudny pedant, rygorysta.

— Czy on już wstał, matusiu? chciałabym go uściskać — rzekła, ocierając łzy — poczciwy, dobry chłopiec.

— Pije śniadanie — odrzekła matka — gdyż chce przed dziewiątą być u Senfa: jutro termin wypłaty.

Jadwiga zarzuciła śpiesznie szlafroczek na siebie, pantofle nałożyła i przygładziwszy włosy pobiegła do saloniku, gdzie Władysław pił kawę. Zbliżywszy się trochę nieśmiało, uklękła przy nim i obsypała go pieszczotami, ręce jego nieledwie chciała całować, ale on na to nie dozwolił: podniósł ją przemocą, posadził obok siebie

i odgarnąwszy włosy z czoła, pocałował ją czule.

Ona przytuliła się do jego piersi.

— O ile ty lepszy odemnie — szepnęła — nie mogę teraz odżałować, iż rzuciłam lekcye u Snarskich; byłabym mogła może choć w małéj cząstce przyczynić się, dołożyć do téj sumy.

— A czemuś je rzuciła? — zapytał Władysław.

Jadwiga ruszyła ramionami i zawahała się z odpowiedzią.

— Któż winien? — badał łagodnie Władysław.

— No, może i ja trochę, ale i oni także — odparła nareszcie — tacy są pedanci, że doprawdy, nie wiem. Wyobraź sobie, pogniewali się o to, żem parę lekcyi z rzędu opuściła.

— Czyś była słaba?

Jadwiga się zarumieniła.

— Nie, ale widzisz tak było: Na imieniny wuja miał być wieczór tańcujący, więc poszłam z Lucią i Zuzią kupić różne rzeczy i tak jakoś zeszło, żem ani się spostrzegła, jak godzina lekcyi minęła; potém znowu musiałam opuścić, bom była zmęczoną po wieczorze, do szóstéj tańczyłyśmy: czyż podobna było iść na lekcyą o 10-téj rano. Następnie znowu coś zaszło i tak tydzień minął, aż tu w sobotę wieczorem odbieram list od Snarskiéj, która przysyła mi należące się pieniądze za pięć lekcyi i oświadcza, że kogo innego weźmie do dzieci na moje miej-

sce, gdyż nie chce, żeby próżnowały. Nieznośna pedantka!

— Ty zawsze sumienne spełnianie obowiązków pedanteryą nazywasz.

Jadwiga westchnęła.

— Łaj, łaj, ile ci się podoba — szepnęła— dziś ci wszystko wolno. Niestety, nie chcesz wierzyć, że ja nie mam powołania do zawodu nauczycielskiego, zdaje ci się, że mi brak wytrwałości; ale przekonasz się, że tak nie jest, jak się wezmę do krawiecczyzny.

Władysław westchnął, lecz nic nie odpowiedział, wstał i wziął czapkę, gdyż czas było już iść do Senfa, o 10-téj wychodził on z domu, a chciał go zastać koniecznie.

Tym razem święta upłynęły Jadwidze bardzo cicho i smutno: Senf został wprawdzie zaspokojony, z téj więc strony nie groziło żadne zmartwienie, ale myśl, co Józef porabia, kłóciła wszystkim spokój. Nie było żadnych o nim wieści, nie pisał wcale. Jadwiga całe święta spędziła w domu, do nikogo iść nie chciała, doznane zmartwienie silnie wstrząsnęło tą wrażliwą duszą: zmieniła się do niepoznania, stała się milczącą, poważną; jeśli rozmawiała, to tylko o Józefie, lub o nowym zawodzie, do którego się już zaczęła przygotowywać, gdyż pani Martin rozpoczęła lekcye krawiecczyzny jeszcze w wielkim tygodniu: roiła świetne plany.

— Jak się dam poznać publiczności—mówiał często do matki i brata — to myślę, iż będę miała robotę z całéj okolicy. Sprowadzę sobie żurnale paryzkie, co wiosnę będę jeździć zagranicę, żeby nasze panie do warszawskich magazynów niepotrzebowały się uciekać; zobaczy mateczka, jak czynną stanę się kobiétą.

Pani Kiedrzyńska nie mogła się nacieszyć zmianą, jaką spostrzegała w swéj jedynaczce, pieściła ją, marzyła z nią razem.

— Kto wié, może nieszczęście, jakie nas spotkało, dla niéj będzie zbawieniem—rzekła do syna w dzień jego wyjazdu. — „Z najcięższych smutków, radość czasem wykwita" mówią ludzie.

— Daj to Boże!—odparł Władysław.

IV.

Trzy miesiące, to zdaje się przeciąg czasu tak krótki, a jednak jest on w stanie zatrzeć największe wrażenia, ukoić najserdeczniejsze tęsknoty, otrzeć najgorętsze łzy i uśmiech na usta powrócić, nie u każdego w prawdzie, ale bywają różne usposobienia...

Trzy miesiące upłynęło dopiéro od czasu ucieczki Józefa z kraju, żadnych o nim dotychczas wieści nie było, przepadł jak to mówią „jak kamień w wodzie.” Próżno pani Kiedrzyńska, próżno Władysław dopytywali o niego; ten i ów utrzymywał, iż słyszał od kogoś, że go widziano w Berlinie; inny, że w Paryżu, ale nikt nic pewnego nie umiał powiedzieć. Władysław i matka nie ustawali w dopytywaniach, ale starania ich żadnych skutków nie przynosiły; martwiło to panią Kiedrzyńską, z każdym dniem była smutniejsza, więcéj przygnębiona. Jadwiga przeciwnie: w pierwszéj chwili zdawało się, iż

mocniéj od brata i matki uczuła nieszczęście Józefa, płakała rzewnie nad jego dolą, przez całe święta nigdzie iść nie chciała; tęskniła zrazu za nim bardzo, ale powoli zaczęła się jakoś uspokajać, coraz go rzadziéj wspominać, aż nareszcie wróciła całkiem do dawnego humoru. O pięknych planach przyszłości, o świetnym magazynie coraz téż rzadziéj wspominała; uczyła się wprawdzie krawiecczyzny, lecz narzekała często, że to praca ciężka, nudna.

— Z krojem to mi poszło jakoś łatwo – mówiła do matki—ale z szyciem gorzéj idzie; podobno nigdy nie nauczę się szyć porządnie; stroju to co innego: tam można robić ściegi chociażby calowe... Pocieszam się tém wszakże, że ja nie potrzebuję koniecznie umieć dokładnie szyć... Jak otworzę pracownię, to przecież będę miała panny; ich rzeczą będzie się tém zajmować, ja będę tylko doglądać.

— Jak sama nie będziesz umiała, to i pokazać nie potrafisz — odpowiadała jéj zwykle matka, ale Jadwiga nie wierzyła.

— Cóż znowu? — mówiła,— tyle przecież już umiém i teraz, aby się poznać czy dobrze, czy źle uszyte.

Chodziła ona codzień na lekcye krawiecczyzny, pani Kiedrzyńska pilnowała ją w tém sama, ale kuzynki jéj Lucia i Zuzia mówiły często do matki, że Jadzia więcéj gawędzi, niż szyje na godzinie, a Martinowa potwierdzała ich zdanie,

— *Une aimable enfant, mais étourdie étourdie horriblement* – powiedziała raz do matki Luci i Zuzi—*Quel âge a-t-elle?*

— Dziewiętnaście—odpowiedziała jéj pani Marya.

Francuzka głową pokiwała.

— Myślałam, że piętnaście—rzekła.

W istocie Jadwiga zachowywała się jak dziecko na lekcyach krawiecczyzny, płatała tysiące figli ustawicznie: to chowała się do szafy, to chorą udawała; związywała chustką głowę i jęczała głośno, mówiąc, że szyć nie może, bo jest cierpiącą. Kwadransa jednego z igłą spokojnie nie posiedziała. Lucia i Zuzia uszyły już każda sobie sukienkę i drugą kończyły, ona na jednę się nie zdobyła.

Tymczasem Władysław pilnie pracował, prawie zawsze do trzeciéj w nocy siedział nad książkami; była to pora egzaminów, więc miał teraz więcéj do roboty: to téż pobladł, schudł jeszcze bardziéj, ale ponieważ czuł się zdrów zupełnie, nie zważał przeto na to; mówił nawet do kolegów że i w lecie nie będzie odpoczywać, że chce postarać się o jakie zajęcie na wakacye. Oszczędził on w tym kwartale mniéj jak w zeszłym, tylko 30 r., gdyż dochody miał szczuplejsze, pensyą, którą u Fuchsa pobierał, wybrał zgóry, postanowił przeto zaprządz się latem do roboty, by tę szczérbę naprawić!

— Nie bierz się tylko do bakałarstwa—rzekł mu jeden z kolegów, niejaki Noiński, serdeczny jego przyjaciel—całe poobiedzie siedzisz teraz z malcami, odetchnijże choć latem.

— Gdybym mógł co innego znaleźć, z największą chęcią wziąłbym— odparł Władysław.

W kilka dni po onéj rozmowie wpadł do niego wieczorem Noiński.

— Mam coś dla ciebie—zawołał, roztwierając na rozcierz drzwi—bierz czapkę i chodź.

— Cóż takiego?...—zapytał Władysław, porywając się z łóżka, na którém właśnie odpoczywał.

— Hrabia Szołdran, u którego mój ojciec jest plenipotentem, pytał mię wczoraj, czybym mu przez lato nie urządził biblioteki. Podobno dostał po dalekim krewnym w spadku całe stosy książek; skrzynie stoją na dziedzińcu, widziałem je; obstalował już szafy, wczoraj je przyniesiono, a teraz trzeba półki dziełami zapełnić. Nie tak wielka to robota, sądzę; przecież odmówiłem, gdyż jak wiesz, wybieram się jutro w Karpaty; ale ty chcesz podobno spożytkować wakacye, chodź więc ze mną, przedstawię cię hrabiemu, powiedziałem mu, że się postaram o kogo.

Władysław uścisnął przyjaciela.

— Poczciwy jesteś, żeś o mnie pamiętał—rzekł.

— Tylko ukłoń mu się nizko, bo to dumna sztuka – powiedział Noiński.—Niecierpię całéj rodziny, nadęte to, że aż strach; ale co ci to

szkodzi: ty z książkami będziesz miał do czynienia.

— Rzecz naturalna.

Hrabia Szołdran posiadał na ulicy Wilczéj pałacyk a raczéj prześliczną willę, młodzi ludzie podążyli do niéj Alejami Ujazdowskiemi. Dzień był pogodny, zachodzące słońce, rzucając ostatnie blaski ziemi, złociło szczyty drzew; Władysław aż odżył tutaj... czuł się dziś więcéj znużony jak kiedykolwiek, ale gdy odetchnął świeżém powietrzem, gdy chłodny powiew wiatru orzeźwił mu czoło, przyszedł zupełnie do siebie.

— To dobrze, że po pracy będę miał taki miły spacer do domu—rzekł do Noińskiego.

— Kiedy Szołdran chce ci dać u siebie mieszkanie—odparł tamten.

— Jeszcze lepiéj, Łazienki blizko, będę tam uciekać.

Niebawem dotarli do willi. Była to wspaniała rezydencya: wśród kląbów, na których widziałeś najrzadsze rośliny, wśród smutnych cyprysów i okazałych pomarańcz, stał pałacyk w stylu gotyckim, ozdobiony wieżyczkami ku niebu strzelającemi, o wązkich zakratowanych oknach.

— To coś jakby rezydencya średniowiecznego jakiego pana—rzekł Władysław, przypatrując się z zajęciem budynkowi.

— Średniowiecznych on téż wyobrażeń—odparł Noiński.

Weszli do sieni: tu stał w progu szwajcar laską o złotéj gałce.

— Czy pan w domu? — zapytał go Noiński.

— Jaśnie pan hrabia w swoim gabinecie— odparł szwajcar.

— Słyszałeś: „jaśnie pan,“ nauczże się i ty— szepnął Noiński koledze do ucha.

Władysław uśmiechnął się.

— Podobno nie potrafię.

U drzwi gabinetu pana hrabiego, minąwszy sień spotkali lokaja w liberyi, któremu Noiński uczynił toż samo pytanie, co przed chwilą szwajcarowi; lokaj otworzył szeroko podwoje, mówiąc:

— Jaśnie pan hrabia czeka na interesantów.

Młodzi ludzie weszli jednocześnie. Inny to był gabinet jak Fuchsa w Włocławku. Tam wszystko świeciło, krzyczało: złoto, jedwabie jaskrawe barwy, rzucały się zaraz w oczy; tu wszystko było poważne. Może urządzenie tego gabinetu więcéj kosztowało niż tamtego, ale na pierwszy rzut oka nie zdawało się to... Orzechowe meble skórą kryte, o wiele miały minę skromniejszą od czerwonym atłasem krytych mebli Fuchsa; maleńki obrazek pędzla Matejki, wiszący nad biórkiem, od wspaniałego zegaru bronzowego, który stał w gabinecie bogatego fabrykanta. Pan Szołdran był w pokoju, ubiór jego był staranny, lecz skromny; prócz złotéj obrączki, innych pierścieni nie miał na palcach;

siedział przy biórku i coś pisał właśnie, gdy lokaj drzwi otworzył. Ujrzawszy wchodzących powstał i podał Noińskiemu rękę.

— Przyprowadzasz mi pan przyszłego bibliotekarza—rzekł z uśmiechem — dziękuję panu bardzo.

— Mój kolega Kiedrzyński—odparł Noiński —nie wyjeżdza nigdzie na lato, chętnie podejmie się zatem spełnić życzenie pana.

Władysław na te słowa skłonił się grzecznie, a hrabia zwrócił się do niego i podał mu rękę.

— Siadajcie panowie—rzekł, wskazując dwa krzesła, obok biórka stojące.— Trzeba nam jeszcze o warunkach pomówić.

Władysław i Noiński usiedli.

— Sądzę, że urządzenie méj biblioteki więcéj czasu panu nad miesiąc nie zabierze—ciągnął daléj Szołdran,— ofiaruję panu w zamian po zupełném ukończeniu pracy rs. sześćdziesiąt.

Sześćdziesiąt rs. Władysławowi zaszumiało w głowie, miałby już zatém prawie całą summę potrzebną dla Przepiórki, brakowałoby tylko jeszcze dziesięciu rubli; ani myślał się wahać, powstał, skłonił się i rzekł:

— Przystaję na ten układ.

Ale Noiński był przytomniejszy.

— Pan hrabia wspomniał mi, zdaje się, że życie i mieszkanie, bibliotekarz będzie miał zapewnione w jego pałacu.

— Rzecz naturalna, do restauracyi daleko od nas, czasu szkodaby marnować—odparł hrabia.

—A czy mój kolega nie mógłby zobaczyć owych ksiąg i szaf?—mówił daléj Noiński.

— Niechaj jutro rano tu przyjdzie, to ja mu pokażę; jeźli przyjmie obowiązek, będzie mógł wziąść się zaraz do pracy: obecnie książki jeszcze w pakach.

Młodzi ludzie powstali i pożegnawszy hrabiego wyszli z gabinetu.

— Sześćdziesiąt rubli spadło mi jak z nieba—rzekł Władysław— a już wczoraj namyślałem się, czy nie zawrzeć układu z niejaką panią Swidzińską; chciała mię wziąść na wakacye do siebie na wieś, żebym jéj syna do pierwszéj klasy przygotował, ale dawała tylko 30 rsr.

— Lecz czy ty dobrze robisz, że o spoczynku nie myślisz?—odparł Noiński.

Władysław uśmiechnął się smętnie.

— *Muss ist eine harte nuss*,— odparł – jak spłacę Przepiórkę, to odpocznę wtedy!

Ten wieczór przyjaciele spędzili razem w wesołém towarzystwie kilku jeszcze kolegów, a chwilowa rozrywka, nadzieja otrzymania za miesiąc rs. 60, tak otrzeźwiły Władysława, iż nie czuł najmniejszéj potrzeby odpoczynku. Egzamina już były ukończone, przeszedł do wyższego oddziału, i z téj strony czuł zatém spokój; to téż téj nocy spał wybornie, a naza-

jutrz jeszcze przed dziewiątą podążył wesół i raźny do hrabiego.

W „Złotéj willi“, taką nazwę nosiła maleńka posiadłość Szołdrana, w pałacu obok salonu błękitnego, który się łączył z salonem wielkim, był jeszcze trzeci pokój, obszerny; ten nie miał żadnego przeznaczenia, dopiéro, gdy hrabia otrzymał w spadku po swym kuzynie stosy ksiąg, pokój ów ochrzczony został mianem biblioteki. Olbrzymie, orzechowe szafy zakryły ściany, na ich półkach miały niebawem zaświecić rozmaite księgi, których wartość nieznaną była jeszcze hrabiemu, dopiéro Władysław miał mu o tém powiedzieć.

Służba była widocznie uprzedzoną że rankiem przybędzie do pałacu bibliotekarz, gdyż zaledwie Władysław ukazał się między kłąbami rozścielającemi się przed pałacem, szwajcar, nie pytając go do kogo ma interes, roztworzył przed nim podwoje, a lokaj, znajdujący się w sieni poprowadził go do biblioteki. Cztery wielkie skrzynie drewniane stały tu dzisiaj, prócz szaf stolik długi, obok niego krzesło. Skrzynie były odbite, kazał je poprzedniego wieczora przynieść tu hrabia i roztworzyć. Pokój był wielki o czterech oknach, ale posępny. Rozłożyste kasztany rosnące tuż pod oknami, nie dozwalały zaglądać do środka promieniom słońca, czuć było przytém jakby wilgoć; lecz w tém nic dziwnego nie było: dwa dni temu roztworzono tu

poraz pierwszy okna, nie zaglądał tu nikt przedtem, niepotrzebny nikomu pokój był zaniedbany. Chłod jaki tam panował miłym był wszakże w téj chwili Władysławowi, ranek był parny, zmęczył się idąc; tu się otrzeźwił.

Rzuciwszy czapkę na krzesło, zabrał się zaraz do roboty: począł ze skrzyni najbliżéj stojącéj dobywać książki i układać je na stole, aby potém zanieść do szafy; lecz zaraz na wstępie przekonał się, że tego nie będzie mógł dziś uczynić: książki były bowiem wrzucone do skrzyni bezładnie, i najprzód trzeba było dobierać tomy dzieł. Mickiewicz leżał obok Kalderona, Bajron z Kochanowskim się pomięszali; nie dość na tém, większa część książek była nieoprawną, w tych brakowało często po kilka kartek: trzeba było je szukać, bo często zamieszały się do innego tomu. Władysław dobierał cierpliwie książki, porządkował kartki, ale im daléj zagłębiał się w skrzyni, tém więcéj przekonywał się, że praca, któréj się podjął, to praca nie na miesiąc, ale na dwa najmniéj i odwaga powoli opuszczać go zaczęła. Nie ustawał jednak, schylony nad skrzynią dobierał wciąż tomy, zapisywał brakujące; nareszcie znużony rzucił się na fotel, by odpocząć chwilę: zegarek wyjął z kieszeni i spojrzał na wskazówki, chcąc się przekonać jak długo pracował.

Toż to już 12 godzina — rzekł sam do siebie.

W tym ciemnym, wilgotnym pokoju nie spostrzegł, że słońce tak wysoko stoi; znużenie tylko, jakie czuł, ostrzegało o tém.

Pracowałem całe cztery godziny i cóżem zrobił przez ten czas? To powiedziawszy westchnął, i przyszło mu na myśl, że podjął się pracy za wielkiéj, bo chwili wytchnienia nie będzie miał; że byłby lepiéj zrobił, gdyby był do Swidzińskich pojechał.—Dawali mi wprawdzie tylko 30 rs. – mówił daléj do siebie —ale tam z pewnością tyle sił nie stargałbym, jak tu; mam już uciułanych 30, drugie 30 od nich dostanę, brakować będzie tylko 40, te zbiorę przecież przez kwartał. Tak rozumując wstał, wziął czapkę i wyszedł z biblioteki. Nie przyrzekł jeszcze ostatecznie hrabiemu, miał pierwéj rozejrzeć się w bibliotece, mógł zatem się cofnąć.

Idąc przez aleje rozmyślał co zrobić, a może przybrać pomocnika i podzielić się z nim dochodem, wtedyby mógł wcześniéj zamykać bibliotekę i wieczory spędzać za rogatkami. Tak mu tęskno było do pól i lasów, taką czuł potrzebę odpoczynku na świeżém powietrzu.— Trzeba i o sobie myśleć trochę. Toż to także obowiązek każdego. Sam nie wiedział, co postanowić, wahał się, namyślał czy Swidzińskich wybrać, czy Szołdrana, dobrawszy wspólnika pracy, i nie pewny jeszcze co postanowi zaszedł na Bednarską ulicę. Spodziewał się listów z Włocławka, więc dlatego wstąpił tutaj;

bryftreger przynosił je zwykle o, jedenastéj powinny już były być złożone u stróża. I nie omylił się, w bramie Marcinowa oddała mu dwa listy; spojrzawszy na adresy, na jednym poznał rękę brata, na drugim siostry.

Przecież,— rzekł sam do siebie i wbiegłszy spiesznie do mieszkania roztworzył najprzód list brata. Wiadomości, jakie krążyły o nim w kraju, były dość prawdziwe. Józef pisał z Berlina, donosił że jest zdrów, że ma nie złe miejsce w handlu niejakiego Winawera, że pobiera 25 talarów miesięcznie. Obiecywał, że jak tylko pryncypał powiększy mu pensyą, częściami odeśle matce, co pożyczył na jéj imię: „Obecnie jeszcze nie mogę“, pisał daléj „tu życie tak drogie.“

Smutny uśmiech okrążył usta Władysława, gdy przeczytał te słowa.—Zapomniał o tém, co mi pisał, wyjeżdżając z kraju—rzekł sam do siebie—lecz mniejsza o to, damy sobie radę bez niego; dobrze i to, że wiemy, iż zdrów i wystarcza na swoje potrzeby.

To mówiąc odłożył list na stronę i drugi rozpieczętował: ten był długi, całe cztery stronnice zawierał. „Drogi Władku!—pisała Jadwiga —zmartwiłam się serdecznie twym listem; więc nie przyjedziesz do nas, smutno nam lato spłynie, a tak pragnęłam, żebyś przyjechał, bo widzisz, z tobą byłoby weseléj. Mama coraz słabsza, ociężalsza, najlepiej lubi w domu siedzieć;

miałabym przynajmniéj z kim na spacery chodzić. O! bardzo smutne wiodę teraz życie; rzadko kiedy mam sposobność się rozerwać, całemi dniami siedzę i szyję, a to taka nudna rzecz szyć. Wiesz co, gdyby nie to, że lękam się ciebie zmartwić i pogniewać, rzuciłabym krawiecczyznę. Wyobraź sobie, cały dzień siedzieć z igłą, o niczem nie myśleć, tylko o sukniach, o gałgankach, strojach, toż to okropne... Ale co robić, kiedy być inaczéj nie może; mama mi prawi codzień, że każda praca, która nas czyni niezależnymi, która sprawia, że możem sobie powiedzieć „nie jestem ciężarem nikomu,“ już nas udostojnia; więc bądź spokojny: nie rzucę krawiecczyzny. Gdybym miała fundusz, o, wówczas co innego... wówczas pojechałabym do Szwajcaryi i na kursa medycyny wstąpiła; to jedyny zawód, do którego mam powołanie: czuję to, ale cóż, ani marzyć o tém, pieniędzy niéma...Ninka Łącka, którą może pamiętasz, gdyż widziałeś ją u Snarskich na owym wieczorze świetnym, o, roskoszne wspomnienie! ale prawda, ty nie byłeś z nami; otóż niejaka Nina Łącka, moja znajoma, uczy się malować na porcelanie; to bardzo miłe zajęcie: żałuję żem pierwéj nie wiedziała o tym jéj projekcie, byłabym chętniéj uczyła się malować niż szyć; zajęcie szlachetniejsze o wiele, bo ze sztuką spokrewnione. Lecz teraz już zapóźno, wszak prawda; coby ludzie powiedzieli, że tak ciągle zmieniam zawody: wyśmieliby mię pewno... Bądź spokojny, nie porzucę igły, ona widać mojém przeznaczeniem... już zbudowałam sobie jednę suknię, a teraz dla mamy kraję; jak tę skończę, znowu dla siebie szyć będę, potrzebuję bowiem letniéj sukienki. Mój drogi, czybyś ty nie mógł mi pożyczyć kilkunastu rubli, tyle rzeczy mi potrzeba: kapelusza, sukni, parasolki; najmniéj ze 30 rubli wyjdzie na to. Mamy nie śmiem prosić, a sama ucząc się dopiéro, jeszcze nie zarabiam, ale to nie długo nastąpi: zobaczysz... Nie gniewaj się, że cię proszę, lecz zkądże wezmę; oddam ci przecież: sądzę że mi wierzysz.“

Trzydzieści rubli, była to według Jadwigi sumka niewielka. Ileż razy Józef pożyczył jéj więcéj, a gdy mu chciała oddać, gniewał się, odpychał pieniądze i mówił: „Dajże pokój, weźże je sobie; czyż nie jestem twoim starszym bratem: taką drobnostkę możesz wszakże przyjąć odemnie.“

Możeby się była nie odważyła prosić, lecz Władysław przyznał się jéj w ostatnim liście, iż zebrał już 30 r: „Pocóż je miał trzymać w stoliku, wszakże dopiéro na Nowy rok będzie jepotrzebował, a do Nowego roku zarobię tyle z pewnością. Niech ten i ów zobaczy moję gabryelę, a posypie się robota.“ Tak wyrozumowawszy, napisała śmiało o pożyczkę, matce nic wszakże o tém nie wspomniała. „Mama taka

rygorystka, miałaby skrupuły, a jak Władek przyśle pieniądze, to ich przecież nie odeśle, pomyślała sobie.

Przeczytawszy ów długi list Władysław, przeszedł się kilka razy po pokoju, poczém wziął nagle za czapkę i wyszedł z mieszkania. Gdzież chciał iść, czy do Swidzińskich, ale nie, bo ci mieszkali na Miodowéj, a on w przeciwną stronę podążył; może do którego z kolegów, by zapytać, czy nie zgodzi się podzielić z nim pracę; i to nie, gdyż szedł nie zatrzymując się, nie wstępując nigdzie. Minąwszy Nowy Świat skierował się w Aleje Ujazdowskie, poczem zawrócił na Wilczą, do Złotéj willi.

Czy przyszedł przeprosić hrabiego, iż podjąć się tak ciężkiéj pracy nie może? Trzeba pomyśleć o sobie, wszakże powiedział kilka godzin temu. List Jadwigi może go rozgniewał na lekkomyślną dziewczynę i jeszcze więcéj pobudził, aby o sobie myślał.

— Czy pan w domu?—zapytał służącego.

— W gabinecie—odparł zapytany.

Władysław tam się skierował. Szołdran siedział przy biórku.

— Przyszedłem oznajmić panu hrabiemu, iż podejmuję się obowiązku bibliotekarza—rzekł wchodząc daléj.

Hrabia skinął mu uprzejmie głową i prosił by usiadł. Mówili czas jakiś o nieładzie, w jakim znajdowały się książki; Szołdran prosił, aby

każdy brakujący tom zanotował.— „Dopełnię wszystkie dzieła—mówił—brakujące tomy sprowadzę ze Lwowa—a gdy się żegnali polecił młodzieńcowi, żeby tegoż jeszcze dnia sprowadził się do pałacu.

Władysław przyrzekł, iż przed wieczorem stawi się z tłomoczkiem, poczém podążył do siebie, zebrał manatki do walizki, następnie siadł do pisania listów, i tegoż jeszcze dnia do Złotéj willi wprowadził się młody bibliotekarz a do Włocławka podążył list rekomendowany na imię Jadwigi. Władysław posłał w nim żądane 30 rubli...

I rozpoczęło się teraz dla Władysława życie zupełnie nowe: całe dnie spędzał samotny w ciemnym, wilgotnym pokoju, pracował od ósméj rano do dziewiątéj w wieczór, bez chwili wytchnienia prawie. Jedyną przerwę w téj pracy mozolnéj, nudnéj, jednostajnéj stanowił obiad, który trwał zwykle całe dwie godziny, a który Władysław jadał z rodziną hrabiego; ale byłby wolał, żeby mu go przynoszono do jego pokoiku, ktory miał tuż przy bibliotece. Ciemno tam było wprawdzie i wilgotno także, lecz byłby przynajmniéj swobodny, zjadłby prędko i pobiegł choć na godzinkę do Łazienek odetchnąć wśród cieniu drzew, odpocząć na miękkiéj murawie. Nie mógł jednakże prosić o to hrabiego, grzeczność wymagała przyjąć jego łaskę i zasiadać do wykwintnego stołu. A tak było ja-

koś duszno przy tym stole, tacy tu wszyscy siedzieli sztywni, wyprostowani. Hrabia utrzymywał, że rozmowa przeszkadza jedzeniu, milczał więc zwykle przez cały obiad; dopiéro przy czarnéj kawie, gdy poszedł do drugiego pokoju z guwernerem francuzem, wdawał się w rozprawy polityczne i poglądy swoje arystokratyczne rozwijał, ale tam bibliotekarza nie zapraszano...

Pani hrabina była zawsze czegoś zadumana, grała rolę nieszczęśliwéj jakiéjś ofiary, patrzyła w okno melancholicznie, i nic prawie nie jadła; dwie jéj córeczki, panienki dorastające, siedziały ze spuszczonemi oczami w talerze i tylko czasem odzywały się półgłosem po francuzku do siebie, lub do nauczycielki, a téj mowy Władysław nie rozumiał. Nauczycielka, francuzka rodem, nieprzyjaciołka wszystkiego co polskie, z ukosa i niechętnie na niego patrzyła, gdyż darować mu niemogła, że nie mówi jéj językiem. Najswobodniejszym był młody hrabia Jerzy, chłopiec 13-to letni; lecz tego wciąż poskramiał guwerner, który wiedział że hrabia nie lubi, gdy kto głośno mówi przy stole.

Duszno było Władysławowi w téj pańskiéj atmosferze, po skończonym obiedzie wymykał się ztąd jak najprędzéj, uciekał spiesznie do biblioteki, jak mysz do swéj kryjówki; a chcąc jak najprędzéj wyrwać się ze „Złotéj willi“ pracował do 11 w wieczór, czasem i dłużéj, byle skończyć oraz byle wrócić do swéj izdebki

na poddasze. I półki szaf zaczęły się powoli zapełniać, ale on codzień stawał się bledszy, szczuplejszy, i bywały dnie, że gdy wieczór się zbliżał, to mu coś się tak w głowie mąciło, iż nieraz nie rozumiał tytułów książek; wtedy zamykał wcześniéj bibliotekę i szedł się otrzeźwić do Łazienek. Raz spotkał się tam z jednym kolegą, niejakim Wydżgą.

— Kiedrzyński, jak wy wyglądacie! Policzki wam zapadły, kości z pod skóry przeświecają; doprawdy, spotkawszy was, przeżegnać się można — zawołał zatrzymawszy go.—Istny Piotrowin z grobu wstający!

— Bo téż w grobie teraz żyję: cały dzień nie widzę słońca i nieba—odparł Władysław—

— Pocóżeście, u dyabła, podjęli się tej roboty?

— Bo mi dali za nią 60 rubli, a potrzebuję ich.

— Alboż nie uzbieraliście już 30 przez wiosnę, resztę dopełniłoby się jesienią.

Władysław zanicby nie powiedział co z owemi trzydziestoma przez wiosnę uzbieranemi zrobił, za nic nie chciałby dać z tego wyobrażenia komukolwiek o swéj siostrze, więc uśmiechnął się smętnie i rzekł:

— A nużbym nie uzbierał, nużbym zachorował?

— Et, dziwaczycie, chorzy chyba jesteście; kto widział bawić się w przypuszczenia? Potrzeba wam rozrywki; idę do Tivoli, dają nową komedyą Anczyca: chodźcie ze mną.

— Nie mogę—odparł Władysław—wiecie dobrze, iż nie bywam w teatrze.

Wydżga począł łajać, był widocznie obrażony odmową; lecz gdy dotarli do rogu ulicy Wilczéj, i Władysław przystanął, by go pożegnać, uścisnął mu dłoń serdecznie.

— Dziś nie macie ochoty, ale innym razem namówię was koniecznie—rzekł już wesoło—wpadnę tam do was którego dnia.

— Wpadnijcie, proszę—odparł Władysław—ale nie próbujcie namawiać, bo tak samo jak dziś odmówię.

Wydżga dotrzymał słowa, po kilku dniach zjawił się w bibliotece.

— Wy tu zapleśniejecie—rzekł wciągając w siebie wilgotne powietrze—jabym tu dnia nie wysiedział. Ten Szołdran pewno wierzy, że my, nie hrabiowie, inne płuca mamy jak oni. Bierzcie czapkę i chodźcie ze mną, pojedziemy na operę.

— Dajcież mi pokój z takiemi namowami, jużem wam raz powiedział, że nie bywam w teatrze.

Próżno Wydżga łajał, prosił, namawiał, Władysław był nieubłagany; nareszcie rozgniewany tym razem na dobre, wyszedł trzasnąwszy tak głośno drzwiami biblioteki, że pani hrabina, która siedziała w błękitnym salonie, aż drgnęła na kanapie.

Odtąd Wydżga więcéj nie zajrzał do Władysława, a mówiąc o nim z kolegami, ruszał zawsze ramionami.

— Zdziwaczał, powiadam wam, zdziwaczał zupełnie; zrobił się z niego stary skąpiec, który o tém tylko myśli, żeby grosze dusić.

Władysław może i przypuszczał, jaką opinią sobie wyrabia, jednak nie odmieniał postępowania. Lekkomyślność Jadwigi nadto go bolała, aby potrafił o niéj mówić z obcymi, wolał już żeby go wszyscy mieli za skąpca. Miał zawsze nadzieję, że się siostra poprawi; łudził się, że jest na téj drodze: wszakże mu napisała, iż nie rzuci krawieczyzny, dlatego tylko pożyczył jéj żądane 30 rs.: jakże miałby serce skarżyć się na nią.

Nareszcie biblioteka urządzoną została, a było to w sobotę, na dwa dni przed rozpoczęciem kursów uniwersyteckich. Gdy Władysław ostatnią książkę włożył na półkę i ostatnią szafę zamknął, pociemniało mu w oczach, zachwiał się i zaledwie trafił do krzesła. Rzuciwszy się na nie, zamknął oczy i głowę zwiesił na piersi w myśli jego panował dziwny zamęt: widział matkę, siostrę, hrabiego, widział książki, skrzynie, izdebkę na poddaszu: wszystko to razem przesuwało się w jego wyobraźni“ lecz dlaczego się przesuwało, tego nie wiedział. Jakaś bezwładność nim ogarnęła: chciał o wodę zawołać a nie miał siły głosu dobyć; chciał iść do hra-

biego, by mu klucze oddać, a nie mógł się podnieść. Wtem drzwi od przyległego salonu rozwarły się i w progu ukazał się Noiński, który dopiéro co z podróży powrócił. Stanął, wzrokiem obiegł bibliotekę i zatrzymał go na siedzącym w krześle przyjacielu.

— Co tobie?—rzekł głosem wylękłym, i krokiem spiesznym postąpił daléj.

— Co tobie?—powtórzył pytanie, kładąc rękę na ramieniu omdlałego.

Władysław otworzył oczy i poznał przyjaciela.

— Słabo mi trochę,—rzekł wyciągając rękę na powitanie.

— Wstań i chodź na świéże powietrze—odparł Noiński—to cię otrzeźwi.

Władysław usłuchał rady, oparł się na ramieniu przyjaciela i poszli w aleje, tam siedli na najbliższéj ławce.

Świéże powietrze okazało się zbawiennem lekarstwem. Władysław przyszedł w istocie niebawem do siebie, a gdy następnie pociągnął go Noińskido restauracyi na obiad, osłabienie całkiem minęło. Po obiedzie rozeszli się każdy w inną stronę: Władysław podążył do hrabiego, oddać mu klucze, Noiński do rodziców. Hrabia podziękował uprzejmie Władysławowi, oświadczył, że widział już bibliotekę i że jest całkiem zadowolony, a gdy Kiedrzyński oddał mu klucze i katalog brakujących tomów, wypłacił należność.

Zabrawszy rzeczy Władysław przeniósł się jeszcze tego dnia do swéj izdebki, w bramie nakazał Marcinowéj, aby nie wchodziła do niego, póki ją nie wezwie. Wszedłszy do pokoju położył się natychmiast. Marcinowa spełniając sumiennie rozkaz, cały dzień nie zajrzała na poddasze i Władysław cały dzień nie wyszedł z pokoju; przespał 24 godzin, ani razu się nie przebudziwszy. Długi ten sen wrócił mu szarpnięte siły; gdy na drugi dzień wpadł do niego Noiński zaniepokojony, co się z nim dzieje, Władysław powitał go wesoło. Przyjaciele postanowili ostatni dzień swobodny razem spędzić. Noiński namówił jeszcze kilku kolegów i wybrali się wszyscy razem do Bielan, tam czas zeszedł im wesoło, a następnego dnia z myślą trzeźwą, wypoczętą, siadł Władysław słuchać lekcyi.

I znowu życie zaczęło się dla niego dawnym trybem toczyć, malcy przyjeżdżali, rozpoczął przerwane korepetycye i zdawało mu się, że miesiące letnie spędzone w pracy mozolnéj nie przyniosły mu żadnego uszczerbku, że zdrów jest zupełnie. Niedługo wszakże owe zawroty głowy jakie począł miewać latem, powróciły; napadały go one jak i dawniéj zawsze wieczorem, a wtedy mimo najszczerszych chęci musiał składać książkę, gdyż nie rozumiał się zupełnie; lecz gdy odpoczął z godzinkę, zawrót mijał i siadał znowu do pracy, nie ustawał więc, nie tracił odwagi. Tak minął miesiąc. Pierwszego

października wróciwszy do domu, przeliczył pieniądze, jakie miał w stoliku; z tych które otrzymał od Szołdrana wydał przez wrzesień 10 rubli na życie i 14 dał za zaległe miesiące przypadające za mieszkanie; zostało mu z nich więc tylko 36 rs; lecz za korepetycye otrzymał właśnie 50 rubli, z tych odłożył na wydatki 26, resztę dołożył do owych 36, miał już zatém dla Przepiórki 60 rubli: nie wątpił, że przez dwa następne miesiące zbierze resztę brakującą. I położył się spać spokojny, a nazajutrz z odwagą zabrał się do pracy i nie ustawał w niéj; ale siły co dzień go bardziéj opuszczały, zawroty głowy coraz częściéj się powtarzały; nie zważał wszakże na to, nie radził się lekarza, bo się obawiał że mu zabroni pracować. I minęło znowu kilka tygodni, zbliżył się nareszcie pierwszy listopad. Słotny był to dzień, śnieg pruszył od rana drobnemi płatkami, a topniejąc w powietrzu, napełniał ulice błotem.

O siódméj godzinie z wieczora Władysław powrócił do siebie zmoczony, zziębnięty; wszedł do izdebki, wypił herbatę, którą mu Marcinowa przygotowała, poczem wydobył pugilares. Tak samo jak w przeszłym miesiącu, tak i dzisiaj przyniósł ze sobą 50 rubli; z tych odliczył 40, poczem dobył z komody jakąś paczkę, rozwinął ją: były tam same banknoty 10 rs., a było ich sześć, dołożył do nich owe 40 rs., zawinął razem, paczkę zapieczętował i napisał na nié

„własność Przepiórki, ulica Freta N. 3," poczem paczkę wsunął napowrót do szuflady.

Dziesięć zostaje mi tylko na życie i mieszkanie—rzekł sam do siebie—ale gospodarz poczeka, a ja będę spokojny, że mam już potrzebną summę. Tak mię ta myśl, czy zbiorę, dręczyła; teraz spać może będę przynajmniéj po nocach.

To powiedziawszy rozłożył książki i szedł do nich; chciał się przygotować na dzień następny, lecz nie mógł: dostał zwykłego zawrotu głowa, więc podniósł się i przeszedł parę razy po pokoju: myślał, że tym sposobem złe minie, ale nie mijało jakoś.

Tak mi coś dziwnie — rzekł sam do siebie i stanął w oknie i wpatrzył się w zamglone niebiosa; tam naprzeciw niego świeciła tylko jedna blada smutna gwiazdeczka.—Podobnaś do mnie, gwiazdko—rzekł Władysław — możnaby powiedzieć, że już w tobie nie wiele życia.

Wtem gwiazda znikła, czarna chmura ją zasłoniła. Władysław uśmiechnął się smętnie.—Zły znak—szepnął i odszedł od okna i wrócił do stołu, siadł do książki, ale odsunął ją po chwili.

Już tam z nauki, to dziś chyba nic nie będzie—rzekł i wstał, otulił się mundurkiem, bo go dreszcze przeszły; ścisnął sobie ręką czoło, jakby go głowa bolała i poszedł do łóżka, ale tak czuł się znużony, iż nie miał siły nawet

się rozebrać: rzucił się na poduszki w ubraniu. Izdebkę cisza zaległa, nic jéj nie przerywało, tylko samowar syczał, pryskał, zdawał się gniewać, że go nie sprzątnięto ze stołu, ale i ten ucichł w końcu. Wtém koło północy Władysław się podniósł na łóżku, na stole paliła się lampa, ale dogasała już; blade światło rzucała po pokoju, mimo to dojrzeć można było, iż w twarzy młodego chłopca zaszła wielka zmiana: na blade policzki wystąpiły rumieńce, usta były purpurowe, oczy życiem świeciły.

— Gdzie pieniądze?—rzekł głosem krótkim, urywanym, jakim mówią zwykle ci, co mają gorączkę.—Przepiórka matce zajął meble, trzeba mu je odesłać; zapomniałem że to dziś termin wypłaty... Jadwigo, coś ty z pieniędzmi zrobiła... O! lekkomyślna dziewczyno, roztrwoniłaś je na gałganki; zkądże wezmę teraz? ja już nie mam sił pracować.

I załamał ręce, i zwolna powalił się na poduszki, a lampa dogasająca, kilkakrotnie strzeliła żywszym płomieniem, nareszcie zgasła całkiem... ciemność zaległa izdebkę i słychać w niéj było tylko urywane słowa, bezładne zdania, jakie śpiący wymawiał.

V.

Wcześniéj, tym razem, zima rozgościła się u nas jak zwykle. Dnia 6 listopada ulice Włocławka śniegiem były zasypane, wprawdzie około południa śnieg stopniał; lecz tak było zimno, wietrzno, iż ani można było pomyśleć o wyjściu na spacer. Zima i zebrania wieczorne idą zwykle w parze; ponieważ ta wcześniéj zawitała, wcześniéj téż, jak zwykle, zaczęto się bawić w tym roku w Włocławku. Adwent się zbliżał, więc korzystano z ostatnich dni i tańczono codzień w innym domu. Dnia 16 listopada wypadały urodziny starszéj córki pani Maryi, ciotki Jadwigi; chcąc nagrodzić pracowite dziewczę, bo Zuzia cały dom teraz obszywała, pani Marya sprosiła gości na szesnastego, niby tylko na herbatkę, ale panienki wiedziały o tém dobrze, że po owéj herbatce będą tańce. Wiedziała o tém i Jadwiga, i choć matce o tém nic nie mówiła, lecz zawczasu rozmyślała w co

się ustroi. Miała wprawdzie błękitną sukienkę, jaka jéj pozostała z ostatniego karnawału, ale na tę nie miała najmniejszéj ochoty. Sukienka była już nie świeża i niemodnie zrobiona, a Jadwiga chciała być najpiękniéj ze wszystkich ubraną, chciała wszystkich olśnić tualetą; ale zkąd wziąść na nową suknię? Trudno nie iść wcale na zabawę, tak już dawno nie tańczyła: była bardzo skłopotaną. Zuzia i Lucia miały mieć nowe sukienki różowe, Nina jakąś lila; czyż ona jedna w staréj wystąpi? nie, to niepodobna. Smutna, podrażniona położeniem, siadła w oknie, dumając nad swoim losem.

Wiatr świstał ponuro, śnieg bił o szyby, a ona wsłuchując się w tę posępną muzykę, myślała sobie, że natura stosuje się do usposobienia jéj duszy, bo było jéj dziś bardzo ciężko na sercu, czuła się nieszczęśliwą, bardzo nieszczęśliwą; łzy nawet świeciły w jéj oczach. Wtém jakaś myśl jaśniejsza powstała widocznie w jéj główce, gdyż nagle otarła oczy i uśmiechnęła się figlarnie; wstała z krzesła i cicho na palcach skierowała się do drugiego pokoju; drzwi były nawpół uchylone, wsunęła główkę i szepnęła:

— Czy mama śpi jeszcze?

— Nie, obudziłam się właśnie — odpowiedział głos z głębi.

Jadwiga odemknęła szerzéj drzwi i weszła do pokoju; pani Kiedrzyńska leżała na kanapce, ziewała jeszcze, ale zobaczywszy córkę, uśmiechnęła się i kazała jéj usiąść obok siebie. Jadwiga pochyliła się do niéj z pocałunkiem.

— Matusiu—rzekła—czybyś ty pozwoliła mi jechać do Warszawy z Martinową, ona jutro się wybiera po nowe fasony. Takem dawno Władzia nie widziała, a przytém i ja mam interes. Mnie Łącka mówiła, że mi da suknię do roboty, pochodzę z Martinową po magazynach, zobaczę może co nowego.

— A u kogóżbyś stanęła?

— U matki Martinowéj: ona mię sama zaprasza.

(Nie przyznała się wszakże, iż o to zaproszenie przymówiła się).

— To ludzie dostatni podobno, pobyt mój różnicy im nie zrobi.

Pani Kiedrzyńska zdawała się wahać.

— Powiedziałabym ci, matusiu, co Władyś porabia: już od dwóch tygodni nie było od niego listu.

Otrzymanie pewnych wieści o Władysławie zachęcało wistocie panią Kiedrzyńską, by córce pozwolić jechać; była o syna bardzo niespokojną: Władysław pisywał dotychczas tak regularnie, lękała się, czy chory nie jest; ale wahała się jeszcze, gdyż nie znała rodziny Martinowéj.

— Czy ja wiem, co to za dom? — rzekła po chwili—pani Martin jest bardzo miła, przyjemna osoba, ale zasad jéj nie znam zupełnie, a ty taka lekkomyślna, roztrzepana.

— Jeśli o to idzie mamie — podchwyciła Jadwiga szczęśliwa, iż matka już ustępować zaczyna — proszę zapytać cioci o rekomendacyę, ona u nich była.

— To chodźmy do ciotki—rzekła pani Kiedrzyńska i wybrały się natychmiast.

Pani Marya zapewniła kuzynkę, że Jadzia może stanąć u Martinów, lecz zdaniem jéj było, iż to niepotrzebny wydatek, że Władysław pewno zdrów, tylko zajęty i dlatego nie pisze. Wymowniejszą była wszakże Jadwiga: gdy wróciły do domu, tak zaczęła prosić, namawiać matkę, że ta zezwoliła wreszcie i Jadwiga nazajutrz pojechała. Wzięła ona ze sobą trzy ruble, które matka dała jéj niedawno za zrobienie sukni i pojechała szczęśliwa, wesoła.

Kupię kilka łokci jakiego barežu różowego — myślała sobie, siedząc w wagonie — Władyś pójdzie ze mną do sklepu, co zbraknie pieniędzy to doda, i suknia będzie nowa i będę najpiękniejszą ze wszystkich.

Ponieważ wyjechały po obiedzie, więc samym wieczorem stanęły w Warszawie. Jadwiga chciała zaraz biedz do brata, ale Martinowa wyperswadowała jéj mówiąc, że o téj godzinie może go nie zastać w domu, lub znaleźć u niego kolegów; doradziła za to, żeby posłała kartkę, uwiadamiając go gdzie stoi.

Jadwiga kartkę posłała, prosząc brata, by przyszedł o dziesiątéj i czekała na niego cierpliwie, czekała dłużéj nawet, bo aż do jedenastéj; lecz gdy nie zjawił się i wtedy, korzystając z nieobecności Martinowéj, sama do niego iść postanowiła.

Zapytam stróża, czy jest w domu — myślała sobie—a jeśli będzie, to poproszę, żeby go wywołał.

Powziąść zamiar i wykonać go, to była u Jadwigi rzecz jednéj chwili. Nie wyszło pięciu minut, już wybiegła z mieszkania Martinów i na Bednarską podążyła. W bramie kamienicy, w któréj mieszkał Władysław, siedziała pani Marcinowa; ujrzawszy wchodzące ładne, strojne dziewczę, gdyż Jadwiga najlepszą sukienkę wzięła do Warszawy, zwróciła na nie ciekawy wzrok. Jadwiga podeszła ku karcie, na któréj wypisana była lista lokatorów; stróżka przypatrywała się jéj chwilę, poczém podniosła się i zbliżyła do niéj.

— Czy pani szuka kogo w tym domu?—zapytała.

Jadwiga zwróciła się do niéj.

— Pana Kiedrzyńskiego—odparła—czy jest w domu?

— To się rozumie, że jest; pani do niego przyjechała, to dobrze: pani jego siostra?

— Tak jest, lecz zkądże znacie mię, kobiéto?

— Ba, jeszczebym nie znała, kiedy codzień patrzę na panienkę; sprzątam przecież u tego

pana, a stoi u niego na komodzie fotografia panny: powiedział mi sam, że to jego siostra.

Jadwiga uśmiechnęła się.

— Kiedy wiecie kto jestem, to idźcie do niego i powiedzcie mu, żeby zeszedł do mnie.

Stróżka ruszyła ramionami.

— Rychtyg powiem mu, a to panienka nie wié, że brat chory?

— Chory! — zdziwionym tonem powtórzyła Jadwiga—czy dawno?

— Będzie temu tydzień jak zaniemógł; ale bo tyz pracował, pracował biedaczysko, aż strach... Po nocach siedział, rankami się zrywał, a mówiłam mu, że będzie z nim źle; ale co tu gadać młodemu, nie uwierzy, aż sprobuje.

— Czy doktor powiedział co mu jest, przecież bywa doktor?—pytała daléj Jadwiga.

— Ano bywa tam kilku studentów, mówią to co i ja, że zadużo ślęczył nad książkami... Żeby był choć zjadł codzień porządnie, zeby zabawił się czasem, ale gdzietam. Bywało ot nieraz zimno na świecie, wiatr dmie aż strach, przez szpary okienka zakrada się do jego izdebki, ja mówię: — Napalę dziś w piecu, a on odpowiada:—Nie trzeba, Marcinowo, drzewo drogie. Przydą kolegi, powiedzą:—Chodź do tyatru, a on mówi: — Nie mogę. Wszystkiego sobie żałował, powiadam panience, co robił z pieniędzmi, Bóg jeden święty wié.

Tu Marcinowa jakoś podejrzanie spojrzała na sukienkę Jadwigi, a ona zarumieniła się.

— Czy jest teraz kto u niego?—spytała.

— A ktoby tam był, studenci w szkole, nie ma komu siedzieć rano, poobiedzie to się mieniają.

— Pójdę do niego, ale gdzie mam iść?

Marcinowa podeszła ku dziedzińcowi i wskazała lewą oficynę.

— Niech panienka idzie aż na trzecie piętro — rzekła — tam tylko jedne drzwi od jego stancyi.

Skinąwszy głową gadatliwéj kobiécie, Jadwiga podążyła na schody, a biegła raczéj niż szła: niepokój ją gnał. Niebawem znalazła się u drzwi, ujęła za klamkę i otworzyła ostrożnie, w progu zatrzymała się i rozejrzała wokoło. Było to biedne bardzo poddasze, w miejscu gdzie łóżko stało, pułap spuszczał się tak nisko, iż leżąc, można go było z pewnością ręką dosięgnąć: dwa krzesła proste, drewniane, takiż stolik i komódka niewielka stanowiły całe umeblowanie. Żal ścisnął sercem dziewczęcia.

Jak on biédak mieszka — pomyślała i zbliżyła się do łóżka, chcąc zobaczyć czy śpi, ale cofnęła się: Władysław tak był zmieniony, policzki miał zapadłe, usta czarne, oczy podwiedzione siną obwódką. Leżał przytém nieruchomy z zamkniętemi nawpół oczyma, śladu życia w nim nie było. Okropne przypuszczenie przebiegło jéj

myśl, zatamowało oddech w piersiach: może już nie żyje.

Cofnęła się przerażona, ale wróciła natychmiast do łóżka, pochyliła nad bratem i szepnęła:

— Władziu, ty śpisz?

On otworzył oczy, przelotny uśmiech oświecił jego twarz, ujął siostry rękę i uścisnął ją; poczém jednakże zamknął zaraz oczy, a oddech jego stał się jakby szybszy: na blade policzki wystąpiły słabe rumieńce. Jadwiga usiadła obok niego, nie śmiejąc odbierać ręki, któréj nie puścił jeszcze; izdebkę cisza zaległa, on leżał nieruchomy, ona patrzyła na niego niespokojna i coś jak wyrzuty budzić się w jéj piersi poczęło. Spojrzała na swą sukienkę i przypomniała sobie, że kupiła ją za owe 30 rubli, które jéj był pożyczył. Gdyby nie prosiła go o nie, możeby nie tyle pracował, a przecież mogła się była bez niéj obejść, bo to była tylko sukienka od stroju.

Wtém Władysław poruszył ustami.

— Jadwigo!—szepnął.

Ona pochyliła się nad nim.

— Czego chcesz?—spytała.

— Czyś to ty zabrała pieniądze Przepiórki?—rzekł—lekkomyślna dziewczyno, ty mię zabijasz!

Jadwiga drgnęła.

— Nie wzięłam ich, Władziu—rzekła.

Ale on jéj nie rozumiał, był w gorączce.

— Wzięłaś, wydałaś — mówił daléj — co ja teraz poczne; ja nie mam siły już daléj pracować. Józefie, Józefie, nie bierz tych pieniędzy; to nie moje: daję ci słowo. Boże, co oni robią!—krzyknął głosem przeraźliwym.

Jadwiga drżała, sama nie wiedziała co robić, czy wyrwać bratu rękę i biédz do Marcinowéj, by poszła po doktora, czy czuwać nad nim. Ale ów krzyk, który chory wydał, zmęczył go, widocznie, umilkł bowiem i znowu leżał cicho niedługo wszakże, niebawem począł majaczyć.

— Noiński!—zawołał—przynieś bilet, pójdę do teatru, trzeba i o sobie pomyśléć. Albo nie, nie, zapomniałem zupełnie, że Jadwiga prosi mię, by jéj kupić suknię. Co ta dziewczyna wydaje, to okropność: matka daje, ja daję i zawsze mało... Boże! jak tu zimno, niéma za co drzewa kupić; ja się rozchoruję z pewnością, ja umrę kto zapłaci wtedy Przepiórkę?

Każde słowo, które chory wymawiał, było jakby pchnięciem sztyletu w serce Jadwigi, każdy wyraz kamieniem potępienia. Nie śmiała patrzyć na brata, spuściła głowę na piersi, a z oczów jéj łzy płynęły. Czuła się bardzo winną, żałowała szczerze swego postępowania, lecz czyż żal jéj nie był zapóźny?

Wtém drzwi izdebki się otworzyły i w progu stanął obcy jakiś człowiek. Jadwiga nie znała go, ale przypuściła, że to może doktor, lub który

z przyjaciół brata; wyrwała więc dłoń z rąk chorego i naprzeciw wchodzącego pośpieszyła.

— Powiedz mi pan, co mu jest? — rzekła — jestem jego siostrą, dopiéro co przyjechałam, nic nie wiedziałyśmy, że on słaby.

Nieznajomy był rzeczywiście lekarzem, niejednę on godzinę przesiedział przy łóżku Władysława, a z tego co słyszał, gdy chory majaczył, domyślił się wiele; spojrzał téż surowo na Jadwigę: ani jéj łzy, ani jéj młodość, ani piękność nie wzruszyły jego serca.

— Co mu jest, pytasz mię pani? — rzekł chłodno — zapracował się, nie ręczę za jego życie.

Jadwiga cofnęła się: nie śmiała już o nic więcéj pytać; lekarz ominął ją i do łóżka się zbliżył: wziął za puls chorego i wsłuchiwał się długo w jego uderzenia, poczém obrócił się naraz do Jadwigi, która płacząc, cicho stała u nóg brata i rzekł:

— Pan Władysław ma matkę, wszak prawda?

Jadwiga skinęła głową potwierdzająco.

— Jeśli nie przyjechała z panią, radziłbym napisać, aby pośpieszyła.

Jadwidze serce prawie bić przestało.

— Czyż tak jest źle? — spytała stłumionym łosem.

— Za nic nie ręczę — odparł lekarz. — Gorączka nie zmniejsza się, a siły wyczerpane, nie tyle chorobą, ile życiem, jakie oddawna prowadził... Pracował nadto, a żałował sobie podobno nawet na zdrowy obiad.

To mówiąc wstał, zbliżył się do stołu i receptę napisał, poczém wręczywszy ją Jadwidze, rzekł:

— Pani zapewne przy nim zostanie, proszę mu dawać lekarstwo co godzinę, głowę zmywać letnią wodą, a saméj zachować się jaknajspokojniéj.

To powiedziawszy skłonił się chłodno i odszedł.

Jadwiga otarła łzy, wzięła ćwiartkę papieru leżącą na stole i napisała do matki, błagając, by pośpieszyła jaknajprędzéj do Warszawy; potém skreśliła kilka słów do Martinowéj, donosząc jéj gdzie jest, dlaczego do niéj nie wraca i wysłała Marcinowę z ową kartką do francuzki, oraz z listem na pocztę i receptą do apteki; miała w portmonetce trzy ruble, było czém lekarstwo opłacić.

Poczciwa to była kobiéta, ta Martinowa, przeczytawszy kartkę, pośpieszyła natychmiast na Bednarską i powiedziała Jadwidze, że jéj nie odstąpi, póki matka nie przybędzie. Całą noc obie się nie kładły, czuwały razem nad chorym, a on wciąż majaczył, wciąż o jednem mówił.

Nazajutrz, samym wieczorem przyjechała pani Kiedrzyńska; Władysław jéj nie poznał, gorzéj mu dziś było niż wczoraj. Martinowa widząc się teraz zbyteczną, wróciła do rodziców, a matka i siostra przy chorym zostały; lekarz odwiedzał

go codziennie, ale żadnéj nadziei nie robił, pani Kiedrzyńska była wszakże spokojną.

— Bóg dobry, może odmieni złe, nie dopuści tak wielkiego nieszczęścia na mą siwą głowę— mówiła do płaczącéj Jadwigi—ufam w Jego miłosierdzie.

Ale Jadwigę te słowa nie uspokajały, ona była w rozpaczy.

Jeśli umrze — myślała sobie — jeśli siły go opuszczą całkiem, śmierć jego całe życie będzie mi ciężyć na sumieniu. O! gdybym mogła przewidzieć, jakie następstwa pociągnie za sobą moja lekkomyślność.

Tak minął tydzień, minęło sześć dni strasznych, męczących, w których codzień Jadwiga z śmiertelną obawą wpatrywała się w twarz lekarza, drżąc co z niéj wyczyta; po nocy spędzonéj bezsennie, pani Kiedrzyńska położyła się jednego ranka na szezlągu, który jéj tu przysłali rodzice Martinowéj i usnęła twardo; na jéj miejsce Jadwiga zasiadła przy chorym.

Była to ósma godzina, przez maleńkie okienko poddasza zaglądało słońce, które niedawno co wstało; dzień zapowiadał się piękny, wróble go wesoło witały głośnym świergotem, z dziedzińca dochodził gwar głosów ludzkich. Jadwigę drażniły te gwary, ten świergot ptasząt, jéj dziś było ciężéj jeszcze na duszy, noc przebyta była tak okropną; chory zrywał się z łóżka i uciekać

chciał, dopiéro około piątéj się uspokoił, lecz teraz leżał taki blady, taki okropny, że Jadwiga z obawą na niego patrzyła. Nawpół otworzone oczy, usta rozchylone, głowa w tył opadnięta, czyniły go do trupa podobnym. Chciała się zbliżyć do niego, położyć mu rękę na sercu, przekonać się, czy bije jeszcze, ale nie miała od wagi; a nuż przekona się, że już nie żyje: na tę myśl dreszcz ją przejmował. Z jakiémże czołem spojrzy wtedy na matkę, czyż nie będzie ona miała prawa powiedzieć jéj: „to twoja ofiara," odepchnąć ją od siebie. Chciała podnieść wzrok w niebo i prosić zmiłowania, ale nie czuła się godną być wysłuchaną; zdawało się, że gdy spojrzy w niebiosa czyste, jasne, to dojdzie ją ztamtąd głos surowy sędziego: „Lekkomyślna dziewczyno, cóżeś uczyniła!"

Siedziała nieruchoma, z głową ku piersiom zwieszoną, z oczami spuszczonemi ku ziemi i niewiedzieć zkąd dawne wspomnienia zbudziły się w jéj myśli: zdawało się jéj, że jest znowu u pani Parzewskiéj, że odbywa się popis, a zacna przełożona, głosem drżącym przemawia do zebranych w sali dziewcząt; zdawało się jéj, że znów słyszy owe słowa, które ją niegdyś tak wzruszyły: „Nie każdemu daném jest być geniuszem, gwiazdą swéj ziemi, nie każdy może ją blaskiem swéj chwały otaczać; ale każdy powinien być użytecznym jéj pracownikiem, ale nikomu nie wolno darmo używać skarbów, które ona roz-

daje." A ona czyż pracowała? czyż zrobiła cośkolwiek dla téj ziemi, któréj skarbów używała? „Idźcie w świat i pracujcie wytrwale, odważnie, wedle sił i zdolności waszych i stańcie się użytecznemi kobiétami téj ziemi, którą kochacie — powiedziała daléj przełożona—a w miarę jak pilnie pracować będziecie, uzyskacie tak jak obecnie, nagrodę sprawiedliwą, bo każda zasługa nagrodę pociąga za sobą: szacunek, miłość ludzką i zadowolenie wewnętrzne." A ona czyż była użyteczną kobiétą, cóż dotychczas uczyniła? oto bawiła się, nic więcéj; to téż za lata zmarnowane lekkomyślnie odbierała teraz, słuszną, sprawiedliwą nagrodę: wyrzuty sumienia i lekceważenie ludzkie: doktor, koledzy Władysława, którzy tu codzień przychodzili, okazywali jéj wyraźną nieledwie pogardę. „Gdybyś ty chciała być czémś więcéj niż ślicznym kwiateczkiem" powiedział jéj raz brat. Obraziła się wówczas na niego, lecz czyż nie miał racyi powiedzieć jéj to? Kobiéta, to istota, przed którą schyla się głowę z szacunkiem i którą się kocha jednocześnie, słyszała od kogoś to zdanie; a czyż ona zasługiwała na szacunek i miłość: stroiła się, śmiała do ludzi, bawiła się; czyż to dosyć, aby w zamian żądać poważania i miłości? Ona nawet kochać nie umiała, ten brat był dla niéj taki dobry, a ona jakże mu za dobroć jego odpłacała? Gdy był jéj potrzebnym, to myślała o nim, pisała do niego i wzywała go, lecz wtedy tylko.

O! jakże jéj było daleko, aby być taką, jaką chce Żmichowska, by każda siostra była.

„Miłość kobiéty—powiedziała ona—to z twą
[siostrą młodą
Wspólne marzenia i długie rozmowy
O twéj przyszłości o zamiarach twoich,
O téj nadziei młodzieńczego serca,
Co ci spełnienie pięknych czynów wróży.
. . . . . .
Miłość kobiéty to nagroda twoja
Przy trudnéj pracy męzkiego zawodu,
To przy rodzinném ognisku kapłanka
Błogich dni życia i uciech domowych!
To głos radości, co na progu wita,
Wracającego z pośród obcych ludzi;
To białe ramię, które szyję twoją
Okrąży słodkiéj pieszczoty objęciem.
Kiedyś znużony i wierzyć przestajesz"
. . . . . .

Głowa jéj niżéj jeszcze opadła na piersi, jakże jéj było daleko, jak bardzo daleko do tego ideału siostry, którą przedstawiła Żmichowska, która zna wszystkie troski brata swego, wszystkie marzenia i radości jego serca dzieli, która mu jest w życiu wsparciem, osłodą; jakże bardzo było jéj daleko? Rumieniec wstydu wystąpił na jéj lica, zasłoniła oczy rękoma; wtém chory poruszył się, ona drgnęła i podniosła czoło, lecz nie wstała z krzesła: patrzyła tylko ku łóżku wylękła, niespokojna. Chory znowu się poruszył, ona nawpół podniosła się ale jeszcze nie podeszła ku niemu.

— Jadwiniu? czy ty tu jesteś? — szepnął chory.

Z jéj piersi wydarł się krzyk przytłumiony, szczęście w nim dźwięczało; rzuciła się do łóżka i padła przed niém na kolana.

— Władziu, tyś mię poznał, tyś zdrowszy? — rzekła drżącym głosem.

— Lepiéj mi, znacznie lepiéj — odparł Władysław i rękę dźwignąwszy, położył ją na złotych włosach siostry; ale nie miał siły jéj utrzymać: ręka jego zsunęła się z głowy i opadła na kołdrę. Jadwiga schwyciła ją i do ust poniosła a z piersi jéj wyrwało się głośne łkanie.

Zbudziła się pani Kiedrzyńska i przybiegła przerażona do łóżka, myśląc, że wszystko już skończone; ale Bóg dla niéj był miłosierny, ufała Mu i pocieszył ją.

Władysław leżał z otwartemi oczyma, a gdy nachyliła się nad nim, uśmiechnął się do niéj.

— Mnie lepiéj, mamo, powiedz jéj to — szepnął, wzrokiem wskazując płaczącą siostrę.

Pani Kiedrzyńska położyła rękę na ramieniu córki.

— Uspokój-że się — rzekła — zaszkodzić mu możesz.

Słowa te uspokoiły natychmiast Jadwigę, otarła łzy, podniosła się i uściskała matkę.

— Jemu lepiéj, matusiu — rzekła.

Lepiéj było wistocie choremu, nastąpiło przesilenie gorączki, niebezpieczeństwo życia usunęło się; potwierdził to doktor, gdy przyszedł około południa odwiedzić Władysława, zalecił tylko jaknajwiększą spokojność.

* * *

I znowu tydzień minął, znowu zabłysł dzień pogodny; zbudziwszy się wcześniéj jak zwykle, Jadwiga wstała cichutko, ubrała się i pobiegła do kościoła, była to bowiem niedziela. Dawno już nie czuła się tak swobodną, wesołą jak dzisiaj; zdawało się jéj koniecznie, że ją coś dobrego spotka: modliła się téż gorąco, a serce jéj było przepełnione wdzięcznością dla tego dobrego Boga, który odwrócił tak wielkie nieszczęście od niéj. Gdy msza się skończyła, wstała i podążyła na Bednarską, a szła śpiesznie, gdyż zdawało się jéj koniecznie, iż miła jakaś niespodzianka czeka ją na poddaszu.

Może Józef powrócił, wszakże mu pisała o chorobie Władysława; może go tam zastanie i lekka jak ptaszek wleciała raczéj niż weszła na schody i otworzyła drzwi cichutko.

Niespodzianka czekała ją wistocie, lecz inna od téj, o jakiéj myślała. Na szezlągu przed stolikiem, nad szklanką herbaty siedział Władysław. Na ten widok skoczyła do brata, otoczyła go ramieniem za szyję i okryła pocałunkami. Władysław uśmiechnął się i uścisnął ją tkliwie, a ona, gdy pierwszy wybuch radości minął, osu-

nęła mu się do kolan i ująwszy jego rękę, rzekła nieśmiałym głosem:

— Teraz, kiedyś już zdrów, mogę przecież wypowiedzieć to, co mi kamieniem na sercu cięży.

— Cóż takiego?—spytał ją Władysław.

Jadwiga spuściła oczy w ziemię.

— Powiedz mi — szepnęła — ale powiedz szczerze, czyś ty mi już przebaczył?...

— Ja, tobie? — zdziwionym tonem odezwał się Władysław.

— Byłam tak lekkomyślną—ciągnęła Jadwiga, coraz to głośniéj—kiedyś ty pracował ciężko, zabijał się pracą, odmawiał sobie zdrowego posiłku, ja trwoniłam własne twoje pieniądze na stroje; kiedyś ty upadał od zmęczenia, ja myślałam o zabawach i uważałam się za istotę nieszczęśliwą, bom nowéj sukni za co sobie sprawić nie miała; byłam strasznie lekkomyślną, więcéj jak lekkomyślną: byłam złą, niegodziwą.

Władysław pochylił się z pocałunkiem do siostry.

— Teraz będzie inaczéj, wszak prawda?— rzekł poważnie.

— O tak, z pewnością—odparła wzruszonym głosem Jadwiga, a oczy jéj były pełne łez, gdy mówiła te wyrazy — z pewnością — powtórzyła z naciskiem.—Chcę, muszę koniecznie pracować, wystarczać sobie, sama siebie utrzymywać; a z czasem, z czasem—dodała ciszéj—może i dla drugich zacznę pracować, może stanę się użyteczną

méj ziemi, kobiétą zasługującą na miłość i szacunek wszystkich, ale dziś o tém jeszcze nie marzę.

— Wystarczaj tylko sobie, z pracy własnéj się utrzymaj, a już na szacunek zasługiwać będziesz — odezwała się milcząca dotychczas pani Kiedrzyńska i zbliżywszy się do dzieci, uścisnęła oboje razem, a oni ucałowali jéj ręce.

— Miałaś słuszność, mateczko—mówiąc raz—że z największych smutków radość czasem wykwita—rzekł Władysław—dziś wierzę w jéj nawrócenie.

I słusznie robił, że wierzył; tym razem Jadwiga istocie się poprawiła, bo gdy przypadł drugi termin wypłaty Przepiórki, z własnych oszczędności poczynionych na dochodach, jakie jéj krawieczyzna przyniosła, dołożyła do ogólnéj sumy rs. dwadzieścia pięć.

KRÓLOWA LILIJ.

Zmrok szary już zapadał, na niebie ukazywały się tu i owdzie blade gwiazdy cisza uroczysta zalegała wieś Górce, mgły wieczorne ją spowiły, noc snem owiała, czasami wszakże wśród tego milczenia uroczystego odzywały się jakieś głosy, jakie echa i na chwilę ciszę mąciły. To bocian zaklekotał tam gdzieś wysoko na drzewie, to zielona żabka zarzegotała w błocie, to psy odezwały się naszczekując gniewnie i znowu milczenie wracało, i znowu głucho, cicho, czarno było do około; tylko tam w górze gwiazdy mrugały coraz piękniéj, coraz żywiéj, im czarniejszém stawało się niebios sklepienie.

Na końcu wioski wśród wysmukłych lip i brzoz pochylonych, wśród łąk i pól w okół się ciągnących, stał domek drewniany, nie wiele większy od innych chat wieśniaczych, które

w dali w cieniach nocy majaczyły. Nie wiele był większy, różnił się przecież od nich: wyglądał ubożuchno, lecz dostojnie; skromnie lecz pańsko. Ściany jego były zielono pomalowane, okna ustrojone w śnieżyste firanki, dach gontami kryty; z jednéj strony wznosił się wysoki gołębnik, z drugiéj kasztan rozłożysty, w około darniową kanapką otoczony. Domek ten zwany był od mieszkańców wsi Górce „dworkiem babuni.“ Mieszkała w nim siwa staruszeczka, a przy niéj sześcioro wnucząt. Noc nadchodziła, cała wieś układała się do spoczynku, ale w dworku babuni paliły się jeszcze światła; w jednéj tylko izbie ciemno było zupełnie, lecz gdy na niebie ukazał się księżyc, wtedy i w izbie jaśniéj się zrobiło i można było rozróżnić znajdujące się w niéj sprzęty: duży stół dębowy, stojący na środku izby, palmą ustrojony obraz Matki Boskiéj Częstochowskiéj wiszący na ścianie, małą szafkę oszkloną, pełną cacek oraz inne przedmioty, z których każdy mówił, że dawne, bardzo dawne pamięta czasy.

Pod jedném z okien w wygodnym fotelu siedziała babunia z rękoma założonemi jak do pacierza, z głową zwieszoną na piersi i drzymała sobie spokojnie; w przeciwnéj zaś stronie izby, gromadka dziatek usiadłszy na ziemi, szeptała pocichu, chichocąc chwilami głośniéj, a tuż obok téj gromadki na nizkiém krzesełku, z głową podpartą na dłoni, z oczyma w księżyc zwróconemi

siedziała nieruchoma jak posąg, smutna jak anioł z niebios strącony, dziewczynka lat 14 liczyć mogąca. Ciemno zielone duże jéj oczy lśniły łzami, na czole chmura zamyślenia siedziała; dzieci szeptały, śmiały się około niéj, ona tego nie słyszała; zdawała się czegoś skarżyć przed księżycem: czyżby już nieszczęśliwą była... Lecz snać śmiechy i szepty uprzykrzyły się w końcu dzieciom, gdyż wysunąwszy się z kącika, niespokojnie kręcić się poczęły po izbie, i coraz to które zbliżyło się do fotelu na jakim drzymała babunia, a potém odszedłszy mówiło z westchnieniem:

— Śpi jeszcze.

— Śpi—powtarzały inne cichutko i wzdychały również.

Wreszcie babunia podniosla głowę, spojrzała na dzieci i uśmiechnęła się do nich. Dzieci dojrzały uśmiech, przybiegły natychmiast do okna.

— Babuniu! babuniu! opowiedz nam co ładnego—zawołały otoczywszy fotel w około.

— Dobrze— odparła babunia—lecz pierwéj rozniećcie ogień na kominku bo:

Gdy jasny płomyk izbę rozświeci,
To łatwiéj w głowie myśl się rozmieci.

— W téj chwili babuniu!—zawołały dzieci i żwawo pobiegły spełnić jéj życzenie i wszystkie się zakrzątały; tylko ta co siedziała na krzesełku, nie ruszyła się z miejsca, tylko ta zajęcia nie okazała: inne biegały, krę-

ciły się potrzebnie i niepotrzebnie. Marynia najsmuklejsza z krzątającéj się dziatwy, drewek na kominek nałożyła, Magdzia ogień roznieciła, a troje młodszych: Anielcia, Jadzia i Maryś pomagali jéj w téj czynności. I wnet buchnął płomyk niebieski, iskierki w górę poleciały, potém płomień szarawy, czerwony, zasyczał w kominie, krwawe światło rozlal po izbie i miłém ciepłem ją napełnił. Rozpaliwszy ogień, młodsze dzieci przysunęły wygodny fotel do kominka, a starsze ująwszy babunię za ręce przyprowadziły ją tutaj.

I usiadła babunia na fotelu, oparła nogi o żelazną kratę otaczającą kominek i obejrzała się w około, policzyła wzrokiem dzieci, co siadły u jéj nóg i rzekła:

— Brak mi jeszcze jednego z was, a gdzie, żeś jest Tereniu?

Na te słowa podniosła się z krzesełka zadumana dziewczynka i cicho zbliżyła się do kominka.

— Weź-no krzesełko i usiądź przy mnie—rzekła babunia—opowiem wam, co mi się śniło.

Terenia spełniła rozkaz, przyniosła krzesełko, usiadła obok babki i ciemną główkę położyła jéj na kolanach; babka oparła na jéj ramieniu rękę, drugą objęła Jadzię najciekawszą zawsze ze słuchaczek, innym przed sobą zebrać się w gromadkę kazała i tak poczęła mówić:

— Śniło mi się, iż był to ciemny wieczór: czarne chmury zasłoniły niebiosa, ni gwiazdki jednéj, ni księżyca widać nie było; wiatr świstał ponury, a drobny dészcz spadając na ziemię tworzył jakąś posępną muzykę; zdawało się, że w powietrzu coś się skarży, jęczy, szlocha, że jakieś duchy pokutujące wznoszą się w przestrzeni. W tę niepogodę okropną, drogą kamienistą, pustą zupełnie, szła dziéweczka w sukni podartéj, w płachtę z grubego sukna otulona. Nibyto byłam ja, a przecież nie ja; na imię téj dziewczynce było Anulka: biédaczka drżała od zimna, jednak wyraz jéj twarzy nie był smutny, oczów nie miała zapłakanych, szła krokiem żwawym, dążąc wprost przed siebie. Na kilka kroków przed nią rozciągał się bór ciemny, gęsty; do tego boru dążyła dziéweczka, licząc, że wśród sosen dészcz mniéj dokuczać jéj będzie, że na miękkim mchu spocznie sobie wygodnie. Lecz zkąd weźmie chleba, by głód co jéj dokuczał uśmierzyć; czém się osłoni, by w noc jesienną nie przeziębnąć?... o tém nie miała pojęcia. Nie rozpaczała przecież nad sobą, bo i cóżby rozpacz pomogła. Wszakże nad ptaszętami, nad najnędzniejszym robaczkiem téj ziemi czuwa Bóg—myślała sobie—wszakże i kwiatki z Jego łaski żyją; wszakże tyle sierot jest na ziemi i nie ginie i nie przepada, więc i ja nie zginę... Wszakże ludzie mówią, iż Bóg dobrych i nieszczęśliwych kocha; jam nieszczęśliwa, ojca i mat-

kę śmierć mi wydarła, ludzie wsparcia odmówili; nikomu nigdy krzywdy najmniejszéj nie wyrządziłam: idę szukać teraz pracy, aby nikomu nie być ciężarem, a Bóg mnie nie opuści niezawodnie.

I szła wciąż daléj, nie przystając ani na chwilę, nie rozglądając się po stronach, nie patrząc za siebie; szła wprost do celu, aż wreszcie dotarła do boru: rzuciła się na miękki mech, rękę pod głowę podłożyła i usnęła spokojnie, Bogu w opiekę się poleciwszy. Nie wyszło wszakże pół godziny, gdy uczuła czyjąś rękę na ramieniu, podniosła się, wylękła, spojrzała; przed nią stał starzec siwo-włosy, z długą brodą białą, spadającą mu na piersi, w długiéj szacie pielgrzymiéj, z koszturem w ręku: stał i patrzał na nią łagodnie, a gdy ona podniosła się, ujął ją za rękę i rzekł:

— Chodź za mną; jesteś odważna i dobra, chcę się tobą zaopiekować: nazywam się *Los*.

Dziéweczka nie opierała się, bo twarz starca budziła w niéj zaufanie; powstała i poszli razem przez bory i lasy, i szli długo obok siebie w ciemności i milczeniu; aż powoli, powoli, drzewa rzednieć poczęły, nad niemi, chmury rozsuwać się i wesołe nareszcie błysnęło słońce. Anulka nagle zatrzymała się zmięszana, sama nie wiedziała czy śpi jeszcze, czy to rzeczywistość; gdy się kładła spać na miękkim mchu widziała dokoła siebie nagie drzewa, sterczące

ponuro, a teraz te drzewa śmiały się życiem; maiły zielonością, gwarzyły radośnym szumem; gdy się układała na spoczynek widziała wśród mchu mnóstwo pożółkłych, zwiędłych liści, a teraz białe konwalijki wysuwały główki swe dźwięczne i czerwone gwoździki świeciły tu i owdzie. Patrzyła zdumiona dokoła, nie wiedząc jak tłómaczyć sobie to nadzwyczajne zjawisko, a tymczasem las rzedniał coraz bardziéj; wreszcie znikły drzewa, i przed oczami idących ukazały się szerokie, rozległe łąki zielone, piękne, roskoszne, które tam gdzieś w dali z niebem zdawały się graniczyć.

Nad temi łąkami roje motyli, o różnobarwnych skrzydłach się unosiło, roje pszczół pracowitych i krótkiém życiem obdarzonych żyjątek. Teraz zdumienie dziewczęcia jeszcze się wzmogło.—Wszakże jesień teraz mamy —pomyślała w duchu—zkądże te kwiaty, ta zieleń majowa, te motyle i pszczoły; toż wszyscy oni gośćmi lata; i chciała zapytać starca o wytłómaczenie téj dziwnéj zagadki, ale nie śmiała; lecz starzec odgadł widocznie jéj myśli, bo obróciwszy się do niéj rzekł:

— Wchodzimy do Królestwa lilij: jeśli zechcesz, będziesz w niém mogła zamieszkać na zawsze; jeśli zechcesz, żadna troska osobista tu nigdy cię nie dosięgnie, i będzie ci dobrze, spokojnie, cicho, jakby u stóp tronu Przedwiecznego.

Uśmiéch szczęścia rozświecił twarzyczkę dziéweczki, spojrzała z wdzięcznością na starca, a on tak ciągnął daléj:

— Spójrz tam na prawo, gdzie ta góra się wznosi, na niéj biały pałac stérczy, pałac królowéj lilij, na nim ty panią będziesz, i zwać się od dziś dnia „Królową lilij," a ziemia leżąca u stóp téj góry, własnością się twoją stanie a mieszkańcy jéj twoimi podwładnymi.

Anulka podniosła wzrok w kierunku gdzie starzec wskazywał i okrzyk zachwytu wyrwał się z jéj piersi. Na zieloném wzgórzu, wśród krzewów białych róż i jaśminu, wśród lilij i konwalij wznosił się gmach biały, kamienny, gmach marmurowy; ale marmur był przezroczysty, więc złote promienie słońca wschodzącego odbiły się w nim, i ściany pałacu, wieżyce jego, filary, zdawały się drgać życiem, a nad niemi w górze, pod samemi już prawie błękitami unosiły się skowronki i wesoło nuciły rozpostarłszy skrzydła do lotu.

Dziéweczka patrzała, słowa nie śmiejąc przemówić, ruszyć się nawet z miejsca nie mając odwagi, aż starzec pociągnął ją za rękę i poszli znowu daléj; krętą ścieżyną wspinać się poczęli na wzgórzę do pałacu marmurowego. Po obu stronach ścieżyny rosły białe lilije, balsamiczna woń kwiatów rozchodziła się z nich; dziéweczka chciała uszczknąć choć jeden w przechodzie; ale gdy rękę po kwiat wyciągnęła,

kwiat uniósł się nagle wysoko, tak wysoko, iż dostać go nie było podobna.

Staruszek uśmiechnął się.

— Chciałaś dla siebie téj lilii—rzekł—więc uciekła przed tobą, bo Królowa lilij nic z państwa swego dla siebie brać nie może; gdy zechcesz kwiatu dla kogoś drugiego, on chętnie się ku tobie nachyli, aby ci łatwiéj było go zerwać.

Kiedy to mówił, stanęli właśnie przed marmurowym pałacem; starzec podniósł długi swój kosztur i uderzył nim kilkakrotnie w ziemię: za szóstém uderzeniem rozwarły się podwoje na oścież. Anulka spojrzała zdumiona; jakże piękny ujrzała przed sobą pokój: pod jedną ze ścian stało łóżeczko maleńkie, marmurowe; z tkanki pajęczéj, z téj saméj, która unosi się nad polami w porze *babiego lata* stroiły łoże firanki, białe lilije tworzyły klomby w pośrodku pokoju, kanapki z mchu zielonego stały tu i owdzie a między niemi przechadzała się poważnie śnieżno-pióra orlica, a wśród kłębów lilij gruchała bieluchna gołąbka.

— Królowo lilij! — przemówił starzec głosem uroczystym, zwracając się do dziéwczęcia—to twoje mieszkanie. Bądź taka łagodna jak ta gołębica, którą ci do posługi daję; taka odważna i silna jak ta orlica, która ma cię strzedz od wszelkiego złego: miéj serce

niewinne, białe, czyste, jak niewinnemi są te lilije, jak białemi ściany tego pałacu, jak czystą jest woda źródła, które w pobliżu tego wzgórza płynie, a będziesz szczęśliwą. Za wszystko zaś, co ci daję, dwóch rzeczy żądam od ciebie: miłości i posłuszeństwa... Kochaj mieszkańców tych maleńkich chatek, które tam widzisz poza polami, kochaj ich miłością wytrwałą, silną, niezmienną i przez tę miłość bądź mi posłuszną: poza granicę twego Królestwa, nigdy nie wychodź. Granica ta wyraźnie oznaczona, bo państwo twe otacza do około wał wysoki, tak wysoki, iż nic nie widać co się poza nim dzieje; jest wszakże jedno miejsce otwarte, z którego widok rozległy się przedstawia. Tam, radzę ci, nigdy się nie zbliżaj, aby cię nie zdjęła pokusa przekroczyć mój zakaz; w blizkości tego miejsca płynie cudowne źródło, w około którego rosną kwiaty śliczne: te kwiaty i wody tego źródła mają moc przywracania ludziom zdrowia. Gołąbka ci wskaże, gdzie owo źródło tryska, ale nie baw ty nigdy długo przy niém; gdy zaczerpniesz wody i kwiatów narwiesz, uciekaj czemprędzéj, bo siła pokus jest wielka, mogłabyś im uledz, mogłabyś przekroczyć granicę wioski a wtedy biada ci, biada!

To powiedziawszy starzec znikł, dziéweczka znużona długą podróżą rzuciła się na białe łoże i niebawem usnęła twardo. Jak długo spała, tego sama nie wiedziała; ale gdy się zbudziła, spostrzegła ze zdziwieniem, że jakaś cudowna zmiana z nią zaszła.

W miejsce grubéj płachty i brudnéj, podartéj spódnicy. miała na sobie bieluchną sukienkę, leciuchną, przejrzystą, jakby z obłoku zrobioną; a gdy spojrzała w jednę z kryształowych szyb okien, spostrzegła iż ma na czole gwiazdę złocistą, któréj promienie rzucały na nią jasne smugi światła.

Przetarłszy oczy, by przekonać się czy to nie sen, Anulka obejrzała się w około szukając wzrokiem gołębicy: ta spała wśród kłębów lilij. Chcąc ją zbudzić, Anulka klasnęła w dłonie; na ten hałas zbudziła się śpiąca ptaszyna, rozpostarła skrzydła, przyleciała do dziéweczki i siadłszy jéj na ramieniu, gruchać poczęła radośnie, a lilije w kłębach pochylając swe kielichy ku królowéj, zdawały się mówić: „dzień dobry, siostro!“ Po chwili zjawiła się orlica, niosła w dziobie koszyk owoców, zatoczyła trzy razy koło nad głową królowéj, potém spuściła się na ziemię i koszyk przed nią postawiła. Uśmiéchnęła się do wszystkich wesoło dziéweczka, poczém posiliwszy się owocami, wybiegła przed pałac: gołębica z orlicą pośpieszyły za nią.

— Prowadźcie mnie do mieszkańców chatek—rzekła dziéweczka—chcę poznać tych, których mam kochać.

Posłuszne temu rozkazowi, oba ptaki puściły się przodem, dziéweczka za niémi; ptaki unosiły się nad ziemią, ona patrząc za niémi, spusz-

czała się szybko drożyną wijącą się wśród krzewów róż i jaśminu, któremi pokryte było wzgórze; poczém weszła między pola, nakoniec w ulicę wsi: gdy dotarła do pierwszéj chaty, stanęła i zapukała do drzwi, a ptaki usiadły na słomą krytym dachu. Nikt w chacie nie śpieszył otworzyć drzwi, więc dziéweczka pchnęła je sama, lecz w progu zatrzymała się chwilę. W izbie siedziała na ławie kobieta, z głową zwieszoną na piersi; troje drobnych dzieci tuliło się do niéj z płaczem: ona patrzała na nie szklanemi oczyma, nie uspokajała ich, nie mówiła do nich nic, siedziała martwa, nieruchoma, jak posąg kamienny, jak Niobe uosobiona. Lękając się, iż może nie wporę przyszła, Anulka odezwała się nieśmiało:

— Jestem Królową lilij, przyszłam zapytać, czyli czego odemnie nie potrzebujecie?

Na te słowa kobiéta porwała się z ławy i przypadłszy do kolan dziéweczki zawołała:

— Mąż mój umiéra; o! ratuj go pani!

— On zdrów będzie — rzekła dziéweczka — wierz i nie płacz: ja wrócę tu niebawem.

To powiedziawszy wyszła szybko z chaty, skinęła na ptaki.

— Wody uzdrawiającéj mi potrzeba — rzekła — prowadźcie mię do źródła.

Na to wezwanie orlica uniosła się natychmiast w górę i do pałacu pośpieszyła, a gołębica oglądając się wciąż na Anulkę, jak gdyby

ją wzywała za sobą, poleciała w stronę, gdzie było źródło cudowne.

Wśród wysmukłych lip i topoli, wśród krzewów paproci i rozmaitych innych leśnych roślin, ze stroméj skały bluszczem obrosłéj tryskało źródło; schodziło się doń po kamiennych wschodkach, a wody jego utworzyły jak gdyby staw, w którym kąpały się kamienne wschody i kwiaty rosnące nad źródłem. Gdy dziéweczka zbliżyła się do tego źródła, ujrzała orlicę, która dzbanek w dziobie trzymając, czerpała nim wodę.

Tak to pięknie było, iż Anulka miała wielką ochotę dłużéj się zatrzymać; ale orlica nie dozwoliła: zaledwie wody nabrała, rozpostarła skrzydła i pośpieszyła znowu do wioski. Dziéweczka zaledwie miała czas urwać kilka kwiatów, które chciała zanieść dzieciom chorego; musiała biédz spiesznie, aby przewodniczka skrzydlata nie zginęła jéj. Orlica wiedziała dobrze, komu lekarstwo potrzebne: zatrzymała się przed chatą chorego wieśniaka, a gdy Królowa lilij nadbiegła, postawiła przed nią dzbanek i na dachu jak poprzednio usiadła. Anulka wzięła dzbanek, udała się do chaty i zbliżywszy się z nim do łożka chorego, który w drugiéj izbie leżał na nędzném posłaniu, wpuściła mu w usta kilka kropel wody. Cudowną była ta woda: chory uśmiéchnął się i dźwignął na posłaniu, prosząc o dzbanek; dziéweczka podała

mu go: chory chwycił chciwie i wychylił do dna, poczém podniósł się o własnéj sile – był zdrów zupełnie. Uszczęśliwiona kobiéta i dzieci przypadły do Królowéj lilij i kraj jéj szaty całowały i łzami wdzięczności go skrapiały a dziéweczka patrzała zdumiona, bo co łza spadła, to w brylant się przeistaczała i skromna, bieluchna jéj suknia zmieniła się powoli w strój kosztowny, aż w końcu cała lśniła drogiemi kamieniami. Dziéweczka weszła ubogą do chaty, a wyszła bogatą: tak każdy bogatym się staje, kto nędzę wspiera...

Rozdawszy dziatwie kwiaty, które z radości w ręce klaskać poczęły, Anulka opuściła pocieszoną rodzinę i poszła daléj.

Za piérwszą chatką wznosiła się, o kilka kroków druga; do téj podążyła teraz dziéweczka, lecz zanim jeszcze doszła, uderzył jéj ucho jęk bolesny, dochodzący z pośród krzewów rosnących niedaleko chaty; zbliżyła się przeto żywo do nich. Wśród krzewów leżał mały chłopczyna i płakał rzewnie, a gdy go dziéwczynka zapytała co mu jest, pokazał skaleczoną mocno rękę, z któréj krew się sączyła.

— Któż ci to zrobił?—spytała go Anulka.

— Nikt—odparł chłopiec—zrywałem ciernie i skaleczyłem się.

— Czemuż nie poszedłeś do matki, żeby opatrzyła?

— Kiedy ja nie mam matki—odparł chłopiec.

— No, to trzeba było iść do ojca.

— Kiedy i ojca nie mam, nie mam nikogo: jestem siérota.

Wyraz ten siérota wymówił tak smutnym tonem, iż Anulce łzy w oczach się kręciły; przyklękła przy rannym, skinęła na orlicę, która nad jéj głową krążyła, a gdy ta spuściła się z dzbankiem, obmyła ranę dziecku, obwinęła ją listkiem lilij, jaką jeszcze w ręku miała.

Chłopiec przestał płakać, uśmiechnął się do niéj i zapytał:

— Ktoś ty?

— Siostra twoja—odparła Anulka,—jeśli jeszcze kiedy się zranisz, a nie będzie miał kto ci rany opatrzyć, jeśli ci kiedy głód, zimno, lub jakakolwiek z nędz ludzkich dokuczy, udaj się do pałacu Królowéj lilij, a tam znajdziesz mnie: jam siostrą twą: pomogę ci.

To powiedziawszy wstała i oddaliła się, a chłopiec patrzył się za nią zdumiony i zachwyt szczęścia malował się w tych oczach, w których tak niedawno jeszcze świeciły łzy.

W maleńkiém mojém państewku jest jednakże co robić—myślała sobie Anulka idąc daléj przez wieś—trzeba tylko uważnie słuchać i rozglądać się w około.

Jeszcze nie domówiła tych słów, gdy naraz zwrócił jéj uwagę jakiś dziwny zgiełk, hałas,

zamęt zmięszany z echem oddalonych jęków i łkań; przerażona przyśpieszyła kroku, i oto jakże smutny widok przedstawił się jéj oczom: na końcu ulicy wioski, zboczywszy w lewą stronę cokolwiek, ujrzała gromadę kobiét i mężczyzn w sukniach podartych, z twarzami żółtemi, z zapadłemi oczyma. Jedni z nich bili się z sobą, szamocąc o kawałek chleba, lub o co innego; inni niszczyli rosnące na polu zboże, deptali, tłoczyli pracę drugich; inni jeszcze grubemi sznurami jakieś ofiary nieszczęśliwe krępowali i usta dłońmi im zasłaniali, by nie krzyczały; inni pluli wzajemnie na siebie, inni kłóli, drapali się i przeklinali głośno... Anulka ręce załamała, ze zgrozy, z oburzenia słowa wymówić nie mogła; odwróciła wzrok od tych nieszczęśliwych i podniosła go w górę, jakby orlicy zapytać chciała, co ma czynić, jak ich ratować; ale orlicy w téj chwili nie dostrzegła, tylko anioła z czarnemi skrzydłami, który płakał nad nędzą ludzką i mówił głosem głęboko smutnym: „Panie! przebacz im, bo nie wiedzą co czynią.“

Słowa te oświeciły Anulkę, spojrzała uważniéj na nieszczęśliwych i przekonała się, iż rzeczywiście wiedzieć nie mogą, co czynią, bo wszyscy ci ludzie ślepi byli. Teraz już nie wachała się co ma czynić; klasnęła w dłonie: na ten znak zjawiła się orlica z dzbankiem, a ona umoczywszy palce w wodzie uzdrawiającéj, chodziła potém od jednego nieszczęśliwego do drugiego i każdemu palcem do oczów dotykała; a gdy to uczyniła, przejrzeli ci ludzie, bielmo zeszło im z oczu i przerażeni spojrzeli po sobie, bo nie wiedzieli ilu nieszczęść byli przyczyną, ile zbrodni popełniali, ile krzywd wyrządzali, a teraz dopiéro spostrzegli to; więc skruszeni padli na kolana i zawołali:

— Przebacz nam, Panie!

Z góry dał się słyszeć głos:

— Chwalcie i miłujcie tę, która was oświeciła.

Kobiéty i mężczyzni zwrócili się do Anulki i błogosławili jéj słowami i łzami oblewali jéj ręce, a łzy ich w dyamenty się zmieniały i jeszcze kosztowniejszym stał się strój dziéweczki.

Już słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Anulka powróciła do pałacu marmurowego; czuła się strudzoną, ale mimo to szczęśliwą; była wprawdzie sama w pięknym pałacu, sama zupełnie; ale za to w wiosce tyle ust wymawiało jéj imię z wdzięcznością, tyle serc błogosławiło jéj pamięć. Patrzyła z okna pałacu na piękne łąki zielone, na śliczne słońce kryjące się za lasy, na maleńkie chaty, gdzie mieszkali ci, którym tyle dobrego wyrządziła i czuła się bardzo szczęśliwą; ale jakże czuć się szczęśliwą nie miała? wszakże dzięki jéj, chory ojciec pieści się teraz z dziećmi i rozmawia z niemi wesoło, dzięki jéj, mały sierota już nie płacze; dzięki jéj, ci co byli ciemni, ujrzeli światło i przestali

źle czynić. Życie jéj było takie pełne, takie użyteczne; puściła wzrok w dal, pomyślała o starcu, któremu dolę swą winną była i marzyć poczęła, gdzie to ona jutro pójdzie, co ona jutro dobrego zrobi?

Następny dzień upłynął Królowéj lilij zupełnie podobnie do piérwszego i tak już wszystkie inne potém płynęły. Codzień zabiegała do chatek za polami i codzień znalazła wśród jéj mieszkańców coś do czynienia: jednemu wody źródlanéj przynieść, by go uzdrowić; drugiemu ranę obwinąć, w smutku pocieszyć, lub w biedzie wesprzéć; trzeciemu zdjąć bielmo z oczu, by światło Boże ujrzał, pacierza go nauczyć, zdrowéj rady mu udzielić, od złego odciągnąć.

I dobrze było Królowéj lilij w jéj państwie, o! bardzo dobrze! Codzień była bogatszą, bo codzień nowe brylanty znosiła z wioski do pałacu i codzień ją więcéj serc kochało, i codzień więcéj bywała zajętą.

* * *

Minęło wiele miesięcy od czasu, jak Anulka zamieszkała w pałacu marmurowym, a w państwie jéj nic się nie zmieniło; wciąż kwiaty stroiły łąki, drzewa były pokryte zielonością; wciąż na polach szumiały zboża, bo w królestwie lilij zima była nieznaną: nigdy w niém Anulce nie brakło świéżych ziół dla chorych.

I tak było długo, bardzo długo; aż dnia jednego, gdy dziéweczka, według zwyczaju poprzedzona przez orlicę i gołąbkę pośpieszyła do źródła sięgając po dzbanuszek, posłyszała nagle, jakiś dziwny hałas, jakby gwar zmięszanych głosów ludzkich. Zaciekawiona, co to być mogło, już postawiła dzbanek na wschodach i chciała pobiédz coprędzéj w stronę, zkąd hałas dochodził, gdy wtém przyleciała gołąbka, siadła jéj na ramieniu i niecierpliwie skubać zaczęła za suknię, jak gdyby powiedzieć chciała: „spiesz się, bo chorzy czekają.“ Niechcąc rozgniewać gołąbki, Anulka ujęła za dzbanek i do wioski pośpieszyła.

Wrócę tu potém, siądę na kamiennych wschodkach i posłucham spokojnie—pomyślała odchodząc—trzeba się przecież dowiedzieć zkąd idą te głosy?

Jak powiedziała, tak téż i uczyniła; rozdawszy chorym lekarstwo, wróciła coprędzéj nad źródło i położywszy palec na ustach, słuchała uważnie.

Oba ptaki, jak gdyby bały się o królowę, siadły tuż przy niéj na straży: orlica na wschodkach, gołębica na jednym z krzaków różanych. Lecz tym razem cisza zupełna panowała do okoła, próżno wsłuchiwała się Anulka, nic dosłyszeć nie mogła; znudzona chciała już podążyć z powrotem ku wiosce i podniosła się zwolna, gdy wtém głośny śmiéch rozległ się w powietrzu.

Anulka żywo obróciła główkę zkąd śmiech dochodził i dostrzegła poza krzewami okalającemi źródło, coś jak sukienkę różową, szybko się przesuwającą, za nią drugą niebieską, potém lilijowéj barwy, następnie białą i znowu różową.

Zapomniawszy o dzbanku, o orlicy i gołąbce, dziéweczka skoczyła ku krzewom, odgięła szybko gałęzie i wsunęła się poza nie.

Poza krzewami rozciągał się wał wysoki, państwo jéj otaczający; w samym środku tego wału był przełom: tam skierowała się Anulka i zatrzymała u przełomu wylękła, zdziwiona. Przed oczyma jéj ukazał się obraz taki nowy, taki pociągający: wśród tysiąca świateł widziała mnóstwo młodych dziéwcząt strojnych, śmiejących się: jedne uganiały się za barwistemi motylami, inne śpiéwały, inne tańczyły: wszystkie bawiły się wesoło. Mimowoli z jéj piersi wyrwał się okrzyk zachwytu i krokiem jednym posunęła się naprzód, jakby granicę państwa swego przekroczyć chciała; ale w téj saméj chwili zjawiła się gołąbka i siadłszy jéj na ramieniu, trzepotać skrzydełkami zaczęła niespokojnie, a orlica wzniósłszy się wysoko pod obłoki, krakała żałośnie nad jéj głową. Niepodobném było iść daléj i chociaż Anulce rwało się serce do téj krainy nieznanéj, do tych ślicznych dziéwcząt, które rówiennicami jéj się być zdawały, jednakże westchnąwszy cicho, skierowała się ku domowi.

Po raz piérwszy Królowa lilij wróciła do swego pałacu chmurna; siadłszy na jednéj z darniowych ławek, zamyśliła się posępnie; po raz pierwszy odepchnęła gniewnie tulące się do niéj ptaki, bo gdy Królowa siedziała samotna w swym pałacu, to zwykle wówczas gołąbka i orlica przylatywały do niéj i siadały jej na kolanach.

— Nieznośne stworzenia —rzekła tym razem, odsuwając je niechętnie od siebie—nie dałyście mi nawet popatrzéć: precz teraz odemnie! Ale to pewno ten starzec siwy tak wam kazał; okrutny, zamknął mię jak więźnia w tém państwie, jak pustelnicę w tym pałacu—tu płakać zaczęła — Prawda, że mi dał wiele—mówiła daléj, ocierając łzy — dzięki jego wspaniałomyślności głód i zimno nie dokuczają mi nigdy, ale za to jakże jednostajnie płynie mi życie: nie znam co rozrywka, co przyjemność najmniejsza, co zmiana jakakolwiek... Zawsze sama i sama zawsze w pracy i trudzie, o drugich tylko myślę, o sobie nigdy; dla wszystkich się poświęcam: dla mnie nikt.

Ciężkie westchnienie wyrwało się z jéj piersi, umilkła i głowę zwiesiła w zamyśleniu... Słońce poczęło się powoli pochylać ku zachodowi, słowiki rozpoczęły swój koncert wieczorny, zawtórowały im rzechotki, kwiaty wzruszone muzyką, zapłakały i krople rosy je pokryły,

i świat był piękny, lecz Anulka tego nie widziała. Przed oczyma jéj duszy rysował się dziś świat inny, ten który zobaczyła z poza wału, i rwała się do tego nieznanego świata jéj dusza, a widok pięknéj natury ją otaczającéj, śpiéw ptasząt nie cieszyły ją; wszystko co ją otaczało, obojętném jéj się dziś stało, a przez to samo niemiłém.

Naraz zerwała się z ławki.

— Muszę zobaczyć bliżéj ten świat, muszę go poznać, muszę koniecznie!—zawołała.

— A przyrzeczenie uczynione?—szepnął głos tajemniczy w jéj sercu.

Anulka zmarszczyła brew, zwiesiła głowę na piersi; chwilę zdawała się wahać, namyślać, ale chwilę tylko: niebawem podniosła znowu głowę.

— Pójdę—rzekła głosem stanowczym—pójdę; gdy stróże moi będą spać spokojnie, wymknę się im cichaczem i nikt o tém wiedzieć nie będzie.

* * *

Słońce powoli skryło się zupełnie za lasy, na niebo wysunął się księżyc blady, pyzaty, ociężały, srebrném światłem oblał chaty, pola, łąki i białe ściany pałacu Królowéj lilij, czyniąc go czarodziejsko pięknym. Cisza głęboka zale-

gała dookoła, nawet słowiki ucichły, lilje pochyliły śnieżyste swe kielichy, orlica zamknęła oczy, a gołąbka biały swój łepek w skrzydłach ukryła. Wszystko usnęło, wszystko ułożyło się do spoczynku, jedna tylko Anulka nie spała, jedna tylko Anulka czuwała. Siedziała na darniowéj ławce z głową podpartą na ręku, z oczyma błyszczącemi gorączkowym ogniem, siedziała nieruchoma; tylko okiem niespokojném śledziła jak wszystko w pałacu zwolna do spoczynku się układa, jak anioł snu otacza wszystkich swemi czarnemi skrzydłami.

Na zegarze, wiszącym na jednéj ze ścian marmurowych wybiła dziewiąta, potém dziesiąta, wreszcie jedenasta i dwunasta. Za uderzeniem północy, Anulka podniosła się, podeszła na palcach ku drzwiom, odemknęła je cichutko, poczém krokiem lekkim, szybkim, jak krok uciekającéj sarenki skierowała się ku źródłu. Księżyc jasno świecił, dokładnie widać było zatém krętą ścieżynę do źródła prowadzącą. Anulka szła śmiało, oglądając się od czasu do czasu za siebie, aby zobaczyć czy ptaki jéj nie ścigają; ale ptaki spały spokojnie w pałacu, nie przypuszczając, że Królowa zdradza je w téj chwili.

Doszedłszy do źródła, Anulka spoczęła chwilkę na kamiennych schodkach; na najniższym stopniu stał zapomniany wczoraj przez nią dzbanuszek: spojrzawszy nań dziéweczka, przypo-

mniała sobie chorych, którym codzień w tym dzbanku wody uzdrawiającéj przynosiła.

— Może lepiéj wrócić do domu? — szepnęła sama do siebie—a nuż przekroczywszy granicę mego państwa, trafić nie będę mogła do niego, cóż wówczas poczną chorzy?

I zadumała się poważnie.

Iść czy nie iść?—pytała sama siebie niepewna.—Już wiem co zrobię—dodała po chwili—pójdę, stanę w wyłomie i popatrzę zdaleka.

To powiedziawszy podniosła się, przebiegła kamienne schodki, przedarła się przez krzewy źródło otaczające i stanęła przed wyłomem.

Mnóstwo świateł paliło się w krainie sąsiedniéj; kolorowe lampy zdobiły drzewa i domy, a wśród tego sztucznego oświecenia tłoczyło się tysiące ludzi, muzyka grała i śmiechy się rozchodziły. Tak samo jak przedtém tak i teraz, strojne w kwiaty i materye, młode kobiéty śpiewały, grały na harfach, tańczyły: jedném słowem bawiono się ochoczo. Anulka stała zrazu zdaleka, ale powoli zbliżać się poczęła coraz bardziéj, coraz śmieléj do granicy; blask bijący z gwiazdy, która świeciła na jéj czole, zwrócił uwagę bawiących się tłumów; kilka kobiét zwróciwszy się do Anulki, uśmiechnęło się do niéj przyjaźnie, a jedna skinęła nawet zachęcając, aby zbliżyła się jeszcze więcéj: lecz Anulka wahała się, bo w sercu jéj począł szeptać znowu głos tajemniczy.

— A przyrzeczenie uczynione?

Wtém w powietrzu rozległ się śpiéw łagodny, słodki, melodyjny i zgłuszył ten głos.

— Chodź do nas, piękna dziewico, o gwieździe złotéj, chodź do nas, chodź—brzmiał śpiéw.—Zabawisz się wesoło, rozweselisz, pośmiejesz; chodź do nas, chodź dziewico piękna; ciebie szkoda na życie samotne, na ciągłe trudy i prace; chodź do nas, chodź, młoda dziewico, niechaj nad choremi, niechaj nad dziećmi starzy czuwają: chodź do nas, chodź!

Anulka uśmiechnęła się, krok jeden daléj postąpiła, ale znowu się zatrzymała, wahająca, niepewna.

Śpiéw ucichł, a ona posłyszała tajemniczy głos:

— A przyrzeczenie uczynione?

Lecz wnet śpiéw znów zabrzmiał i zgłuszył ów głos.

— Chodź, chodź — wołały na nią tłumy bawiące się—użyj młodości póki pora, gdy osiwiejesz nie czas będzie; chodź, chodź do nas: ciebie szkoda na życie samotne.

Anulka idąc za tym śpiéwem, znowu parę kroków postąpiła i wyciągnęła ramiona do bawiących się kobiét; przybiegły do niéj natychmiast, otoczyły wokół i pociągnęły za sobą. Ona nie opierała się im, chętnie dała się prowadzić; w nowéj krainie tak było ludno, wesoło, biegła

za tłumem, śmiała się i bawiła ochoczo... Tymczasem księżyc powoli zaszedł, świtać poczęło wreszcie, słońce zajaśniało, ale Królowa lilij tego nie widziała. I nie widziała jak znowu zaszło i noc wróciła i nie czuła, że czas uchodzi, biegną godziny i dnie. Zapomniała o chorych, powierzonych jéj opiece, o białéj orlicy i gołąbce, które zbudziwszy się, szukały jéj niespokojne; zapomniała o najświętszych swoich obowiązkach i bawiła się, nie pomnąc na nic i na nikogo, nie myśląc o tém co rzuciła wczoraj i o tém, co będzie jutro... Naraz w krainie, w którą weszła, poczęło się robić chłodno, muzyka cichła, światła bladły... jakieś przykre zimno owiało Królowę lilij; zatrzymała się, przetarła oczy i czoło i jak gdyby się budziła ze snu głębokiego, zamglonym wzrokiem powiodła wokoło.

— Wrócę do siebie — szepnęła i zwróciła się ku wałom, ale tłumy wesołe zabiegły jéj drogę.

— Kto do nas raz wejdzie, z nami pozostać musi—rzekły i pociągnęły ją z sobą.

Ona poszła, ale bez ochoty; jakieś tęsknoty zrywały się teraz w jéj sercu, za tém co rzuciła, za tém co minęło, szła jednak daléj. A w państwie do którego weszła, robiło się coraz smutniéj, coraz zimniéj. Zatrzymała się powtórnie.

— Wrócę do siebie—szepnęła—tak, wrócę do swego państwa.

I skierowała się ku wałom, teraz już nikt jéj nie zatrzymywał; niebawem stanęła u wyłomu, już przejść granicę miała, gdy naraz usłyszała głos jakiś dziwny, ponury, grobowy:

— Czego tu chcesz? wam z tamtego świata tu wchodzić nie wolno.

Anulka podniosła głowę.

— Jestem Królowa lilij—rzekła—wracam do mego państwa.

— Królowa lilij w czystych chodzi szatach i gwiazdę ma na czole; ty masz suknię splamioną i gwiazda nie świeci na tobie—odpowiedział jéj tenże sam głos.

Anulka rzuciła wzrokiem poza wał, by się przekonać, kto broni jéj wejścia do państwa lilij i zadrżała... Tam za wyłomem naprzeciw siebie ujrzała starca, dobrze jéj znanego... twarz jego była gniewnie zmarszczoną, wzrok surowy, stał i patrzał na nią w milczeniu.

— Gdzie suknia twoja biała? gdzie gwiazda co świeciła na twém czole?—zapytał surowo.

Anulka twarz w dłoniach ukryła.

— Nie wiem — szepnęła — myślałam, że je mam na sobie.

— Myślałaś!—krzyknął starzec groźnie—czy jeszcze myślisz? spojrz więc na siebie—i rękę oderwał od oczów dziewczęcia.

Anulka spojrzała: sukienka jéj była wistocie splamioną, a z czoła nie biła już jasność jak

dawniéj, gdyż gwiazda na niém błyszcząca zagasła.

— Gdzie pałac twój?—pytał znowu starzec.

Dziéweczka podniosła wzrok w jego stronę: zdala sterczało wzgórze zielone, a na niém ściany białego pałacu; wyciągnęła przeto rękę, by go pokazać, ale w téj saméj chwili ściany pałacu drżeć zaczęły, poczém pochyliły się w jednę i drugą stronę, następnie runęły z łoskotem straszliwym.

— Nie umiałaś szanować dobra, jakie ci dałem—rzekł starzec — straciłaś zatém wszystko, zapragnęłaś innych rozkoszy, nad te, jakich wolno używać Królowéj lilij, sięgnęłaś po nie, a one opuściły cię teraz. Gdybyś była słuchała mnie, byłabyś zawsze szczęśliwą; przekroczyłaś granice ci dozwolone, teraz pokutuj nieszczęsna.

To powiedziawszy znikł.

Anulka obejrzała się wokoło i ręce załamała: dzikie, ponure pustkowie ją otaczało, wesołe tłumy gdzieś znikły i zostawiły ją samą, zupełnie samą; w miejsce białéj, dyamentami krytéj sukni miała znowu grubą płachtę na sobie, w miejsce gwiazdy głębokie bruzdy na czole, w miejsce złotych włosów siwe całkiem; z młodéj, pięknéj, zmieniła się w siwą, zgrzybiałą staruszkę i nie miała nikogo przy sobie, coby ją kochał, coby ją prowadził i wspierał: była samą zupełnie.

— Biédna Anulka—szepnęła Jagusia, która z wielkiém zajęciem opowiadania słuchała.

— O! biédna bardzo—odparła babunia—a tym biédniejsza, iż sama ściągnęła na siebie całe nieszczęście. Czemuż nie zadowolniła się tém, co jéj Los dał? czemuż nie słuchała przestróg gołąbki i orlicy? ale niestety, rzadko kiedy ludzie chcą słuchać głosu, co przemawia w ich sercu, a przecież tym głosem mówi do nas anioł Boży, stróż sumienia naszego...

Tu babunia się zatrzymała.

— Lecz idźcie już spać—dodała po chwili—czas już na was, tylko mojego snu nie zapomnijcie—mówiąc te słowa pochyliła się z pocałunkiem do Tereni, która zdawała się być bardzo zamyśloną i patrząc uważnie, badawczo w jéj oczy, rzekła:

— Ile razy które z was westchnie za tém, czego nie posiada; ile razy ciche, pracowite życie, jakie w naszém dworku wiedziemy, smutném się wam wyda i pragnieniem poza nie wybiegać zaczniecie i zazdrościć innym: przypomnijcie sobie wówczas Anulkę, co straciła wszystko dlatego, iż nie zadawalniała się tém, co jéj los dał, zaniedbała najbliższe siebie obowiązki a poszła szukać szczęścia: tam go znaleźć nie umiała...

Terenia żywo podniosła główkę i spojrzała na babunię, a w spojrzeniu tém czytać wyraźnie było można pytanie:

— Czy to do mnie powiedziane?

Babunia nic jéj nie odpowiedziała, tylko rękę drżącą, pomarszczoną położyła na ciemnéj główce dziewczęcia i wpatrzyła się w nią z miłością; ale oczy jéj musiały coś powiedzieć Tereni, gdyż dziéwczynka naraz zarumieniła się, schwyciła babki rękę i do ust ją przycisnęła; poczém podniosła się z krzesełka.

— Położę Narcysia spać, drzymie już — rzekła.

Narcyś usnął wistocie podczas opowiadania, położył głowę na kolanach jednéj z siostr i spał wybornie.

— Idź i połóż go—odparła babunia.

Terenia raz jeszcze jéj rękę ucałowała, poczém pochyliła się do małego braciszka, wzięła go ostrożnie na ręce i poniosła do sypialni; wkrótce Narcyś leżał w ciepłém łóżeczku, Terenia okryła go kołderką, pocałowała w czoło, poczém przeszła do kuchni.

— Maryniu!—zawołała—już od tygodnia nie miałyśmy lekcyi, weź książeczkę, poczytamy trochę.

Na to wezwanie z ciemnego kąta kuchni wysunęła się dwunastoletnia dziéwczyna i śmiejąc się, przypadła do ręki Tereni.

— Ja myślałam, że panience znudziło się już to uczenie—rzekła.

Terenia nic nie odpowiedziała, tylko ją zabrała do pokoju i siadła z nią do książki, a kiedy dziesiąta wybiła i czas było iść spać,

zanim udała się na spoczynek, wsunęła się cichutko do pokoju babuni. Babunia jeszcze nie spała, w fotelu odmawiała pacierze na różańcu, dziéwczynka przyklękła przy niéj.

— Uściśnij mię, babuniu—szepnęła—spełniałam najbliższe moje obowiązki i od dziś spełniać je będę zawsze.

GIOVANI MONTI.

Rzecz wzięta z angielskiego.

I.

Przyprowadzam nowego towarzysza, chłopcy, chodźcie do mnie: musicie się z nim przecież zapoznać — z temi słowami pan Kaziewicz wszedł do niewielkiego ogrodu, w którym bawiła się gromadka dzieci różnego wieku, lecz tylko płci męzkiéj. Ogród ten należał do pensyonatu, a właścicielem jednego i drugiego był właśnie pan Kaziewicz. Prowadził on ze sobą chłopca lat dwanaście liczyć mogącego: chłopiec miał czarne, duże oczy, pełne smutku i zadumy, twarzyczkę drobną, bladą, usta wązkie, włosy krucze; dziwnie on odbijał od tych wesołych, rumianych, najwięcéj jasnowłosych dzieci, biegających po ścieżkach ogrodu: byłto typ obcy, na cudzoziemca wyglądał.

— Przyprowadzam nowego towarzysza—odezwał się powtórnie pan Kaziewicz—przyjmijcie go serdecznie, bo to nieśmiały ptaszek, piérwszy raz oddany do szkoły.

To mówiąc puścił rękę chłopca, pogładził jego krucze włosy.

— Staraj się pozyskać sobie przyjaciół między kolegami—dodał—a będzie ci z nami dobrze.

To powiedziawszy oddalił się; chłopiec spojrzał za odchodzącym, jakby z żalem, potém zwrócił poważne spojrzenie na nowych towarzyszy. Gromadka rozpierzchnięta przed chwilą po całym ogrodzie, skupiła się teraz wokoło niego; wszyscy przypatrywali mu się ciekawie, a było ich najmniéj sześćdziesięciu. Chwilę patrzyli sobie w oczy wzajemnie w milczeniu, zdawali się badać siebie; nareszcie z gromadki wysunął się nieco naprzód chłopiec silny, barczysty, o rudych włosach i z miną drwiącą, zbliżywszy się do przybysza, położył mu dłoń na ramieniu, lecz uczynił to tak niedelikatnie, że drobna postać chłopięcia aż się ugięła.

— Jak cię zowią, kolego?—zapytał grubym głosem.

— Giovano Florentino del Monti — odparł tamten miękkim, cudzoziemskim akcentem.

— Co, Dowani? cóż to za imię? — rzekł rudowłosy chłopiec — jeszczem nigdy takiego nie słyszał, ani w żadnym kalendarzu nie czytał... Jak się nazywasz?

— Giovano Florentino del Monti—powtórzył rumieniąc się, czy z gniewu, czy z zakłopotania nowy uczeń pana Kaziewicza.

Głośny, ogólny śmiéch był mu całą odpowiedzią.

— Jakieś ciekawe zwierzę przyprowadził nam dyrektor—odezwało się kilku.

— Musimy cię pierwéj po polsku nauczyć—wołali inni.

Chłopiec podniósł zwolna głowę, blade jego rumieńce przybrały barwę ciemniejszą.

— Dziękuję wam—rzekł drżącym głosem—ja umiem po polsku, moja matka była polką i nauczyła mnie swojego języka.

— A ojciec?—zapytało kilku.

— Ojciec mój jest włochem.

— Co on robi? czy grywa na katarynce? czy małpy wodzi po podwórzach?—zapytał ten, który miał rude włosy.

Gorąca krew Południa zawrzała w żyłach małego cudzoziemca, z czarnych jego oczów strzelił płomień gniéwu, rzucił groźne, nienawiści pełne spojrzenie towarzyszom.

— Mój ojciec nie jest wcale katarynkarzem, mój ojciec jest hrabia—rzekł wyniośle.—Pochodzi z książęcego domu, z rodu Montich i mieszka w pałacu marmurowym.

— Witamy uniżenie księcia pana, ścielemy się do jego stopek.

Tu ręce włożywszy w kieszenie od kurtki, rudowłosy skłonił się nisko, prawie do nóg Montego.

— Brawo! brawo! Wacek—wołali inni i bili w dłonie.

— Niechże wasza książęca mość raczy nas wszakże objaśnić, dlaczego jaśnie oświecony jego ojciec wysłał dostojnego swego syna do naszych szkół? — ośmielony oklaskami kolegów, począł znowu Wacek.

Monti spojrzał na niego dumnie.

— Takie było życzenie méj matki—odparł—umierając prosiła ojca, że jeżeli drugi raz się ożeni i będzie miał syna, aby mnie na jéj rodzinnéj ziemi wychował... Ale po co się wam tłumaczyć, jesteście źle wychowani, niegrzeczni, gbury jedném słowem; nie cierpię was, ani myślę się z wami zadawać.

— O, mości książę, źle sobie poczynasz z kolegami, nie radzę nas obrażać; ty jeden, a nas, spojrz ilu: bójka byłaby nierówną.

To mówiąc Wacek przysunął się z miną wyzywającą do Montego.

— Spojrz tylko na mnie — rzekł groźnie—zmierz oczyma, o ile większy od ciebie jestem: zgniótłbym cię jak robaka.

Giovano spojrzał, ale w oczach jego nie było trwogi.

— Nie boję się ciebie, ani nikogo na świecie—rzekł hardo.

Wacek rozśmiał się na cały głos.

— Patrzcie na tę żabę, jak się nadyma; nie boi się nikogo: widzicie go... A czy ty wiesz, że mnie się tu cała szkoła boi; zapytaj ich o Wacława Jerzyńskiego, a powié ci każdy: „strzeż go się, bo to olbrzym"... I ty francuziku wypieszczony, masz ochotę mnie się nie bać?

— Nie jestem francuzem, tylko włochem: włoch nie lęka się nikogo—odparł Giovano.

Wacek rozśmiał się jeszcze głośniéj.

— Kiedy tak, to spróbujmy się—rzekł i zakasawszy rękawy od kurtki, przyskoczył z pięściami do Montego.

Zaświeciły oczy chłopcu namiętnie.

— Spróbujmy się—odparł.

Walka zawrzała, ale krótką była; drobne ręce cudzoziemca nie podołały silnemu Wackowi, który nie bez powodu przydomek olbrzyma nosił; w rozwinięciu fizyczném ogromna zachodziła różnica między chłopcami: o ile Monti był drobny, szczupły, wiotki, o tyle tamten silny, barczysty; jeden przywodził na myśl smukłą, młodą topolkę, drugi zdrowy dąb.

Schwyciwszy wpół towarzysza Wacek, przewrócił go wśród wieńczących jego tryumf oklasków; nie dość mu było wszakże na tém zwycięztwie, gdy przewrócił chłopca, klął potém na nim jedném kolanem i podniósł rękę w górę, aby zemstę na upokorzonym wymierzyć. Już, już miał ją spuścić, gdy nagle z gromadki przypa-

trującéj się zdala walce, wysunął się chłopiec smukły, szczupły, wzrostem równający Wacławowi i rękę kolegi zatrzymał.

— Puść go natychmiast—rzekł—albo zemną będziesz miał do czynienia.

Wacek spojrzał na niego.

— Idź precz—odparł—co ci do niego, czy to twój brat? obraził nas wszystkich, ja za wszystkich karę wymierzyć muszę.

I szarpnął ręką; ale snać ten, co chciał stanąć w obronie pokonanego, silnym był także, bo Wacek ręki nie wyrwał.

— Oho! olbrzym spotkał równego — ozwało się kilka głosów.

— Wacku, tyś się jeszcze nie próbował z Jakóbem, może on silniejszy od ciebie.

— Tyś Goliat, a on Dawid może — wołali inni.

Wacek podniósł się gwałtownie.

— Więc niech się spróbuje — rzekł — a kto zwycięży, do tego ten włoch należeć będzie... Słyszycie umowę: Jeśli ja pokonam Jakóba, wtedy wszyscy razem pomożecie mi ukarać tego śmiałka przybłędę...

To mówiąc wskazał palcem nowego towarzysza, który uwolniwszy się z jego kolan, podniósł się właśnie z ziemi i ponurym wzrokiem rozglądał wokoło.

— Zgoda!—krzyknęli koledzy.

Ale Jakób uśmiechnął się.

— Ja nawzajem postawię warunki—rzekł.— Jeśli zwyciężę, słyszycie, wtedy wara od włocha: kto go dotknie, zemną będzie miał do czynienia.

To powiedziawszy stanął naprzeciw Wacława spokojny, pewny siebie... Zmierzyli się najprzód wzrokiem, Wacław drżał z gniewu: rozrzucone w nieładzie rude włosy, błyszczące oczy, nadawały jego twarzy coś szatańskiego; nie przestraszył się go jednak Jakób i nie cofnął. Wacław pierwszy przyskoczył, Jakób nadstawiwszy pięści, odparł zręcznie napastnika i znowu walka zawrzała, ale tym razem znacznie dłuższa. Trudno było przewidzieć, który zwycięży: Wacław rzucał się jak zwierz dziki, rozjuszony, sapał, krzyczał, pluł; Jakób tylko zręcznie napaści unikał, zdawał się chcieć zmęczyć współzawodnika.

Z jednéj strony w cichém, pełném szacunku skupieniu, z ciekawością malującą się w oczach, z uśmiechem zadowolenia na ustach, przypatrywała się gromadka kolegów dwom olbrzymom, bo teraz i Jakób zasługiwał już na to miano; z drugiéj stał samotny Giovano i całą duszą brał udział w walce: ilekroć Wacław brał przewagę, to drżał z gniewu i wstrzymywał się widocznie tylko gwałtem, aby zagrożonemu nie pobiedz z pomocą; to znów gdy Jakób stawał się panem pozycyi, uśmiechał się z zadowoleniem.

Wtém dzwonek wzywający na lekcyą ozwał się głośno na dziedzińcu, godzina rekreacyi skoń-

czyła się, teraz chłopcy mieli zasiąść do przygotowania się na dzień następny. O dziesiątéj spożywano tutaj wieczerzę, a potém wszyscy szli na spoczynek. Poza ogrodem dały się słyszeć kroki, to pewno dyrektor się zbliżał, lub który z nauczycieli, francuz czy niemiec. Obaj mieli czuwać podczas rekreacyi nad chłopcami, ale często zagadawszy się w swym pokoju o polityce, posprzeczawszy się o Bismarcka, zapominali o chłopcach i dziś tak być musiało. Dźwięki dzwonka przypomniały im wszakże obowiązki. Pan Laval, gdyż jego byłto dyżur, pośpieszył do ogrodu, Jakób posłyszał jego kroki, ostatnia chwila się zbliżała, należało zakończyć walkę. Wacek nieprzytomny z gniewu, rzucił się znowu na Jakóba; on stanął spokojny, a gdy tamten przyskoczył tuż do niego, wyciągnął tylko dwa ramiona i odepchnął go... Olbrzym zachwiał się i powalił na ziemię, bo Jakób przytomny wiedział jak pchnąć, żeby odebrać napastnikowi równowagę. Teraz gdy go miał u nóg swoich, klął przy nim i skrzyżował mu ręce na piersiach.

— Oto go macie — rzekł zwróciwszy się do towarzyszy.

— Dawid zwyciężył Goliata! Dawid zwyciężył Goliata!—wrzasnęła gromadka i ci sami co przed chwilą uwielbiali Wacława jako niezwyciężonego, teraz otoczyli Jakóba, winszując mu tryumfu.

Zdala téj scenie, z radością w oczach przypatrywał się Giovano, ale głośno zadowolenia nie objawiał, czytać je wszakże można było na jego twarzy.

Tymczasem pan Laval nadciągnął, chłopcy nie zdradzając nikogo, na jego wezwanie pociągnęli do szkoły, przodem szedł chmurny Wacław.

— Innym razem spróbujemy się jeszcze— mruczał do towarzyszy idących za nim.—Lis podstępu użył, to się niegodziło.

— Trzeba ci było być przytomniejszym — odparli towarzysze—rzucałeś się jak zwierzę.

Jakób szedł także otoczony, ale daleko liczniéj.

— Dzielnie się spisałeś, teraz ty pierwszy między nami—mówili koledzy.

On uśmiechał się z zadowoleniem.

— Tylko pamiętajcie dotrzymać umowy: od włocha wara—odpowiadał im — niechaj pozna żeśmy gościnni, że obcych przybyszy otaczamy opieką.

Za tymi w dali szedł zadumany Giovano i wzrokiem smętnym ścigał Jakóba.

— Choć jeden znalazł się życzliwy — myślał sobie—dzięki Bogu.

Wszedłszy do klasy, chłopcy zasiedli do książek i wnet cisza zaległa. Pan Lawal zajął się nowym uczniem, siadł z nim na stronie i badać począł co umié, do któréj klasy zapisanym zo-

stał. Giovano powiedział, iż do czwartéj; zdziwił się niepomału francuz, gdyż w téj właśnie klasie był Wacław Jerzyński i Jakób Narbut, a obaj zdawali się być o wiele starsi od niego; lecz pokazało się, że rok tylko różnicy co do wieku było między nimi, bo Giovani miał już lat 13 skończonych.

Tak ubiegło trzy godziny, poczém znowu dzwon się odezwał, tym razem wzywając na wieczerzę. Chłopcy porwali się z krzeseł, pochowali seksterny i książki, poczém tłumnie za panem Laval podążyli do jadalni. Ostatni szli Jakób i Giovano, ten, gdy inni znikli za drzwiami, przysunął się nagle do swego obrońcy.

— Jakże ci mam podziękować? — rzekł nieśmiało.

Jakób roześmiał się.

— A dajże pokój z podziękowaniem—odparł szorstko—zrobiłem to co powinienem był zrobić: słabszego bronić należy.

— O, jaki ty dobry! — zawołał Giovano i w czarnych jego oczach łzy zaświeciły. — Kocham cię całém sercem, całą duszą, chciałbym cię ucałować.

— No, to ucałuj—rzekł Jakób i pochylił się do kolegi: uścisnęli się.

— A ty będziesz mnie kochać? — zapytał Giovano.

— Dlaczego nie... bądź tylko dobrym kolegą, bądź zuchem, bo bab nie cierpię; o książęcéj

swéj rodzinie nie wspominaj, bo to śmieszne i swoje imię zmień, nie wyksztusiłbym go nigdy: Dzordzono, Dzonono, jakżeś tam powiedział.

— Giovano—poprawił włoch—to po polsku Jan.

— A więc po polsku będe cię nazywać, Janek: czy dobrze?

— E, nie, to tak twardo brzmi, nazywaj mię lepiéj tak jak mama mię nazywała, „Jasiem."

— Dobrze, Jaś podoba mi się bardzo. Więc jesteś Jaś Monti, twoja matka była polką; choć wyszła za cudzoziemca, nie zapomniała o tém; do ostatniéj chwili życia kochała swą ziemię, pragnęła abyś na niéj się wychował, abyś w kraju jéj rodzinnym mieszkał; szanuję ją za to, choć nie znałem nigdy, a syna jéj chcę pokochać. Teraz podajmy sobie ręce i uściśnijmy dłonie jak koledzy, jak towarzysze, tylko bez łez: łzy to rzecz kobieca.

To powiedziawszy wyciągnął rękę, Giovano podał mu drobną swą dłoń i uścisnęli się serdecznie, poczém na wieczerzę podążyli.

II.

Pomiędzy Janem Monti a Jakóbem Narbutem zawiązała się wkrótce serdeczna przyjaźń. Giovano tyle wdzięczności okazywał swemu obrońcy, tak go uwielbiał, iż trudno mu było wzajemnością nie odpłacać. Jak cień chodził wszędzie za Jakóbem, spełniał wszystkie jego rozkazy, mnóstwo usług wyświadczał, czuwał nad jego kajetami i książkami, w każdéj sprzeczce stawał zawsze po jego stronie, a przytém byłto bardzo miły towarzysz. Jakób chętnie z nim rozmawiał, opowiadał takie cuda o swéj ziemi rodzinnéj, tyle rzeczy pięknych widział, duszę miał tak poetyczną, iż z całą przyjemnością z nim rozmawiał i polubił go bardzo, tym więcéj, że Monti budził w nim współczucie.

Było to jakieś biédne dziecko, nieszczęśliwy sierota, jakaś bolesna tajemnica leżała widocznie na dnie jego duszy, o swéj rodzinie nie lubiał

wspominać, unikał widocznie o niéj rozmowy; raz nawet wyraźnie powiedział Jakóbowi, żeby go nigdy o nich nie pytał i Jakób szanował życzenie kolegi: nie pytał go nigdy, tylko od tego dnia prawdziwie braterską otoczył go opieką i biada była śmiałkowi, kto włocha zaczepił.

Z razu towarzysze często płatali figle Montemu, ale gdy ten i ów oberwał za to porządnie od Jakóba, dali mu pokój i powoli oswoili się z nim, przyzwyczaili do jego cudzoziemskiéj wymowy, wypieszczonéj, delikatnéj postaci i wyśmiewać przestali; nawet rudy Wacław nie zaczepiał go, dowodząc, iż związany jest umową, jaką zawarł przed walką z Jakóbem; a choć od ostatniéj bójki już niejednokrotnie spróbował się z nim i prawie zawsze wyszedł zwycięzko, jednak nie łamał umowy i głośno wyznawał, że on i Jakób co do sił są równi sobie. Bo téż w gruncie nie był to zły chłopiec, trochę tylko szorstki, trochę szaławiła, zawadyak, gotów zawsze do bójki, ale towarzysz dobry i choć najsilniejszy ze wszystkich, rzadko kiedy sił swoich nadużywał. Z Jakóbem żył w zgodzie, a nawet w przyjaźni; rywalizowali oni oddawna z sobą w naukach, a teraz i co do sił fizycznych, ale jeden drugiemu nie zazdrościł; nie patrzyli z tego powodu krzywo na siebie, nie gniewali się. Inne miał zupełnie usposobienie Giovano, on całą duszą nienawidził Wacława, nie mógł mu darować upokorzenia, jakiego doznał przez niego;

unikał z nim rozmowy, nigdy mu ręki nie podawał, a ilekroć zdarzyło się Wacławowi jakie niepowodzenie, czy podczas lekcyi, czy podczas zabawy, nie umiał ukryć swego zadowolenia; smutne zwykle jego oczy rozjaśniały się wtedy, jakby go co dobrego spotkało: namiętny w swych uczuciach, równie nienawidził jak kochał ogniście.

Pora egzaminów się zbliżała, Jakób i Wacław pracowali całemi nocami, obaj dobijali się o pierwszą nagrodę: Wacław był pewny siebie, Jakób wątpił.

— Gdyby nie greeki język, dyrektor musiałby napewno, dwie pierwsze nagrody przygotować— rzekł do Montego—ale ta greczyzna zgubi mię z pewnością.

Nie tracił jednak jeszcze nadziei, uczył się całą duszą, po nocach zrywał i siadał do książki.

— Cobym ja dał za to, żebyś ty zwyciężył— rzekł raz Monti do Jakóba—coby tu zrobić, żebyś ty dostał nagrodę?

— A, robię co mogę — odparł tamten — jak mól siedzę w książkach; lecz jestem pewien, że to się na nic nie zda. Wacek odniesie zwycięztwo, to rzecz niezawodna: on tak silny w greckim.

Giovano zgrzytnął zębami, zacisnął pięści.

— To się nie stanie, nie, ja tegobym nie zniósł—rzekł.

Jakób się rozśmiał.

— Będziesz musiał znieść—odparł.

Z czarnych oczu włocha zdawało się, że iskry wyleciały, takim blaskiem zaświeciły, nic nie rzekł wszakże.

W kilka dni po owéj rozmowie, a było to w wigilią egzaminu greckiego, Giovano ujrzawszy Jakóba samego w pokoju sypialnym, bo tu się usunął dla ciszy, siedzącego nad jakiémś ćwiczeniem, zbliżył się do niego i zapytał:

— Czyś ty zawsze niepewien, który z was nagrodę otrzyma?

— Rzecz naturalna, z greckiego jeszcześmy przecież nie zdawali.

— Ale wszystkie inne egzamina powiodły ci się?

— Najzupełniéj; dyrektor dziś jeszcze powiedział, że dotychczas nie wié, któremu przyznać pierwszeństwo, że jutrzejszy egzamin ma sprawę rozstrzygnąć.

— A jutrzejszy ostatni: czy tak?

— Alboż nie wiesz o tém, że pytasz?

Giovano nic nie odpowiedział, począł się tylko przechadzać krokiem gorączkowym po pokoju; po chwili zbliżył się znowu do towarzysza.

— Więc gdybyś zrobił lepsze ćwiczenie greckie, tobyś dostał nagrodę, a on nie?

— Rzecz naturalna; lecz że nie zrobię lepszego, tego pewien jestem.

Giovano zamyślił się posępnie, poczém uśmiechnął.

— Kto to wié jeszcze, co to jutro będzie?— rzekł.

Ale Jakób już go nie słyszał, wrócił do pracy i zatopił się w pisaniu; nie chcąc mu przeszkadzać, Giovano usunął się na stronę.

Wtém w przyległym pokoju rozległ się hałas, rozwarły się drzwi i do sypialni wpadł Wacek, w ręku kajet trzymając.

— Dzieło skończone! —zawołał—jutro nagroda pewna—i podniósł rękę z tryumfem do góry.

Blada twarz włocha oblala się karminem, zacisnął zęby i rzucił ponure spojrzenie Wacławowi; Jakób przeciwnie odwrócił się do niego z uśmiechem łagodnym.

— Szczęśliwyś—rzekł—ale co robić, szczęśliwyś zasłużenie; jednak zazdroszczę ci: tak pragnąłem ucieszyć starego ojca.

Wacław ruszył ramionami.

— Odstąpiłbym ci chętnie tryumfu—odparł—lecz i mnie idzie o ojca; zresztą kto wié, może twoje ćwiczenie uznają za lepsze... Człowiek strzela, Pan Bóg kule rzuca.

To powiedziawszy otworzył szufladkę i wrzucił kajet do środka, poczém nie zamknąwszy jéj na klucz, wybiegł z klasy.

Giovano zerwał się z krzesła, jakiś brzydki wyraz świecił teraz w jego oczach; zbliżył się na palcach do Jakóba i rękę mu na ramieniu położył.

— Człowiek strzela, Pan Bóg kule rzuca; słyszałeś, sam to powiedział: załóż się ze mną, że on nagrody nie dostanie.

Jakób ruszył ramionami.

— Idźże sobie: wiem lepiéj od ciebie co umiem—odparł i odepchnął przyjaciela.

Giovano nic nie powiedziawszy, wyszedł z klasy.

Nazajutrz równo ze świtem porwali się chłopcy z łóżek, najtrudniejszy egzamin mieli dziś do przebycia. Profesor greckiego języka był bardzo surowy i wymagający: każdy chciał coś jeszcze przepowiedzieć, przypomnąć sobie.

Wypiwszy śpiesznie śniadanie, większość wysypała się z książkami do ogrodu, inni na dziedziniec na kłodach drzewa pousiadali, tylko Wacław i Giovano nie wzięli się do książek. Pierwszy pewny siebie przechodził od kolegi do kolegi: jednego wysłuchał, drugiemu wytłumaczył czego nie rozumiał, był wesół, zadowolony z siebie. Giovano przeciwnie, pewno zatrwożony o losy Jakóba, chodził wielkiemi krokami po klasie, w któréj ten ostatni przepowiadał na głos jakieś opowiadanie.

O godzinie dziesiątéj miał się rozpocząć egzamin: dziewiąta wybiła, chłopcy schodzić się zaczęli do klasy, by przygotować książki i kajety; wtém wpadł Wacław jakiś zmięszany.

— Kajet z ćwiczeniem mi zginął—zawołał—Jakóbie, przecieżeś widział wczoraj, jakem go schował do szuflady?

Jakób spokojnie podniósł głowę.

— Zdaje mi się—odparł—ale ręczyć nie mogę, tak byłem zajęty pracą.

— A ja ręczę, jestem pewien, że tam go schowałem.

— Ej, nie ręcz za siebie—odezwało się kilka głosów — ty zawsze rozrzucasz swoje kajety: może jeszcze gdzie leży.

I poczciwi chłopcy rozbiegli się po klasach, szukając zgubionego przedmiotu. Jakób także za innymi podążył, chociaż miał jeszcze ochotę parę razy przeczytać sobie opowiadanie: jeden Giovano nie ruszył się z miejsca.

Próżne były wszakże wszystkie poszukiwania, kajet przepadł bez śladu. Wacław był w rozpaczy.

— Jestem zgubiony — mówił — profesor nie uwierzy, żem miał gotowe ćwiczenie.

— Napisz drugie—poradził mu Giovano.

— To ty napisz za mnie, dokaż téj sztuki, by przez kwadrans ćwiczenie stworzyć—odparł Wacław.

Nikt pojąć nie mógł, co się stało z kajetem, wszystkie kąty obszukali, wszystkie szuflady przetrząsnęli, wszystkich służących pytali i nie znaleźli. Tymczasem dziesiąta wybiła, dyrektor wezwał czwartą klasę i egzamin rozpoczęto. Wacław dobrze odpowiadał, Jakób również dobrze.

— Ćwiczenia chyba rozstrzygną stopnie—odezwał się profesor — dotychczas stoicie panowie jednakowo—i zażądał ćwiczeń.

Jakób podał swoje, Wacław zwiesił głowę, nie wiedząc jak się tłumaczyć; koledzy za niego powiedzieli, co go za przygoda spotkała, ale to rzeczy nie zmieniło: nagroda Jakóbowi przyznaną została.

— Wierz mi, iż żałuję cię serdecznie—rzekł ten do Wacława, gdy wyszli z klasy i podał mu rękę.

Ale Wacław odwrócił się od niego.

— Na co mi się przyda twój żal? — odparł z goryczą — tém się tylko pocieszam, że musisz być przekonany, iż tryumfujesz niezasłużenie.

Wistocie Jakób czuł, że palma pierwszeństwa niesprawiedliwie mu przypadła i nie cieszył się nagrodą: spoglądał nawet na nią jakby z zawstydzeniem, zamiast radości, upokorzenie mu sprawiała. Słowa Wacława nie obraziły go, bo w duszy przyznawał mu słuszność, ale odejście jego bolało go. Odwrócił się od niego, jakgdyby on winien był jego zmartwieniu, jakby on je zgotował. Smutny, rozżalony wysunął się do ogrodu, lecz zaledwie zakręcił w jednę z bocznych ścieżyn, posłyszał czyjeś kroki za sobą, a potém imię swoje; poznał głos: to Giovano biegł za nim.

— Jakóbie! Jakóbie!—wołał.

Jakób zatrzymał się niechętnie. Niewiedzieć czemu, widok tego kolegi sprawiał mu dziś przykrość.

— Czego chcesz odemnie?—zapytał szorstko.

— Uściskać cię, powinszować ci—rzekł Giovano i rzucił się na szyję przyjacielowi.

No, cóż, sądzę żeś zadowolony?—dodał.

Jakób uwolnił się z jego objęć.

— Et, daj mi pokój, jestem zły — odparł i poszedł daléj.

Giovano popatrzył za nim z wyrzutem, w czarnych jego oczach zaświeciły łzy, westchnął i wrócił do szkoły.

Nazajutrz chłopcy mieli opuścić pensyonat, by na wakacye do rodziców podążyć; zaraz po obiedzie rozbiegli się przeto pakować manatki, a gdy z temi się załatwili, hurmem wypadli do ogrodu, aby raz jeszcze razem zagrać w piłkę. Nie jeden nie miał już więcéj wracać do zakładu, ostatnią chwilę chcieli wesoło spędzić. Jakób, który nigdzie nie wyjeżdżał, lecz na całe lato miał zostać u pana Kaziewicza, bo rodzice jego dla zdrowia zmuszeni byli jechać zagranicę, smutny z tego powodu, nie chciał brać udziału w zabawie i zamiast do ogrodu, poszedł do klasy, by, jak powiedział panu Laval, książki swoje ułożyć.

Właśnie zrobiwszy sumienny porządek między kajetami, wyrzuciwszy niepotrzebne, zamykał szufladę, gdy wszedł do pokoju Giovano.

Smutny był i blady i jego także wygnały z ogrodu wesołe okrzyki kolegów i on miał zostać przez lato na pensyi; ale chyba coś więcéj go jeszcze dręczyło, bo nietylko smutek, nietylko tęsknota patrzyły z jego oczów, ale także coś jakby niepokój, jakby zgryzota. Siadłszy naprzeciw Jakóba, wpatrzył się w niego okiem zadumaném, ten zaś czy go nie zauważył, czy nie chciał widzieć, dość, że ani razu na niego nie spojrzał.

— Więc ty się nie cieszysz twym tryumfem?—zapytał naraz Giovano.

Jakób podniósł chmurne czoło.

— A zapomnijże raz o mym tryumfie, nie nudź mnie—odparł opryskliwie—ciągle łazi za mną i przypomina mi go.

Giovano spojrzał zdziwionym wzrokiem na przyjaciela, poczém nagle z czarnych jego oczów trysnęły łzy.

— Jakóbie! Jakóbie!—zawołał—jakiś ty niewdzięczny... Ja cię tak kocham; gdybyś wiedział, com ja dziś zrobił dla ciebie, ale nie powiem ci, nie...

Tu ukrył twarz w dłoniach i oparłszy głowę o krawędź drugiéj ławki, łkać głośno zaczął.

Jakóbowi żal się go zrobiło, był dla niego szorstki, ale dlaczego, sam nie wiedział; coś go odpychało dziś od tego chłopca, ale co, nie umiał zdać sobie sprawy. Postanowił się przezwycię-

żyć, przystąpił do płaczącego i położył mu dłoń na ramieniu.

— I czegóż beczysz?—rzekł, o ile mógł najłagodniéj — zły dziś jestem trochę, bo mi markotno że, inni jadą, a ja całe lato w mieście siedzieć będę.

Giovano podniósł głowę, uśmiechnął się przez łzy i drobne ręce oplótł koło szyi przyjaciela.

— Jakóbie, kochaj mię—szepnął namiętnie—ja taki biédny sierota, mną się nikt nie zajmuje, nikt o mnie nie dba, nikt mnie nie kocha... kochaj mię ty zatém, kochaj choć przez litość, jeśli nie możesz dla czego innego.

Tu wzrok wymowny, proszący, wlepił w twarz Jakóba.

— Czy ty wiész, że jabym gotów dla ciebie w ogień wskoczyć, najsroższe męczarnie przecierpieć, zbrodnię nawet popełnić—dodał jeszcze silniéj.

Te słowa rozbroiły ostatecznie Jakóba, pocałował serdecznie przyjaciela i siadł obok niego na ławce. Uszczęśliwiony Giovano otarł łzy i uśmiechnął się wesoło.

— Czy ty wiesz, co ja zrobiłem dla ciebie, na jaką odwagę się zdobyłem?—rzekł.

— Cóż takiego?—zapytał Jakób.

— W nocy, o saméj dwunastéj, kiedy cały dom spał głęboko, wstałem cicho na palcach, otuliłem się szlafrokiem, wyjąłem z szuflady

Wacka jego ćwiczenie greckie, poszedłem z niém do ogrodu, po ciemku w nocy, a ty wiesz, jak ja się boję sam być w ciemności; poszedłem aż do alei ciernistéj i rzuciłem kajet, het! precz za krzaki. Bałem się coprawda okrutnie, drżałem jak listek, ale czegóżbym ja dla ciebie nie zrobił, nie pokonał. Wciąż mi się zdawało, że mię ktoś ściga, goni, idzie zamną, przecież nie wróciłem, póki nie ukryłem kajetu. Możesz być przekonany, że go nikt nie znajdzie, ciernistą aleją prawie nikt nie chodzi... Jutro jak wszyscy się rozjadą, pójdziemy tam we dwóch i zniszczymy go; czy dobrze?

To powiedziawszy, z miną tryumfatora spojrzał na przyjaciela; lecz czemuż nagle pobladł, czemuż tak gwałtownie schwycił za ramię Jakóba... był taki zadowolony z siebie, cóż mu się stało?

— Jakóbie?—zapytał głosem wylękłym, niespokojnym—Jakóbie, co tobie?

Jakób był wistocie blady śmiertelnie, czoło miał groźnie zmarszczone, brwi zsunięte, a gdy Giovano położył mu rękę na ramieniu, usunął się od niego niechętnie, jakby z odrazą.

— A więc nie myliło mię przeczucie—rzekł głuchym głosem—nie darmo coś mię odpychało dziś cały dzień od ciebie... Czy ty wiesz, czém ty jesteś? wyraz ten przez usta przejść mi nie chce... Czy ty wiesz, jak nazywają tych, co kradną cudze rzeczy?

Bolesny, rozdzierający krzyk, jaki wyrwał się z piersi Montego, zatrzymał dalsze słowa na jego ustach... Giovano zasłonił twarz rękoma i łkając padł na ławkę.

Dobre serce Jakóba znowu się wzruszyło, pochylił się nad nim.

— Ja wiem, żeś ty to zrobił tylko przez miłość dla mnie — począł zakłopotanym tonem— lecz jakeś ty mógł czegoś podobnego się dopuścić?

— Ja ciebie tak kocham, a jego tak nienawidzę — wyszeptał ledwie zrozumiałym głosem Giovano.

— Wolałbym abyś mnie mniéj kochał, straszną mi krzywdę wyrządziłeś... Używać tryumfu niezasłużonego, mieć przekonanie, że nagroda nam dana, to nagroda wydarta innemu niesprawiedliwie, o! to rzecz tak bolesna, tak upokarzająca... Nie, ja tego nie zniosę, pójdę do dyrektora, powiem mu wszystko.

I mówiąc te słowa, Jakób skierował się ku drzwiom, ale Giovano zerwał się z ławki i zabiegł mu drogę.

— Błagam cię, nie czyń tego –zawołał, chwytając przyjaciela za ręce.— Już się rzecz stała, przecież nie będą ci odbierać nagrody.

Jakób usunął go od siebie.

— Za nic nie chcę cudzéj rzeczy — odparł stanowczo.—Ta nagroda mi się nie należy, niechaj ją dadzą temu, kto na nią zasłużył; niechaj kajet odszukają—poczém wyszedł z pokoju.

Giovano załamał ręce, w głowie mu szumiało, serce prawie bić przestało. Być-że to mogło, aby Jakób chciał go zdradzić, wszakże on przez miłość dla niego to uczynił. Nie, to niepodobna; on się rozmyśli, on wróci, i stał i słuchał... Zdala rozlegały się odgłosy szybkich kroków Jakóba, ale coraz słabiéj, coraz niewyraźniéj, poczém skrzypnięcie drzwi dało się słyszeć, nareszcie wszystko ucichło.

— A więc poszedł — szepnął sam do siebie Giovano, potoczył się i padłszy na ławkę, rozpalone czoło oparł na jéj krawędzi.

III.

Godzina ósma wybiła, poważne dźwięki zegara rozległy się w jadalni a jednocześnie prawie zawtórował im dzwonek na dziedzińcu, dający hasło do wieczerzy. Giovano drgnął, podniósł głowę i rozejrzał się wokoło.

Chyba rozmyślił się i nie poszedł — szepnął sam do siebie—wezwanoby mnie przecież.

Dzwon odezwał się powtórnie, chłopiec wstał z ławki i skierował się ku drzwiom jadalni; serce mu biło niespokojnie, jednak szedł, bo wiedział, że iść musi; inaczéj przyszliby po niego; na jednoby przeto wyszło.

W jadalni już było tłumno, brakło wszakże jeszcze kilku osób. Giovano policzył wzrokiem wszystkich, nie mógł dopatrzeć dyrektora i Jakóba.

Może teraz właśnie radzą o mnie—pomyślał i na samo przypuszczenie dreszcz go przeszedł.

Wtém rozwarły się drzwi i ukazał się w nich dyrektor: miał wyraz twarzy bardzo poważny.

„Młodzi przyjaciele—rzekł stanąwszy w pośrodku pokoju — do serc waszych chcę przemówić. Przed chwilą wyszedł odemnie profesor Ławrocki, powiada, iż jest przekonany, że ktoś schował Wacławowi przez złośliwość kajet; pan Laval utrzymuje także, że ćwiczenie było napisane, że je czytał nawet i że było bardzo dobre, najlepsze ze wszystkich. Nie chcę wchodzić w pobudki, które mogły skłonić jednego z was do tak brzydkiego czynu, nie chcę badać i zmuszać do wyznania, odwołuję się do waszych serc... Niechaj ten, co nierozważywszy dobrze całéj ochydy postępku, schował ćwiczenie, odda mi je sam, a ja go rozgrzeszę, przebaczę mu... Czyżbyście chcieli jechać do domu z taką ciężką winą na sercu; czyżbyście mogli używać spokojnie wakacyi, myśląc o pokrzywdzonym koledze? Jestem pewien, że ten co zawinił, przystąpi teraz do mnie i powié: Jam schował ćwiczenie, przyniosę je w téj chwili.

To powiedziawszy umilkł i powiódł wzrokiem po zgromadzonéj dziatwie. Na wszystkich twarzach widać było zakłopotanie: chłopcy spoglądali na siebie, ruszali ramionami, jakby powiedzieć chcieli: „my nic nie wiemy.”

Zdala od innych stał Giovano, ponuro zamyślony; ten na nikogo nie patrzał, wzrok miał spuszczony ku ziemi.

— Czy wszyscy już tutaj jesteście?—zapytał po chwili dyrektor.

— Wszyscy—odparło kilka głosów.

— Narbuta jeszcze niéma — odezwało się dwóch.

Dyrektor przebiegł oczyma pokój i poważna jego twarz okazała zdumienie.

— Gdzież on być może?—rzekł—powiedziano mi, że pytał o mnie, że chciał ze mną mówić; jakiż miał interes?

Nikt mu na to nic nie odpowiedział, chłopcy popatrzyli na siebie, kilku szeptać poczęło między sobą.

— Czyżby to on wziął?

Kłopotliwe milczenie zaległo pokój, na twarzy dyrektora zbierały chmury; przecierał ręką czoło, jakby się namyślał co jeszcze powiedzieć, ale w téj saméj chwili otwarły się drzwi i ukazał się w nich służący.

— Proszę pana—rzekł wchodząc do pokoju—ten żyd, co to pilnuje owoców w ogrodzie, chce z panem mówić, powiada, że ma coś do oddania.

— Wprowadź go tutaj — odparł pan Kaziewicz.

Służący oddalił się, niebawem powrócił, wiodąc za sobą starego żyda. Żyd pokłonił się wszystkim z uśmiechem, poczém zbliżył się do dyrektora i podał mu jakiś kajet zawalany ziemią.

Pan Kaziewicz spojrzał zdumiony, wyciągnął rękę, ale w téj saméj chwili przyskoczył Wacław:

— Moje ćwiczenie!—zawołał i chciał odebrać kajet z rąk żyda, lecz dyrektor go ubiegł.

— Poczekaj, oddam ci je po przejrzeniu—rzekł, poczém zwróciwszy się do żyda, dodał:—Gdzieżeś go znalazł?

Żyd poprawił jarmułkę, uśmiechnął się.

— Nu, to długa historya—odparł—ale opowiem: Ja w nocy, jak pan wi, pilnuje zawsze wisien w ogrodzie, a żona w dzień; siedziałem więc sobie dziś w nocy w budzie i patrzyłem po ogrodzie, a ogród dziś w nocy jak na dłoni widać było, bo księżyc jasno świecił. Wtém słyszę, jakiś szmer leci od parkanu. Ho, myślę sobie, to i złodziéj, dobrze Icku, że nie śpisz, złapisz ptaszka. I wysunęłem się z budy cicho, przykucnąłem do ziemi, a oczy szeroko roztworzyłem. Dobre miałem uszy, bo naprawdę ktoś po nocy zakradał się do ogrodu; już chciałem krzyknąć: Nu! a ty tu czego chcesz, kiedy zobaczyłem, że to jeden z paniczów ze szkoły przełazi przez płot. To i panicze po nocy łażą na wiśnie, powiedziałem do siebie, to brzydko; biednemu to jeszcze uchodzi, bo gdy niéma za co kupić, a owoc kusi, to i ukradnie, ale panicz ma przecież pieniądze. Źle przecież myślałem, panicz ani spojrzał na wiśnie, minął najpiękniejsze i poszedł daléj w ogród, gdzie owoców nie ma, więc ja téż za nim nie szedłem. Przyszedł

pewno się uczyć, bo niósł książkę pod pachą; nie długo wszakże siedział w ogrodzie i kwadrans nie minął, a znowu usłyszałem szmer i wylazłszy z budy, zobaczyłem, że przełazi przez parkan. Nad ranem ległem na słomie i usnąłem twardo; gdy słońce południe wskazało, zbudziła mnie Sara na obiad, więc zjadłem go, a potém, żeby nogi rozprostować, poszedłem sobie w ogród i tak jakoś zaszedłem w aleję ciernistą; patrzę, aż tu między krzakami coś się świeci. Co to? materya, czy co? mówię sobie i schylam się, wydobywam z za krzaków, nu, to była ta książka. Obejrzałem ją i zaniosłem do budy, żeby dać małemu, ale Sara jak tylko zobaczyła, tak powiedziała: Icku, idź do pana dyrektora i odnieś mu to. Byłam ja dziś na szkolnym dziedzińcu, tam był wielki hałas o jakiś kajet, może to on; jak oddasz, to ci zapłacą, a dziecku nic z tego, ja téż poszedłem.

To mówiąc, żyd pokłonił się i pejsy pogładził.

— A czy mógłbyś mi pokazać panicza, który w nocy spacerował?—zapytał dyrektor.

Icek uśmiechnął się.

— Nu, a dlaczego nie—i powiódł wzrokiem wokoło.—Ot tam jest—dodał, palcem wskazując stojącego w najciemniejszym kątku Jasia.

Chłopiec zbladł, wszystkie spojrzenia zwróciły się na niego.

Pan Kaziewicz zmarszczył groźnie czoło.

— A więc rzecz wyjaśniona—rzekł po chwili.

Tu wzrok wymowny zatrzymał na Giovanim, poczém sięgnął do kieszeni, dobył kilka złotych i wsunął je w rękę żyda; uszczęśliwiony Icek pokłonił mu się do nóg i śpiesznie oddalił.

— A zatém to ty jesteś sprawcą tego nikczemnego czynu — odezwał się teraz pan Kaziewicz i postąpił ku Montemu.

Czy wiesz na jakie miano zasługujesz? czy wiesz jak się nazywa czyn, który popełniłeś?—

Umilkł, widocznie nie mógł wypowiedzieć tych strasznych wyrazów, przez usta mu one przejść nie chciały.

Giovano zwiesił głowę na piersi, słowa nie rzekł na swoje usprawiedliwienie.

— Idź natychmiast do mego pokoju, tam się rozprawimy po wieczerzy—odezwał się dyrektor i ręką wskazał chłopcu drzwi.

Giovano postąpił w milczeniu we wskazanym mu kierunku, lecz w téj saméj chwili w progu drzwi ukazał się Jakób, żywym krokiem postąpił ku panu Kaziewiczowi.

— Panie dyrektorze—rzekł głosem wzruszonym—przebacz mu pan, on mniéj winny, niż się to wydaje; doprawdy, niech mi pan wierzy, niech mię pan posłucha.

Giovano zatrzymał się i smutny wzrok zwrócił na przyjaciela, a ten począł opowiadać wszystko, do czego przyznał mu się Monti.

— Jak tylko rzecz mi wyjaśnił, pobiegłem zaraz do ogrodu, by odszukać ów kajet nieszczęsny— mówił daléj drżącym, proszącym tonem—chciałem sprawę tylko z Wacławem przeprowadzić, nikt nie miał o niczém wiedzieć, mieliśmy się sami porozumieć; nie wątpiłem, że zgodzi się na to, to taki zacny chłopak, oddałbym mu nagrodę, Jaś-by go przeprosił i wszystko byłoby dobrze, ale niestety, nie znalazłem kajetu w ogrodzie. Właśnie wracałem zdesperowany, gdy w sieni spotkałem Icka; ten mi powiedział, że odniósł panu jakąś książkę, którą znalazł w ciernistéj alei, nie wątpiłem, że to ćwiczenie Wacława i jak widzę nie myliłem się... O! panie dyrektorze, Monti zawinił przezemnie, niechajże kary znowu nie ponosi przezemnie; dla mnie dopuścił się haniebnego czynu, więc moją rzeczą prosić o przebaczenie dla niego.

— Przebacz mu pan i ja proszę za nim— odezwał się Wacław, wysuwając się naprzód.— Mam ćwiczenie, honor mój uratowany, więcéj nie pragnę; Jaś już dosyć ukarany: spojrz pan, nie śmie podnieść nawet oczów.

Wistocie biédny Giovano stał jakgdyby pod pręgierzem: wstyd mu było tego co zrobił, szczególniéj teraz, gdy Wacław prosił za nim... Więc ten, którego on chciał upokorzyć, pozbawić nagrody zasłużonéj, był lepszym, zacniejszym od niego.

Surowa twarz dyrektora złagodniała powoli, spojrzał z rozrzewnieniem na Jakóba i Wacława.

— A więc niech się stanie zadość waszemu życzeniu—rzekł i wyciągnął do nich oba ramiona i uścisnął ich razem.—Siądźmy do kolacyi— dodał następnie.

Chłopcy usłuchali wezwania, z hałasem zajęli zwykłe miejsca i ludno się wokoło stołu zrobiło, lecz Wacław zanim usiadł, zbliżył się do Jakóba.

— Przebacz mi — rzekł, podając mu rękę— posądziłem cię niesłusznie, myślałem, żeś to ty schował moje ćwiczenie, nie mogę sobie tego darować.

Jakób uścisnął go serdecznie.

— Nie uwierzysz, jak szczęśliwy jestem, iż ten kajet się znalazł; sprawa ta tak mi ciężyła na sercu.

Wesoło zbiegła wieczerza, jeden Giovano siedział posępny, ale na niego nikt nie patrzył; chłopcy nie dokuczali mu, nie śmieli się z niego, nie czynili mu wymówek, ale jakoś jednomyślnie usunęli się od niego, choć się nad tém nie naradzali, nie namówili do tego. Był z wszystkimi, a był sam, bo nikt do niego nic nie mówił, snać wszyscy potępiali jego czyn. Jeden Jakób rzucał mu czasem spojrzenia współczucia, żal mu go było i potępiał go i bolał nad nim jednocześnie.

Po wieczerzy pan Kaziewicz napisał natychmiast do profesora greckiego języka, aby przyszedł, a gdy we dwóch przejrzeli ćwiczenie, okazało się, iż w istocie Wacława lepsze było; nieodebrano wszakże Jakóbowi nagrody, tylko dyrektor chciał inną kupić dla Wacława; ale Jakób sam przyniósł swoją i oddał ją koledze, mówiąc, że jeśli pan Kaziewicz na to się nie zgodzi, przykrość mu sprawi.

Nazajutrz rozjechali się uczniowie, tylko Jakób i Giovano zostali; spędzali oni teraz we dwóch całe dnie, czytywali razem, chodzili na spacery, lub gawędzili. Obaj nie mieli nikogo z bliższéj rodziny, więc obaj wystarczyć sobie musieli, a dole wspólne zbliżają zwykle ludzi. Jak brat bratu wyspowiadali się sobie wzajemnie ze wszystkiego, co ich żywiéj obchodziło: Jakób troszczył się o swoją przyszłość, takby pragnął dostać się do uniwersytetu, a wątpił, czy będzie mógł. Ojciec jego był rządcą w dobrach hrabiego Wężykowskiego, od lat kilku chory; co zarobił to wydał na kuracyą i rodzinę: życie jego było zagrożoném.

— Póki on może pracować—mówił nieraz Jakób do Montego—póty ja uczyć się mogę; ale gdy go siły opuszczą, wtedy trzeba będzie rzucić szkołę i wziąść się do pracy chlebodajnéj, pożegnać rojenia co do wyższéj nauki, a żalby mi było rozstawać się z niemi bardzo, ja tak wiedzę kocham.

Giovano serdecznie żałował przyjaciela, jeszcze go więcéj teraz pokochał, odkąd się dowiedział, iż szczęśliwym nie jest. I jego dola różową nie była... Odsłonił Jakóbowi bolesną tajemnicę, o któréj przedtém mówić nie chciał. Matka jego była córką biédnego emigranta, poznał ją w Rzymie hrabia Monti i poślubił. Hrabia pochodził ze znakomitego rodu, ale nie posiadał żadnego majątku; rodzina jego pragnęła zawszę, by się bogato ożenił i tym sposobem wrócił blask dawny podupadłemu rodowi; dowiedziawszy się o jego wyborze, była bardzo niezadowoloną i zerwała z nim stosunki: to martwiło wielce młodą jego żonę, a matkę Małego Giovano, nawet przypuszczał, iż przyspieszyło koniec nieszczęśliwéj kobiety.

— To też niecierpię ich wszystkich; nienawidzę ich —mówił rozżalony chłopiec ze łzami w oczach.

Z dalszych opowiadań dowiedział się Jakób, iż matka Jasia umierając prosiła męża, że jeżeli się drugi raz ożeni i będzie miał syna, aby jego, to jest Giovana odesłał do Polski i tam go wychował. Hrabia Monti namawiany przez własną siostrę, ożenił się wkrótce po śmierci pierwszéj swéj żony, powtórnie z jakąś księżniczką neapolitańską, a wierny przyrzeczeniu uczynionemu nieboszce, gdy Bóg obdarzył go drugim synem, odwiózł pierworodnego do Polski.

— A czy pisuje ojciec do ciebie?—zapytał go Jakób.

— Ojciec pisuje, ale brat i macocha nigdy; nie kocham ich, więc nawet nie chcę, by pisywali.

— Za co nie kochasz?

— Bo zajęli w sercu ojca to miejsce, które ja niegdyś zajmowałem,—odparł ponuro Giovano—póki ojciec ich nie miał, w sercu jego ja tylko gościłem, a teraz musi je dzielić.

— Jesteś niesprawiedliwy.

— Jestem zazdrosny o ojca, bo go kocham. Niecierpię, nienawidzę ich, bo on ich kocha; nie chcę ich znać, nie chcę nic od nich.

— Jasiu, jak ty możesz tak mówić, nienawiść jest grzechem; religia nasza nawet nieprzyjaciół nie pozwala nienawidzieć, a cóż dopiéro tych, co nam żadnéj krzywdy nie zrobili.

Ale Giovano uparty był w swoich przekonaniach, zawsze dowodził, że brat przyrodni i macocha to jego wrogi największe, że byłby o wiele szczęśliwszy, gdyby nie oni.

— Ojciec byłby tu mieszkał ze mną, albo ja z nim tam — mówił ze łzami w oczach. — Oni pragnęli, aby mię ojciec tu przysłał, oni mi nigdy serca nie okazywali.

Próżno starał się Jakób zmienić jego usposobienie dla nich: nic nie dokonał. Te wspólne gawędki urabiały wszakże mimowoli obu, chociaż Jakób nie zdołał wzbudzić w sercu Montego przywiązania do rodziny, jednakże pod wpływem obcowania z nim codziennego, namiętny ten włoch złagodniał o wiele i poweselał téż znacznie, coraz rzadziéj popadał w ponure zamyślenia. Marzył on o tém, by skończyć szkoły, zapewnić sobie w Polsce zaszczytne jakie stanowisko, bo sławy chciało mu się koniecznie, a potém wybrać się w odwiedziny do ojca i uściśnienie jego otrzymać. Wacławowi przebaczył téż całkiem, uznał że jest zacnym chłopcem i wyglądał jego powrotu niecierpliwie, aby go przeprosić.

Jakób cieszył się szczérze tą zmianą, cieszył tém więcéj, że była ona jego dziełem... Stosunek jego z Montim nie pozostał wszakże i dla niego bez wpływu: w towarzystwie tego wykwintnego panicza nabrał ułożenia, którego mu dawniéj nieco brakło; przytém Giovano nauczył go po włosku, a czytając z nim swoich poetów, obznajmił go z niejednym pięknym utworem, któryby może, gdyby nie on, na zawsze obcym pozostał dla Jakóba.

Minęły wreszcie wakacye, gmach szkolny zaludniać się począł, codzień który z dawnych lub nowych kolegów przybywał, nareszcie wszystkie miejsca się zapełniły i nauki rozpoczęto.

IV.

Dobre mieli jednakże serca koledzy młodego Monti, zapomnieli całkiem o brzydkim jego postępku, nawet Wacław przebaczył mu. Zapomnieli całkiem o zeszłorocznych wypadkach, a przyzwyczaiwszy się do niego, nie prześladowali, owszem nawet polubili go, bo Giovano dobrym był towarzyszem: uczynny, dowcipny, umiał pozyskać sobie, gdy chciał, serca drugich.

Pewnego poobiedzia, a było to w sobotę w miesiącu styczniu, ponieważ śnieg padał grubemi płatami na dworze, przeto zamiast w ogrodzie, chłopcy zabawiali się w pokoju, jedni w piłkę grali, inni w szachy, inni gawędzili. Pod jedném z okien pochylony nad stołem siedział Giovano i coś kreślił pilnie na papierze, a od czasu do czasu rzucał ukradkiem spojrzenia na przechadzającego się po klasie guwernera niemca, który założywszy ręce w tył, głowę

przewiesiwszy na jedno ramię, zdawał się chodząc, drzymać.

— Cóż ty bazgrzesz? chodź-że do nas—odezwał się naraz Jakób, który skończył właśnie partyę szachów.—Zagram teraz z tobą.

— Zaraz, zaraz — odparł Giovano — tylko skończę.

Jakób podniósł się z krzesła i zbliżywszy do przyjaciela, pochylił się nad jego ramieniem.

— Nic nie wiedziałem o twoim talencie, ale wybornie schwyciłeś podobieństwo.

To powiedziawszy, sięgnął po papier i zanim Giovano mógł się jeszcze spostrzedz co czynić zamierza, schwycił go, pobiegł z nim do przechadzającego się po klasie guwernera.

— *Herr Malzhan, sagen sie mein Herr, wer das sein kann?*—zapytał, pokazując mu zdobyty rysunek.

Guwerner sięgnął po papier z niemiecką flegmą, przyjrzał się uważnie rysunkowi, potém uśmiechnął się łagodnie i oddając go Jakóbowi, rzekł:

— *Nun das bin ich, wer hat das gemacht?*

Jakób ręką wskazał przyjaciela: zmięszany Giovano nie śmiał oczu podnieść. Przedstawił on na papierze guwernera, ale w karykaturze, podobieństwo schwycił wybornie: była to ta sama długa, chuda postać, z rękoma w tył splecionemi, z tą różnicą, że artysta dał mu frak

staromodny, kołnierzyk u koszuli wysoki, sterczący, okulary ogromne i tabakierkę.

— Nie masz się czego bać, figiel to jeszcze nie bardzo zdrożny—odezwał się pan Malzhan, widząc skłopotanie chłopca i zbliżywszy się doń, poklepał go po ramieniu. — Ja na figle dzieci jestem wyrozumiały—dodał.

Giovano pocałował go w rękę pokornie.

Tymczasem rysunek przechodził z rąk do rąk, chłopcy byli zdumieni talentem kolegi.

— Zdejmij teraz karykaturę z którego z nas— wołać poczęli i podali mu papier.

Giovano chętnie spełnił ogólne żądanie, nie wyszło kwadransu, kilka nowych karykatur było gotowych; chłopcy klaskali w ręce z radości: jeden portret śmieszniejszy był od drugiego.

— Teraz Jakóba zrób, Jakóba koniecznie!— poczęli wołać.

Giovano zrazu się wzdragał, poczém jednakże kazał usiąść przyjacielowi naprzeciw siebie i wziął ołówek do ręki. Tym razem pracował dłużéj; chłopcy oczekiwali niecierpliwie nowego dzieła: nareszcie Giovano skończył i podał im papier. Portret był z talentem zrobiony, podobieństwo jak najwierniéj schwycone, nie była to wszakże karykatura, tylko jak powiadam, wierny portret: poczciwa, szlachetna twarz Jakóba zdawała się przemawiać piękne jego oczy uśmiechać do kolegów. Chłopcy przypatrywali się z nietajoném zdziwieniem.

— Ależ on ma talent rzeczywisty, on sławnym z czasem zostanie.

Zbliżył się i pan Malzhan, pokiwał głową.

— *Sehr schön, sehr schön*!—powiedział—*ei! ei! ich wuste nichts von deinem talenten.*

Giovano z dumnym uśmiechem przysłuchiwał się pochwałom, a w głowie roił o sławie.

Odtąd koledzy nabrali szacunku dla Montego i artystą zawsze go nazywali. Giovano urosł w powszechnéj opinii; żaden nie śmiałby teraz żartować z niego: artyzm, jaki w nim odkryli, imponował im.

Upłynęło znowu kilka tygodni niezamąconych żadnym ważniejszym wypadkiem: po wielu, wielu słotnych dniach, mróz znowu schwycił, niebo się wyjaśniło i było pięknie, chociaż zimno na ziemi. Wstawszy od obiadu, chłopcy wybiegli na dziedziniec użyć trochę swobody, kilku zostało w klasie, a między tymi Giovano. Miał on bardzo dużo do przygotowania na dzień następny, wolał przeto zostać: dobył książki i siadł w ławce uczyć się. Naraz w przyległym pokoju rozległy się głosy kolegów.

— Jasiu! Jasiu!—wołali—chodź-no, potrzebny nam jesteś.

Giovano podniósł się i poszedł naprzeciw.

— Czego chcecie?—zapytał.

Ale chłopcy nic nie odpowiedzieli, tylko ujęli go za ręce i wybiegli z nim na dziedziniec.

Tutaj dopiero zrozumiał o co im idzie: pod ścianą gmachu szkolnego leżał na ziemi mały chłopiec, który zdawał się być nawpół zemdlonym: oczy miał przymknięte, usta sine, twarz bladą; choć gromadka chłopców go otaczała, on na nikogo nie patrzał, nie poruszał się wcale. Ubiór jego był cudzoziemski: na nogach miał długie pończochy, zamiast butów trzewiki, spodnie opięte, pelerynę granatową i kapelusz wysoki. Obok niego leżał jakiś instrument, flet zapewne, tak się przynajmniéj Montemu zdawało.

— Mówiliśmy do niego, ale nic nam nie odpowiada, może nas nie rozumié—rzekli chłopcy.— Spróbuj ty, to pewno włoch; spojrz na jego suknie.

— Czyś słaby?—zapytał go mową włoską.

Chłopiec drgnął, bladą jego twarz oblał słaby rumieniec; podniósł z wysiłkiem głowę i czarne, wielkie, pełne smutku oczy wlepił w Jasia.

— *Jo more di fame* (*)—szepnął.

Chłopcy przysunęli się bliżéj, Giovano przyklęknął nad nim, na wszystkich twarzach malowało się współczucie; kilku pobiegło do szkoły i powróciło niebawem z pełnemi dłońmi: jeden przyniósł ciastko, drugi bułkę, trzeci jabłko, inny jeszcze coś z mięsiwa, ale Jakób zatrzymał ich wszystkich.

(*) Umieram z głodu.

— Dajcież pokój, to mu jeszcze zaszkodzi, trzeba mu co ciepłego — krzyknął i skoczył do kuchni; wkrótce powrócił, niosąc w garczku coś ciepłego: byłto rosół, jaki kucharzowi pozostał z obiadu.

Mały włoch uśmiechnął się.

— *Gracia signor* — rzekł, wyciągając ręce po jadło.

— Zapytaj-że go, jak się nazywa—rzekł Jakób do Montego.

Giovano zawiązał nanowo z włochem rozmowę. Ośmielony gościnném przyjęciem chłopczyna powiedział mu, że nazywa się Guispe, że jest sierotą, nie ma nikogo z bliższéj rodziny, iż wiedząc, że tak wielu z rodaków czyni, wybrał się do obcych za chlebem z fletem, który miał mu go dostarczyć i wędrując z miasta do miasta, zaszedł aż do Polski.

— Ale ja tutaj długo nie wytrzymam—mówił, patrząc smutnie przed siebie—takie tu szare, mgliste niebo, takie zimne serca, umrę niedługo i nie zobaczę więcéj Rzymu, mego rodzinnego gniazda.

Tu westchnął.

— *Bella Roma, bella Roma*—szepnął i z czarnych jego oczów łza pociekła; wstrząsnął smutnie głową i zadumał się.

Giovano uczuł także łzy w oczach.

— Więc ty rodem z Rzymu—rzekł—ja także się tam urodziłem, tam matka moja umarła, tam

grób jéj, tam wszytkie pamiątki lat moich dziecinnych... O! ty musisz zostać tutaj, będę ci dawał jeść, będę cię uczyć, a gdy skończę szkoły, pojedziemy razem do Rzymu.

Czarne oczy włocha zabłysły wyrazem radości, postawił miskę z jadłem na kamieniach, otarł usta i przyklęknąwszy, schwycił rękę Jasia, by ją do ust ponieść; Giovano pocałował go w czoło, poczém usiedli obaj na kłodzie drzewa i wdali się w gawędkę o Rzymie, o Włoszech wogóle, a mówili w języku ojczystym, więc znudzeni koledzy rozchodzić się poczęli; został tylko Jakób, który siedząc w pobliżu, w milczeniu się im przysłuchiwał.

Wtém Giovano zwrócił się do niego.

— Słuchaj—rzekł—zaprowadzę go do szkoły, może dyrektor pozwoli mu z nami sypiać, będę mu dawać codzień połowę swego obiadu i śniadania, a w chwilach wolnych będę go uczyć. Jak ci się zdaje?

Jakób pokiwał głową.

— Poczciwy plan, nie przeczę — odparł po chwili namysłu—ale niedowykonania, wierzaj mi: najprzód czy ty wiesz, co to za jeden; że z Rzymu pochodzi, to nie dowód jeszcze, żeby miał już być poczciwy, a może to jaki łotr?

Giovano się obruszył.

— Okrutnym jesteś—rzekł—jak możesz coś podobnego mówić: jestem pewien, że to dobry chłopiec.

— Być może, ale nie wiemy tego napewno; powtóre, wątpię, aby pan Kaziewicz zgodził się na to, co ty chcesz; nareszcie niéma go teraz tutaj, powróci dopiéro za parę dni, nie radzę ci przeto wprowadzać chłopca bez jego wiedzy do szkoły: żaden zresztą z nauczycieli na to nie pozwoli.

— Więc ma tutaj zostać na noc, na śniegu? czy nie widzisz jaki jest blady? on tu umrze.

Jakób zamyślił się.

— Ot, powiem ci coś—rzekł po chwili—zrobimy mu łóżko w altance w ogrodzie, pójdziemy do stróża, poprosimy go o trochę słomy, to człowiek poczciwy, nie odmówi; dam mu stare palto do przykrycia, ty także coś i będzie dobrze.

Giovano przyskoczył do przyjaciela, uścisnął go.

— Poczciwy, dobry Jakóbie — rzekł — ty zawsze dzielny do rady.

— A więc weźmy się do dzieła—odparł Jakób i obaj pośpieszyli do stróża, przykazawszy Guispowi, aby czekał na nich.

Niebawem łóżko było gotowe, Giovano poprowadził biédne dziecko i ułożył je na posłaniu. Guispo nie wiedział jak dziękować swemu dobroczyńcy; wydarłszy mu przemocą ręce, które chłopiec okrywał pocałunkami, zadowolony z siebie Monti pośpieszył do szkoły, bo dzwonek wzywał.

V.

Ubrawszy się wcześniéj od innych, Giovano nazajutrz rano, jeszcze przed śniadaniem pośpieszył do ogrodu. Guispe siedział na słomie, otworzył drzwi altanki i z twarzą rozjaśnioną rozglądał się wokoło; spostrzegłszy Montego, porwał się z posłania i wybiegł naprzeciw.

— Jakże się masz?—zapytał go Giovano.

— Wybornie—odparł chłopiec—zdrów całkiem jestem, ale gdyby nie pan, dziś pewno jużby mnie nie było, umarłbym z głodu i zimna. Miała matka słuszność, powtarzać mi zawsze: „Sepi, módl się do Boga, a Bóg cię nie opuści.” Ja codzień się modliłem i Bóg mię nie opuścił, zesłał mi anioła... O! jakże wdzięczny panu jestem, nigdy, nigdy nie zapomnę tego, co pan dla mnie uczynił.

— A cóż teraz zrobisz z sobą? — zapytał Monti.

Guispe westchnął.

— Ha, pójdę znowu po żebraninie — rzekł smutnie i zarumienił się, wnet jednak podniósł czoło. — Ale ja dawniéj nie żebrałem — dodał z godnością — zarabiałem na życie, grając na flecie, lecz flet się złamał, teraz nie mam na czém grać.

Tu wyjął z kieszeni mały flecik złamany.

— Teraz Guispe żebrakiem — począł znowu smutnym tonem i głowę zwiesił.—Jak mi biéda bardzo dokuczy, to tutaj przyjdę—szepnął nieśmiało i uśmiechnął się boleśnie.

— Nie pójdziesz po żebraninie—odparł żywo Giovano — nie pozwolę na to, aby mój rodak prosił o jałmużnę; będę się dzielić z tobą wszystkiém: poczekaj, zaraz ci przyniosę jeść.

To powiedziawszy zerwał się i pobiegł do szkoły; w drodze spotkał Jakóba.

— I cóż włoch porabia?—zapytał tamten.

Giovano powtórzył całą rozmowę.

— Poczciwa jakaś natura—mówił—tyle czuje wdzięczności za to, cośmy dla niego zrobili.

— A cóż będzie z nim daléj?—zapytał Jakób.

Giovano ruszył ramionami.

— Sam jeszcze nie wiem, to tylko pewna, że go na żebraninę nie puszczę.

— I tu go zatrzymywać dłużéj nie możesz, trudno go żywić w sekrecie przed dyrektorem.

— Wszakże własne jedzenie będę mu zanosić, cóż to może szkodzić dyrektorowi?

— Ale mu trzeba o tém powiedzieć.

— A jak się nie zgodzi, jak go wypędzi?

— Może nie wypędzi?

— Morze bardzo szerokie; myślałem, że mi co poradzisz, a widzę, że nic — odparł z gniewem Giovano. — Nie wiele cię obchodzi to biédne dziecko; gdybym miał pieniądze, kupiłbym mu flet chociaż, zarabiałby jak dawniéj, ale niestety, nie mam grosza przy sobie.

Jakób uśmiechnął się.

— Gorączka z ciebie zawsze, dajże mi czas do namysłu—rzekł—niechaj malec poczeka tu do południa, a przez ten czas naradzimy się; teraz chodź na śniadanie, bo dzwonią na nas.

Po kawie Giovano wysunął się z bułką do ogrodu, ale nie mógł długo tam bawić, bo dzwonek wołał na lekcyą. Przykazawszy Guispowi, aby czekał do południa, powrócił śpiesznie. Kiedy o godzinie dwunastéj chłopcy zebrali się na pauzę na dziedzińcu, Jakób zbliżywszy się do Giovana, szepnął mu.

— Już obmyśliłem.

— Cóż takiego? — zapytał Giovano niespokojnie.

Jakób ujął go pod rękę i pociągnął ze sobą.

— Powiedziałeś, że gdybyś miał pieniądze, to kupiłbyś mu flet—rzekł po chwili. — Bardzo byłoby to pięknie, lecz kiedy nie masz pieniędzy, trzeba coś innego postanowić... Otóż posłuchaj na jaką myśl wpadłem, masz talent, skorzystaj z niego: rysujesz takie ładne rzeczy, iż ręczę, że chętnieby je kupowano; lecz trudno, żebyś ty chodził z obrazkami po mieście; otóż niech Guispe cię zastąpi: dasz mu codzień parę sztuk i wyślesz go na miasto.

— Jakóbie! Jakóbie! jaki ty dobry, jaki ty rozumny—zawołał Giovano i uściskał przyjaciela.—Wyborny, przedziwny pomysł; zaraz dzisiaj wezmę się do roboty, zrobię kilka nowych rzeczy: naprzykład przedstawię Śmierć Cezara lub Obronę Trembowli, to może więcéj mieć będzie powodzenia.

— A ja myślę, że lepiéj daj to, co masz. Ten chłopczyk drażniący się z psem i ta dziewczynka zadąsana, którą wczoraj wykonałeś, te kilka karykatur dawniejszych, kto wié, czy nie większe powodzenie będą miały. Zresztą możesz potém zrobić, co będziesz chciał, a dziś daj co masz.

Giovano raz jeszcze uściskał Jakóba, poczém pobiegł do pokoju sypialnego, wyjął z szafki wszystkie ryciny, jakie kiedykolwiek wykonał, wyszukał stare pudełko i z tém wszystkiém pośpieszył do Guispe. Chłopiec zrozumiał łatwo czego od niego żądano, wziął pudełko i wesoło podążył na ulicę.

Plan okazał się praktycznym, wieczorem chłopiec powrócił na dziedziniec szkolny, a w miejsce rycin przyniósł całego rubla. Giovano nie chciał wziąść ani grosza dla siebie, tylko kazał

małemu wystarać się o gospodę, w któréj mógłby noce spędzać i kupić sobie wieczerzę: nazajutrz rano Guispe miał przyjść po świeży zapas rycin.

Tak upłynęło parę miesięcy: Giovano codzień z większym zapałem oddawał się rysunkom i codzień większe postępy robił; nauczyciel przepowiadał mu, że daleko zajdzie, jeśli będzie pilnie pracował. Giovano całą duszą pracował, wszystkie wolne chwile poświęcał temu zajęciu i coraz piękniejsze rzeczy wychodziły z pod jego ołówka; ale wszystkie te ryciny zabierał codziennie Guispe, który z każdym dniem przywiązywał się więcéj do swego dobroczyńcy; Giovano pokochał go także: ilekroć przyszedł po ryciny, gawędził z nim razem o Włoszech, o Rzymie, gdyż lubił wspominać rodzinne strony. Pan Kaziewicz, któremu chłopcy, gdy powrócił z wycieczki na wieś, szczerze wszystko wyznali, nietylko nie bronił Montemu, w ten sposób pomagać biédnemu rodakowi, lecz jeszcze zachęcał go do wytrwania w szlachetném postanowieniu i często dostarczał pomysłów do nowych rycin.

Powoli rok upłynął, wakacye nadeszły i znowu pusto w szkole robić się zaczęło; uczniowie rozjechali się do rodziców, a z nimi tym razem i Jakób; Giovano został zupełnie sam, a co gorsza, pożegnał Jakóba na długo. Przyszła wiadomość, iż pan Narbut ciężko zachorowawszy, wzywa syna do siebie jaknajprędzéj. Jakób odjeżdżając, powiedział przyjacielowi:

— Pewno tu więcéj nie wrócę, pewno trzeba będzie szkołę nazawsze pożegnać.

Ze łzami w oczach rozstali się przyjaciele, Giovano uściskawszy kilkakrotnie Jakóba, życzył mu, aby ojca zdrowym zastał, ale tamten uśmiechnął się smętnie.

— Nie spodziewam się tego—rzekł—daj Boże, abym go jeszcze zastał przy życiu; coś mi bardzo ciężko na sercu, a wierzę w przeczucia.

Na drugi dzień wyjechał i Giovano został sam; całą jego pociechą był Sepi, gawędził z nim téż teraz dłużéj jeszcze jak dawniéj, całe godziny spędzali razem na dziedzińcu.

Jednego wieczora przyszedłszy do swego dobroczyńcy Guispe, z wielkiém zdumieniem zobaczył, iż ten ma powieki zapuchnięte od płaczu.

— Co panu jest?—zapytał niespokojnie.

Giovano w miejsce odpowiedzi sięgnął do kieszeni, dobył z niéj jakiś list żałobny i położył go przed włochem. Guispe czytać umiał, wziął przeto papier do ręki i przebiegł go oczyma; ale jakże się zmięszał, oto co w nim wyczytał:

„Wczoraj o godzinie dziewiątéj wieczór hrabia Monti nagle zakończył życie, skutkiem pęknięcia żyły w sercu. Mianowany opiekunem jego rodziny, czuję się w obowiązku donieść panu o tém, a zarazem uprzedzić go, iż hrabia żadnego majątku nie zostawił, żadnego téż rozporządzenia pana dotyczącego niéma. Żona jego a macocha pana poleciła mi, abym mu oświadczył,

że jeżeli pan powrócisz do Włoch, łożyć daléj będzie na jego edukacyą, abyś mógł z czasem zająć miejsce jako administrator jednego z jéj majątków."

— I cóż pan na to?—zapytał Guispe tonem niespokojnym.

— Pytasz? — odparł Monti, czoło podnosząc żywym ruchem—jakże mógłbym się zgodzić na to, aby zostać ich sługą. Chce mię wykierować na swego administratora, zbytek łaski; poradzę sam sobie, nie myślę nawet odpisywać na ten list. Ojciec nie żyje, nic mię już z nimi nie łączy.

Guispowi błysnęły oczy zadowoleniem, pochylił się z pocałunkiem do ręki Montego.

— Poradzisz pan sobie bez nich niezawodnie—rzekł—coś mi się przypomniało, co pana z pewnością ucieszy i o losie jego będzie może stanowić, może mu przyszłość nawet świetną otworzy.

Giovano spojrzał zdumiony na chłopca.

— Nie przypuszczacie, aby mały Guispe mógł was pocieszyć—rzekł włoch z uśmiechem—a jednak tak będzie, posłuchajcie tylko... Tydzień temu, tak, tydzień najwyżéj, siedziałem na Krakowskiém Przedmieściu na schodkach do kamienicy Röslera wiodących i dumałem sobie; obok stało pudełko z obrazkami: wtém zbliżył się do mnie jakiś pan, podjął jeden i rzekł: „Gdzieżeś to kupił?"

— Nie kupiłem—odparłem.

— Więc sam to narysowałeś, jeśli tak, to masz wielki talent i szkodaby go zmarnować; przyjdź do mnie którego dnia; jestem malarzem, zajmę się tobą i wykieruję cię na sławnego człowieka: oto mój adres — i podał mi kartkę z nazwiskiem swojém.

— Masz ją?—zapytał Giovano niespokojnie.

— Mam—odparł Guispe.

To mówiąc, sięgnął do kamizelki i podał Montemu zbrudzoną kartkę wizytową; na kartce stało: „Jan Sygurd, ulica Wielka Nr. 16."

Giovano przetarł ręką czoło.

— Śni mi się chyba—szepnął—przed chwilą byłem w takiéj rozpaczy, nadzieja tak niespodziewanie zabłysła.

Sepi uśmiechnął się.

— A cóż, nie mówiłem prawdy... Bóg mię wysłuchał, przyszedł dzień, iż mogę się wywdzięczyć memu dobroczyńcy.

— Poczciwy z ciebie chłopak — odparł Giovano i podawszy mu dłoń, uścisnął go serdecznie jak przyjaciel.

Więc kiedyż pojdziemy do pana Sygurda?

— A choćby jutro — odparł Guispe — poco zwlekać?

— Zatém do jutra—rzekł Giovano—przyjdź tylko wcześnie.

VI.

Zaledwie nazajutrz dzień zaświtał, Giovano zerwał się z pościeli i ubrawszy śpiesznie wybiegł na dziedziniec. Guispe już czekał, było wszakże jeszcze zawcześnie na odwiedziny do kogokolwiek, nawet w najpilniejszym interesie. Siódma jeszcze nie wybiła, siedli więc razem gawędzić na kłodzie drzewa, a że ranek był piękny, słońce wesoło świeciło, ptaki świergotały głośno, i jasne, czyste niebo uśmiechało się do nich, więc Giovano mimowoli poweselał i roił, snuł złote sny. Jego zdaniem ów jegomość, co to dał adres Guispowi, byłto pewno jakiś magnat, wielki pan, który zajmie się niemi obydwoma niezawodnie i da im u siebie przytułek, a może nawet wyśle do Włoch, aby wykształcić się tam mogli jeden na malarza, drugi na muzyka.

Wreszcie ósma wybiła, dzwon wezwał na śniadanie: Giovano pośpieszył do jadalni. Jeszcze

nic nie mówił z dyrektorem, nie powiedział mu że będzie go musiał pożegnać, więc jako uczeń stosował się do zwyczajów szkolnych.

Po śniadaniu poprosiwszy o pozwolenie wyjścia na miasto, pośpieszył na dziedziniec, poczém razem z Guispem podążyli na ulicę. Z Krasińskiego placu, gdzie pan Kaziewicz miał swój pensyonat, na Wielką ulicę kawał był drogi, ale chłopcy szli żwawym krokiem; nie wyszło godziny, a dotarli do Wielkiéj ulicy: pilnie przypatrując się numerom, znaleźli nareszcie ten, którego szukali i weszli do bramy.

— Chyba zastaniemy go jeszcze w domu? wielcy panowie długo sypiają — rzekł Giovano i zbliżył się do tablicy wiszącéj w bramie, na któréj stały wypisane nazwiska lokatorów.

Pomiędzy nazwiskami mieszczącemi się w rzędzie pierwszego piętra, stało nazwisko Jana Sygurda, artysty.

Nie omyliłem się zatém — pomyślał Giovano—to jakiś wielki pan.

Z bijącém sercem skierował się ku schodom, z bijącém sercem wszedł na nie i dzwonek przycisnął. Rozległy się metaliczne dźwięki, a Montemu serce w piersiach jakby zamarło; nadstawił słuchu, czyli kto nie nadchodzi, ale za drzwiami głucha cisza panowała... minęła sekunda jedna, druga, trzecia: nikt nie nadchodził.

— Zadzwoń pan jeszcze raz—rzekł Guispe, który stał tuż za swym dobroczyńcą.

Giovano przycisnął bronzowy guzik powtórnie i znowu rozległy się metaliczne dźwięki elektrycznego dzwonka, lecz po nich cisza znowu nastała. Giovano był w rozpaczy, nie czekając już aż Sepi powtórnie go zachęci, przycisnął dzwonek poraz trzeci; tym razem nie napróżno wszakże: za drzwiami rozległy się czyjeś kroki ciężkie, powolne. Giovano czuł jak mu w piersi serce mocniéj bić zaczyna, kroki zbliżały się coraz więcéj; wreszcie ktoś ujął za klamkę i drzwi się otwarły, a w progu ukazał się kilkunastoletni chłopak w kozackim ubraniu, zaspany, rozczochrany.

— Czy można się widzieć z panem?—zapytał nieśmiało Giovano.

— Pana niéma w domu—odparł chłopiec—wyjechał na cały tydzień do Brwinowa.

— Na cały tydzień?—ze smutkiem powtórzył Giovano—kiedyż jest spodziewany?

— Wczoraj wyjechał, więc nie prędzéj aż we środę.

— Dziś mamy czwartek, przyjdę zatém od dziś za tydzień.

— Niech pan lepiéj późniéj przyjdzie—rzekł chłopiec—pan często bawi tam dłużéj.

— Przyjdę zatém za dziesięć dni.

To powiedziawszy, Giovano skłonił się grzecznie i zwrócił ku schodom, Guispe za nim pociągnął.

— Na wstępie niepowodzenie—rzekł Giovano—czy to nie zła wróżba dla mnie?

— Właśnie dobra, przez ciernie do nieba się dochodzi — odparł Guispe, ale słowa te nie wypogodziły twarzy Montego; on tak łatwo złudzeniom się poddawał, tak łatwo wpadał w rozpacz. Przed chwilą malował sobie przyszłość złotemi farbami, teraz widział ją czarną jak noc. Guispe spostrzegł jego zasępienie i nie śmiał się więcéj odzywać: szli obaj milcząc.

Wtém na rogu Czystéj, na którą właśnie zawrócić mieli, ktoś zastąpił im drogę mówiąc:

— Witajcie!

Giovano podniósł głowę i twarz mu się rozjaśniła: przed nim stał Jakób. Już chciał wesoło odpowiedzieć na powitanie, gdy nagle spoważniał: Jakób miał krepę na kapeluszu.

— Więc i ty w żałobie?—rzekł podając mu rękę.—Ja ojca straciłem!

— Ja także — odparł Jakób — przyjechałem na stałe do Warszawy, gdyż o gospodarce trudno było myśleć, nie będąc do niéj przygotowanym; dostałem zajęcie w handlu, już od tygodnia mieszkam tutaj.

— Od tygodnia i nie byłeś jeszcze u mnie? — rzekł z wymówką Giovano.

— Bo czasu nie miałem, wierzaj mi; mam zajęcie w kantorze pana Magnusa, od ósméj rano do ósméj wieczór siedzę wciąż nad rachunkami, rzadko kiedy wypadnę w dzień na mia-

sto; teraz lecę za interesem kantoru i dlatego dłużéj z tobą mówić nie mogę, lecz odwiedzę cię niezawodnie: wszakże zawsze jesteś u Kaziewicza?

— Zawsze, lecz chodźże kawałek ze mną i ja mam ci wiele do powiedzenia o sobie.

— Nie mogę w żaden sposób — odparł Jakób—obowiązki to rzecz święta.

To powiedziawszy, uścisnął przyjaciela.

— Do widzenia — dodał — może wieczorem wpadnę do ciebie.

Giovano rozżalony, wolnym krokiem zawrócił na Wierzbową.

— Co z oczu, to z myśli — rzekł półgłosem do siebie.

Pod filarami teatralnemi rozstał się z Guispem, bo chłopiec tutaj zwykle swój towar rozkładał, sam zaś powrócił do szkoły.

Długim, nieskończenie długim wydał się mu dzień, niecierpliwie wyczekiwał wieczora; tak pragnął zobaczyć się z Jakóbem, rady jego zasięgnąć, wyspowiadać mu się z marzeń; ale niestety, wieczór nadszedł, minął, a Jakób się nie zjawił. Zły na niego i na wszystkich, udał się na spoczynek wcześniéj jak zwykle; nazajutrz cały dzień nie wychodził, czekając Jakóba, ten wszakże nie przyszedł: minął czwartek, piątek, sobota, nie pokazał się. Giovano był smutny serdecznie i byłby pewno oddał się czarnéj rozpaczy, gdyby nie nadzieja, co tlała na dnie jego

duszy. Za tydzień pan Sygurd miał przyjechać, choć się lękał, co od niego usłyszy, ale łudził się jeszcze i roił pocichu.

Nadeszła nareszcie niedziela, zagniewany na Jakóba, Giovano postanowił dłużéj na niego nie czekać i wyjść na miasto. Właśnie chciał zamiar przyprowadzić do skutku i ubrawszy się, iść oznajmić dyrektorowi że wychodzi, gdy wtém rozwarły się drzwi i w progu ukazał się Jakób. Z krzykiem radości rzucił się ku niemu Giovano i uściskawszy serdecznie, pociągnął do krzesła i obsypał pytaniami. Jakób opowiedział przyjacielowi, że wkrótce po jego przyjeździe na wieś, ojciec jego umarł, że konając, polecił mu w opiekę matkę i siostry; więc on musiał pomyśleć o pracy chlebodajnéj i choć nie miał ochoty do handlu, przyjął zajęcie u pana Magnusa, bo mu za nie ofiarowano 30 rubli miesięcznie, że to miejsce wyrobił mu wuj mieszkający w Warszawie, pan Narski, brat jego matki.

— Matka moja—mówił daléj—zapewne na przyszły rok przeniesie się tutaj, bo edukacya siostr tego wymaga; czekamy tylko, żebym miał większą pensyą, bo przy 360 rublach rocznego dochodu, trudno byłoby mi się utrzymać: obecnie została w Sobótce, gdzie rządcą był ojciec. Hrabia Wężykowski jest tak dobry, że pozwolił jéj nietylko rok jeszcze mieszkać, ale przeznaczył nawet emeryturę; za rok, mam nadzieję, iż zarobię na jéj potrzeby.

Giovano uściskał przyjaciela, mówiąc, że zacnym jest synem i bratem, potém zaczął opowiadać o sobie, o śmierci ojca, o propozycyi jaką mu uczyniła macocha, o tém jak dumnie odrzucił ową propozycyą, nakoniec o marzeniach, projektach świetnéj przyszłości. Znowu roił... Pan Sygurd, wedle niego miał się stać jego aniołem, geniuszem, który mu wrota do zaczarowanych krain otworzy.

Jakób słuchał uważnie, czasami wzdychał, czasami uśmiechał się smętnie, nie zdawał się podzielać złotych rojeń przyjaciela; ale tamten nie uważał tego, tak był tém, co mówił, zajęty.

— Ja myślę, że on mnie wyśle do Włoch— mówił, ożywiając się coraz bardziéj. — Wszak prawda, Jakóbie? tutaj trudno się wyrobić artyście: brak wzorów, brak pięknéj natury.

Jakób położył mu dłoń na ramieniu.

— A ja myślę, żeś pewno nigdy nie czytał zdania twojego rodaka—odparł spokojnie.

— Jakiego rodaka? — spytał zdziwiony Giovano.

— Michała-Anioła; posłuchaj co on mówi: „Przyrzeczenia tego świata próżnym są cieniem, najlepiéj i najpewniéj idzie ten, kto na samym sobie polega."

Giovano porwał się z krzesła; gdyby kto kubeł zimnéj wody wylał na niego, nie doznałby takiego wrażenia.

— Okrutnym jesteś, Jakóbie, niszczysz moje nadzieje, odbierasz mi odwagę—zawołał.

Jakób uśmiechnął się smętnie.

— Chcę cię zbudzić, marzycielu — rzekł.— Wierzaj mi, nie rój ty nadto o tym Sygurdzie; lepiéj poproś dyrektora, niech ci da jakie zajęcie; umiesz ładnie rysować, mógłbyś dawać u niego lekcye rysunku: powoli wystarałbyś się u kogo innego i miałbyś utrzymanie. Jesteś zdrów i młody i chcesz z łaski drugich żyć? propozycyą macochy odrzuciłeś, powiedziałeś jéj, że sam sobie poradzisz, a obcych chcesz prosić o wsparcie.

Słowa te obraziły Montego.

— Morałów już nie potrzebuję, dzieckiem nie jestem—rzekł chłodno – nie przyjąłem propozycyi macochy, bo nic od niéj nie przyjmę, bo jéj nie kocham.

— Za co? cóż ona ci złego zrobiła?

— Zabrała mi serce ojca.

Jakób ruszył niecierpliwie ramionami.

— Widzę że z téj niedorzeczności nigdy nie wyrośniesz—rzekł—a czasby już było. Dąsasz się jak dzieciak, sam nie wiesz o co: niedorzeczne to i niesprawiedliwe. Lecz mniejsza o to, nie chcesz przyjąć od niéj pomocy, więc nie przyjmuj; ale radź sobie sam, walcz, dobijaj się przyszłości własnemi siłami, a na drugich się nie oglądaj.

— Powiedziałem ci, że nie chcę morałów— przerwał mu Giovano—przestań zatém.

— Dobrze—odparł Jakób i zwrócił rozmowę na inny przedmiot, ale rozmowa jakoś nie szła, urywała się co chwila; więc niedługo podniósł się i wyciągnął rękę z pożegnaniem.

Giovano uścisnął go chłodno, ale Jakób mimoto serdecznie.

— Jak będziesz chciał ze mną pogawędzić, to przyjdź do mnie—rzekł — mieszkam na Bednarskiéj Nr. 7.

Giovano obiecał że się wybierze.

Tydzień trzeba było jeszcze czekać na powrót pana Sygurda, ten tydzień wydał się wiekiem Montemu: codzień ze złotych marzeń wpadał w czarną melancholią, bo gdy poczynał roić, przypominały mu się słowa Jakóba i niepokój rodził się w sercu. Do niczego nie mógł się teraz wziąść, nawet ołówek wypadał mu z ręki. Pan Kaziewicz sam nie wiedział, co o nim myśleć: to wpadał w wesołość hałaśliwą, która dziwnie odbijała przy białych wypustkach, jakiemi miał kołnierz surduta obszyty, to krył się ze łzami po kątach. Wiedział on już o śmierci hrabiego Monti, ale nic nie wiedział, że śmierć ta, syna jego wtrąca w trudne położenie pod względem materyalnym; Giovano powiedział mu tylko to, że stracił ojca i że w przyszłém półroczu pożegna go zapewne. Zato Guispe wiedział o wszystkich niepokojach, trwogach i nadziejach swego

dobroczyńcy; odwiedzał on go codziennie i dodawał mu odwagi, bo i on wierzył, że pan Sygurd stanie się ich zbawcą. Nareszcie minął tydzień, zbliżył się poniedziałek; znowu Sepi zjawił się o świcie na dziedzińcu szkolnym i znowu we dwóch podążyli razem zaraz po śniadaniu na miasto.

O dziewiątéj byli w bramie domu, w którym mieszkał malarz; właśnie Giovano kierował się na schody, gdy Guispe schwycił go za rękę i szepnął:

— To on.

Giovano obrócił żywo głowę, od dziedzińca wchodził w bramę jakiś mężczyzna wysokiego wzrostu, szlachetnéj postawy.

— Czy pewny jesteś?—zapytał Giovano.

— Najpewniejszy.

— A zatém przedstawię mu się.

To mówiąc, śmiało postąpił naprzeciw nieznajomego.

— Wszak mam przyjemność mówić z panem Sygurdem?—rzekł.

— Tak jest—odparł malarz tonem zdziwionym.

— Jestem Giovano Monti, któremu pan stawić się kazałeś do siebie, twórca owych obrazków, jakie zwróciły uwagę pana, parę tygodni temu: sprzedawał je ten mały.

Przy tych słowach Giovano wskazał towarzysza, który wysunąwszy się naprzód, ukłonił się grzecznie.

Pan Sygurd spojrzał na chłopca.

— A, przypominam sobie—rzekł—myślałem, że to on artystą; pozwólcież do mnie: niebawem nadejdę.

To powiedziawszy skłonił przyjaźnie głową obydwom i ręką wskazał schody, sam zaś ku ulicy się skierował.

Giovano podążył do mieszkania, za nim Guispe; niebawem rozwarły się przed nimi podwoje i służący wprowadził Montego do salonu: Guispe w przedpokoju się zatrzymał.

Wspaniały byłto salon: szerokolistne rośliny stały w rogach pokoju, aksamitne firanki kryły drzwi, marmury, bronzy, stroiły go dookoła.

A cóż, Jakóbie—myślał sobie w duszy Giovano—któż miał słuszność?

Teraz już roił bez obawy, nie wątpił że pan Sygurd wybawi go ze smutnego położenia, w jakiém się znajdował obecnie; wszakże był bogaty. Nareszcie ozwał się dzwonek w przedpokoju, a po chwili malarz ukazał się w progu salonu; podał dłoń Montemu i prosił go siedzieć, poczém zawiązał rozmowę: zapytał czém się zajmuje, czy ma rodzinę, zkąd jest rodem? Giovano wszystko mu szczérze opowiedział; pan Sygurd ubolewał nad jego położeniem, powiedział, że ma wiele sympatyi do włochów, że spędził lat kilka w Rzymie i najmilsze ztamtąd wywiózł wspomnienia, że ma nadzieję, iż Monti wyrobi sobie

z czasem takie stanowisko, iż będzie mógł swoją ojczyznę odwiedzić.

— Przydałoby ci się to, mój młody przyjacielu—mówił—bo nigdzie talent tak się wyrobić nie może, jak na téj ziemi sztuki i poezyi; na téj ziemi, która wydała Rafaela i Michała-Anioła.

Potém wpadłszy na owych mistrzów, długo rozwodził się o sztuce, o jéj piękném posłannictwie na ziemi, o wpływie jaki wywiera. Giovano słuchał go z zajęciem, ale mimoto niecierpliwie wyczekiwał, kiedy mówić o nim zacznie.

Nareszcie pan Sygurd rzekł:

— Lecz teraz trzeba coś o tobie pomówić, młody przyjacielu, a raczéj coś postanowić względem twéj przyszłości.

Montemu serce zakołatało, wytężył słuch.

— Masz talent niezaprzeczony—ciągnął daléj pan Sygurd—trzeba ci dopomódz, abyś go mógł rozwinąć; nie masz na to, by płacić za lekcye, otóż ja się tobą zajmę. Codzień o siódméj rano czekać cię będę u siebie, gdy lat parę pod moim kierunkiem popracujesz, talent się wyrobi i jestem pewien, że za lat trzy, cztery najdaléj, już mówić o tobie będą. No, cóż, rad jesteś?

Pan Sygurd spodziewał się, że Giovano rozpromieni się radością, że dziękować mu będzie z zapałem; jakież więc było jego zdziwienie, gdy Monti skłoniwszy mu się etykietalnie rzekł:

— Dziękuję panu.

Biorąc jednak to chłodne obejście jako wynik nieśmiałości, wyciągnął do niego dłoń i uścisnął go serdecznie.

— Do jutra zatém, tylko się nie spóźnij — rzekł wesoło.

Giovano skłonił mu się powtórnie, poczém wyszedł z salonu; w przedpokoju skinął na Guispa i obaj wysunęli się na schody.

— Z czego żyć będę, to ani pomyślał—rzekł półgłosem, gdy drzwi zamknęły się za nimi.— Wielka mi pomoc: będzie mi darmo lekcye dawał.

— E, ten pan Sygurd, to sobie zwyczajny człowiek, a ja roiłem, że to anioł—dodał Guispe.

— Więc słyszałeś, co mi powiedział?

— Przecież we drzwiach stałem.

Giovano westchnął ciężko.

VII.

Złote sny pierzchły. Monti cały dzień przesiedział w sypialni, nawet na obiad nie poszedł, mówiąc, że go głowa boli; dopiéro wieczorem wybrał się do Jakóba, pamiętał adres, więc łatwo go znalazł. Stróż kamienicy wskazał mu mieszkanie przyjaciela, powiedział, żeby poszedł na trzecie piętro. Po wązkich schodkach dostał się wreszcie do celu i zastukał do drzwi.

— Proszę wejść — odpowiedział mu głos ze środka.

Giovano nacisnął klamkę, stanął w progu izdebki niewielkiéj i rozejrzał się wokoło. Ten nędzny pokoik miałżeby być mieszkaniem Jakóba: pod jedną ze ścian stało łóżko proste, drewniane, niepolitурowane, obok niego stolik założony książkami, daléj krzesło i nic więcéj. Ale nie było czasu na dłuższe rozpatrywanie, bo naprzeciw przybywającego podniósł się Jakób i powitał go wesoło.

— A to gość niespodziany! — zawołał podając mu rękę. — Cóż porabiasz? jakie nowiny przynosisz?

Giovano westchnął.

— Pierzchły sny złote — rzekł — wyobraź sobie, ten Sygurd po to mi kazał przyjść do siebie, aby powiedzieć, że mię darmo uczyć będzie.

— A ty spodziewałeś się czego?

— Wszakże ci mówiłem, nie mam z czego żyć; wyznałem mu to: myślałem, że mi pomoże. Mieszkanie u pana Kaziewicza zapłacone za mnie tylko do września, wiem o tém dobrze; cóż będzie daléj?

— Jedź do Włoch do macochy, wszakże cię wzywa: tam będziesz miał żyć z czego.

Giovano porwał się z krzesła.

— Czemu sprawiasz mi przykrość? czemu mówisz o niéj? wiesz dobrze, że tego nie zrobię, co radzisz.

Jakób ruszył ramionami.

— I cóż mam ci radzić? na obcych się zawiodłeś, sam sobie radzić nie umiész, więc jedź do tych, co ci chcą podać rękę.

— Zkąd wiesz, że sam sobie radzić nie potrafię?

— Bo rozpaczasz, że Sygurd cię pod swoje skrzydły nie bierze, albożeś nie powiedział: cóż daléj będzie?"

— No, powiedziałem, bo wistocie nie wiem do czego się wziąść.

— Masz przecie talent, jesteś szczęśliwszy od wielu; dawaj lekcye rysunków, kształć się w twoim zawodzie, a powoli dobijesz się stanowiska.

Giovano westchnął.

— Kiedy to będzie?

— Pewno, że nie dziś, ani nie jutro, ale z czasem będzie; może dopiéro za lat dziesięć: młodym wszakże jesteś, jeszcze czas na wszystko.

Giovano zwiesił głowę na piersi, Jakób zbliżył się do niego, położył mu rękę na ramieniu.

— No, odwagi przyjacielu, a wszystko będzie dobrze; pamiętasz co nasz poeta powiedział:

„Wiary trzeba nam, wiary,
Czynu trzeba i woli."

Ufaj, chciéj, pracuj, a pokonasz trudności, a wzbijesz się wysoko. Najmij sobie teraz izdebkę podobną do mojéj, ułóż się z Kaziewiczem, żeby cię za lekcye stołował: ot i życie samodzielne rozpoczęte. Wierzaj mi, to ścieranie się z losem, ta walka z niedostatkiem, z przeciwnościami, to mozolne dobijanie się bytu, mają swoje powaby... Człowiek czuje się wtedy człowiekiem i gdy zwycięża, choć go nikt nie pochwali, w własném sercu coś czyta jak uznanie, coś słyszy jak głos pochlebczy. Wierzaj, że ci dobrze radzę, jutro rano rozmów się z Kaziewiczem, potém najmij mieszkanie, następnie idź do Sygurda na lekcye.

— Do Sygurda, do tego egoisty, ani myślę — odparł Giovano.

— Co znowu? tego głupstwa przecież nie zrobisz?

I Jakób tak przekonywająco począł przemawiać, że Giovano przyrzekł wreszcie, iż wybierze się zaraz nazajutrz.

— Jestem pewien, że z czasem będziesz mu wdzięczny, iż nic więcéj nad lekcye ci nie ofiarował—mówił—byłaby to w każdym razie jałmużna, a jałmużna upokarza.

— Byłby to dług, którybym mu z czasem oddał—poprawił go, rumieniąc się Giovano.

— Pocóż dług zaciągać? to utrudniłoby ci przyszłość—odparł Jakób.

Tym razem przyjaciele serdecznie się rozstali, uściskali się po dawnemu.

— Nie wszystkim marzenia się spełniają—mówił Jakób—ot widzisz, ja naprzykład musiałem pożegnać sny moje złote. Roiłem o medycynie, o uniwersytecie, a zazasiadłem w kantorze; ty możesz przynajmniéj jeszcze marzyć, że z czasem spełnią się twoje pragnienia, bo nie wątpię, że gdy będziesz chciał szczerze, wyrobisz talent; ja już nigdy doktorem nie będę, a przecież pogodziłem się z mym losem. Pracuję uczciwie, mam nadzieję, że z czasem matce i siostrom byt zapewnię i tém się zadawalniam. Gdy znudzony i znużony wrócę do domu, wtedy broniąc się od czarnych myśli, uciekam do książki i książka godzi mnie z kantorem, wraca humor i ochotę do życia.

— Zazdroszczę ci, że tak łatwo pogodziłeś się z losem—rzekł Monti—ja tego podobno nie będę umiał.

— Będziesz musiał—odparł Jakób i smutny uśmiech okolił jego usta.

Nazajutrz Giovano wybrał się do pana Sygurda i całe dwie godziny spędził u niego, poczém wróciwszy do szkoły, rozmówił się z dyrektorem i powiedział mu w jakiém położeniu się znajduje, tylko o propozycyi macochy nie wspomniał. Pan Kaziewicz ludzkim był człowiekiem, żal mu się zrobiło sieroty i sam zaproponował mu zaraz lekcye rysunków u siebie, obiecując w zamian dziesięć rubli miesięcznie oraz obiad; znał zdolności Montego, wiedział, że wynagrodzenie za wielkiém nie jest, że na nie zasługuje. Giovano przyjął z wdzięcznością propozycyą, poczém pobiegł za mieszkaniem. Na Starém Mieście znalazł pokoik za siedem rubli miesięcznie, zostało mu zatém tylko trzy na śniadanie i wieczerzę: z goryczą uśmiechnął się na tę myśl.

Jeszcze tego dnia ulokował się on w swojéj izdebce, zabrawszy od pana Kaziewicza własną szafkę i łóżko; brakło mu wszakże stołu, dwóch krzeseł i drugiego łóżka, bo Guispe miał z nim razem mieszkać. Giovano był w kłopocie, gdyż nie miał grosza przy sobie; lecz Sepi, który nad wieczorem przyszedł, zaradził zmartwieniu: przyznał się, iż posiada małą sumkę zaoszczędzoną

z pieniędzy, jakie zarobił, sprzedając obrazki i prosił Montego, aby ją pożyczył od niego.

— To wasza przecież własność—mówił—za wasze obrazki, które sprzedałem.

Giovano przyjął ofiarę, kupili potrzebne sprzęty i pokój ostatecznie umeblowali.

Tak rozpoczął samodzielne życie Monti. Rok szkolny niebawem się otworzył, zjawili się dawni koledzy; pan Kaziewicz wyznaczył młodemu nauczycielowi rysunków codzień dwie godziny lekcyi, dwie był zajęty Giovano u Sygurda, a prócz tych. musiał coś jeszcze codzień przygotować dla Guispa na sprzedaż. Mały włoch był mu teraz prawą ręką, spełniał w jego mieszkaniu wszystkie posługi, więc Monti tym osobem go opłacał. Trzeba też było jeszcze codzień parę godzin popracować dla pana Sygurda, by połajania nie usłyszeć: jedném słowem Giovano czynne wiódł życie.

Minęło wreszcie kilka miesięcy, nastała zima, a z nią święta Bożego Narodzenia. Była to właśnie wigilia: Guispe zerwawszy się wcześnie z pościeli, wybiegł na miasto, by przynieść panu śniadanie; Giovano jeszcze spał smacznie, naraz zbudziło go kołatanie do drzwi.

— Kto tam? —zapytał.

W miejsce odpowiedzi rozwarły się drzwi i w progu ukazała się poczciwa, łagodna, uśmiechnięta twarz Jakóba.

— Cóżto, jeszcze leżysz? —zawołał wesoło.

— A pocóż mam wstawać? lekcyi dziś niéma, mogę cały dzień przeleżeć w łóżku—odparł, ziewając Giovano.

— I nie żalby ci było święta zmarnować?

— Zmarnować? alboż ja go użyć mogę? nie mam zaco. Nie wyjdę dziś wcale na świat, niech używają ci, do których fortuna się wdzięczy.

— Wstydź się tak mówić: cóżto, nieszczęśliwy jesteś?

Giovano westchnął.

— Szczęśliwym mię przecież nie nazwiesz pracuję ciężko i cóż mam w zamian? ledwie tyle, iż głodny nie jestem.

— Dobre i to — odparł Jakób — inni i tego nie mają. No, wstawaj, otrząśnij się ze smutnych myśli i chodź ze mną.

— Gdzie?

— Za miasto do Wierzbna, wyprawimy tam sobie śniadanie.

Giovano ruszył ramionami.

— Ciekawy jestem za co?

— Nie pytaj, tylko chodź.

— Nie chce mi się, życie mi zbrzydło, takie monotonne, takie jednostajne, takie ciężkie.

Tu usiadł na łóżku i twarz ukrył w dłoniach.

— Urozmaicisz je więc dziś sobie; no wstawaj, bo doprawdy pogniewam się serdecznie. Jestem dziś taki szczęśliwy, Magnus na gwiazdkę podarował mi podwyższenie pensyi z 30 na 40

rs., z tego powodu ucztę wyprawiam: nie psuj mi humoru odmową.

Rad nie rad Giovano począł się ubierać; zjawił się Guispe, przyniósł kawę i bułki, Monti poczęstował gościa, poczém podążyli na ulicę, kierując się ku Nowemu Światu. Ulice były jeszcze puste, więc prędko iść mogli, niebawem dotarli do Alei Ujazdowskiéj; tu na pierwszéj ławce czekało trzech kolegów Jakóba: przedstawiwszy im Montego, pośpieszyli daléj wszyscy razem.

Ranek był prześliczny, na błękitnym przestworze niebios kilka różowych obłoczków się wałęsało, drzewa ubielone szronem, błyszczały bogactwem dyamentów Golgondy; wróble trzepocąc skrzydłami świergotały wesoło, Giovano szedł zadumany i rozglądał się wokoło okiem tęskném.

— Jednakże pięknym jest świat—rzekł jakby sam do siebie—zacznę wierzyć chyba, że życie ma swoje dobre chwile.

— Więc tyś przypuszczał, że ich nie ma?— zapytał Jakób.

— Jakże nie miałem przypuszczać, gdym dobrych dotychczas nie zaznał.

— Janku, ty dziś tak się odzywasz, jakbyś był bardzo, bardzo nieszczęśliwy: ty chyba ukrywasz coś przedemną?

I Jakób z nieudaną troskliwością wpatrzył się w przyjaciela.

— Nic nie ukrywam, całą prawdę ci powiedziałem — odparł Giovano. — Życie mi cięży, ot i wszystko. Pracuję tak ciężko, nie mam chwili wytchnienia, nigdy nie mogę się rozerwać, zabawić. Kładę się z myślą, żeby nie zaspać; budzę się z myślą, że trzeba śpieszyć do zajęcia: codzień jedno i to samo.

— Cierpliwości, powoli będzie lepiéj; dobijesz się sławy a potém i bytu lepszego.

Giovano wstrząsnął powątpiewająco głową.

— Kiedy to będzie i czy będzie kiedy, albo ja wiem; jakoś zwątpiłem teraz we wszystko, nawet w swój talent. Już pół roku pracuję i cóż za różnica. Kaziewicz płaci mi 10 rubli, ot i cały dochód. Nie wystarczam, Guispe mi pomaga; poczciwy chłopiec dzieli się ze mną tém co zarobi, sprzedając ryciny, a to mnie upokarza.

— Nie odrazu Kraków zbudowany, przytém kto wié, czy nie obmawiasz siebie; widziałem dziś parę olejnych obrazków u ciebie na ścianie, jeśli to twoja robota, znaczne postępy zrobiłeś przez to półrocze.

— Tak sądzisz? — zapytał ożywiwszy się nieco Giovano—to moja robota wistocie.

— Czyś nie starał się znaleść nabywcy na obrazki?—zapytał Jakób.

— Nie.

— To źle, udaj się z niemi którego dnia do Leonarda, co to ma sklep na ulicy Królewskiéj;

on podobne rzeczy kupuje: poco masz napróżno pracować?

Giovano uderzył się ręką w czoło.

— Śliczna myśl—rzekł—zaraz po świętach udam się do niego; że też ty zawsze jaką radę zbawienną mi podasz.

— Że też ty zawsze zamiast myśleć jak złemu zaradzić, ubolewasz nad sobą i roztkliwiasz się nad swym losem — odparł Jakób, a chcąc złagodzić naganę, uścisnął przyjaciela.

Ale Giovano nie rozgniewał się na niego, ucałował go serdecznie i weselszy pogonił za znajomymi Jakóba, którzy podczas ich rozmowy oddalili się nieco. Młodzież idąc, nuciła rożne pieśni, deklamowała Mickiewicza, Słowackiego i ani się spostrzegła, jak drzewa ogrodu Wierzbna zarysowały się przed nimi.

— Otóż jesteśmy u celu podróży — zawołał Jakób i podążył naprzód do restauracyi: niebawem powrócił do przyjaciół.

Będziemy mieli jajecznicę, lina z kapustą i piwo; nie wykwintne ale posilne śniadanie: na lepsze mię nie stać.

— Wyśmienite, dajże pokój tłumaczeniom— zawołali młodzi ludzie i pośpieszyli do sali restauracyi, bo spacer dodał im apetytu i jeść wszystkim się chciało.

Już zmrok szary zapadał, gwiazdy na niebie się ukazywały gdy wrócili do miasta. Na Nowym Świecie rozstali się, każdy chciał teraz do

rodziny lub znajomych podążyć, by spożyć wigilią...

Giovano pożegnał towarzyszy ze smętnym uśmiechem, naostatek zwrócił się do Jakóba.

— I ty pewno także do kogo zaproszony jesteś — rzekł — masz przecież wuja: do widzenia zatem. Ja wrócę do swéj izdebki, bo ja nie mam nikogo, nawet Guispe nie będzie mi towarzyszyć; jeszcze wczoraj powiedział mi, że go któryś z rodaków zaprosił do siebie.

To mówiąc, wyciągnął rękę z pożegnaniem.

— Myślisz, że cię puszczę — rzekł Jakób— pójdziesz ze mną do wuja. Powiedziałem, że cię przyprowadzę; wujenka także uprzedzona: to ludzie serdeczni, będzie ci u nich dobrze.

Giovano zawahał się, ale potém uległ: Jakób ujął go pod rękę i skierował się na Święto-Krzyzką, gdzie mieszkał pan Narski.

VIII.

Dom państwa Narskich znany był w Warszawie z gościnności, Giovano nie pożałował, że uległ zaproszeniu przyjaciela; wchodził nieśmiało w progi obcych sobie zupełnie ludzi, ale zaledwie je przestąpił zdawało mu się, iż znalazł się pomiędzy dawnymi znajomymi, tak serdecznie go tu wszyscy powitali, jakby członka rodziny. W salonie, do którego weszli, zastali prawie całą familię zebraną: w wygodnym fotelu, stojącym pod oknem siedział pan Narski i huśtał na kolanach jasnowłosą dziewczynkę, najwyżéj lat dwa liczyć mogącą, a ilekroć ojciec podrzucił ją w górę, dziewczynka klaskała w dłonie z radości. Po środku pokoju, na drewnianych konikach hasało dwóch chłopców; obaj zdawali się być w jednym wieku, a tak do siebie podobni, iż odróżnić ich trudno było, tém trudniéj, iż jednakowo byli ubrani: obaj mieli na sobie

granatowe bluzki, skórzanemi paskami przepasane, włosy przystrzyżone w ten sposób, jak nasi włościanie: byli to wistocie rówiennicy, bliźnięta.

Przy okrągłym stole, na kanapie siedziały dwie panienki, tuż obok siebie i coś z sobą szeptać się zdawały. Gdy Jakób i Monti w progu stanęli, pan Narski podniósł się z krzesła i postąpiwszy ku kanapie oddał dziecinę jednéj z panien, sam zaś powrócił do wchodzących.

— Dziękuję ci, Jakóbie, żeś słowa dotrzymał i przyjaciela przyprowadził—rzekł wesoło—dziękuję i panu żeś naszemu zaproszeniu nie odmówił—dodał, wyciągając dłoń do Montego.

Giovano pochylił się z pocałunkiem do ramienia gospodarza, a ten uścisnąwszy mu dłoń serdecznie, pociągnął go do kanapy.

— Pan Jan Monti; moje córki: Julia, Marya i Panna Pelagia—dodał z uśmiechem.

Panienki dygnęły, za ich przykładem i Pelunia, poczém zbliżyla się do Jakóba i wyciągnęła do niego rączki. Jakób podniósł ją wysoko w górę, a mała śmiała się głośno. Tymczasem pan Narski przywołał chłopców hasających po pokoju.

— To moi synowie—rzekł—wielkie zawadyjaki, jeden imiennik pana, drugi Antoś. Chłopcy skłonili się grzecznie, ciekawie spojrzeli na gościa, poczém klasnęli z bicza i na nowo klu-

sować zaczęli po pokoju, a pan Narski prosił gościa, by zajął krzesło. Ale w téj saméj chwili otworzyły się drzwi od przyległego pokoju i ukazała się w nich pani domu, kobiéta średnich lat wieku, smukła szatynka o twarzy pospolitéj ale dobréj, uśmiechniętéj; zbliżyła się do Jakóba, pocałowała go w czoło i nie czekając przedstawienia, zwróciła się następnie do Montego podając mu rękę.

— Witam i dziękuję, żeś pan przyszedł— rzekła z prostotą.—Gwiazda już świeci na niebie, kazałam podać wigilię: pozwólcie państwo do jadalni.

Na to wezwanie wszyscy ruszyli ochoczo: Jaś i Antoś przodem pomknęli, za nimi pan Narski, prowadząc gościa, potém pani domu, a wreszcie panienki i Jakób z Pelunią, którą za rękę prowadził.

Połamawszy się oplatkiem wedle starego zwyczaju, rodzina stół otoczyła a z nią Giovano. Panna Pelagia siedziała tuż przy matce na wysokiém krześle, za nią Marynia i Julka, potém Monti, koło niego Jakób bliźnięta mieli wyznaczone miejsca po drugiéj stronie stołu obok ojca. Służba rozniosła talerze z zupą, zabrano się do wieczerzy i zawiązano gawędkę. Wigilia trwała całą godzinę, ale nie nudziło się przy niéj nikomu, bo gawędka toczyła się ożywiona. Giovano więcéj słuchał, jak mówił; lecz słuchać było o czém, bo pan

Narski poruszał kwestye ciekawe, żywotne, interesujące każdego.

Po wieczerzy przeszli wszyscy z jadalni do przyległego pokoju, gdzie wznosiła się wspaniała choina, tysiącem świec jaśniejąca, ustrojona ręką panienek, które dla młodszego rodzeństwa ją przygotowały. Uszczęśliwione dzieci, klaszcząc w dłonie obiegały wkoło choinę; Pelunia wyciągała rączki, wspinała się na palce, chciała dostać złoconych orzeszków; lecz kiedy matka wzięła dużą lalkę do ręki i zbliżyła się z nią do niéj, zapomniała o orzeszkach całkiem. Gdy już każde z dzieci obdarowane zostało, wtedy wszyscy powrócili do salonu.

Pan Narski zasiadł znowu w fotelu, chłopcy u nóg jego poklękali, a przyniósłszy ołowianych żołnierzy, zajęli się ich ustawianiem, dopytując ojca do jakiego pułku należą. Pelunia chodziła z poważną minką po pokoju, tuląc lalkę w objęciach i nucąc jéj półgłosem; pani Narska zajęła się bawieniem gościa rozmową, a Jakób żartował z kuzynkami: naraz coś szepnął starszéj Maryni. Panienka podniosła się, zbliżyła do fortepianu i otworzyła go. Jak tylko dzieci to spostrzegły, uciszyły się natychmiast. Pelunia usiadła cichutko z lalką na małéj kanapce u nóg matki, chłopcy przestali rozkazy żołnierzom wydawać, a w salonie rozległy się dźwięki fortepianu: dźwięczne tony mazurka Szopena popłynęły. Giovano przerwał rozmo-

wę i utonął w zadumie. Było mu tu tak dobrze, tak ciepło, serdecznie, rad był, że tu przyszedł, ale było także jakoś smutno, rzewnie, tęskno, a muzyka roztkliwiała go bardziéj jeszcze.

Podparł głowę na ręku i słuchał mazura a raczéj nie słuchał, tylko marzył. Niewiedzieć zkąd, dawno widziane obrazy, dawno przebyte chwile poczęły jako widma senne przesuwać się przed oczyma jego duszy. Zdawało mu się że jest znowu małym chłopcem tam w Rzymie, w domu rodziców, że matka jego siedzi przy fortepianie, obok niéj ojciec zadumany, a on Giovano oparty na jego kolanach słucha z zachwytem i z miłością wpatruje się w tę co gra; ojciec gładzi jego włosy i uśmiecha się doń chwilowo, a czasami na czole jego składa pocałunek. Ileż takich wieczorów spędził on niegdyś, minęły bezpowrotnie, dźwięki fortepianu odnowiły mu je w pamięci; może matka jego grywała tego mazura, ztąd wspomnienie.

Potém obraz ten zatarł się, a inny stanął mu przed oczyma. Wyobraźni jego zarysowały się ściany jakiegoś wspaniałego salonu o posadzce marmurowéj i w tym salonie stał także fortepian a przy nim siedziała kobieta, ale w niczém niepodobna do tamtéj; na czole jéj maluje się wyniosłość, włosy ma krucze, spojrzenie królowéj, suknię bogatą, strojną: to nie smętno jasnowłosa, skromna postać jego matki. Obok niéj przecież siedzi jego ojciec, jak przy tamtéj zadumany, a o jego kolana stoi oparty chłopczyna; ojciec głaszcze krucze włosy chłopca i uśmiecha się czasami do niego, ale to nie on jest, to nie Giovano, tylko jego brat przyrodni. On siedzi zdala smutny, samotny i z ponurą zazdrością, spogląda na pieszczoty, które niegdyś odbierał a które teraz inny odbiera....! i znowu znikł ten obraz, a przedstawił się inny tamtym wywołany. Muzyka jeszcze gra, ale on już nie widzi fortepianu, słyszy ją tylko przez ścianę; oddalił się już do sypialni i leży w łóżku; nad nim jakaś stara kobieta pochylona, twarz jéj pomarszczona, żółta jak pargamin, ale dla niego miła, bo to jego stara piastunka: ona nosiła go na ręku, kiedy jeszcze chodzić nie umiał, ona czuwała nad nim gdy matka jego umarła i teraz czuwa jeszcze, choć on już liczy lat siedm: hrabia Monti zapewnił jéj chleb łaskawy w swym domu.

— Biedactwo ty moje—szepcze stara—tam dla ciebie w salonie nie ma miejsca; macocha nie dba o ciebie, bo ma własne dziecko; ojciec przestał kochać, bo ma drugiego syna. On słucha jéj i wierzy, oczy jego wzbierają łzami, z piersi łkanie się wyrywa, ale stłumia je gwałtem. Wtém drzwi sypialni się uchylają i w progu staje chłopczyna czteroletni o kruczych włosach i oczach czarnych, jego brat przyrodni. Przestępuje próg, zbliża się na palcach do leżącego w łóżku.

— *Bona sero Giovano* — srebrnym powiada głosikiem — czy cię głowa boli, żeś tak wcześnie położył się do łóżka; patrz com ja dostał od tatki, cukierek: chcesz to poproszę, żeby i tobie dał.

— Idź precz, nie potrzebuję cukierków — odpowiada Giovano, a mały braciszek przestraszony wysuwa się cichutko z sypialni. Stara piastunka pochyla się znowu nad swym wychowankiem i szepcze mu:

— Biedactwo ty moje, niedość, że cię odpychają, jeszcze najgrawają się z ciebie — i łzami skrapia czoło leżącego, a łzy jéj mięszają się z jego łzami.

Ciężko na duszy Montemu pod temi wspomnieniami, gdyby nie wstyd, możeby z oczów jego popłynęły takie serdeczne łzy, jak płynęły wtedy, kiedy płakała nad nim piastunka.

Naraz smętne tony fortepianu przelały się w inne, z pod białych paluszków Maryni wypłynęła piosnka wesoła, wśród ścian skromnego saloniku zadrżał srebrny czysty głosik:

O! widać i słychać w ogródku skowronek
Z piosenką podleci, upadnie
I moje kwiateczki z rozpukłych nasionek
Jak wschodzą zielono i ładnie;
O milsze krosienka,
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka.
La, la, la, piosenka

. . . . . .

Giovano obudził się, wspomnienia precz pierzchły, począł słuchać z uwagą; jak śnieg niknie pod promieniami słońca wiosennego, tak pod słowami piosnki niknął smutek z jego serca i chmury powoli zeszły mu z czoła i oczy rozjaśniły się: wstał z krzesła, przysunął się do fortepianu i uśmiechem podziękował pięknéj śpiewaczce, że go zbudziła z przykrych wspomnień. Marynia piosnkę skończyła, potém zaczęła inną, ale już nie sama; przysunęli się do niéj Jakób z Julką i chórem zaśpiewali:

Szumnie wiatr wionął po pustym stepie
I śnieżną zamieć w obłoki wzbił.. .

. . . . . .

Uroczysta, poważna pieśń, inne uczucia wzbudziła w sercach słuchaczy. Giovano był znowu wzruszony, ale tym razem inaczéj jak pierwéj; znowu matka stanęła mu na pamięci, ale w innéj chwili życia. Przypomniał sobie wieczór jeden z dawno ubiegłéj przeszłości. Siedzieli oboje w ogrodzie, ona na darniowéj ławce pod cieniem smutnego modrzewia: on na jéj kolanach; oboje byli zadumani, cichy wietrzyk muskał im czoła, a wśród gałęzi drzew świergotały ptaszęta; matka patrzyła w dal, on śledził smutny wyraz jéj twarzy; w końcu znudziło mu się tak siedzieć cicho: pogładził ją po twarzy by ją zbudzić z zamyślenia i zapytał:

— Co ci jest, mateczko?

W jéj oczach błysnęły łzy, przycisnęła go silnie do piersi, pochyliła ku niemu głowę i szepnęła:

— Jasiu, czy ty będziesz kochał ziemię ojców moich? czy ty będziesz kochać braci moich? o! powiedz, że będziesz kochać.

— Będę—odparł pewnym siebie tonem.

Matka pochyliła się bardziéj jeszcze ku niemu i pocałowała go w czoło.

— Ja tam wrócić nie mogę, choć mi serce się wydziera, ale ty wrócisz—rzekła drżącym głosem—ty będziesz ich kochać, będziesz dla nich i dla niéj pracować.

Nareszcie wstała Marynia, muzyka ucichła, otrząsnął się Giovano ze wspomnień i odszedłszy od fortepianu, zbliżył się do stołu, gdzie wszyscy się zebrali. Ożywiona rozmowa zawiązała się wkrótce, coraz więcéj ośmielony Giovano, mięszał się do niéj i gawędzono do późnego wieczora, dopiéro o godzinie 12 podniósł się Jakób mówiąc:

— Czas nam do domu, Janku.

Giovano pożegnany serdecznie a obiecawszy że wkrótce odwiedziny ponowi, zadowolony zupełnie, opuścił dom państwa Narskich.

— O! tak, życie ludzkie ma swoje jasne chwile, tylko że nie wszyscy używać ich mogą—rzekł wyszedłszy na ulicę—ja naprzykład, należę do wydziedziczonych: nie mam rodziny...

— Więc przychodź tutaj jak najczęściéj, ile ci się podoba; wszak jesteś moim przyjacielem—odparł Jakób.—Ile razy czuć się będziesz smutny, ile razy zatęsknisz za ogniskiem domowém, przyjdź do mnie, a pójdziemy do wuja i wieczór dobrze spędzimy. Przy pracy konieczną jest rozrywka, oderwanie chwilowe od codziennych zabiegów.

Giovano uścisnął dłoń przyjaciela.

— I mnie się to zdaje, zupełnie mi inaczéj na duszy jak było – odparł.

Dzień ten wpłynął zbawiennie na Montego, nazajutrz czuł się rzeźwy, wesoły, jak nigdy jeszcze nie był. Wróciwszy od Narskich do domu, zrobił on surowy obrachunek ze sobą: uznał się winnym i postanowił się poprawić. Nie miał rodziny, był sam jeden wśród obcych, rzucony jak tułacz, jak odrzutek; lecz czyż to nie jego była wina... wszakże hrabina Monti dwukrotnie pisała do niego, wzywając go do siebie; pisała nawet do pana Kaziewicza, dopytując co się z nim stało: i jakżeż on postąpił? Gdy przyszedł ów trzeci list, wtedy dopiéro odpisał iż jest zdrów, że prosi ją aby się o niego nie troszczyła, bo on sobie sam da radę w świecie; że żadne przecież stosunki rodzinne ich nie łączą, że on jest niczem dla niéj: po cóż go więc wzywa do siebie?

Odtąd nie pisała do niego, za złe jéj przecież nie mógł mieć milczenia, bo sam chciał te-

go. A czy zasłużyła na takie postępowanie, teraz, gdy poważniéj zastanowił się nad swém dzieciństwem, przyznał, że nie... Była dla niego dobrą i troskliwą matką, czuwała zawsze nad nim ilekroć był chory; łajała, gdy co zawinił: może nie pieściła tyle, ile matka go pieściła, lecz o ile sobie przypominał, i własnego syna nie wiele pieściła. Może nie umiała, a niestety, miał on przy sobie piastunkę, która mu zawsze szeptała do ucha, że hrabina go niecierpi, że jest niesprawiedliwą dla niego, że on biédny sierota, że młodszy jego brat wydarł mu serce ojca. On jéj uwierzył, znienawidził macochę i brata przyrodniego, zazdrosnym stał się o najmniejszą pieszczotę, jaką ojciec tamtego darzył, o każdy pocałunek, o każde słówko słodsze, a zazdrość zasiała w jego sercu zawiść i nauczył się dokuczać małemu i stał się ponurym, milczącym i nieraz rozgniewał srodze ojca.

Nie oni względem niego zawinili, ale on względem nich, a raczéj najwinniejszą tu była stara piastunka; ale ta przez niewiadomość błądziła, jak ludzie najczęściéj błądzą. Mieć do niéj żal, byłoby to samo, co winić słońce że nie świeci, gdy je chmura zasłoni; kwiat, że niedość piękny, gdy mu rosy i światła brakło: Giovano nie miał téż żalu do niéj, ani do nikogo w téj chwili. Smutno mu było, że nie ma rodziny; wczoraj przekonał się jakiém szczęściem jest ona; chciałby mieć rodzinę, ale już było zapóźno: po liście ostatnim jaki napisał do hrabiny Monti, trudnoby mu było teraz z jakiemiś serdecznościami odzywać się do nich. Zagryzł wargi prawie do krwi, jakby chciał bólem fizycznym stłumić ból, co mu serce szarpał.

— Dobrze mi tak—szepnął sam do siebie i zadumał się ponuro.

Po chwili wszakże otrzasnął się z tych dumań.

— Jakto, nie mam matki, nie mam braci— rzekł podnosząc czoło śmieléj—alboż ta ziemia, którą matka moja rodzona kazała mi kochać, nie jest mi matką; alboż synowie jéj nie są moimi braćmi?.. Dla nich będę teraz pracować, dla nich rozwijać mój talent, abym blaskiem swéj sławy, im sławy przysporzył.

Jakób powiedział mu dziś rano, że on zrobił postępy w swoim zawodzie, zdwojonym zapałem weźmie się do pędzla i ufać będzie w przyszłość, ufać będzie słowom poety, który powiada: „Bóg nie rzekł nikomu: ty nie pójdziesz daléj, ale rzekł: znaj drogę światła, a wzbijesz się w nieskończoność.“ On szukać będzie drogi i znajdzie ją i wzbije się wysoko, wysoko, a gdy zapewni sobie byt niezależny i szacunek ludzki, wtedy odwiedzi rodzinę, przeprosi macochę, brata przyrodniego uściska i małą siostrzyczkę. W ostatnim liście jaki ojciec pisał do niego, otrzymał wiadomość iż przybyła mu siostra. Pomyślał o niéj i wyobraził sobie takusieńką

dziewczynkę, jaką wczoraj widział u Narskich, podobną zupełnie do małéj Peluni, jasnowłosą, rumianą wesolutką. I uśmiechnął się do widzenia swéj wyobraźni i byłby z ochotą wziął w téj chwili za pióro, by napisać kilka słów serdecznych, gorących, do rodziny, ale nie uczynił tego. „Pierwéj trzeba na to zasłużyć“ powiedział sobie i zasiadł do sztalug zamiast do listu. Miły wieczór spędzony u Narskich, postanowił przelać na płótno i powiodły mu się zamiary; stworzył wcale ładny obrazek, a gdy święta minęły pośpieszył z nim do Leonarda.

— Kup pan to odemnie—rzekł, jestem początkującym artystą: cenić nie będę wysoko méj pracy, choć zdaje mi się, że rzecz nie zła.

Pan Leonardo przyjrzał się pilnie obrazkowi.

— Nabędę go z ochotą—rzekł—dam panu za niego rs. 20, a jeśli masz co więcéj w domu, proszę mi przynieść.

Giovano aż się zarumienił z radości. Zatém położenie jego materyalne poprawi się nareszcie, nie będzie potrzebował brać to co Sepi zarobi, sprzedając jego rysunki: on nad tém tak bolał... Dawniéj chłopiec zbierał sobie na podróż do Włoch, a teraz nie mógł tego czynić, więc mu odda, co pożyczył od niego na kupienie mebli... Nie posiadał się z radości, obiecał Leonardowi, iż zaraz nazajutrz przyniesie mu trzy obrazki które miał gotowe; poczém pole-

ciał do Jakóba podzielić się z nim dobrą nowiną: był to już wieczór, nie wątpił, że go zastanie.

Jakób ucieszył się serdecznie ujrzawszy go, a gdy mu wszystko powiedział, uścisnął go serdecznie.

— Spodziewam się, że teraz odważniéj patrzysz w przyszłość—rzekł.

— Trochę—odparł Giovano—jaśniéj mi jakoś w duszy; mam nadzieję że wypłynę, a nawet, że się wzbiję wysoko, że sławę zdobędę: to cel mego życia obecnie, cel mych pragnień, méj ambicyi.

— I znowu rojenia; a jeśli ci mierność przeznaczona?

Giovano uśmiechnął się smętnie.

— Masz słuszność—rzekł—ściągasz mię zawsze z nieba na ziemię, do rzeczywistości przywoływasz.

IX.

Włoskie przysłowie powiada: „Kto idzie wolno, idzie pewno;“ sprawdziło się ono na Montim, powolne robił postępy, ale przyszłość coraz jaśniéj, coraz pewniéj mu się przedstawiała. Po dwóch latach wytrwałéj pracy wyrobił sobie wcale nie złe stanowisko, zarabiał miesięcznie około stu rubli, więc wynajął sobie mieszkanie na Nowym Świecie, składające się z dwóch pokoi i kuchni: kuchnię oddał Guispowi, jeden pokój obrócił na pracownią, drugi na sypialnią. Porzucił lekcye rysunków i pracował tylko dla Leonarda, lub na wystawę posyłał swe obrazy; zakończył lekcye z panem Sygurdem, czasami tylko zabiegał do niego, by jakiéj rady zasięgnąć. Sepi także wiódł teraz inne życie; już nie sprzedawał obrazków po ulicy, lecz uczęszczał do konserwatoryum. Giovano łożył na niego a chłopiec

wdzięczny za to usługiwał mu zawsze. Oba mieli jedne marzenia: rozwinąć talent, i sławę zyskać, a z czasem odwiedzić Włochy; coś ich tam ciągnęło, co, sami nie wiedzieli, może groby ojców i matek ich, może czas wspomnień z lat dziecinnych.

Jakób odwiedzał często przyjaciela, jemu także dobrze się powodziło; pobierał teraz 60 rs. miesięcznie, matkę i siostry miał przy sobie. Giovano kochał go i szanował co dzień więcéj, nazywał go swoim dobrym aniołem, poczciwym doradcą: we wszystkich niepewnościach i kłopotach do niego się uciekał.

Właśnie Towarzystwo sztuk pięknych ogłosiło konkurs na pracę premiową, naznaczając nagrody rs. 500. Przedmiotem pracy miała być obrona Wiednia. Giovano miał ochotę stanąć z innymi do współzawodnictwa; zachęcał go do tego pan Sygurd, mówiąc, że obrazy wojenne to jego rodzaj; chciał wszakże jeszcze usłyszeć zdanie Jakóba, więc się wybrał do niego. Jakób był tego samego zdania co pan Sygurd: gorąco zachęcał przyjaciela mówiąc, że jest pewnym, iż nagrodę otrzyma.

Był to dzień piękny, obaj przyjaciele wybrali się przeto na przechadzkę, a idąc gawędzili o pracy konkursowéj. Montemu paliło się w głowie, przedmiot narodowy zachęcał go; wszakże celem jego życia, jego pragnień, ambi-

cyi była nietyle jego sława, ile sława téj ziemi która mu matkę i rodzinę zastąpiła; chciał blaskiem swego talentu ją opromienić; nadarzała się ku temu sposobność: mógł przelać na płótno jednę z chlubniejszych chwil jéj przeszłości, mógł jéj dzieje unieśmiertelnić. W głowie mu się paliło, już cały plan wytworzył w myśli, przed oczyma wyobraźni snuli mu się rycerze polscy na spienionych rumakach, dzielni, silni, zbrojni od stóp do głów; na ich czele widział króla z czołem dumnie podniesioném, z szablą w dłoni, z męztwem w oku pędzącego za uciekającymi wrogami, a wśrod tych wrogów popłoch, zamięszanie straszne: cisną się turcy i tatarzy, tłoczą, duszą, tratują. I zwierzał się z tych marzeń przyjacielowi, bo on zawsze we wszystkiem Jakóbowi się zwierzał. Jakób choć malarzem nie był, słuchał go uważnie, sztuka zajmowała go mocno; miał duszę artystyczną, kochał wszystko co piękne, a przytém może przez częste obcowanie z Montim trafny miał sąd w téj mierze.

Zagadawszy się chłopcy nie widzieli nic i nikogo, gdy wtém ktoś zastąpił im drogę.

— Czy mię oczy mylą, czy naprawdę łaskawe bogi dozwoliły mi spotkać dawnych znajomych—odezwał się głos basowy, silny, nie obcy im wszakże.

Podnieśli obaj wzrok, przed nimi stał młodzian, elegancki, wyświeżony, ze szkiełkiem w oku.

— Wszakże pan jesteś Jakóbem Narbutem — rzekł—wyciągając do tegoż rękę.

— Tak jest—odparł Jakób—lecz ja pana sobie nie przypominam.

— Jakto, miałbyś całkiem wyrzucić z pamięci Wacława Olbrzyma? – odparł elegancki młodzieniec.

— Takeś się zmienił—odparł Jakób—nie poznałbym cię nigdy —i wyciągnął obie ręce i uścisnęli się serdecznie.

— Więc i ty w Warszawie? — rzekł Jakób.

— Chwilowo, w tym samym roku, w którym ciebie ojciec powołał na wieś, moi rodzice odebrali mnie także od Kaziewicza i wysłali do Belgii, gdzie przygotowawszy się wstąpiłem do uniwersytetu. Teraz mamy ferye, więc przyleciałem Warszawkę odwiedzić.

— Czy nie poznajesz Montego, że się z nim nie witasz?—rzekł Jakób zwracając spojrzenie na przyjaciela.

Wacław odstąpił parę kroków, zmierzył dawnego kolegę, widocznie zdumionym wzrokiem.

— To on!—wykrzyknął nakoniec—dalibóg nie poznałem, bo téż urosł, zmężniał... ktoby to przypuścił, że z ciebie taki mężczyzna, co się zowie, wyrośnie.

Tu wyciągnął dłoń do Montego.

— No, cóż, czy zawsze marzysz, tęsknisz, wzdychasz i karykatury rysujesz?—rzekł wstrząsając jego rękę.

— O! wielka w nim zmiana: to człowiek dzielny teraz, praktyczny —odezwał się Jakób.

— A cóż robi, czemże jest?

— Artystą, malarzem—odparł Jakób.

— Niepotrzebniem pytał, spojrzawszy na ciebie, zaraz to odgadnąć można.

Giovano rozśmiał się.

— Po czémże?—zapytał.

— Krucze, ,długie włosy w tył zaczesane, twarz blada, oko smętne—patetycznie wydeklamował Wacław.—No, a ty co robisz?—dodał zwykłym sobie rubasznym tonem i zwrócił się do Jakóba.

— Ja w kantorze u bankiera Magnusa pracuję.

— Co, ty mólu książkowy kupcem zostałeś? a co, cóż, rozwiał się twój zapał do nauki?

— Ojciec umarł, matka została bez utrzymania, trzeba było wziąść się do zawodu, któryby jak najprędzéj do stanowiska niezależnego nas doprowadził—odparł Jakób spokojnie. Pracuję w kantorze cały dzień, a gdy wrócę do domu zasiadam do Basla, Mila, Spencera, Sniadeckiego.., w towarzystwie tych filozofów, pocieszam się po rozwianych marzeniach.

Wacław objął go ramieniem, dwugłośne pocałunki złożył na obu jego policzkach.

— Tylko poczciwy Jakób takby potrafił zrobić—rzekł.

— Ja sądzę, że każdy.

— No, może że każdy, ale każdy utyskiwałby, ubolewał nad sobą, uważał się za bohatera, za ofiarę; ty zaś mówisz o tém wszystkiém tak poprostu, jakbyś nic wielkiego nie zrobił.

— Bo téż nic wielkiego nie zrobiłem.

— W twoich oczach może, ale nie w moich. Gdzież idziecie, może poszlibyśmy razem?

— My, do ogrodu botanicznego —odparł Jakób.

— Wróćcie lepiéj do miasta, pójdziemy sobie na operę; wszakże to dziś śpiewa Jakowicka. Przyjechałem na tydzień, chcę użyć Warszawy. No, cóż, pójdziecie?

— Ja gotów jestem—odparł Giovano.

— A ty?—zapytał Wacław zwróciwszy się do drugiego kolegi.

Jakób zarumienił się.

— Ja nie mogę—odparł—muszę wracać do domu, mam jeszcze zajęcie.

Nie chciał się przyznać, iż on nigdy nie pozwala sobie tak kosztownych rozrywek, domyślał się bowiem, że Wacław weźmie bilety do pierwszych rzędów; nie chciał mu powiedzieć, że go na to nie stać, bo ma matkę i dwie siostry, które utrzymuje z własnéj pracy.

— Szkoda, że nie możesz—odparł Wacław, —pójdę więc z Jasiem.

I zawrócili się wszyscy trzej ku Nowemu Światu.

Na rogu Chmielnéj Jakób ich pożegnał, bo tu mieszkała jego matka; Wacław uścisnął go serdecznie i obiecał, że nazajutrz odwiedzi, poczém krzyknął na dorożkę.

— Bawcie się dobrze—rzekł Jakób odchodząc a Montemu szepnął na ucho — pamiętaj o obronie Wiednia.

* * *

Niestety, próżną była przestroga Jakóba: Wiedeń poszedł w zapomnienie...

Po wysłuchaniu opery, Wacław namówił Montego na kolacyą do Stępkowskiego, tam spotkali znajomych; przy kieliszku i gawędzie upłynęło niepostrzeżenie kilka godzin; trzeba było późniéj otrzeźwić się przechadzką, tak przynajmniéj utrzymywał Wacław i powiózł kolegów do Doliny na czarną kawę, gdzie przechadzając się po ogrodzie, znowu kilka godzin zabawili. Dzień był już jasny, gdy Giovano wrócił do siebie, głowa mu ciężyła, powieki same się kleiły; rzucił się na łóżko by wypocząć trochę; około południa zbudził się: przebrał i siadł do sztalug, ale jakoś nie chciało mu się wziąść do pracy, ręce jakby z ołowiu, ledwie je dźwignął do góry, pędzel z palcy się wysuwał, myśli jego były splątane. Wczoraj jeszcze tak jasno przedstawiał mu się przedmiot, cały

obraz żywo stał mu w wyobraźni, dziś wszystkie postacie były zamazane.

Dziś odpocznę, a jutro za to dłużéj fałdów przysiedzę—rzekł sam do siebie i pędzel odłożył. Wtém ktoś do drzwi zakołatał.

— Otwarte!—zawołał Giovano.

Drzwi się rozwarły i w progu stanął Wacław.

— Przyszedłem po ciebie, pójdziemy teraz na obiad, a potém do Rozmaitości—rzekł.

— Nie mogę—odparł Giowano—głowa mię boli, zmęczony jestem.

Wacław począł się śmiać.

— Cóż znowu? dziewczyną przecież nie jesteś... Głowa go boli, bo jednę noc nie spał, a wstydźże się.

Giovano nie opierał się dłużéj, wziął kapelusz i wyszli razem i znowu powrócił dopiéro nad ranem, a nazajutrz znowu nie mógł się wziąść do pracy. Gdyby się to było skończyło chociaż na dwóch dniach, ale Wacław bawił całe dwa tygodnie w Warszawie, a ponieważ Jakób cały dzień siedział w kantorze, więc zabiegał do Montego i słaby Giovano zawsze dał się namówić. Nareszcie Wacław odjechał i Giovano przypomniał sobie obronę Wiednia.

— Nie ma rady, trzeba czas stracony nagardzić—rzekł sam do siebie—w przeciwnym razie byłbym niedołęgą.

I zabrał się do pracy i siedział całemi dniami, nocami, przy sztalugach, krótkie tylko chwi-

le pozwalał sobie wypoczywać. Oczy podkrążyły mu się siną obwódką, twarz pobladła lecz on na to nie zważał, pracował bez wytchnienia. Tak minęło trzy dni, gdy wieczoru jednego zjawił się u niego Jakób.

— Zmiłuj się, jak ty wyglądasz—zawołał—co tobie jest?

Giovano przyznał się do winy.

— Trzeba złe naprawić, czas zmarnowany nagrodzić—rzekł.

— Ależ ty złe pogorszysz—odparł Jakób, —rozchorujesz się i taki koniec będzie... Na przyszły rok ogłoszą znowu jakie premium, wystąpisz wtedy; teraz daj za wygranę.

— Za nic!—krzyknął Giovano—Obrona Wiednia musi być gotowa na czas, choćbym miał paść przy tych sztalugach.

Poczém zwiesił głowę na piersi.

— Ach! jaki ja słaby, ja słaby—wyrzekł złamanym głosem—to com uczynił, to równa się zdradzie: nie prawda Jakóbie—i ukrył twarz w rękach. Popełniłem zdradę względem téj ziemi którą ukochałem—szepnął—przysiągłem dla jéj chwały pracować i cóż zrobiłem...

Milczenie było mu całą odpowiedzią, Jakób nie wiedział co mówić; uznawał słuszność słów jego, i długo cicho było w izbie, aż nakoniec Giovano podniósł czoło.

— Obrona Wiednia musi być gotowa na czas, —rzekł znowu z mocą—musi, choćbym miał paść

przy sztalugach. Trzeba naprawić błąd; przekonasz się Jakóbie, że ostatni raz byłem słaby, przekonasz się że wytrwam w swém postanowieniu.

— Daj Boże—odparł uroczyście Jakób i podał dłoń przyjacielowi — nie będę ci zatem przeszkadzać—dodał odchodząc.

* * *

Trzy tygodnie upłynęło, termin naznaczony na konkurs zbliżał się; dwa dni dzieliło tylko od niego. Była to niedziela, południe; Jakób przyszedł odwiedzić przyjaciela, nie stukając otworzył drzwi i wszedł: Giovano siedział przed stalugami, blady, znużony, ale przed nim stał obraz ukończony.

— No, winszuję ci—zawołał Jakób i posunął się ku artyście.

Giovano drgnął, obrócił głowę, uśmiech smętny okolił jego usta.

— Skończony—szepnął słabym głosem, a gdy Jakób wyciągnął do niego dłoń, uścisnął go i dodał:

— Myślałem, że nie zdążę, tak się czułem słaby w ostatnich dniach; ale teraz jakoś mi lepiéj: chodź ze mną do Towarzystwa, chcę zaraz odnieść to płótno.

— Z największą chęcią—odparł Jakób i poszli razem i oddali obraz; poczém wrócili do mieszkania Montego, gdyż Giovano iść nigdzie

nie chciał. Jakób z godzinkę zabawił u niego poczém pożegnał mówiąc, iż matka czeka go z obiadem. Nazajutrz wpadł wszakże do niego, nim poszedł do kantoru. Giovano jeszcze leżał i nie myślał wstawać, głowa go mocno bolała: dwa silne rumieńce na jego policzkach, świadczyły iż ma gorączkę. Przestraszony Jakób pobiegł co prędzéj po lekarza i sprowadził go natychmiast; obawy jego nie były próżne. Giovano miał silną gorączkę, praca nad siły była złego przyczyną; lekarz oświadczył, iż życie jego jest zagrożoném, tak srogo ukaraną została jego nierozwaga.

Poczciwy Sepi ani na chwilę nie odstępował pana, całe dnie spędzał przy łóżku chorego; Jakób codzień przychodził dowiedzieć się co porabia przyjaciel, lecz Giovano nic o tém nie wiedział: był nieprzytomny. Dopiéro po trzech tygodniach zaczął jakby poznawać przyjaciół, wpatrywał się w obydwóch, jakby chciał się przekonać czy to w istocie oni, lub jakby chciał ich o coś poprosić... Nieraz wówczas Guispe czy Jakób, pochylali się do niego, pytając czego żąda, ale żadnéj nie otrzymywali odpowiedzi. Pięć tygodni nareszcie upłynęło od czasu jak zachorował: był to wieczór, Jakób jak zwykle przyszedł odwiedzić chorego, podał mu rękę na powitanie i siadł obok łóżka. Giovano uścisnął mu dłoń serdecznie, uśmiechnął się i tak teraz jak zwykle wlepił w przyjaciela

wzrok badawczy. Jakób opowiadał mu jakąś śmieszną awanturkę uliczną, on niby słuchał, ale chyba myślą był gdzieindziéj, bo w oczach jego wesołości bynajmniéj widać nie było. Naraz dźwignął się na poduszki i rękę wychudłą oparł na ramieniu przyjaciela.

— Jakóbie — rzekł — powiedz mi prawdę, komu premium przyznane?

— Jeszcze sprawa nie rozstrzygnięta — odparł Jakób.

Giovano odetchnął, tak jak gdyby mu jakiś ciężar z piersi spadł.

— Jeszcze nie?—szepnął po chwili—a ja myślałem, że już innemu przyznano, że nadzieja całkiem stracona; co prawda, zasłużyłbym na to...

— Jestem pewny, że twoja praca premium otrzyma—rzekł Jakób.

Choremu rozjaśniły się oczy.

— Oh! gdyby—szepnął i ukrył twarz w dłoniach... Nie chciał pokazać łez, co mu zaświeciły na rzęsach.

— Widziałem tamtych prace, ani się umywają do twojéj—dodał Jakób.

Giovano odsłonił twarz, uśmiech szczęścia opromienił.

— Jakóbie—rzekł głosem wzruszonym—czy wierzysz, że to było ostatnie moje zapomnienie, ostatnie moje niedołęstwo. Teraz będę już ciągle pracować wytrwale, będę mężny i ostrożny; nie pozwolę zwątpieniu zakradać się do ser-

ca, ani pokusom opanowywać. Precz ze słabością, raz przecie trzeba być człowiekiem; czuję siły i zdrowie powracające: Bóg mi przebaczył, gdy wstanę z tego łóżka, będę innym zupełnie niż dotąd byłem.

Jakób objął go ramieniem i uściskał.

— Już nim byłeś—rzekł—pracowałeś wytrwale, postępy robiłeś: zapomnienie było chwilowe.

— A jednak to zapomnienie mogło na długo oddalić chwilę szczęścia odemnie; i kto wie jeszcze, czy jéj nie oddali—dodał głosem smutnym. Wnet wszakże otrząsnął się z tego smutku.

— Pamiętaj, jak tylko będziesz wiedział coś pewnego, przyjdź i powiedz mi natychmiast—rzekł.

Jakób przyrzekł: poczém pożegnał przyjaciela.

Od owego wieczora Monti szybko zaczął przychodzić do zdrowia, gdy w kilka dni potém odwiedził go Jakób, zastał go już siedzącym w fotelu, przynajmniéj tak mówił Giovano.

— Sił mi tylko jeszcze brak—rzekł do Jakóba—ale i te powoli wracają; wybrałbym się dziś z ochotą na spacer, gdybyś chciał mi towarzyszyć, bo sam boję się jeszcze odważyć: tylko że ty pewno czasu nie masz?

— Przeciwnie, wolny dziś jestem—odparł Jakób;— kantor zamknięty, ubieraj się, pójdziemy natychmiast.

Giovano kazał Guispowi przynieść palto, kapelusz, poczém oparłszy się na ramieniu przyjaciela, wyszedł na ulicę; Jakób przywołał dorożkę i wsiedli razem: lecz z wielkiém zdziwieniem Montego, zamiast w aleje kazał na Krakowskie Przedmieście jechać.

— Gdzież mnie wieziesz?—zapytał Giovano.

— Mam w tych stronach interes, potém w aleje pojedziemy—odparł Jakób.

Giovano uwierzył, gdy dotarli do kościoła Bernardyńskiego, Jakób kazał woźnicy się zatrzymać.

— Tu wysiądziemy—rzekł.

Giovano spojrzał na niego zdumiony i chciał o coś zapytać, ale snać sam począł się prawdy domyślać, bo nagle krew mu uderzyła do głowy, podniósł się wzruszony i wysiadł spiesznie za nim.

— Na wystawę chcesz iść?—zapytał.

Jakób skinął głową potwierdzająco i podał mu ramię. Giovano wzruszony, drżący, oparł się na nim i poszli razem nic nie mówiąc do siebie. W milczeniu przeszli pierwszą salę i weszli do drugiéj: Jakób prowadził, Giovano postępował za nim jak senny, jak nieprzytomny.

— Spójrz—odezwał się naraz Jakób i zatrzymał się.

Giovano podniósł wzrok i zbladł jak ściana: przed nimi na sztalugach stało jego własne płótno, a pod niém wyczytał: „*Praca konkursowa nagrodzona.*“

— Ja chyba śnię—szepnął po chwili, ręką czoło przecierając.

— Nie śnisz, szczęśliwy człowieku—rzekł Jakób, ściskając mu dłoń.—Widzisz, próżne były twoje obawy.

— Bogu, niech będą dzięki—szepnął Giovano; więcéj mówić nie mógł, szczęście siły mu odjęło: napół omdlały zawisł na ramieniu przyjaciela.

Widząc jego stan Jakób, coprędzéj wyprowadził go z sali, wsiedli do dorożki i podążyli do mieszkania Montego.

* * *

Wzruszenie chwilowo wszakże odjęło tylko siły Montemu; nazajutrz podniósł się zupełnie zdrów, raźny i wesoły i odtąd czuł się coraz lepiéj; tydzień nie minął, a śladu choroby w nim nie było; zabrał się przeto na nowo pilnie do pracy, a gdy Towarzystwo wypłaciło mu 500 rubli, wybrał się razem z Guispem do Włoch. Tam oba rok cały przebyli, kształcąc się każdy w swoim zawodzie. Giovano odwiedził rodzinę i przeprosił za dawne postępowanie, hrabina Monti przebaczyła mu mówiąc, iż dzieckiem był jeszcze wówczas, a do dziecka chować żalu trudno; zaprosiła go do swego pałacu razem z Guispem i otoczyła wygodami: Giovano zawiązał serdeczne stosunki z bratem przyrodnim, czuł się zupełnie zadowolony wśród rodziny. Lecz

kiedy rok minął a raczéj, kiedy już wykształcił się dostatecznie, pożegnał Włochy i wrócił do Polski razem z Guispem, który nie chciał się z nim rozłączać; powrócił na tę ziemię którą ukochał całą duszą, która była kolebką jego matki, na któréj wyrobił się jego talent, gdzie mieszkał jego ukochany Jakób. Pracując uczciwie i wytrwale, wszyscy trzej zyskali sobie szacunek powszechny, wszyscy trzej zapewnili sobie byt niezależny i drogę do szczęścia utorowali; lecz Giovano powtarzał zawsze, że wszystko co posiada, zawdzięcza Jakóbowi, który go nauczył walczyć z przeciwnościami i nad sobą panować.

SPIS RZECZY.

str.

Szlachetne marzenia. 1
Stacho. 123
Późny żal. 187
Królowa lilij. 301
Giovano Monti (z angielskiego). 333

A.S

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
336184